EGZEMPLARZ ARCHIWALNY
BIBLIOTEKA Zakł. Nar. im. Ossolińskich
98.955
1897
Cim

98.555

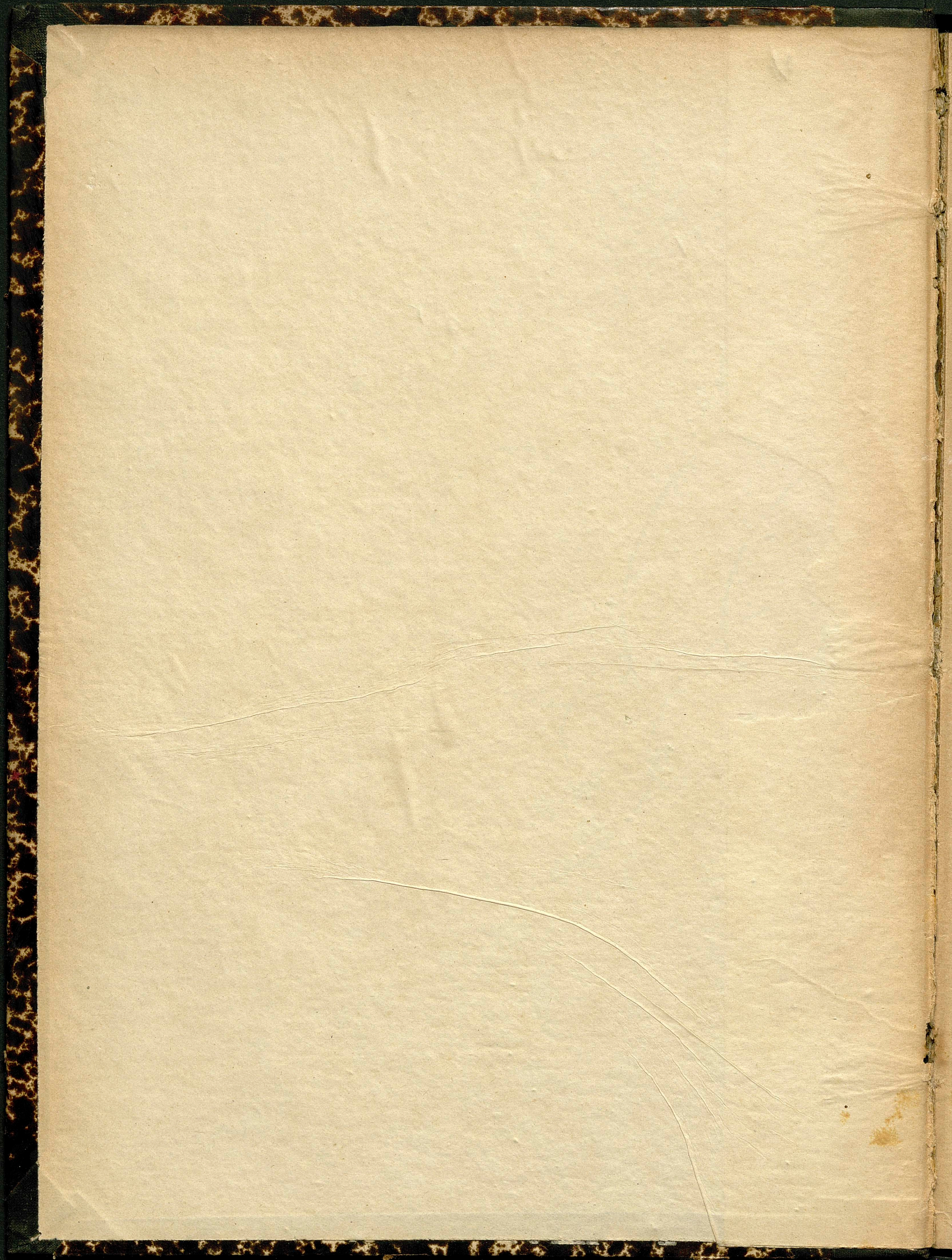

1/2 N
98955
P

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej!“

Nr. 1. | Ełk, na Niedzielę dnia 3 stycznia. | 1897.

98.955

Pieśń noworoczna.

Cześć, chwała Tobie, Panie wszego świata
Ześ nam doczekać dał dosiego lata,
Daj abyśmy się wszyscy odnowili,
Grzech opuściwszy w niewinności zyli.

Użycz pokoju, użycz świętej zgody
Niech jej naruszyć boją się narody,
A Ty nas niechciej odstępować, Panie,
Ale miej o nas ojcowskie staranie.

Łaska twa święta niechaj będzie z nami,
Boć nic dobrego nie uczynim sami,
Wesprzyj nas Twą mocą, przyspórz prawej wiary
Niech rozpoznamy Twe prawdziwe dary.

Błogosław, Panie, ziemi w swej szczodrości
Niechaj nam wyda dostatek żywności
Chroń nas od głodu i powietrza złego;
Daj wszystko dobre z miłosierdzia swego.

Nowy rok.

Ewangielia św. Łukasza, r. 2, w. 21.

„A gdy się wypełniło ośm dni, aby obrzezano ono dziecigtko, tedy imię Jego nazwane jest Jezus, którem było nazwane od anioła, pierwej niż się w żywocie poczęło.“

Dzień noworoczny ma podwójne znaczenie! Jest uroczystym w znaczeniu światowem, bo z dniem tym rozpoczynamy rachubę lat; i jest uroczystym w znaczeniu chrześciańskiem, bo przypomina poddanie dzieciątka z Betleemu pod Zakon i nadania mu imienia. Świat obchodzi dzień noworoczny w sposób światowy. Czy sposób ten, czy rozliczne wiążące się z nim zwyczaje są rozsądne i nie noszą czasem na sobie śladów pogaństwa, nie chcę się w tej chwili nad tem zastanawiać. Jako sługa Chrystusa Pana, jako szafarz tajemnic Bożych, wykładający znaczenie owych tajemnic dzieciom Bożym, chcę zwrócić przedewszystkiem uwagę waszą na chrześciańskie znaczenie Nowego roku, jako dnia pamiątki nadania imienia Jednorodzonemu Synowi Ojca z wieczności. Dzieciątku dano imię Jezus, — zastanówmy się więc w tej uroczystej chwili nad

Znaczeniem imienia Jezusowego dla całego świata.

Pierwej jednak prosimy Cię Panie, Boże wszechmogący, racz nam dopomódz przez Ducha świętego, aby serca nasze przyjęły chętnie zwiastowanie Ewangielii, i słowem Twem poświęcone, w świętości żyć zapragnęły! Amen!

Po zwiastowaniu adwentowem, po nocy Betleemskiej, dzieciątko Maryi, chociaż z Ducha św. poczęte, zostało wedle Zakonu Mojżeszowegó obrzezane. Zdawałoby się, że Syn jednorodzony nie potrzebował być poddanym pod prawo obowięzując lud izraelski, bo jako Syn Boga żywego nie izraelitą był, ale panem i zbawicielem wszystkich narodów. Powtarzam, takby się zdawało, sądząc wedle zwykłego rozumu ludzkiego, lecz w sprawach Bożych nie wystarcza rozum, — tu wszystkiem i nadewszystko jest słowo Boże. Cóż słowo te powiada o obrzezce? Oto w pierwszej księdze Mojżesza, w rozdziale 17. czytamy tak brzmiący rozkaz Jehowy: „Nadto rzekł Bóg Abrahamowi: Ty też przymierza mego przestrzegać będziesz, ty i nasienie twoje po tobie, w narodziech swoich. A toć jest przymierze moje, które zachowywać będziecie, między mną i między wami, i między nasieniem twojem po tobie, aby był obrzezany między wami każdy mężczyzna. Obrzeżecie tedy ciało nieobrzezki waszej, a to będzie znakiem przymierza między mną i między wami“ (w. 9—11), Obrzezka więc była znakiem przymierza zawartego między Bogiem i Abrahamem, owym mężem, któremu powiedział Jehowa: „iż stanowi go ojcem wiele narodów“ (Mojż. 17, 5); była znamieniem wybrania i poświęcenia ludu, z którego miał wedle ciała wyjść Mesyasz, zbawiciel narodów. Na świadectwo więc, że przymierze zawarte przez Boga z Abrahamem i z ludem izraelskim było prawdziwem, i że zapowiedziane w przymierzu błogosławieństwo w całej zupełności ziści się w sobie Mesyasza dziecię Maryi, Syn jednorodzony, poddany był pod Zakon obrzezki. Pierwsza tą krwią swoją zwiastował owo zbawienne przelanie krwi serdecznej na krzyżu z Golgoty, krwi, która płynęła dla zbawienia Izraela i wszystkich ludów całego świata.

Przy obrzezce „nazwano imię dzieciątka Jezus, którem było nazwane od anioła, pierwej niż się w żywocie poczęło.“ Imię to więc, nie nadane wedle ludzkiego upodobania, ale wedle rozkazania Bożego, bo jak urodzenie Zbawiciela nie było z woli ciała, tak i imię Jego miało być stwier=

dzeniem spełniającego się planu Bożego. Wogóle wszystko co się dzieje w życiu Chrystusa, wszystko, począwszy od poczęcia z Maryi przez Ducha świętego, aż do wstąpienia Pańskiego na niebiosa, jest jedynym nieprzerwanym czynem Bożym, jest spełnieniem owych słów Odkupiciela, że w tem, co jest Ojca, On być musi. Ojciec i Duch święty świadczą o Synu, Syn uczyni wolę Ojca, i w wszystkiem co sprawuje Jednorodzony tu na ziemi, objawia się moc i chwała Boga w Trójcy św. Dla tego kto ów związek Boży chce rozerwać, nie umiejąc go zwykłym rozumem dopatrzyć, wpada w niezliczone błędy i kłamstwa. Kto ośleplszy lub przyłożywszy do oczu szkła ludzkiej umiejętności, zbrudzonemi palcami chce dotykać Chrystusa i pysznemi oczami oglądać żywot Jego, nie tylko, że nie ujrzy Pana, ale kłamiąc, opowiadać będzie Chrystusa swego, Chrystusa czasów teraźniejszych, Chrystusa proroka, nauczyciela, a nawet marzyciela i obłudnika, — nigdy jednak Tego, który był nazwany od anioła Jezusem. I zaprawdę, inaczej być nie może. To co Boskie, po Bożemu sądzone i pojmowane być musi; — kto się od Boga odwrócił, jakoż może zrozumieć Boga? Kto chce być mistrzem Bożym, musi popaść w pychę i następstwo pychy, zgłupienie! Dopókąd ludzie tylko wedle zmysłów sądzili widok słońca, trwali w błędzie, sądząc, że słońce obraca się około ziemi. Podobnemu błędowi ulegają pyszałkowie, chcący, aby Bóg w drogach swych i planach chodził zwykłemi drogami ludzkiemi; aby w sprawach swych nie przekroczył granic zwykłej możliwości i ludzkiej wiedzy. Tacy nie pojmą nigdy Boga; nigdy się do Niego nie zbliżą; tacy fałszując Pismo święte, krzyżują Chrystusa. Dla takich Nowy rok jest albo dniem bez znaczenia, albo dniem światowego obyczaju; przemija w ich życiu doczesnem bez śladu, a w życiu wiecznym przeciw nim świadczyć będzie. A nie tylko tak się dzieje z uczonymi niedowiarkami, — i prostaczek, i człowiek żadnych ksiąg nie biorący do ręki, jeżeli zatkał uszy na wołanie Ducha świętego odzywające się z księgi słowa Bożego, dzień Nowego roku albo zastanie go bezmyślnie siedzącego na ławie kościelnej, albo biegającego po świecie, wieszającego drugim nie z serca, ale sobie dla zarobku, albo zatopionego w szalonych uciechach, Jeżeliście naprawdę chrześcianami, radosnym, szczęśliwym, błogosławionym musi być dla was dzień dzisiejszy, bo to dzień pamiątki, w którym wedle zwiastowania anielskiego dzieciątku Maryi, Synowi Bożemu, pod krwawy zakon Starego Testamentu poddanemu, dano imię — Jezus!

2.

Jezus! Co znaczy to imię? Wykład znaczenia imienia danego dzieciątku znajdujemy w pierwszym rozdziale Ewangielii św. Mateusza. Oto anioł Pański powiada Józefowi o Maryi: „A narodzi syna, i nazwiesz imię jego Jezus; albowiem On zbawi lud swój od grzechów ich" (w. 21). W imieniu Jezusa zawarta jest tajemnica zbawienia! Imię Jezusa to hasło zwycięstwa nad grzechem i przyczyną grzechu, to jest szatanem i zapłatą za grzech, to jest śmiercią. Dla tego apostoł Piotr, będąc pełen Ducha św., mówi do przełożonych ludu i starszych Izraelskich o imieniu Jezus: „I niemasz w żadnym innym zbawienia; albowiem niemasz żadnego imienia pod niebem danego ludziom, przez które byśmy mogli być zbawieni" (Dzieje apost. 4, 12.) Dla tego Paweł, dawny prześladowca Ukrzyżowanego, wyznaje w liście do Tymoteusza: „Wiernać jest ta mowa i wszelkiego przyjęcia godna, iż Chrystus Jezus przyszedł na świat, aby grzeszniki zbawił, z których jam jest pierwszy. Alem dla tego miłosierdzia dostąpił, aby na mnie pierwszym okazał Jezus Chrystus wszelką cierpliwość na przykład tym, którzy weń wierzyć mają ku żywotowi wiecznemu" (1 Tymot. 1, 15, 16). Dla tego czytamy owe wielkie słowa zapisane w liście do Filipensów: „Bóg nader Go wywyższył i darował Mu imię, aby w imieniu Jezusowem wszelkie się kolano skłaniało, tych, którzy są na niebiesiech, i tych, którzy są na ziemi, i tych, którzy są pod ziemią. A wszelki język aby wyznawał, iż Jezus Chrystus jest Panem, ku chwale Boga Ojca" (2, 9—11).

Imię Jezus, to imię zwiastujące pokój, bo w imieniu tem jest grzechów odpuszczenie, a kto ma grzechów odpuszczenie, ten ma pokój w sumieniu swem, ten z ufnością spogląda w przyszłość, bo Chrystus gładzi grzechy i przewinienia przyszłości.

Imię Jezus to tarcza i obrona przed napaścią szatańską i pokusami świata, bo ten, który imię to nosił, Syn Ojca z wieczności i człowiek prawdziwy, szatana zwyciężył, będąc od niego kuszony, a kto imienia Jezusowego wzywa, kto w imieniu tem modli się, ten zwycięży kusiciela i pokusy tego świata, ten jest odważnym i niezwyciężonym bojownikiem.

Otóż, kiedy dziś Ewangelia przypomina nam, iż przed wiekami imię Jezus dano wedle zwiastowania anielskiego dzieciątku z Maryi narodzonemu, własna pamięć nasza musi nam przypomnieć, że w imię to ochrzczeni, jesteśmy imiennikami Chrystusa a członkami ciała Jego. Jako imiennicy Chrystusa w dniu nadania Mu Jego imienia czy nie powinniśmy zapytać siebie, azali nie przynieśliśmy temu imieniowi hańby? Azali nie nadużywamy tego imienia jak ów zakon, który przybrawszy imię Jezuitów, to jest stowarzyszenia Jezusowego, tłumi chwałę Ukrzyżowanego, religii używa jako środka do dopięcia ziemskich celów, a kłamstwem splugawiony raczej by się miał nazwać bractwem antychrystusowem! Tak dziś powinniśmy zapytać siebie samych, czy będąc imiennikami Jezusa, śladem stóp Jego chodzimy? Czy w roku minionym uczynki i myśli nasze, nasze mowy i prace nasze, nasze radości i utrapienia były spełniane i dokonywane w wierze i miłości ku Temu, którego przed wieki nazwano Chrystusem? Powinniśmy zapytać samych siebie, czy w roku ubiegłym żyliśmy z Chrystusem, czy bez Niego, byli z Nim czy przeciw Niemu, czy ogrzewaliśmy serca nasze Jego miłością, czy stygli i ziębli w wewnętrznym człowieku, stawszy się niewolnikami świata?

O, dzień Nowego roku to wielki dzień! To dzień pytań i badań, które nie do ludzi ale do

siebie i do Boga zwracać powinniśmy. Za nami leży przeszłość! Z tej przeszłości każdy, i najmniejszy uczynek, każda, i najdrobniejsza myśl zapisana jest w księdze naszego żywota (Objaw. 20, 12). Jeżeliśmy tego, co było złem, grzesznem, nieprawem, co świadczyło o naszem niedbalstwie, naszej lekkomyślności, nie starali się zgładzić w imieniu Jezusa, — jakąż będzie przyszłość nasza? Któż z nas wie, czy ten, poczynający rok nie będzie ostatnim w życiu naszem? Któż wie, czy nowy ten rok nie przyniesie nam karań Bożych, które złamią twarde serce, a zaślepiony umysł jeszcze ślepszym uczynią; albo błogosławieństw, które pysznego ducha naszego zamiast napełnić pokorą i wdzięcznością, odmą tem większą jeszcze pychą? Któż wie, czy rok poczynający się nie jest brzemiennym gromami wojny, chłostą głodu, rózgą ognia i zalewów, albo oddechem zarazy? Któż nakoniec wie, czy z obłoków, które mimo niezliczonych wieków nie starzeją się i nie giną, a które i w tym roku namioty swe nad głowami naszemi rozpinać będą, nie zstąpi Jezus, by sądzić żywe i umarłe? Ah, najmilsi! Któż wypowiedzieć zdoła to wszystko, co się kryć może w łonie jednego roku? Kto przeniknąć, czem nas dotknąć jest w stanie każdy z owych trzystu sześćdziesięciu pięciu dni? Toż w każdej minucie dnia, a minut tych liczy każdy dzień tysiąc cztery sta i czterdzieści, w każdej, mówię, takiej minucie możemy stracić mienie, żonę, dziatki, cześć, żywot doczesny, — nawet żywot błogosławiony, wieczny! Przypomnijcie sobie to w dniu dzisiejszym, a nie będziecie spoglądać w przyszłość jak dziecię, które nie znając palącej siły ognia, wyciąga do niego rączęta, gotowe je włożyć w straszne płomienie. Przypomnijcie sobie grzechy dni i lat ubiegłych, zmarnowaną młodość, źle użyte czasy dojrzałego wieku, zbutwiałą starość, lekkomyślne i bezmyślne igranie z waszą nieśmiertelną duszą, haniebne poddawanie się żądzom ciała i świata, uparte zaniedbywanie słowa Bożego, szkaradne znieważanie dnia świętego, szalone rozrywanie szaty świętości, w którą was Bóg oblekł w dniu chrztu, — a zaprawdę! upadniecie na oblicze i zawołacie; Panie, Panie! wielki w miłosierdziu: dzięki Ci, żem jeszcze doczekał dzisiejszego, gdyż nie chciałeś śmierci grzesznika, ale chcesz, aby się nawrócił i żył!

Najmilsi, jeżeli westchnienie żalu i skruchy serce wasze przejmuje, przypomnijcie sobie, com wam tej uroczystej chwili mówił o imieniu Jezus! W imieniu Zbawiciela wołajcie na progu przyszłości, aby On, który się nazywa Jezus, to jest „wybawiciel od grzechu", odpuścił wam i zgładził grzechy przeszłości. W imieniu Jezusa wołajmy wszyscy do Ojca w niebiesiech, bo Ten, który umiłował świat tak, iż dał zań na śmierć Jednorodzonego Syna swego, jest Bogiem miłosierdzia i chce, aby całemu światu imię Jezus stało się imieniem zbawienia i pokoju. Wołajmy i prośmy, aby imię Jezus zapisał Duch święty ognistemi głoskami na sercach naszych! Wołajmy i prośmy, aby każdej chwili imię Jezus stawało nam na pamięci; abyśmy imieniem tem, jak tarczą osłaniając się, gasili płomieniste strzały szatana: abyśmy w imieniu tem szukali pokoju dla duszy, mądrości dla rozumu, uświęcenia dla ciała, a dla całego człowieka żywota wiecznego i wiecznego zbawienia. Chryste Panie, zmiłuj się nad nami! Niewiemy, jaka przyszłość nas czeka, lecz grzeszni, upadli, w sercu naszem zepsowani, wołamy i prosimy: zmiłuj się, zmiłuj się w Twojem, Jezusowem imieniu pozwól nam znaleźć odkupienie, poświęcenie, doczesną świętość i wieczne zbawienie. Amen.

Praca wzbogaca.

Oj! bieda, bieda na świecie! człowiek już nie wie gdzie ma głowę. W domu kłopot po za domem kłopot. Żona zrzędzi, córki próżnują, i tylko im stroje w głowie; dobrej czeladzi to i na lekarstwo nie znajdzie; drożyzna wielka, wciąż dawaj a dawaj, a tu niema zkąd; roboty źle płacą, a materyał drogi. Człowiek pracuje i pracuje, a niczego dorobić się nie może! Tak to nieraz rzemieślnik, jak mu bieda dokuczy, sam ze sobą gawędzi; a ta gawęda na czem się zwykle kończy? Na frasunek dobry trunek! I nasuwa czapkę na głowę, bierze laskę do ręki, zatrzaśnie drzwiami i wychodzi z domu! Ale gdzież on idzie? Może do kościoła, bo to jeszcze rano, drzwi kościelne otwarte. Może idzie przedłożyć Bogu nędzę i biedę swoją, a prosić o pomoc i błagać, aby się Bóg zlitował nad jego niedolą, użyczył mu światła potrzebnego, i obdarzył go cierpliwością w znoszeniu przeciwności; może idzie starać się o materyał potrzebny, aby nabywszy go podwojoną pracą naprawić złe interesa? Może idzie do mądrego, przezornego przyjaciela, aby u niego rady zasięgnąć? O nie! On idzie do zwykłego rzemiosła swego, a tem rzemiosłem, to pijatyka. On doskonały w niem majster. I nie dziw, kiedy wiernie w niem się ćwiczy. Idzie do dobrego przyjaciela swego. Który już z kieliszkiem w ręku nie może się doczekać jego przybycia. Idzie do zwykłego kościoła swego, — do szynku. Okropne to zaiste! Nie mógł sobie lepiej poradzić i z biedy się otrząść. Na co pracować, męczyć się, — kiedy najłatwiej się upić i o wszystkiem zapomnieć!

I cóż dziwnego, że panowie i gospodarze, widząc co się w twoim domu dzieje, żadnej nie chcą ci powierzyć roboty. O bracia, to już serce boli, na co to ten stan rzemieślniczy zeszedł u nas? Stan taki piękny, pożyteczny i zbawienny. A przyczyna tego, wyznajmy szczerze, to z bardzo małemi wyjątkami nałóg pijaństwa, tak rozszerzony i zakorzeniony między rzemieślnikami, nałóg, który tyle rodzin w trąca w przepaść zepsucia i boleści, i zabija szczęście doczesne i wieczne! Dzień powszedni i poranek, a w warsztacie niema pana majstra; robota pilna obstalowana leży jeszcze nie rozpoczęta; czeladź zaspana wyciąga się i gawędzi, a biedna matka z dziatkami płacze rzewnie w ubogiej izdebce! A pan majster gdzie? Zasiadł sobie wygodnie z podobnymi sobie towarzyszami za stołem w szynkowni, w dymie fajczanym jak w obłoku; nikt nie rozezna kto tam siedzi, tylko słychać gwar i brzęk kieliszka, a spora flaszka

anyżówki jak by bożyszcze jakie świeci przed nimi.

I tu dopiero rada się rozpoczyna.

Co tu robić, jak tu biedę z domu wypłoszyć, jak tu się z nędzy podźwignąć? Lecz gdzieżby to człowiek, będąc z pełna przy rozumie, mógł coś dobrze radzić! Tu rozum w ucho ciągle ci szepcze: Wróć do domu, wstąp do kościoła, pomódl się, a potem zabierz się szczerze do roboty, to najlepsza, to jedyna rada; w szynku nic mądrego nie uradzisz! Bo jakże tu radzić można, gdzie głos sumienia wszystkie szyki miesza, i ciągle się odzywa: Nie będzie w domu błogosławieństwa Bożego, kiedy ty w szynku przesiadujesz. Więc trzeba, koniecznie trzeba pozbyć się natrętnego gościa, i rozum ściemnić, i sumienie zgłuszyć; wtedy dopiero coś mądrego, korzystnego się uradzi! I krąży kieliszek po kieliszku; szynkarz z radości się uśmiecha, i stoi już z drugą flaszką na zawołanie. Oczy poczynają się iskrzyć, twarze czerwienieją, języki się plączą; ale jakoś do ładu i porządku przyjść nie można; jeden radzi tak drugi inaczej; nic się tu do końca nie trafi; trzeba się zdać na sąd jakiego przyjaciela rozumnego, doświadczonego i rozumnego. Przyjaciel ten już czeka. On naprzód już wyrachował swoje zyski lichwiarskie! No o cóż to wam idzie? Oto, słuchaj panie gospodarzu! Mam zamówioną pilną robotę. Pieniądze na zadatek dla skupienia materyału już się wzięły, lecz się gdzieś rozeszły, a tu nalegają na oddanie roboty, bo termin już dawno minął; radzicie więc, co tu teraz robić? No czemuście pierwej tego nie powiedzieli. Panowie majstrowie zawsze tak łaskawi i do mnie przychodzicie, ja także zawsze najchętniejszy na wasze usługi. Oto 13 marek dam je na sześć miesięcy i na niewielki procent: tylko 2 i pół fen. od 30 fen. na miesiąc. Ale potrącę zaraz połowę procentu, i trzy marki, któreście winni za wódkę. I wziął pan majster trzy marki, a zaciągnął dług na pół ósma marki, a dziękuje jeszcze uniżenie za usługę. Prawdziwie tylko przy wódce można zrobić takie interesa. Następują czułe pożegnania, i panowie majstrowie obiecują zawsze przychodzić po radę i zapomogę do tak dobrego przyjaciela. Cała czułość wysypała się w szynku, a w domu dla żony i dzieci zostały tylko słowa grubijańskie i zelżywe. Klnie na czem świat stoi bo mu żona niesmaczny obiad przyrządziła, a on przecież na ten obiad ani fenyga nie zarobił! Na ten kawałek mięsa i tych kilka kartofli żona z dziećmi całą noc bezsenną pracowała. Krwawym ich potem ten obiad zaprawiony!

Pójdzie pieniądz za wódkę, dla tego mało który stolarz ma suche drzewo, szewc dobrze wymoczoną skórę, kowal hartowne żelazo; spuszcza się majster na czeladź, krawiec źle przykroi, a szwaczka źle uszyje; a gdy przyjdzie płacić, to się domagają takiej zapłaty, jakby za najporządniejszą robotę! I cóż dziwnego, że każdy woli albo towar, albo samych rzemieślników sprowadzać z obcych krajów, bo robota idzie sporzej, żwawiej i lepiej. Mówisz; nie mam roboty; a jednak gdy masz zamówioną, to doprosić się jej nie można. Pokąd jaki grosz w kieszeni, to ani myśli o pracy, a kiedy bieda przyciśnie, to pełno narzekania i jęku. Mija jeden, drugi i trzeci termin, a ty się ze słowa nie wywiązujesz, i roboty nie odnosisz. Jakże ją odnieść, kiedy jeszcze nie zaczęta! Zadatek się zmarnował, a gdy przychodzi co do czego nie masz ratunku innego, jak tylko zastawić rzeczy żony i dzieci, i wziąść pieniądze na lichwę. O mój bracie! kiedy raz w lichwiarskie dostaniesz się szpony, to już nie dla siebie, nie dla żony, nie dla dzieci twoja praca, ale dla lichwiarza. Tyś jest sługą, niewolnikiem jego; twoja praca, jego płaca! Wielu to jest takich rzemieślników, którzy jeszcze niedawno temu dobrze się zachowywali i dobrze im się powodziło, a dziś przez lichwę do takiej przyszli nędzy, że ledwie ręki po jałmużnę nie wyciągają? Skądże to? Bo jak im Pan Bóg błogosławił, korzystać nie umieli. A gdyby ten czas, na szynk zmarnowany, a czasami pieniądz był użyty do pracy i do zakupienia materjału: ileżby to i zdrowia, i szczęścia, i błogosławieństwa Bożego, i grosza przybyło!

Rozwiązanie z nr. 50.

Moje mili przyjaciele —
Posłuchajcie jak was wiele:
Roku 1896 usłyszeliśmy coś nowego
Wyszła nam z Ełku gazeta
I to nie jest jaka pleta.
Ludowa się nazywa,
Dwa razy w tydzień do nas przybywa.
Także z ewangielikiem bezpłatnym
I ten jest nam bardzo jasnem,
Przynosi nam dość czytania,
Jako i śliczne kazania.
Też i zagadywek wiele —
Które rozwiązuje śmiele,
Z numeru pięćdziesiątego
I układu takiego:
Raz się trafiło,
Że się przybyło
Pod drzewo zielone,
Wielce rozkrzewione;
Tam ja coś zoczył
I wraz podskoczył,
Żołądź urwałem
I mu się przyjrzałem.
Od brzega pudełko
Przy końcu szydełko
I jąderka we środku
Masz polcie mój chłopku.
Ze skorupy kołyski
Ślę ukłon niski

Fryderyk Kłodka z Gelsenkirchen.

Rozwiązanie zagadki z nr. 51.

Pasek.

Zagadka.

Stoi dąb, na dębie konop, na konopiu glina, na glinie świnia.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.). — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 2.	Ełk, na niedzielę dnia 10 stycznia.	1897.

Piosnka na Gody.

Nuty: „Wo findet die Seele, die Heimath, die ruh?“

Ma duszo, przybliż się do żłobu Pana!
I chciej też przywitać Jezusa z rana
Cherubinów poczet z Niebios zstąpili
A wdzięcznie i mile Jego chwalili
Łącznie — wdzięcznie, Mu śpiewajmy
Króla, ach z niebieskich mile witajmy :,:

Aniołów cne grono w światłości stali
Jezusa pasterzom tam zwiastowali
K' Betlehem pasterze, śpieśnie lecieli
A cóż radosnego tam uwidzieli?
W żłobie — k' tobie Król spoczywa
Obok też Jezusa matka szczęśliwa :,:

Gdzie leży Król niebios i Pan nad pany?
Raju On właściciel Jezus kochany
On leży w stajence tam w twardym żłobie
Dziś przyszedł na ziemię i woła k' tobie:
Krążyj — dążyj, przychodź do mię
Ustawać dziś będe, z tobą w twym domie :,:

Tak przystąp ma duszo dziś do Chrystusa
O jaka szczęśliwa ty będziesz dusza
Koronę ozdobną, ach przyniósł k' tobie
On, Jezus, który tu leży dziś w żłobie
Miejmy — siejmy, wiarę w Niego,
Pan Jezus z nas zbawi zawsze wiernego :,:

Oj błogo, i mile z Jezusem bywać
Nuż chciejmy radośnie Go do się wzywać —
O Jezu przywitaj nas tej to chwili
Wdzięcznie nas prowadź sam bym z Tobą byli
Ach przyjdź i wnijdź w nasze progi
Łaskawie Cię prosim, Jezu nasz drogi :,:

Michał Kajka.

Noworoczny dar Boży.

Ewangielia św. Łukasza 2. 21.

„A gdy się wypełniło ośm dni, aby obrzezano ono dzieciątko; tedy imię jego nazwane jest Jezus, którem było nazwane od anioła, pierwej niż się w żywocie poczęło.

Wiele ruchu jest między nami w dzień Nowego Roku. Chodzą ludzie do ludzi, i życzą sobie nawzajem szczęśliwego i dobrego nowego roku, a poczty ani nadążyć nie mogą, aby porozsyłać listy i karty i telegramy z życzeniami najrozmaitszemi. Wiele jest w tych życzeniach szczerości serdecznej i przyjacielskiej życzliwości, lecz wiele też tylko obowiązkowej czynności, albo tylko towarzyskiej grzeczności, oprócz tego i wiele żebraniny i nawet obłudy. Czekają też wszyscy bardzo tych gratulantów noworocznych, i to nawet z pewnym zabobonem, bo radzi widzą człowieka młodego, co im pierwszy składa życzenia, a strach ich ogarnia, gdy jako pierwsza osoba wlezie im w nowy rok w drogę; dajmy na to, stara baba. Ach, i wieleż to takich ludzi biednych, opuszczonych i smutnych, do których żadna miła dusza nie zawita z powinszowaniem żadnem! Marne jednak są wszystkie te życzenia ludzi słabych i skazitelnych, bo któreż życzenia spełnić oni mogą? Ostatecznie zawisło wszystko od Boga, co on człowiekowi dać raczy, albo czego on mu zechce odmówić. I najszczersze i najpiękniejsze życzenia ludzkie tylko wtedy spełnić się mogą, jeżli Pan Bóg spełnić je raczy. Otóż wstępujemy w rok nowy nie tylko za porządkiem przyrody i według ustanowienia ludzkiego, ale także jako chrześcianie, i świadczymy, że nie tylko ludzkiego serca umieją innym i dawać co dobrego, ale owszem że miłość najwyższa, sam Bóg wieczny i wielki, życzy ludziom co najlepszego, a to żeby nikt nie zginął, ale żeby każdy udał się do pokuty, nawrócił się i żył. A takie życzenie Boże nie tylko jest ukryte w sercu, albo opowiedziane słowem jego, lecz objawione i potwierdzone jest uczynkiem najwyższej miłości, tym uczynkiem, że co miał najzacniejszego i najmilszego i najdroższego, to nam dał Ojciec niebieski, dał nam Jednorodzonego Syna swego. W porządku przyrody niema roku nowego, każdy ponawiający się po kolei rok jest rokiem starym, podobnym do wszystkich swoich poprzedników, jako rok człowieka starego, co się psuje przez pożądliwości oszukiwające. Nowe lata i czasy nowe rozpoczynają się prawdziwie dopiero od tej chwili, gdy on nowy człowiek z nieba zstąpił na ziemię, i osobę i życie swoje zespolił i złączył z osobą i z życiem człowieczem. Jako dziecię, położone w betlehemskim żłobie, stawił się na ziemi on nowy człowiek z nieba. Lecz wtedy on był tylko darem dla matki jego, dla onej służebnicy Pańskiej, był darem dla Józefa, człowieka sprawiedliwego po starotestamentowemu, był darem dla onych pasterzów, co

go pierwsi powitać śmieli, ale nie był jeszcze darem dla całego narodu, ani przez naród ten darem dla świata całego, i darem także dla ciebie. Dopiero w dniu ósmym swego ziemskiego pobytu, gdy przyjął obrzezkę, stał się on darem dla wszystkich Izraelitów, bo został Izraelitą. I gdy przyjął imię człowieka, stał się darem dla wszystkiego świata, i dla każdego człowieka, co jako osoba też po imieniu nazywany bywa na świecie. Więc w tym dniu ósmym, a był to właśnie dzień noworoczny, gdy za zrządzeniem Ojca niebieskiego dano Synowi jego Jednorodzonemu obrzezkę starotestamentową i imię człowiecze, zadokumentował ten Ojciec niebieski, że ten Syn jego jest noworocznym darem jego dla wszystkiego świata i dla każdej duszy w nim, dla wszystkich czasów i dla każdego w nich roku.

Pięknie są tedy dobrane ustępy z Pisma świętego do kościelnego użytku w dzień noworoczny. Lekcya bowiem z listu do Galatów wykazuje skutki Bożego daru noworocznego, jako ludzie stali się jednym w Chrystusie i nasieniem Abrahamowem i dziedzicami. A ewangielia stawia nam przed oczy sam dar noworoczny, mówiąc: A gdy się wypełniło ośm dni, aby obrzezano ono dzieciątko, tedy imię jego nazwane jest Jezus, ktorem było nazwane od anioła, pierwej niż się w żywocie poczęło. Zniewala nas tedy ewangielia noworoczna oglądać

Noworoczny dar Boży

1) jako dzieciątko, 2) dzieciątko obrzezane, 3) dzieciątko nazwane przez ludzi i przez anioła.

1. Noworocznym darem Bożym dzieciątko.

Już w on czas, gdy pierwszy człowiek na ziemi zgrzeszył i stał się starym i skazitelnym i śmiertelnym Adamem, prochem, co w proch obrócić się musi, obiecał mu Pan Bóg dać dziecię, bo nasienie niewiasty; i dziecię dziwne, które wężowi potrze głowę; i dziecię boleści, bo je wąż ukąsi w piętę. I tego dziecięcia też czekali ludzie od samego początku świata. Już Ewa pierwsze swoje dziecię nazywa Kainem, to jest darem, wyjednanym od Jehowy, od Boga łaski. A przed potopem, Lamech, dziecię, które mu się urodziło, nazywa Noachem, to jest pociechą, dzieciątkiem, otrzymanem od Jehowy, od Boga pociechy, i ufa, że z tem dzieciątkiem nastanie czas nowy i dzieje nowe, czas pociechy i dzieje pociechy. A później, taki prorok Izajasz, też prorokuje o dzieciątku jako o przemożnym pocieszycielu, i tak mówi: Dziecię narodziło się nam, a syn dany jest nam, i będzie panowanie na ramieniu jego; a nazowią imię jego: Dziwny, Radny, Bóg, Mocny, Ojciec wieczności, Książę pokoju. A ku rozmnożeniu tego państwa i pokoju, ktoremu końca nie będzie, usiądzie na stolicy Dawidowej, i na królestwie jego; aż je postanowi, i utwierdzi w sądzie i w sprawiedliwości, odtąd aż na wieki. Uczyni to zawiśna miłość Pana Zastępów (Izaj. 9, 6—7.) Gdy tedy nadszedł pierwszy rok prawdziwie nowy, bo rok spełnionych obietnic Bożych, i rok spełnionych nadziei i oczekiwań ludzkich, to witają ludzie jako noworoczny dar Boży dla świata także dzieciątko, i nazywają je: Jezus to jest Zbawiciel.

Tak, działo się tak przed wiekami, że oglądali ludzie oczami własnemi dzieciątko, uwinione w pieluszki i leżące w żłobie. Ale dziś na schyłku wieku dziewiętnastego, ludziom dzisiejszym, czy jako dar noworoczny też trzeba pokazywać ono starodawne dzieciątko? i czy dla dzisiejszego czasu nie ma innego tekstu noworocznego, jak ten jeden wiersz o onem dzieciątku, co było obrzezane i nazwane Jezus? Tak, wiemy to ku naszej radości, że ten Jezus już nie jest dzieciątkiem, uwinionem w pieluszki, ani do religijnej uroczystości obrzezania i nadania mu imienia wyjętem z żłobu; lecz że to Pan nad pany, Ten, co siedzi na prawicy Ojca, i ma wszelką moc na niebie i na ziemi, i w swoich dłoniach trzyma klucze piekła i śmierci, a kiedyś przyjdzie, i będzie umarłych budził i wywoływał z grobów ich, i wszystkich ludzi stawiał przed stolicą sądu swego, i od każdego żądał rachunku z żywota jego, i z niedowiarstwa jego. Lecz wtedy to już nie będzie rok nowy, to będzie już ona wielka chwila, gdy się kończy doczesność i wszystkie jej lata nowe, a wstawa wieczność, w ktorą, jak rzeki w morze, spływają wszystkie lata doczesne. Jeszcześmy nie doczekali tej chwili znikania doczesności i zanurzania się jej w wieczność; jeszcze przebywamy w doczesności, więc jeszcze pojawiający się w niej rok nowy także nam jako noworoczny dar Boży oglądać dzieciątko.

Potrzebujemy właśnie tego dzieciątka jako świadectwo o miłosierdziu Bożem z nami, i o niedaremnych nadziejach naszych.

Wyobraź sobie człowiecze, coby się dziać musiało dzisiaj na świecie, gdyby w dzień nowego roku już nie przedstawił ci się Pan Jezus jako dzieciątko, obleczone w pieluszki opowiadanego słowa Bożego i sakramentów świętych, i żądające obrzezania serca twego, ale gdyby stanął w świecie w Majestacie swego Bóstwa. Nieopisany przestrach ogarnąłby wszystkich ludzi; a ci, co dzisiaj są największymi siłaczami i krzykaczami, przestraszyliby się tak bardzo, żeby oni pierwsi wołali na góry: padnijcie na nas, i na pagórki: przykryjcie nas i zakryjcie nas przed gniewem tego Baranka (Objaw. 6, 16). Przecież to przestraszył się Heród i wszystko Jeruzalem z nim, gdy tylko mędrcy ze wschodu przyszli tam pytać się, gdzie jest on narodzony król żydowski! A gdy już siłacze i krzykacze przestraszyć by się musieli bez miary, to cóż powiedzieć o ludziach zwyczajnych i małych? Uczuliby oni siebie przedewszystkiem jako grzesznych i potępienia godnych, i nikt by nie miał tej śmiałości, żeby zawołać: Synu Dawidowy zmiłuj się nademną, ratuj mię! Lecz Syn Boży za pierwszem przyjściem swojem, nie przyszedł, aby sądzić świat, ale aby zbawić świat. Dla tego też przyszedł w pokornej i miłej postaci dzieciątka, aby się nikt nie przestraszył jego przyjściem, ale aby każdy mógł mieć śmiałość i ufność, żeby przystąpić do niego i przyjąć go. Każdy, nawet człowiek najlichszy, i nędzarz nawet najbardziej upadły. Wzgardzili nim Izraelici, ponieważ przyszedł był jako dzieciątko; ale jednak było w takiem przyjściu jego miłosierdzie Boże, bo przecież znaleźli się maluczcy, co przyjęli ono dzie-

ciątko. Gdyby nie był przyszedłbył jako dzieciątko, niktby go nie był przyjął, bo wszyscy byliby pouciekali i pokryli się przed Majestatem jego, i nikt nie byłby wówczas był zbawiony. I dziś też tak. Jestto tylko miłosierdzie, że Pana twego i przyszłego Sędziego twego daje Pan Bóg w ewangielii noworocznej jeszcze oglądać ci jako dzieciątko. Tak to zniża się Bóg nieskończony w Majestacie swej osoby i swojej mocy do ciebie, że dzieciątko kładzie przed tobą. Kładli inni przed tobą co innego: wielkie mądrości, zdumiewające nauki, z któremi nie wiesz, co począć; szumne obietnice i łudzące przechwałki, które ci się na nic nie zdadzą; a oto ne marny dźwięk słów, lecz coś rzeczywistego i żywego kładzie ci Ojciec niebieski na łono twoje: dzieciątko! Ach, nieraz gdy ludziom biednym przybędzie dzieciątko, przybędzie im troska i kłopot i fatyga. Ale to dzieciątko od Ojca niebieskiego, ono nie przynosi ci kłopotu i troski, ale przynosi ci dar, prawdziwie noworoczny dar, bo pisze apostoł, jakożby Bóg wszystkiego z niem nie darował nam (Rzym. 8, 32.?) Wszystko chce ci Ojciec niebieski darować; wszystko, co ci potrzebne na krótkie, czy długie lata doczesności, i wszystko, czego ci trzeba na całą wieczność nieskończoną. Jestto dar tak wielki, że wobec niego stoisz, jak głupi, i nie wiesz, co począć; czy przyjąć go, albo zląkłszy się wielkości jego, uciec od niego. Otóż aby człowiek nawet najlichszy był bez wymówki, daje Ojciec niebieski dar swój noworoczny każdemu w postaci dzieciątka. I któż dzieciątka nie przyjmie? Nawet lichy żebrak przecież przytuli je do siebie, i okryje choćby łachmanami swemi. I nawet dziecię żebraka jeszcze widzi jakieś ubogacenie swoje w tem, gdy przyjąć może dzieciątko. Nawet zatwardziałemu zbrodniarzowi zmięknie serce, gdy przyjąć ma dzieciątko. Toż i my jeszcze święcić możemy rok jako nowy, kiedy nam przyświeca w nim miłosierdzię Boże w postaci dzieciątka.

Święcąc rok nowy jako chrześcianie, rozpoczynamy go też z nadzieją. Dzieciątko, obrzezane i Jezusem nazwane w dzień noworoczny, objawia nam przedewszystkiem, że nadzieję ma sam Bóg, Bogiem nadziei nazwany w Piśmie świętem (Rzym. 15, 13.). Miał Bóg tę nadzieję, że to dzieciątko, które kładzie do betlehemskiego żłobu, nie tylko samo wyrośnie, ale że z niego rozrodzi się także coś dziwnie wielkiego, bo cała ludzkość odkupiona, poświęcona i zbawiona. Była to droga krzyża, którą dzieciątko to iść miało; rozpoczęła się ona w żłobie, a zakończyła się na Golgocie, na krzyżu. Lecz nadzieje nie omyliły tak co do samego dzieciątka, jak i co do świata. Dzieciątko to wyrosło także jako syn człowieczy do tej wielkości, że mógł Jezus być wzięty do nieba i usiąść na prawicy Bożej. A tych, co przez niego także dziećmi Bożemi się stali, już jest poczet tak wielki, że go ludzki rachunek już zliczyć nie może, a potęga Imienia jego na ziemi już jawna jest jako tak wielka, że jej ani bramy piekielne nie przemogą.

Na tej Boskiej nadziei polegają też wszelkie nadzieje ludzkie, i nadzieje każdej jednostki. Jako człowiek, z grzesznego człowieka zrodzony, jesteśmy wprawdzie każdy wpleciony w grzech i w przekleństwo grzechu, to jest w marność i w skazitelność, w cierpienie i w śmierć, i nie mamy nadziei, nie mamy roku nowego. Ale jako wszczepieni w Chrystusa, jesteśmy wstawieni w dzieje łaski i w dzieje zbawienia, tak osobą i pracą swoją, i mamy nadzieję, i święcić możemy rok nowy. Mamy dla osoby swojej nadzieję zbawienia, bo mamy obietnicę, że kto uwierzy, a ochrzci się, zbawion będzie (Marek 16, 16.); i mamy nadzieję także dla pracy swojej, tę badzieję, iż praca nasza nie jest daremna w Panu (1. Korynt. 15, 58.). Może praca nasza, jako ludzi maluczkich, może ona być maluczką, i ubierać się w niepokaźne tylko pieluszki, lecz wiemy, że Pan panów i Król królów, też stawił się na ziemi jako maluczki, jako dzieciątko, i przyjął pieluszki i żłób ludzi ubogich. A jednak jest on już teraz wywyższony nad wszystkie niebiosa.

Stosując to do pracy „Ewangielika", toć przychodzi on jeszcze do czytelników jako maluczki, w sukience ubogiej, w pieluszkach, w jakie odziać go mogą ludzie maluczcy. Lecz nie pogardźcie tą pracą maluczką, którą służyć wam chcą życzliwi, służyć w imieniu i na chwałę tego Pana, który do nas ludzi biednych też przyszedł jako maluczki, jako dzieciątko. W jego to jest mocy, nawet z małego ziarenka wyprowadzić owoc hojny. Ach, wesprzyj nas Panie Jezu, i wspomóż każdego, co w pokorze serca swego w Tobie pokłada swe nadzieje, i w Twojem imieniu wstępuje w rok nowy. Amen.

Kazanie woźnicy.

Bogobojny jeden Francuz opowiada o takiem zdarzeniu z życia swego:

Potrzeba mi było raz w młodych moich latach odbyć pieszo drogę z Brestu (miasto we Francyi) do wioski o 2 mile drogi oddalonej. Było to w porze zimowej, gdy silne śniegi góry zaścielały, a mroźny wiatr, od morza wiejący, pozawiewał wszystkie drogi. Po parogodzinnem umęczeniu się w głębokim śniegu, uczułem takie osłabienie, że usiąść musiałem. Coraz wyraźniej poznawałem, że sen, który się w takich razach śmiercią kończy, ogarnia mię zupełnie. Zaledwie byłem w stanie polecić ducha swego w ręce Boga, kiedy też straciłem moc nad sobą i usnąłem mocno.

Ile czasu tak przeleżałem, nie wiem. Naraz jednak poczułem silne trącenie, tak, żem się przebudził. Przedemną stał woźnica w niebieskiej bluzie robotników francuzkich, a opodal był wóz jego. Za pomocą wina, które mi wlał do ust, przywrócił mię do życia, i wziął mię do wozu swego. Kiedym tak przybył szczęśliwie do swojej wioski, dziękując serdecznie swemu wybawcy, chciałem mu dać kilka trojaków, wedle zamożności swojej. On jednak stanowczo przyjęcia ich odmówił, utrzymując, że to jest przysługa, którą każdy człowiek bliźniemu swemu wyświadczyć jest obowiązany. Prosiłem go więc, żeby mi powiedział nazwisko swoje, abym przynajmniej mógł go wspominać w modlitwie. I tego mi odmówił, a po

chwili rzekł: Powiedz-że mi Pan, jak się nazywał miłosierny Samarytanin? Naturalnie odpowiedzieć na to pytanie nie umiałem. Wybawiciel mój więc rzekł: Ponieważ Pan, jak widzę, nazwiska jego nie wie, niechaj i moje nazwisko tajemnicą dla Niego będzie. To powiedziawszy machnął batem, i znikł mi prędko z oczu nazawsze.

Nie jest-że to kazaniem dla każdego z nas? Zapamiętajmyż je sobie, mili czytelnicy, i przypominajmy, ilekroćbyśmy chcieli pochwalić się jakim dobrym uczynkiem.

Jaśnieje wewnętrzne wszech chrześcian życie,
Choć słońca na zewnątrz opalił ich żar:
Co Władca niebieski udzielił im skrycie
Nieznanem jest dotąd, choć wielki to dar.
To czego nikt nie wie,
Co tajnie się krzewi,
Promienne światłością umysły ich zdobi,
I tem je do Boskiej godności sposobi.

We wszystkiem Adama są dziećmi zwykłemi:
Z znamieniem grzeczności kazano im żyć,
I krewność cielesna ich dręczy na ziemi,
I zmusza po ziemsku pożywać i pić.
W zmysłowej też sprawie
W spoczynku na jawie
Szczególną od innych nie różnią się cnotą,
Prócz że się litują nad świata marnotą.

Lecz w duchu z Boskiego są szczepu zrodzeni,
Bo Pan Swojem słowem im życie dał Sam
Iskierią wytrysnął z niebieskich płomieni
Co Jezorolima syci je nam.
Gdy z nimi i chóry
Aniołów się z góry
W dziękczynnem śpiewaniu połączą radośnie
To w niebo uderzą wspaniale, rozgłośnie.

Pielgrzymi na ziemi, a patrzą w niebiosy;
Bezbronni są sami, a strzegą od zła;
Choć zament dokoła, spokojne ich losy;
Maluczcy — przyjmują, co niebo im da.
W cierpieniu wytrwali,
O rozkosz niedbali,
Na pozór stępieni się zdają zmysłowo,
A jednak ich wiara ożywia duchowo.

Gdy Chrystus ich życie, połączy się z nimi,
Gdy kiedyś objawi się jakim jest Sam,
To oni z Nim razem, jak władcy tej ziemi
Z przepychem wspaniałym ukażą się nam;
I będą rządzili,
I będą świecili
Pochodnią, na niebie płonącą rzęsiście,
Aż radość na ziemię powróci wieczyście.

Tryumfuj ty ziemio! tryumfuj padole!
Że ziarno zbawienia już w łonie swem masz,
Bo w tem jest poręka, że jeszcze twą rolę,
Jehowa przyjmuje w swą pieczę i straż.

Więc w bujnym rozkwicie
Zabłyśniesz obficie:
Gdy chrześcian wewnętrzny się żywot rozwinie,
To chwila tęsknoty dla ciebie przeminie.

O Jezu, ukryty dusz wszelkich żywocie!
Co blaskiem swym zdobisz wewnętrzny nasz świat
Daj, byśmy do Ciebie zbliżyli się w cnocie,
Choć trudno w stóp twoich wstępować nam ślad,
Więc tu zniesławiani,
W wieczności uznani
Tu w Ojcu z Chrystusem przeżyjmy kryjomie,
By potem do nieba z Nim wstąpić widomie.

Rozmaitości.

— Niezwykła katastrofa zaszła w tych dniach w Irlandyi pod miastem Castle Irland. Z kamieniołomów, położonych nad rozległemi torfiskami, wydobył się z gwałtowną siłą późno wieczorem szlam, który się toczył razem z dwóch stron przez całe torfiska i pola na przestrzeni 9 mil angielskich długości. Ludzie zbudzeni po g. 3 w nocy ogromnym szumem uchodzili zaledwo ubrani z życiem. Po drodze lawa szlamu doszła do miasta Kilarney, zalała gazownię, wywracając wszystko, co spotkała, chaty obory i stodołki. Zagrodę rodziny Donelly, stojącą na pustkowiu, zalała całą; ciało tej rodziny znaleziono o milę dalej w szlamie; wszyscy byli tylko w koszuli. Dopiero po półtora dnia zatrzymał się dalszy napływ szlamu.

Rozwiązanie zagadki z nr. 1.

Wielmożny Panie Redaktorze,
Jak w gospodzie tak we dworze,
Zagadki wasze rozwiązuje
Gdyż się o to usiluje.
Tak też u nas na Westfalii,
Górnik także jest chętliwy
On też się o to usiluje
I z numeru pierwszego rozwiązuje.
Stoi stół dębowy,
Na stole z konopiu obrus nowy.
Na obrozie misa z gliny,
A na misie kawał świni.
Nóż widelec dam do tego
Jedz człowiecze co smacznego.

Górnik F. Kłodtka z Gelsenkirchen.

Zagadka.

Siedzieli sąsiedzi,
Około miedzy
A się nigdy nie widzieli.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 3. | Ełk, na niedzielę dnia 17 stycznia. | 1897.

Mowy pasyjne

opracował według Malleta ks. W. de P.

P r z e d m o w a.

Kiedym pierwszy raz wstąpił na kazalnicę obejmując urząd kaznodziejski w zborze drożkowskim na Sląsku, to treścią mego kazania było słowo Pawła św. Albowiem, nie osądziłem za rzecz potrzebną, co inszego umieć między wami tylko Jezusa Chrystusa, i to onego ukrzyżowanego. Tego Jezusa ukrzyżowanego opowiadam już 25 lat za łaską Bożą i nic innego do samej śmierci nie pragnę. A kiedy mnie powołano na pasterza dusz do zboru gąskowskiego na Mazurach już od 7 lat, to dowiedziałem się, że lud ten jest nader ubogi w księgi treści religijnej, aby temu niedostatkowi zapobiedz, zdecydowałem się wydać krótkie kazania pasyjne o Jezusie ukrzyżowanym i podaję je do druku ku zbudowaniu ludu Bożego i ku chwale ukrzyżowanego Pana Jezusa, któremu niechaj będzie cześć i chwała na wieki. Amen.

G ą s k i w nowy rok 1897.

Wydawca.

---

1. Jezus i Piotr.

Łuk. 22, 54—62,

Wszyscy czterej ewangieliści opowiadają ten wielki upadek męża, którego Pan Jezus skałą czyli opoką nazwał. A to czterokrotne powtórzenie tej smutnej historyi, ma być nam ostrzeżeniem, napomnieniem i pociechą. Niechajże więc i dzisiejsze rozpamiętywanie przyniesie nam owoce zbawienne i dla tego ku zbudowaniu naszemu rozważać będziemy.

1) Niebezpieczną drogę, którą Piotr szedł 2) niebezpieczne miejsce, na którem on przebywał.

Kiedy Pan Jezus oddał się w ręce swych nieprzyjaciół, wtedy opuścili go uczniowie jego. Zapewnie z początku opuścił go i Piotr, ale skoro sobie wspomniał na przyrzeczenia, które Panu Jezusowi uczynił, że go nie opuści, zawstydził się swej bojaźliwości i słabości, więc po krótkim czasie wraca i postępuje za zgrają prowadzącą Zbawiciela do Jeruzalemu, ale jak ewangielia powiada „zdaleka.“ A tak idzie Piotr sam jeden. Ani z Panem nie jest, ani też z współuczniami swemi. Oderwał się od tych, z któremi do tej godziny w serdecznej i świętej społeczności przebywał, a idzie sam jeden w śród ciemnej nocy. Już to i Salomon powiada: „biada temu, który sam idzie,“ a słowo pańskie zapewnia, że nie dobrze jest człowiekowi być samemu, bo on nigdy sam sobie nie wystarczy. Gdyż jako człowiek stworzonym jest od Boga, to też on należy do społeczności Bożej i ludzi! A błogo mu, jeżeli na nim oko pańskie i ludzkie spoczywa. Taki węzeł krwi, jak i bieda, ale i miłość łączą nas współecznie. A skoro tylko by się człowiek oddalił od oblicza pańskiego, pozna w krótce jak wielki mu brak pomocy i opieki jego. O jak straszną jest trwoga dziecięcia, skoro samo jedno się znajduje. Każdą razą, kiedykolwiek nam trwoga grozi, i uciekamy się do ludzi nam miłością przychylnych. A kiedy oko matki lub ojca ciebie strzeże, ochroni cię pewno od niejednego upadku i grzechu.

Kiedy Ewa sama stała pod drzewem znajomości złego i dobrego, wtenczas przybliżył się do niej szatan. Kiedy Dawid sam był, upadł i zgrzeszył bardzo ciężko. A wtenczas kiedy Zbawiciel sam się na puszczy znajdował, przystąpił do niego kusiciel, mniemając, że to będzie najsposobniejsza chwila, aby go skusić.

Gdyby był Piotr pozostał z inszemi uczniami razem, w prawdzie też byłby się smucił i płakał i wstydził się, że Pana opuścił, ale nie byłby tak ciężko upadł.

Ale on chciał pokazać swe męstwo i odwagę. Chciał dowieść prawdy swych słów: „Panie, gotowym z tobą iść i do więzienia i na śmierć.“ Ale cóż, Piotr szedł za niem z daleka. Żadne oko nad nim nie czuwało, żadna ręka go nie prowadziła, przed nikim nie mógł ulżyć ciężkości serca swego, nikogo nie było, coby go pocieszył i wzmocnił. Gdyby Piotr mógł był sobie powiedzieć, nie jestem ja sam, ale Pan jest ze mną, byłoby to wcale co innego. Boć są godziny świętej i błogosławionej samotności i pokoju. Wiele to razy sam Pan Jezus szukał spokoju i samotności, aby być sam ze swoim ojcem niebieskim. Ale i nam radzi on w godzinach modlitwy zamknąć się osobno w izdebce, by tylko z Panem Bogiem rozmawiać. Pójdziesz pewno raz tą drogą samotności, drogą doliny i cienia śmierci, kiedy cię

wszyscy opuszczą, sam jeden, ale i wtenczas nie [illegible] się trwożył, jeżeli sobie powiedzieć będzie mógł: „albowiemeś ty ze mną: laska twoja i kij twój te mnie cieszą.“ Przy Piotrze Pana nie było. Bo droga, którą sobie obrał, była przeciwko woli Jezusa, on chciał pokazać, że potrafi dotrzymać tego co raz wyrzekł, była to droga uporu i krnąbrności, chciał na swojem pokazać. A taka droga jest bardzo niebezpieczna, kiedy człowiek ani na ludzi, ani na słowo boskie nie słucha, wtedy jest on sam jeden, ani innego człowieka, ani też Pana nie ma przy nim!

Mój Boże, o jakże często taką drogą idziemy. Cóż więc dziwnego, że błądzimy, upadamy, a ztąd tyle nieszczęścia i biedy, chociaż im ciągle brzmi słowo pańskie: „pójdźcie do mnie wszyscy i naśladujcie mnie!“ Wiele to dni w życiu naszym poczynamy bez Pana, drogi obieramy według naszego podobania, a rzadko Pana o to prosimy, aby z nami szedł. Bez ciebie o Panie dalej niepójdziemy, wyrzekł raz Mojżesz. Bez Pana nie chciał ani jednego kroku postąpić nawet przez puszczą do Kanaan. Jakżesz inaczej my sobie postępujemy. Do pracy robisz przygotowania, idziesz na gościnę, to ubierasz i stroisz się, puszczasz się w drogę niebezpieczną, to oglądasz się za towarzyszem, którýby ci był pomocą w razie nieszczęścia, ale chociaż byś się na wszystkie sposoby zabezpieczył, a zapomniał byś o Bogu, to ci wszystko nic nie pomoże, gdyż co poczniesz i gdzie jesteś bez Boga, prędko cie nieszczęście spotkać może. Wierzaj, mi bracie, bez Boga każda droga jest niebezpieczną. A tak czy idziesz do pracy, albo na gościnę, czy na jarmark, albo do domu Bożego, czy między ludzi, albo do komórki, idź z Panem razem, z Panem, który powiedział: a ja jestem z wami po wszystkie dni. Pamiętaj, abyś mu na to w prawdzie odpowiedzieć mógł; a ja też o Panie jestem z Tobą po wszystkie dni żywota mojego.

Tak idzie Piotr samotną drogą co raz dalej i dalej, aż nakoniec wszedł w dom najwyższego kapłana i według swej własnej woli znajduje się na bardzo niebezpiecznym miejscu. Tam stoi, gdzie Jezus nic nie znaczy, ale gdzie świat jest wszystkiem, tam mają znaczenie Jezusa nieprzyjaciele. Dotychczas prowadzony będąc ręką pana Jezusa w towarzystwie współuczniów, należał do maluczkich i ubogich, z takiemi żył i obcował. Świat był mu marnością, a kiedy Jezus stanął pośród wielkich i możnych tego świata, to tam objawiał on swoją chwałę i wielkość. Tu na tem miejscu wszystko inaczej. Otoczenie było Piotrowi obcem, stanął we świecie, którego wcale nie znał.

Otoczony murami domu najwyższego kapłana poznał, że całe otoczenie jest mu nieprzyjaźne. Pierwszy raz stanął między radcami, mężami wysokiego rodu, posiadających moc i wpływ. Kapłani i uczeni, starsi zboru i książęta okazali mu się w całej wielkości i świetności, nic dziwnego, że ci wszyscy wywarli na nim nieprzyjemne wrażenie i obudzili w sercu jego bojaźń i trwogę. Do tego była noc, a pochodnie i światła paliły się, co jeszcze więcej podnosiło w duszy Piotra uczucie strachu i bojaźni. Wszystkie te ganki i gmachy, broń lśniąca i błyszcząca, te oblicza, na których odbijała się wesołość i namiętność, przerażały go. A było i zimno dlatego rozniecili na podwórzu ogień, do którego się wszystko cisnęło. Jedni odchodzili, drudzy zaś przychodzili mężczyzni i niewiasty, oficerowie i żołnierze, słudzy i obywatele Jeruzalemu, cieszyli się oni, że się im udało pojmać Jezusa. Tam słyszał żarty i bluźnierstwa, błażeństwa i plugawe mowy, śmiechy i szydarstwa, przekleństwa i złorzeczenia.

Tam to wśród tego świata i takich ludzi zabłąkał się biedny Piotr. Jest tam wprawdzie i Pan wśród tego świata i ludzi, ale jak wielka zmiana zaszła! Świat wzgardzony, stał się wielkim. Jezus, którego uczniowie uwielbiali jakże tam małym się stał. Oni teraz są bogaci, Pan ubogi, oni mocni, on słabym, oni mądrymi, on głupim, oni wspaniali, on wzgardzonym, oni sędziami, on ubogi grzesznik, wyśmiany, zbyty, zeplwany. W takiem miejscu ma pokuszenie wielką potęgę, tam panuje książę tego świata.

Moi mili! Podobne domy, jak ów najwyższego kapłana, nie są jeszcze poburzone, oj, nie zinknęły one z tej ziemi. To są twierdze mocne otoczone murami, aby światłość niebieska się nie przecisnęła. Tam mieszkają po największej części bogaci i możni, panowie książęta, a na ich usługi czekają pachołki, gotowi wykonać, choćby najgorsze rozkazy. W tych pałacach antychrysta panuje ciemna noc, noc grzechu, rozpusty i pijaństwa, nieczystości i niewiary, a zimno tam jest, bo straszne samolubstwo, skąpstwo, zazdrość, które zamrażają miłość swoim lodem, ogień się tam też pali, ogień lubieżności, upał żądzy i namiętności, dzikich rozkoszy, jest to uroczystość bezbożnych i zuchwałych.

Prawdać, że się tam i Jezus znajduje, oni znają jego imię i historyją — nie jest im nie znajomem jego słowo, jego znamiona i cuda, które on do dziś dnia w swoim zborze czyni. Nawet Wieczerza Pańska odprawioną bywa i ich członkowie przez chrzest przyjmowani bywają w liczbę członków kościoła chrześciańskiego, lecz mój Boże, wprawdzie, jest on według Izaisza u nich najwzgardzeńszym i najpodlejszym mężem boleści. W takim to świecie żyjemy, od takich to ludzi otoczeni jesteśmy, w takie to miejsca niebezpieczne wpadamy. Czyż jeszcze może kto wątpić, że takie niebezpieczeństwo jest małem. Unikaj więc takiego towarzystwa, i takich miejsc, uciekaj od takich ludzi, abyś się Pana, tak jak Piotr, nie zaparł. Gdybyś zaś był upadł, to niechaj oko łaski Jezusa spojrzy na ciebie pełne miłości, abyś ty czemprędzej opuścił taką drogę i miejsce i z Piotrem za grzechy gorzko płakał. Amen.

Medaljon brylantowy.

Ciebie, Piotrze, za dług wtrącić do więzienia, i to za dług spowodowany chorobą, za dług, o którym gospodarz wie, że chętnie byś go spłacił, gdybyś był tylko w możności? O nie, on nie będzie miał serca uczynić tego!

Słowa powyższe wyrzekła Helena St. do męża swego stojąc z nim w małym sklepiku, w tej chwili prawie zupełnie ogołoconym ze sprzętów i towaru. Biedni ludzie wysprzedali wszystko, bez czego w najgorszym razie obyć się mogli, aby zapłacić komorne i długą chorobą spowodowane wydatki.

A jednak Heleno, niewątpliwie tak uczyni. To człowiek twardego serca; niechaj mu Bóg przebaczy! — odparł Piotr z głębokiem westchnieniem.

Niedola dojmującym ciężarem ugniatała biednego człowieka. Handel szedł niepomyślnie, tak, iż zaledwie dochód ze sprzedaży pokrywał wydatki, a przytem choroba żony, a następnie własna cięzka niemoc, zmusiły go do spieniężenia sprzętów domowych sztukę po sztuce. W obecnej chwili był winien za komorne nieopłacone już od kilku miesięcy dość znaczną kwotę, a w kieszeni nie miał już ani grosza. Gospodarz miał zamiar nieszczęśliwego swego lokatora wtrącić do więzienia za dług, co w dawniejszych czasach niestety często się zdarzyło, a młodą kobietę z niemowlęciem wypędzić z mieszkania wśród zimy, aby gdzie indziej szukała schronienia.

Czyż nie ma żadnego sposobu do odwrócenia od nas tego nieszczęścia! — zawołała biedna kobieta łkając.

Musimy znosić w milczeniu naszą niedolę, czekając na pomoc Bożą — odparł Piotr.

Helena spojrzała trwożnie w wynędzniałą twarz męża; widocznym było, że chciała coś powiedzieć, nie mogła jednak zdobyć się na słowa. Wreszcie rzekła nieśmiało.

Przypominasz sobie, że mniej więcej przed rokiem pewien pan przyszedłszy do nas na szklankę kawy, zgubił futerał z medaljonem, który dopiero po jego odejściu znaleźliśmy na podłodze. Uczyniłeś wszystko, aby odszukać poszkodowanego; nasz ksiądz podał zawiadomienie do gazet, toż samo ze swej strony uczyniła policya, lecz dotąd nikt się po ten kosztowny przedmiot nie zgłosił. Sąsiad Tomasz utrzymuje, że brylanty w medallonie są prawdziwe, i że wielką posiadają wartość. Ach Piotrze, czyżby to było bardzo nieuczciwie z naszej strony, gdybyśmy teraz, będąc w tak ciężkiej potrzebie, a od tylu miesięcy czekając nadaremnie na odbiór medaljonu, spieniężyli go.

Nie wódź mię na pokuszenie, — odrzekł Piotr. Czyż sądzisz, że szatan i mnie tego samego do ucha nie szeptał? Czyż mi nie mówił: Po cóż chcesz dać się zaprowadzić do więzienia za dług, i pozwolić, aby żonę twą i dziecię z domu wypędzono, skoro posiadasz kosztowny medaljon, po który się nikt nie zgłasza? a jednak Heleno pomimo tych podszeptów szatańskich, ani jednej chwili nie waham się jaką dać odpowiedź. Medaljon ten nie jest moim; sprzedać go byłoby też samo co ukraść; wszak stokroć lepiej znosić cierpienia, niż duszę swą tak wielkim grzechem obciążyć.

Rozmowę ciężko przygnębionych małżonków przerwało w tej chwili wejście sąsiada, o którym wspomniała Helena. Znali się z Piotrem od lat dziecinnych, nie łączyły ich jednak węzły przyjaźni, ponieważ obu usposobienia i przekonania były zupełnie odrębne. Jednak pomimo tego nie było prawie dnia, żeby Tomasz nie zajrzał chociaż na chwilę do mieszkania sąsiadów. Jak zazwyczaj tak też i dzisiaj wszedł do izby z fajką w ustach i powiedziawszy dzień dobry, w braku krzesła usiadł na stole sklepowym i w przykry sposób do zasmuconych małżonków, w te odezwał się słowa:

Mam nadzieję, mój stary, że to nieprawda o czem prawie całe miasteczko mówi. Wprawdzie wszyscy wiedzą, że wasz gospodarz nie ma serca, jak oto ten kawał drzewa, ależ pomimo tego nie podobna, aby ciebie, któryś nie z własnej przecież winy popadł w długi, chciał bez litości wtrącić do więzienia.

Milczenie Piotra dostateczną na to było odpowiedzią.

A cóż się stanie z Heleną i dzieciątkiem? — pytał dalej natarczywie sąsiad.

Znajdą dzięki Bogu pomieszczenie dla siebie — odparł Piotr. Mój kuzyn w najgorszym razie ofiarował się przyjąć je do swego domu.

Nie świetne w istocie położenie dla was obojga — ciągnął dalej bezlitośnie Tomasz. A wy wciąż dotąd byliście pełni ufności, sądząc, że was Bóg nie opuści. No, myślę, że na przyszłość uleczycie się z podobnych mrzonek.

Tomaszu — odrzekł zubożały człowiek z wielką powagą — niepozwalam, abyś w moim domu gadał w taki lekkomyślny sposób. Ja się zupełnie Boskiej oddaję opiece, zawsze jeszcze ufam, że Pan wszystko ku dobremu zmieni, i mówię jak Hiob: „Bóg dał, Bóg wziął.“

Tomasz wzruszył pogardliwie ramionami i zwrócił się do Heleny, mówiąc:

Zapewne wszystko spieniężyliście, co tylko mogło być sprzedanem?

Biedna kobieta zamiast odpowiedzi spojrzała ze smutkiem na puste ściany, Tomasz zaś pytał dalej:

A wieleż dostaliście za medaljon brylantowy? Powiadam wam, że wiele byłoby rozsądniej, gdybyście mnie byli powierzyli sprzedać takowego; byłbym bez wątpienia dostał za niego przynajmniej pięćdziesiąt dukatów.

Jaką medaljon posiada wartość, nie nasza to rzecz go taksować — odpowiedział Piotr za żonę — on nie jest naszą własnością.

Przecież nie będziesz tak nierozsądnym i nie oddasz siebie i swoich na pastwę nędzy i hańby, będąc w posiadaniu takiego kosztownego przedmiotu? — badał dalej Tomasz.

Nie jestem w posiadaniu tego klejnotu, lecz mam go tylko w zachowaniu — odparł biedak z mocą. Jestem wprawdzie człowiekiem zrujnowanym, lecz przy pomocy Bożej nigdy nie będę nie=

uczciwym. Wolę raczej cierpieć, aniżeli ciężkiego dopuścić się grzechu!

Tomasz widząc stanowcze postanowienie sąsiada i przekonawszy się, że namowy jego na nic się nie zdadzą, wyszedł ze sklepiku mrucząc pod nosem: „głupiec", „szaleniec." Należał on niestety do większej liczby tych, którzy w świecie i w dobrach tego świata szukają jedynie dla siebie korzyści. Jeść, pić, czas przyjemnie przepędzać, pieniądze zbierać — oto było wszystko, o co się troszczył; o swej duszy nieśmiertelnej, o żywocie wiecznym zapewne w całem swem życiu nigdy nie pomyślał i nie dbał o słowa Zbawiciela: „Albowiem cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł? albowiem co w zamian da człowiek za duszę swoją?" (Mat. 26, 27).

W parę godzin potem Piotr zaprowadzony został do więzienia, a jego biedna, opuszczona żona, łzami zalana, z niemowlęciem na ręku puściła się w drogę przez pola śniegiem pokryte, dążąc do wioski leżącej dwie mile za miasteczkiem, gdzie mieszkał kuzyn męża, który jej przyrzekł gościnę pod swym skromnym dachem. W jednej ręce niosła małe zawiniątko, które zawierało w sobie wszystko co jej pozostawiono, a mianowicie, parę sztuk odzieży i Pismo Święte. Medaljon starannie opakowany leżał pomiędzy sukniami.

Na dworze zimno było przejmujące, lecz jakże o wiele więcej przejmującym był ból srogi, szarpiący serce znękanej kobiety! Ach, jakież smutne i posępne było teraz jej życie? Zziębnięte stopy za każdym krokiem głęboko w śnieg zapadały, i nie była jeszcze uszła połowy drogi, gdy się uczuła tak znużoną, że parę razy zatrzymała się aby wypocząć. Gdy znowu stanęła na chwilę chcąc sił zaczerpnąć, uczuła nagle, że ją ktoś chwyta za ramię. Obejrzawszy się, ujrzała przed sobą Tomasza, którego kroków nie słyszała z powodu miękkiego śniegu.

Powiedz mi Heleno, czy masz przy sobie medaljon brylantowy? — zapytał głosem, który samotnie idącą kobietę przejął dreszczem przerażenia.

Cóż to was może obchodzić? — odparła ze drżeniem.

Masz zawiele do dźwigania, ja ci ujmę ciężaru, mówił dalej Tomasz, wyciągając rękę po zawiniątko.

Biedna kobieta spojrzała trwożnie w około, lecz wśród gwałtownej zamieci śnieżnej, nigdzie w pobliżu nie mogła dojrzeć, żadnego domostwa.

Dziękuję wam, sama mój pakiet poniosę — odrzekła z niepokojem.

Tomasz nie czekając dłużej, wyrwał jej przemocą zawiniątko z ręki i szybko się oddalił. Helena wielce tą napaścią przerażona i zmartwiona, poczęła wołać za uciekającym, lecz prośby jej i błagania bynajmniej nie wzruszyły zuchwałego złodzieja. Nieszczęśliwa kobieta przygnębiona do reszty tym smutnym wypadkiem, uczuła się tak osłabioną, że prawie sił jej zabrakło do dojścia do celu swej podróży.

O mój Boże! — zawołała bólem przejęta — biedny mój Piotr wolał raczej póść do więzienia, niżeli spieniężyć ten kosztowny przedmiot, a teraz staje się on zdobyczą niegodziwego złodzieja.

(Dokończenie nastąpi)

Rozmaitości.

— Trzęsienie ziemi miejscami dość gwałtowne, dało się w tych dniach odczuć w Bawaryi, i to głównie w okolicy tak zwanego „Bawarskiego Lasu". Tu i owdzie przestraszeni ludziska wybiegli z domów i przez dłuższy czas siedzieli pod gołem niebem.

— Zegarek srebrny znaleziono niedawno w żołądku zabitej krowy. Przeleżał on w tej dziwnej komurce przez kilka lat a pomimo to krowa nigdy nie chorowała. U ludzi byłoby to inaczej.

— Dziwny wypadek zdarzył się w Warszawie. Wedle doniesienia „Kuryera Codziennego" umarła, tamże dnia 30 grudnia w wieku 38 lat Helena Potocka. Zwłoki jej złożono po odbytem nabożeństwie w grobowcu rodzinnym na cmentarzu powązkowskim. Krótko potem powstała w rodzinie wątpliwość, czy ona rzeczywiście umarła czy leży może tylko w letargu, to jest bardzo silnym śnie, podobnym do śmierci. Za pozwoleniem władzy otworzono trumnę, i pokazało się, że zwłoki jeszcze wcale się nie psuły. Ale lekarze stwierdzili, że śmierć u niej nastąpiła i zwłoki napowrót odniesiono do grobowca.

— Poseł Ahlwardt, znany antysemita wyjechał okrętem z Nowego Yorku do Niemiec. W Ameryce nie szczególne robił interesa na antisemityzmie.

— Do portu Plymouth w Anglii przybył okręt z Indyi, na którym podczas drogi zmarło 3 angielskich i 2 indyjskich marynarzy na cholerę. Na okręcie jest jeszcze kilku ludzi chorych na cholerę, dla tego do okrętu nie ma nikt przystępu z portu.

Rozwiązanie zagadki z nr. 2.

Oczy.

Zagadka.

Kłaniam się panno tymczasem,
Że stoi chmura pod lasem.
Wyjdzie z niej deszcz, albo nie,
Jak się dąb ze sosną powalą,
A ci zagrają co rogate pyski mają,
A żywego pochowają wtedy pójdzie.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 4. | Ełk, na niedzielę dnia 24 stycznia. | 1897.

2. Jezus i Kaifasz.

Łuk. 22, 66—71.

Sądź mnie, o Boże, a ujmij się jo sprawę moję: od narodu niemiłosiernego, i od człowieka zdradliwego i niezbożnego wyrwij mnie. To serdeczne wołanie człowieka niewinnie prześladowanego, który się odwołuje na sprawiedliwy sąd Boga, przeciwko niesprawiedliwości złośliwego świata, stosuje się zupełnie do słów co dopiero przeczytanych. Bo jeżeli kiedykolwiek świat jakiego niewinnego prześladował i niesłusznie osądził, to pewnie nikogo tak, jak syna Bożego, który wpadł w ręce grzeszników wysokiej rady i to stał przed sądową stolicą Kaifasza.

Winien jest śmierci, wyrok o pomstę do nieba wołający, a świat tak jak długo stoi nie słyszał jeszcze tak niesprawiedliwego wyroku! Ten święty, którego całe życie zadaniem było czynić wolę Ojca niebieskiego, którego on uwielbił na ziemi, został jako bluźnierza na śmierć skazanym. Tego największego przyjaciela ludzkości, który światu zbawienie i pokój i żywot i wierną szczęśliwość przyniósł, jego własny naród na śmierć wydaje. Oj ty zły, bezbożny i zaślepiony świecie, skazując tego niewinnego na śmierć, wydałeś wyrok sobie samemu! A chociaż ta godzina, w której ten straszny wyrok śmierci w domu kapłana najwyższego wyrzeczonym został jest najciemniejszą ze wszystkich świata tego, to jednakowoż w tej godzinie poznajemy nieskończoną miłość ku nam syna Bożego, który w tej godzinie te przekleństwo za nas na siebie wziął, poznajemy miłość ojcowską Boga, wydającego dla zbawienia naszego syna swego jednorodzonego na straszną śmierć krzyżową, patrząc okiem wiary na jego niewinność i cierpliwość.

Bluźnił! Winien jest śmierci! otóż to wyrok najwyższego kapłana. Posłuchajmy, co on takiego przewinił, cóż świadkowie przeciwko niemu świadczą, jakież jego zeznanie? Kiedy się go najwyższy kapłan pytał o jego uczenie, i o naukę jego, odpowiadał mu Jezus: „Jam jawnie mówił światu; jam zawsze uczył w bóżnicy i w kościele, gdzie się zewsząd żydowie schadzają: a potajemnie nicem nie mówił. Cóż mnie pytasz? Pytaj tych, którzy słuchali, com im mówił: ci oto wiedzą, com ja mówił.“ To były sprawy trzech letniego urzędu Pana Jezusa publicznie przed Bogiem i światem spełnione, a tak przyjaciele jego jako i nieprzyjaciele wiedzieli dobrze co czynił, i jak żył. A cóż? może w oczach tych niesprawiedliwych sędziów to było złem, że lud uczył jako moc mający, a nie jako nauczeni w piśmie, albo że uczniów zebrał, a lud za niem szedł, że czynił dobrze, lub że uzdrawiał chorych w sabat, że z celnikami i grzesznikami siedział za stołem i jadł, że się zmiłował nad niewiastą kananejską i uzdrowił jej córkę, że małe dziatki kazał do siebie prowadzić, aby je błogosławić, że czynił cuda jak żaden z kapłanów i proroków, że djabły wypędzał, za to, za to winien jest śmierci. Ach czemu się nie pytali tych, którzy jego nauki słuchali, tych co jego sprawy boskie widzieli, jego miłości doznali. Czemuż się nie pytają chorych, których uzdrowił, grzeszników, których nawrócił, umarłych, których zmartwych zbudził, ubogich, którym ewangielią opowiadał. Zaprawdę, przed takim winowajcą musimy uklęknąć, to nie taki kapłan najwyższy jakim jest Kaifasz, ale święty, niewinny, niepokalany, odłączony od grzeszników, i który się stał wyższy nad niebiosa. Taki święty nie potrzebował się lękać oskarżenia, jego życie było jasne jako słońce. Niechajże każdy i dzisiaj zagłębia się w jego święty żywot, w jego słowo i sprawy, a jeżeliby się jeszcze znaleźli coby podejrzywali jego naukę, posłannictwo i osobę, to proszę, spojrzyjcie na tych grzeszników, których on nawrócił i ciągle jeszcze nawraca, przypatrzcie się tym zasmuconym, których on pocieszył i pociesza, na cuda, które czyni, na królestwo, którego i dzisiaj bramy piekielne obalić nie mogą, za co my mu zaśpiewamy pieśń pochwalną: Godzien jest baranek zabity wziąść moc i bogactwo, i mądrość, i siłę i cześć, i chwałę, i błogosławieństwo.

Moi mili, pytajmy się dalej, cóż potępienia godnego znaleźli świadkowie na nim. Prawda, wielu fałszywych świadków przychodziło, ale nic nie znaleźli przeciwko niemu, a świadectwa ich się sprzeciwiały nawzajem. Któż za to może, jeżeli ludzie w głupocie swej jego nauki nie rozumieją, że w złości swej, słowa jego przekręcają jako on świadek uczynił, który powiadał i skarżył na niego, że powiedział: „Mogę rozwalić kościół Boży, a za trzy dni zbudować go“, a Pan rozumiał w tych słowach kościół ciała swojego. Wszak najczystsza woda, kiedy w nią wrzucisz plugastwo, zamąci się. Ach jeszcze i dzisiaj wynajdują przeciwnicy Jezusa

na niego to i owo, a jednakowo sprzeciwiają się między sobą. Porównaj wszystkie te księgi, które uczeni przeciwko ewangielii świętej napisali, nie znajdziesz ani dwóch, coby się ze sobą zgadzały, jeden uczony zbija drugiego. A gdybyś zgromadził wszystkie zarzuty rady najwyższej tego świata począwszy od Ananasza i Kaifasza, aż do dnia dzisiejszego, to one znoszą się i zbijają się nawzajem. Jednym jest prawda ewangielii głupstwem, drugim rzeczą niepojętą i niezrozumiałą, innym jest chrześciaństwo za surowem, drugim niebezpiecznem.

Już to przeszło 1800 lat nieprzyjaciele Chrześciajaństwa stawiają fałszywych świadków przeciwko niemu, ale tak, jak za czasów Kaifasza, nic na niego znaleść nie mogą, a co wynajdują, jest tylko bluźnierstwem przeciwko niemu. Ale na nich oglądać się nie będziemy, ani do nich też nie pójdziemy; raczej uczynimy jak to Szymon Piotr: „Panie, do kogóż pójdziemy? ty masz słowa żywota wiecznego."

A skoro Jezus nie uczynił nic złego, ani świadkowie nic na niego potępienia godnego nie znaleźli, posłuchajmy co sam o sobie Pan powiada; czyliż przeto winien jest śmierci? A najwyższy kapłan, rzekł mu: „Poprzysięgam cię przez Boga żywego, abyś nam powiedział, jeżeliś ty jest Chrystus, on syn Boży?" Rzekł mu Jezus: „Tyś powiedział." Tedy najwyższy kapłan rozdarł szaty swoje, mówiąc: „Bluźnił! Cóż jeszcze potrzebujemy świadków." Cóż się tu dziwić ciemnocie i przesądowi i zarozumiałości, że najwyższy kapłan w onym słowie Jezusa: „Tyś powiedział," bluźnierstwo odnalazł. Ciało nigdy ducha nie zrozumie i nie pojmie, a człowiek cielesny o duchowych rzeczach wyrozumienia mieć nie może. Ale kto oczy ma ku widzeniu, a uszy ku słuchaniu i serce ku zrozumieniu prawdy sposobne, kto duchy rozróżniać potrafi, ten musi przyznać, że kto w obec zbliżającej się śmierci, w obec tylu świadków tak śmiało i niezachwianie o sobie powiedzieć może, jak to oto Zbawiciel uczynił, mieniąc się synem Bożym, tego świadectwo i wyznanie musi być prawdziwem, a sumienie jego dobrem, ten jest z Bogiem, a Bóg z nim, ale i duch prawdy w nim. Kto tak mówi, tak naucza, tak się modli, tak żyje, i cierpi i umiera jako Jezus nasz Pan, ten nigdy a nigdy bluźniercą nie jest.

Każdy, który Pana poznał, a na sobie oświadczył prawdę słowa jego i na sobie moc Ducha św. poznał, ten całem przekonaniem i wiarą wyznać musi, tak o Jezu, tyś jest prawdziwym Synem Bożym i dodał: „A myśmy uwierzyli, i poznali, żeś ty jest Chrystus, on Syn Boga żywego." A jeżeliś jeszcze nie zupełnie uwierzył, i jeszcze nie dokładnie poznał, to jego wyznanie przed najwyższym kapłanem utwierdzić cię musi, że on jest prawdziwym Synem Bożym. A tak mój Panie, w ciebie ja wierzę, ciebie się trzymam, przy tobie chcę zostać, dla ciebie żyć, cierpieć, i w tobie umrzeć.

Nietylko jest on niewinnym, ale i cierpliwym. Ten Sędzia całego świata policzonym został między złoczyńców, stawiony przed sąd grzeszników, posłuszny Syn Ojca niebieskiego oskarżony jako bluźnierca, król chwały policzkowany od zuchwałych sług, książę pokoju na śmierć skazany od tych, którym łaskę i błogosławieństwo przyniósł. O jak to strasznie, jak okrutnie, jak boleśnie! Z cierpliwością anielską znosi wszystkie obelgi. Z łagodnością odpowiada temu słudze, który mu wyciął policzek: „Jeżelim źle rzekł, daj świadectwo o złem, a jeśli dobrze, przecie nie bijesz?" Któż pojmie cierpliwość z jaką słuchał potwarze na niego rzucane przez fałszywych świadków, na które on milczał i nic nie odpowiadał, lecz skoro go najwyższy kapłan z urzędu swego pyta i zaprzysięga czy jest Synem Bożym, już nie milczy więcej, ale jako pokorny i posłuszny swojej zwierzchności, odpowiada mu na zadane pytanie: „Tyś powiedział, jam jest." Z jakąż pokorą i cichością przyjmuje na siebie wyrzeczony wyrok śmierci i poddaje się takowemu jak baranek niewinny.

Czyż możesz, duszo chrześciańska, widzieć tak coś wzniosłego, ale i pokornego, tak cichego jak prawie w Zbawicielu, który był wydany w ręce nieprzyjaciół swoich! Chcesz być jego uczniem, to ucz się od niego, żebyś był cichym i pokornego serca. Pamiętaj Bogu zawsze służyć, a bliźnich twoich miłować, czyń dobrze, a unikaj złego, zaprzyj siebie samego, a przezwyciężaj świat. Cała wartość twoja na tem zależy, jeżeli umieć będziesz cierpieć, przebaczać, znosić! Znosić niewdzięczność jaka cię spotka, prześladowanie jakiego ci nie braknie, nieodpłacając za złe złem, ale okazując się dla wszystkich uprzejmym i miłym. Patrząc na obraz doskonałości Jezusa Chrystusa, o którym Piotr św. pisze: „Któremu gdy złorzeczono, nie odzłorzeczył, gdy cierpiał nie groził, ale poruszył krzywdę temu, który sprawiedliwie sądzi." Amen.

Medaljon brylantowy.

Byłaby jeszcze dłużej poddawała się daremnej rozpaczy, a w końcu ze zmęczenia i żalu na drodze może upadła wśród śniegu, gdyby żałosny płacz niemowlęcia nie był jej innych myśli nasunął. Z troskliwością macierzyńską przytuliła do piersi swą płaczącą pieszczoszkę, osłaniając ją starannie ciepłem okryciem, a śląc do Boga głębokie westchnienie, aby jej dozwolił przybyć szczęśliwie pod gościnny dach krewnego, puściła się dalej w drogę odważnie, i wreszcie stanęła u upragnionego celu swej podróży.

Biedna kobieta upadając ze znużenia, serdecznie przyjętą została w domu ubogiego rolnika. Nałożone na kominie drzewo wnet jasnem zapłonęło ogniem, oświecając pokój, w którym Helena pokrzepiona gorącą zupą przyszła do siebie. Najwięcej jednak uspokoiło i dodało świeżych sił znękanej kobiecie serdeczne przyjęcie poczciwych krewnych, którzy uprzejmem słowem starali się złagodzić jej boleść. Helena naturalnie opowiedziała o niegodziwej kradzieży, posłano zatem niezwłocznie parobka do miasteczka, aby zawiadomił policyę w celu pojmania Tomasza, zanim tenże ze zdobyczą swą zdoła się gdzie ukryć. Jednak pomimo szybko poczynionych kroków wszelkie starania i po-

szukiwania okazały się daremnemi, ponieważ złodziej nie powrócił już do domu, lecz wprost podążył do miasta portowego, aby wsiąść na okręt, który niebawem miał odpłynąć do Ameryki. Kapitan przyjął Tomasza bez wszelkiej przeszkody i tym to sposobem odalił się od miejsca swego niegodziwego czynu.

Dzień, który małżonkowie tak smutnie rozpoczęli, zakończył się dla nich niespodziewanie szczęśliwie. Helena rozmawiając z krewnymi o ciężkiej swej niedoli, a szczególnie o dniu tak boleśnie przebytym usłyszała nagle głos dobrze jej znany. Zerwała się szybko z krzesła i do drzwi pobiegła — nie pomyliła się. Był to on w istocie, jej mąż ukochany, który stał przed nią wprawdzie bardzo zmęczony, grubą warstwą śniegu okryty, lecz z twarzą jaśniejącą szczęściem i radością.

Czyż nie mówiłem, że Bóg nas nie opuści? rzekł głęboko wzruszony. Zmieniwszy następnie przemoczoną odzież na suchą i podobnie jak Helena pokrzepiwszy się jadłem i napojem, począł szczegółowo opowiadać o wydarzeniach dnia ubiegłego.

Nawet nie przestąpiłem progu więzienia — rzekł radośnie. Zanim tam się udałem, pierwej poszedłem z policyantem do naszego księdza. Wszak wiesz jaki on dla nas jest zawsze dobry i uczynny — niechaj mu to Bóg wynagrodzi łaskawie! Posłuchaj jaką nam znowu wyrządził przysługę. Oto chodził od domu do domu i zbierał składkę dla biedaka, który nie przez lenistwo lub marnotrawność, lecz z powodu choroby w wielkie popadł długi. Bóg miłosierny otworzył poczciwie serca ludzkie. Hojne posypały się datki i nasz dług nietylko, że został spłacony, lecz mam w kieszeni, droga Heleno, tyle jeszcze pieniędzy, że będziemy mogli na nowo cośkolwiek rozpocząć. Ale szkoda medaljonu i żal mi Tomasza, który go tobie ukradł, bo zdobycz ta z pewnością szczęścia mu nie przyniesie. Zawsze utrzymywać będę, że lepiej cierpieć niżeli postępować nieuczciwie!

Piotr z Heleną i dziecięciem pozostali u gościnnych krewnych, dopóki nie odzyskali tyle sił, iż mogli znowu zająć się pracą. Dla człowieka tak uczciwego i sumiennego, jakim był Piotr, nie trudno było o pozyskanie miejsca.

Pewnego dnia, na początku wiosny, szczęśliwi małżonkowie siedzieli przy obiedzie w pokoiku schludnie i porządnie umeblowanym, gdy nagle Helena spojrzawszy na ulicę, zawołała:

Patrz Piotrze, dorożka zatrzymała się przed furtką i jakiś pan z niej wysiadł. Ciekawem bardzo co nieznajomego sprowadza w nasze strony, i czego on może od nas żądać.

Piotr przypuszczając, że przybysz prawdopodobnie zbłądził, podniósł się, chcąc mu wskazać właściwą drogę, lecz zanim zdążył wyjść do sieni, nieznajomy zastukał do drzwi i w następnej chwili stał już na progu, uprzejmym ukłonem witając małżonków.

Czy mnie nie przypominacie sobie dobrzy ludzie? — zapytał, spoglądając na Piotra i na Helenę.

Nie, proszę pana, powiedział Piotr, podczas gdy Helena poruszeniem głowy również zaprzeczała.

A tego, czyście także nie widzieli — ciągnął dalej nieznajomy z uśmiechem, wyjmując z kieszeni medaljon brylantowy i podnosząc go w górę.

Piotr i Helena odpowiedzieli jednocześnie okrzykiem pełnym podziwienia. Nie przypuszczali, że kiedykolwiek zobaczą jeszcze znaleziony przez nich, a przez Tomasza skradziony medaljon.

Moi poczciwi ludzie, jestem wam nieskończenie wdzięczny, żeście go tak długo u siebie przechowywali — mówił dalej nieznajomy. Wyszedłszy od was ze sklepu, znalazłem się wkrótce na ulicy w tłoku, gdzie mi złodziej z kieszeni wyciągnął sakiewkę, sądziłem zatem, że ten sam nicpoń ograbił mię i z kosztownego medaljonu. Ponieważ musiałem niezwłocznie udać się w podróż do Ameryki, obawiając się zatem, żebym się na okręt nie spóźnił, zaniechałem wszelkich poszukiwań, a nawet nie poświęciłem tyle czasu, aby pójść do sklepu, w którym piłem kawę, będąc przekonany, że to wszystko naprożno.

Teraz przypominam sobie pańską twarz, chociaż tylko raz jeden pana widziałam — rzekła Helena, spoglądając bacznie na nieznajomego.

Jest to jednak dla mnie zagadką, jak pan doszedłeś do odzyskania swego medaljonu — zawołał Piotr — również nie pojmuję, jakim sposobem pan odszukałeś?

I skąd pan wie, że my medaljon ten u siebie przechowali? — dodała Helena.

Dowiedziałem się o tem od biednego umierającego złodzieja, który zeznał, że odebrał go przemocą pewnej uczciwej kobiecie, która wolała raczej głód, zimno i nędzę znosić, niżeli przywłaszczyć sobie, co nie było jej własnością — objaśnił nieznajomy.

Umierający? czyż dobrze słyszałem, umierający złodziej? — zapytała trwożnie Helena.

Nieznajomy usiadłszy, w krótkich słowach opowiedział jak się rzecz miała.

Przed niedawnym czasem bawiłem w Kwebeku. Zanim powróciłem do kraju, zwiedzałem tamtejszy szpital w towarzystwie znajomego duchownego.

W jednej sali dozorczyni zwróciła uwagę mego towarzysza na pewnego chorego, który pragnął koniecznie obecności księdza. Mówiła, że zdaje się jej, jakoby biedak miał coś na sercu, z czego chciałby się wyspowiadać.

W krótce razem z duchownym staliśmy u łoża chorego, wskazanego nam przez dozorczynię. Pojmiecie łatwo, moi dobrzy ludzi, jak wielkiem było moje zdumienie, gdy chory wyciągając medaljon, który natychmiast poznałem jako moją własność, zawołał ochrypłym głosem: „O panie, proszę zatrzymaj to przy sobie, a gdy umrę, odeślij poczciwym ludziom, którym ten kosztowny przedmiot ukradłem. Od chwili, w której popełniłem ów czyn niegodziwy, nieustający dręczy mię niepokój!

Poczęto naturalnie badać biednego chorego, tak, iż wkrótce wszystko na jaw wyszło. Umarł jeszcze tego samego dnia wśród ciężkich cierpień ciała

i walki duszy, jako grzesznik pokutujący, a mam nadzieję, że łaskawie do chwały Bożej przyjęty będzie. Gdym powrócił do Anglii mem pierwszem staraniem było odszukać was moi poczciwi ludzie, a to, com tutaj usłyszał, potwierdziło tylko zeznanie umierającego Tomasza. Przyjmijcie teraz ze spokojnem sumieniem, to na coście zasłużyli.

I kładąc na stole sakiewkę pełną złota, nieznajomy dodał uprzejmie:

Przyjmijcie to, proszę, odemnie, jak również i serdeczne me podziękowanie za przechowanie medaljonu z włosami, które mi są tak drogie, że za żadną cenę nie mógłbym je dostatecznie okupić. Niechaj córeczka wasza, gdy dorośnie, nauczy się ze szlachetnego postępku swych rodziców, że jakiekolwiekbądź pokusy człowieka nawiedzą, zawsze lepiej jest cierpieć, aniżeli grzeszyć?

Grzesznicy, Bóg wasz idzie.

Grzesznicy, Bóg wasz idzie!
Zbawienia słychać róg!
Bóg z łaską do was znijdzie,
Przychodzi Pan do sług.

Powstańże ludu Jego
I okaz radość swą;
Przywitaj Króla twego,
I wpuść: niech wnijdzie On!

Królestwo Jego bliskie
Jest z nieba, nie jest ztąd;
Lecz ziemskie państwa wszystkie
Po Jego legną rząd.

Ten świat chce Mu zawalić
Do Jego tronu tór;
Przeć zdola On obalić
Samego piekła mur.

Ach! tam, gdzie On przebywa,
Umilka żądzy szał,
Tam pycha się rozpływa,
Nieszczęścia pierzchną w dal.

Choć w duszę wpadły chmury
I wzrok się łzami ćmi,
On tęczą jasną z góry
W zbolałą duszę lśni.

A gdzie zamieszkał stale
Tam już minęła noc,
Tam piekło już omdlałe
I w więzach grzeszna moc,

Tam znika Oskarżyciel,
A Boża łaska tchnie,
Niemieje pokusiciel,
Śmierć traci żądło złe.

O, Królu nad Królami,
Zawitaj do nas raz,
Zawładnij całkiem nami,
Stolicę załóż w nas!

Wdziej na nas wiary zbroję,
Niech mimo życia burz,
Królestwo będzie Twoje
I w nas widome już!

Nam bardzo tego trzeba
Byś wznowił w nas Twój mir,
Bo wciąż nam spokój nieba
Zawichrza świata wir.

Zajaśnij, niech zwycięży
Na ziemi światło Twe!
Zabobon niech polęży
I w nicość wgrąży się!

O, przybądź do nas, Panie:
Zawiści płomień zgaś,
Złącz w jedno nas kochanie,
My bracia! Ty Król nasz!

Niech Tobie serc miliony
Swą cześć i chwałę da,
O, bądź, bądź pochwalony!
Hosanna! Hosanna!,

Ks. W.

Żarty i dowcipy.

— U malarza. Czi pan malos?
Nie mam losów żadnych!
Jakto? kiedy mi mój faktor powiedział, że pan maluje i wibornie trafi w moja gięba?
To pan chcesz mieć portret?
Jo!
W takim razie służę panu!
Also machen Sie gleich!
W jakiej pan chcec mieć pozycji profil... en face?..
Jak to? pro viel... pro 50 mr., aber will nisch am Fass... wolę zieby mi pan zrobiał am fotel!...
A czy wodnemi farbami czy olejnemi?
Wie heist? pan mnie chce malowacz pro 50 mr. z wodą? Nie ja chcem bić w oleju, albo lepiej niech mnie pan zrobi w nafcie... bo nafta teraz dobrze stoi.

Rozwiązanie zagadki z nr. 2.

Ubogi młodzian swej miłej się pyta
Czy przyjdzie pod las gdzie stoi karyta
Co na nię czeka bo rodzice bronią
Ponieważ wielkie majętności mają
Gdy ojca matkę twardy syn powali
Wtenczas koguty tylko będą piali
Gdy świeca zgaśnie, która niby żywą
Kiedy ty pójdziesz, tam ja pójdę z tobą.

Inwalid na Śląsku.

Zagadka.

Miasto, sławne z wesela, z przydaną literą okręty na swym grzbiecie niesie.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 5. | Ełk, na niedzielę dnia 31 stycznia. | 1897.

3. Jezus i Piłat.

Łuk. 23, 1—7.

Na każdym kroku drogi krzyżowej Pana Jezusa widzimy spełnienie się jego własnego słowa. Sam o sobie wyrzekł: „Syn człowieczy będzie wydanym w ręce poganów, a ci go obiczują, ukrzyżują i zabiją,“ a mówił to do uczniów swoich. Nic dziwnego, że słowa te były im niezrozumiałe. Prawda, że żydzi pomiędzy sobą byli rozdwojeni, ale przeciw poganom trzymali się współeczności i jedności jako jeden mąż, a nawet najgorszego żyda nie byliby wydali w ręce poganów. I nikt by był pomyślał ani nawet najwięksi nieprzyjaciele Pana Jezusa, żeby go kto mógł był wydać poganom. A czego nikt by był nie mógł pomyśleć, stało się! Tak jego własny naród wydał go w ręce poganów, a ci go ubiczowawszy osądzili na śmierć sromotną krzyżową. Pójdźmy więc za Panem, patrzmy nań jak stoi przed Pontskiem Piłatem.

Wysoka rada żydowska wstała, aby Pana wydać w ręce pogan; iżby ci go na śmierć osądzili, a całe miasto Jeruzalem było od tej chwili w poruszeniu, wszystko oczekiwało z niecierpliwością tych rzeczy, które miały nastąpić. Od tego czasu, kiedy lud mu jako mesyaszowi, prorokowi pot dawał i królem go swoim chciał obrać, musiała się cała ta sprawa rozstrzygnąć, albo rada najwyższa zgodzi się z narodem, a Pan uznanym zostanie jako król Jerozalemu, przeciwnie zaś muszą się starać, Jezusa stracić! Lotem błyskawicy rozeszła się po całem mieście ta straszna wiadomość, że rada najwyższa skazała Pana Jezusa na śmierć, a oto teraz powstali, aby go zaprowadzić do Piłat i wydać w ręce poganów. Kto by to mógł był uwierzyć, a kiedy się otwarły podwoje domu najwyższego kapłana, a starsi zboru i kapłani wywlekli Pana Jezusa to na widok jego, lud czekający przed domem w milczeniu i przestraszony odprowadził Jezusa przed sądową stolicę Piłata, ten już czekał na nich przychodzących. Ale Piłata zna dobrze ten lud zatwardziały i mściwy, nie ma on ochoty być narzędziem ich zemsty, a tyle jeszcze ma poczucia sprawiedliwości, że nie chce ofiarować się być sędzią przeciw temu, którego złość, i nienawiść zatracić pragnie i dlatego najprzód odprawia ich od siebie powiadając, to nie moja sprawa sądzić takiego, którego obskarżacie za bluźnierstwo przeciwko Bogu, sami sobie go osądźcie, mnie ta sprawa nic nie obchodzi. Lecz oni stoją niezachwianie i szukają środków, któremiby Piłata zmusili, by on Jezusa na śmierć skazał. U nich nie masz śladu ani bojaźni Bożej, ani nawet jakiej sprawiedliwości. Tak, tak, spełnia się tu na tem miejscu co o nich Pan powiedział, że nie są z Boga, ale z djabła, to też i sprawa ich jest djabelską. A gdzie nie ma prawdy, tam kłamstwo panować musi, a że prawdą nie mogą postępować, to uciekają do tłamstwa, a to im zaraz pomogło do obskarżenia przed Piłatem, który się już cofnąć nie mógł. Powiadają, że Chrystus był nie tylko religijnym i kościelnym, ale przedewszystkiem politycznym burzycielem i wichrzycielem ludu, człowiekiem bardzo niebezpiecznym.

Nie tylko uczynił się Synem Bożym, ale też i królem, a zakazywał dawać daniny cesarzowi, lud buntował przeciwko rządowi cesarskiemu począwszy od Galilei aż do Jeruzalemu. Tak skarżą, tak kłamią, aby ino Piłata zmusić, żeby on poszukiwanie przeciwko Jezusowi rozpoczął. A tak wchodzi Pan na ratusz do Piłata, aby go sądził i stoją obydwa sami ze sobą.

Jak stoi Pan Jezus przed Piłatem. Jezus król niebieski, Piłat przedstawiciel, zastępca królestwa tego świata. Jezus, który z nieba przyszedł, Piłat zaś ze Rzymu. Pana, Bóg zesłał, Piłata, przysłał cesarz rzymski. Jezus uniżył się z miłości ku nam, Piłat wyniesiony do najwyższej godności i mocy i potęgi, Jezus może wszystko, a wydaje się być stałym i niemocnym; Piłat nic nie może, a jednakowoż ma moc nad życiem i śmiercią! Piłat wychował się na dworach możnych i wielkich panów, więc patrzy na Jezusa z góry. Mój Boże, cóż u niego znaczy ten pojmany, powiązany! On widział wielkich królów tej ziemi w ich chwale i wielkości, on to widział i obcował z cesarzem rzymskim, któremu prawie cały świat ówczesny należał, to też śmiesznem mu się wydaje, aby ten człowiek przed nim stojący, który nie miał gdzieby swoją głowę skłonił, mógłby się królem mienić, aby ten ubogi Rabi narodu pogardzonego, żydowskiego mógłby być jego cesarzowi niebezpiecznym. Jakkolwiek mu się to śmiesznem wydaje, to jednakowoż pyta się Pana: „Tyżeś jest król żydowski?“ pewnem będąc, że Jezus zaraz zaprzeczy i powie „nie.“ Piłat jednak prze-

żył dnia tego czego nigdy jeszcze w życiu swem nie marzył ani nawet nie przypuścił. Ten pojmany rozpoczyna z nim mówić jakoby był rzeczywistym królem, a nawet zadaje mu pytanie mówiąc do niego: „A samże to od siebie mówisz, czylić insi powiedzieli o mnie.“ Przed Annaszem nie wyrzekł ani słowa, lecz milczał. Nadzie najwyższy odpowiedział, kiedy go zaprzysiężono, tu z Piłatem chce się zapuścić w rozmowę, bo mu żal Piłata, który wyrósł tylko w ciemności pogaństwa i kłamstwie, a nie wiedział co jest prawda. Tu nie milczy, chce z nim mówić, pragnie go wyratować ze zguby, wyrwać z zatracenia, oświecić i przyprowadzić do prawdy. Była to godzina, która wybiła dla Piłata, godzina miłości i miłosierdzia boskiego, ratunku i zbawienia, albo przeciwnie wiecznego zatracenia, gdy odepchnie od siebie rękę, która go wyratować chciała. Ale ten dumny Rzymianin obraził się. Urażonym został, że na tem miejscu, na którem on królował, śmiał się go ktoś pytać i naruszać jego sumienie, i pukać do tego twardego serca, tu on tylko ma prawo pytać, każdy musi zaś na pytanie odpowiadać. Wzgardził i odepchnął tę rękę, która go chciała wyratować, mówiąc dumnie i przechwalając się: „Nie wiesz, że mam moc ukrzyżować cię.

Ale jakież było zdziwienie się Piłata, kiedy ten związany więzień na jego pytanie odpowiada te głębokie słowa: „Ty powiadasz, żem ja jest królem: jam się na to narodził i na tom przyszedł na świat, bym świadectwo wydał prawdzie.“ Z tych słów przekonuje się Piłat, że to nie jest żaden marzyciel. Cała jego postawa, istota, mowy i milczenia wskazują, że co on mówi jest jego przekonaniem, gdyż na jego świętem obliczu panuje spokój, a w jego oku jaśniejsze czyste światło Ducha św., a chociaż ten człowiek ubogi, opuszczony, związany, potępiony i w obec zbliżającej się śmierci stojący, przecież twierdzi i świadczy pewno i niezachwianie, on jest królem a jego królestwo jest niebieskiem, on jest królem pomazańcem Bożym, Zbawicielem świata i sędzią, który kiedyś sądzić będzie tak żydów jak i poganów, on na to urodził się, by świadczył o prawdzie, a takie świadectwo wydaje teraz tej prawdzie, która mówi, że jest królem.

Jakkolwiek Piłat tych słów przyjąć nie może, to one mu jednakowoż nie chcą wyjść ani z myśli ani z serca, zawsze i wszędzie stoją one mu żywo przed oczyma, a pozbyć się ich nie może. Już odprowadzonym Jezus został na Golgotę, a Piłat myśli i myśli o tym królu, myśli o tem słowie, które mu Jezus we cztery oczy powiedział, a te słowa nie dają mu pokoju, że aż kazał na krzyżu napisać na świadectwo całemu światu w łacińskim, greckim i hebrejskim języku: „Jezus Nazareński, król Żydowski.“ Te słowa jaśnieją na krzyżu nad głową tego ukrzyżowanego Jezusa. Trzy wieki pracowały nad zatraceniem jego królestwa, trzy wieki burzyły go, a mimo tej walki strasznej rzymskie królestwo upadło, a królestwo Jezusa trwa, a bramy piekielne nie przemogą go. A chociaż i teraz moce piekielne przeciwko Jezusowi i królestwu jego powstają i radeby kościół chrześcijański zburzyli, to jednakowoż czy na górach czy w dolinach jaśnieje krzyż, a na nim napis, Jezus Nazareński król Żydowski, a jego królestwu nie masz końca, w którem my mamy pokój i zbawienie w życiu i w śmierci. Amen.

Modlitwa sługi.

W Krakowie była służąca u pewnego urzędnika. Pewnej niedzieli wieczorem, gdy miała pójść na spoczynek wzięła według zwyczaju książkę od nabożeństwa, żeby się modlić, poczem w imię Boże spać się położyła, książkę zaś otwartą na stole przy łóżku. W nocy gdy wszyscy spali, zakradł się złodziej do domu. Zaczął on gospodarkę w kuchni; pozbierał miedziane statki, ułożył do worka, do tego dodał tuzin łyżeczek srebrnych i bieliznę, jaką mógł znaleść. Nikt mu nie przeszkodził, bo wszystko w całym domu spało. Rozglądając się dalej, przyszedł do łóżka sługi. Ta jednak dobrze się zabezpieczyła, bo przy niej leżała książka od nabożeństwa. Złodziej poświecił sobie swoją latarką złodziejską i zajrzał do książki.

Po niedługim czasie pani domu zrywa się z przestrachem z posłania. Co to takiego? Słyszała wyraźnie, że ktoś mocno zatrzasnął drzwi wiodące z kuchni do sieni. Biegnie do kuchni, godzina była piąta z rana. Budzi sługę i rozgląda się z nią po domu. Cóż widzą: miedź, srebro bielizna, — wszystko poskładane w kuchni, ale nic nie brakuje. Dlaczegoż złodziej nic nie zabrał? Nadaremnie gubiły się w domysłach, aż spojrzały na książkę od nabożeństwa leżał na niej obcy ołówek, a tym ołówkiem na brzegu książki były wypisane słowa: „Dzięki Ci Jezu!“ Teraz wszystko zrozumiały. Złodziej czytał w książce; słowo Boże przenikło duszę jego jak miecz obosieczny Archanioła; syn marnotrawny usłyszał słowo swego Zbawiciela, a światło przeniknęło jego serce. Dlatego ztąd uciekł, wypisawszy wprzód jeszcze dziękczynienie Panu.

Książka sługi ochroniła dom cały, bo stało się to co tam złodziej czytał: Psalm 127. Jeżeli Pan nie będzie strzegł miasta, próżno czuwa ten który go strzeże.

Pobożna modlitwa i innym ludziom także się przyda.

Zbawienne postanowienie.

Pewien człowiek będąc zagrożony wielkiem niebezpieczeństwem, miał do wyboru dwie ostateczności: utratę życia, lub stratę całego mienia ciężko zebranego w pocie czoła. Był to poszukiwacz złota, który wracając z Australii stał na pokładzie okrętu, mając przed oczyma już niedalekie brzegi ojczyste. Wielu towarzyszów było z nim razem mających również nadzieję ujrzenia następnego poranku ukochanych żon i dziatek, pozostawionych w kraju rodzinnym, oraz spełnienia świetnych rojeń i marzeń, któremi się poili podczas długiej podróży, a mianowicie, by ostatnie dni życia w lubej spędzić ojczyźnie, żyjąc z oszczędności,

jakie przez długie lata moralne pracy w kopalniach złota zebrali. Ale przysłowie mówi: „Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi." Noc ciemna zapadła, a z nią naciągnęła grożna burza, która nietylko okręt, lecz również wiele bogactw, pragnień i nadziei bezpowrotnie zniszczyła. Gdy blady zaświtał poranek, ukazała się straszna rzeczywistość pod postacią śmierci ponuro zaglądającej rozbitkom w przerażone oczy. Wzburzone bałwany ze złowrogim szumem, piętrzyły się wysoko po nad okrętem wiotanym wichrem i spienioną falą; łodzi niepodobna było spędzić na szalejące morze, jakkolwiek tam w dali widniał w mgle poranku tak gorąco upragniony brzeg rodzinny, a na nim setki zawodzącego ludu. Pozostawała tylko jedyna nadzieja ratunku, lecz niestety wykluczone z niej były drżące, wyblakłe niewiasty, płaczące dzieci i słabi, trwogą przyjęci mężczyźni. Tylko dzielni, odważni pływacy przy pomocy Bożej mogli wyzwać do walki żywioł złowrogi. Jeden z mężczyzn, stojący na pokładzie, uwiązał do biodor ciężki worek skórzany napełniony złotem w znoju zebranem, co widząc towarzysze, poszli skwapliwie za jego przykładem, a następnie wszyscy jeden za drugim w szumiące skoczyli morze. Lecz daremna nadzieja! Po krótkiej strasżliwej walce zginęły w pochłaniających falach; ciężkie złoto, które mieli przy sobie w morską pogrążyło ich głębię. Człowiek, o którym mówiliśmy powyżej, widząc śmierć towarzyszów odwiązał zwolna od pasa ciężki wór skórzany pełen czyszczącego złota, które w niedalekiej przyszłości urzeczywistnieć miało błogie jego sny i rojenia słodkie. Chciał kupić sobie wioseczkę, wieść żywot bez troski, zyskać znaczenie i poważanie u ludzi, i jeszcze dużo innych pięknych i ponętnych rzeczy! A wieleż to on poniósł trudów, wieleż ciężkich doznał przeciwności! Owoc krwawego znoju, nadzieja życia bez troski i kłopotów, złote na jawie marzenie — wszystko mieściło się w tym worku skórzanym. Odrzuci go, to zostanie żebrakiem, gdy utrzyma przy sobie, umrze bez wątpienia. Raz jeszcze przeważa go w ręku i patrząc nań długo ze smutkiem w oku, rzuca wreszcie daleko w fale rozhukane. Zbawienne postanowienie! Zatonął kruszec marny w głębi morskiej, a za nim wolno od ciężaru skoczył i on w spienione bałwany, i prując je silnem ramieniem, wkrótce szczęśliwie dopłynął do brzegu. Dobrześ uczynił dzielny pracowniku! postanowienie twe było rozumem! Ale skoro człowiek porzuca całe swe mienie żeby uratować życie zagrożone, czyli nie powinien tem więcej poświęcić wszystko co posiada, dla uratowania swej duszy grzesznej.

Zaprawdę, stokroć lepiej utracić złoto, niżeli łaskę Przedwiecznego! Lepiej na słabych ramionach dźwigać krzyż ciężki, niż utracić koronę żywota wiecznego.

Skrzypce.

Pewnego dnia, chcąc uporządkować szafę do ksiąžek, wszedłem do mego gabinetu, w którym na fortepianie leżały skrzypce i biblja. Właśnie zabierałem się do pracy, gdy przeszkodziło mi w tem przybycie małego chłopczyka, któremu poprzednio przyobiecałem pokazać piękne obrazki. Matka jego była kobietą ubogą, którą używałem do posługi, a mały jej synek był moim ulubieńcem. Ośm lat swego życia przepędził w ubogiej wiosce w chacie wieśniaczej; dopiero od kilku dni bawił w mieście i formalnie był olśniony całem swem nowem otoczeniem. Podobnie jak wszystkie dzieci, pytał ciekawie o każdy przedmiot, który zwracał baczną jego uwagę. chodził na palcach po pokoju, oglądając szczegółowo każdy przedmiot, a nareszcie zatrzymał się przed skrzypcami.

„Co to jest?" zapytał z zajęciem.

Wymieniłem nazwę instrumentu, lecz to nie wiele go objaśniło. Pozwoliłem wziąść go do ręki i bliżej się przypatrzeć, — potrząsnął główką nic nie pojmując.

„Do czego to jest?" pytał dalej.

„Jest to instrument, na którym pięknie grać można", objaśniłem malca.

Kiedyś posiadał mały flecik dziecinny i przypominał sobie, iż chcąc wydać ton nalży weń dmuchać, począł zatem dąć nieśmiało na skrzypce, naturalnie bez żadnego skutku. Pokazałem mu smyczek, — sądził, że to bat. W tej chwili wszedł do pokoju syn mój, który wcale nie źle grał na skrzypkach, poprosiłem go zatem, aby co zagrał. Uczynił zadość memu życzeniu, a ja patrzałem bacznie na chłopca, na którego ożywionej twarzyczce, malowały się zadziwienie i radość. Syn mój następnie zagrał jeszcze parę melodyjnych sztuczek, aby zadowolnić chłopczynę, który tak się zachwycał jego piękną muzyką.

Tymczasem książki moje uporządkowawszy w szafie, spostrzegłem leżącą biblię, wziąłem ją zatem z fortepianu, aby schować, gdy po raz drugi przeszkodziły mi w tem odwiedziny jednego z mych znajomych. Był to znakomity artysta, wielce wykształcony i rozumny. Wiedziałem jednak o nim, że jest nieprzyjacielem wszelkich religijnych zasad. Prowadził zawsze życie lekkie, swobodne, był ogólnie podziwiany i uwielbiany w świecie, i dla tego nie wiele myślał o Bogu i świętych Jego sprawach. Trzymając wciąż księgę w ręku, usiadłem przy nim i chwilę rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych; następnie opowiedziałem mu o małym chłopczyku i skrzypkach. Uśmiał się serdecznie, poczem podniósł się czyniąc uwagę, że może przeszkodził mi w czynności bibliotekarskiej, gdyż szafa z książkami była jeszcze otwartą.

Żegnając się ze mną, zapytał co to za książka, którą wciąż jeszcze w ręku trzymałem. Otworzywszy spojrzał na kartę tytułową, uśmiechnął się i oddał mi napowrót. Zrobiłem uwagę, mówiąc: — Jest to zapewne ostatnia księga, którą pan i ja będziemy potrzebowali.

Wziął ją powtórnie i począł obojętnie oglądać. Oczy jego przebiegały po kartach, na których wypisane były cudowne obietnice Boże, które dla wielu stały się życiem i siłą; na nim jednak żadnego nie robiły wrażenia. Potrząsając głową rzekł:

Nigdy nie mogłem zrozumieć, czem właściwie

ta księga taki wpływ sobie zyskała. Dla mnie jest ona zupełną zagadką.

Odrzekłem mu na to poważnie:

Przed chwilą opowiedziałem panu o małym chłopczyku, który nigdy przedtem skrzypiec nie widział. Nie miał on pojęcia o cudownych dźwiękach, jakie z nich wydobyć można, nie wiedział, iż tysiące dusz mogą się wzruszyć i przejąć do głębi, za poruszeniem tych czterych małych strun. I pan trzymasz księgę w ręku, przewracasz jej karty, oglądasz oprawę i odkładasz na stronę, bo nie wiesz, jakie dźwięki ona wywołać może, nie masz pojęcia jak potężnemi akordy serca poruszyć zdolna, i wznieść się ku temu, co jest najwyższem, najświętszem, wiekuistem.

Stał przez chwilę w milczeniu głęboko zadumany, wreszcie rzekł:

Masz pan słuszność, biblia jest instrumentem, na którym ja grać nie potrafię, jakkolwiek wielu jest nauczycieli.

O bez wątpienia, — odrzekłem — jest ich bardzo wielu, lecz najlepszym nauczycielem, który dobrych uczniów wykształcił, jest cierpienie.

Nie chciałbym w wyższej szkole składać egzaminu — odparł zwolna.

Nie możemy zawsze sami wybierać naszych nauczycieli — zauważyłem.

W milczeniu podał mi rękę i wyszedł. Nigdy przedtem nie widziałem go tak poważnie usposobionego.

B.

Dzieła i drogi Boże.

O Boże dzieła Twoje
Dowodzą Twej bytności,
Gdzie zwrócę oko swoje
Spostrzegam ślad Boskości.

Ten świat, co nas zdumiewa
Wielkością tworów wszędzie,
Tysiącem chórów śpiewa:
Bóg jest i wiecznie będzie.

Kto niebo, ziemię stworzył?
Kto drogie światła skarby
W ożywczem słońcu złożył?
Kto ujął morze w karby?

Kto pozawieszał w górze
Złocistych kwiat tysiące?
Kto zsyła grzmoty, burze,
Po świecie strach szerzące?

To wszystko Twoje, Panie;
Te nieba, ziemia, słońca
Wysławiać nie są wstanie
Dobroci Twej bez końca.

Robaczek w pyle drobny,
Źdźbełko ziemskiej trawy,
Motylek w barwy zdobny
Są psalmem Twojej sławy.

Niech cześć Ci wieczna będzie
O Boże nasz na niebie!
Choć wielu jest w obłędzie
I nie chce wierzyć w Ciebie.

Spraw Panie! niechaj wierni,
Co w Tobie ufność mają,
Od ostrych wolni cierni,
Opieki Twej doznają.

L.

Jerycho.

Przez lat czterdzieści szli drogą pokuty,
Przez lat czterdzieści milczeli pod młotem,
I pierś ich w ogniu, jako pancerz kuty,
Jeno się głuchym skarżyła łoskotem,
Aż własnem ciałem stali się pancerni:
Kruszył się na nich oszczep, nakształt cierni.

I ducha swego nie trwonili w słowach,
Siedział on w głębi zasklepiony twardo,
I ledwie czasem z rękoma na głowach,
W cieniu siadali milcząco i hardo.
A gdy ich boleść do żywa dojadła,
To z chmurnych oczu ledwie łza im spadła.

Nie frymarczyli oni łzą, nie skargą,
Nie rwali dłoni, nie miotali włosem,
Ale zaciętość stała przed ich wargą.
Każdy drżał w sobie skamieniałym głosem,
A na dno duszy swej to tylko składał,
Co w strasznych grzmotach groźny Bóg powiadał.

I z tą potęgą tajonego wnętrza,
Jako tułacze przyszli pod Jerycho;
Stoma wieżami ono się napiętrza,
Cielesnej siły zbudowane pychą,
A w swojem łonie kryje lud plugawy,
Lud zzwierzęcony, bez jutra, bez sławy.

Izrael widząc kraj polisty, śliczny,
Wyborny Liban, rozłóg za rozłogiem,
Podniósł krzyk wielki, straszny, jehowiczny:
„Chwała naszemu Bogu, miecz nad wrogiem!“
Krzyk ten z głosami trąb zmieszany razem,
Uderzył w mury miasta, jak żelazem.

Nie dotrzymały one tego ciosu:
Runęły baszty, rozwarły się bramy —
Izrael zdobył je potęgą głosu,
Z wzniesionym mieczem poszedł przez rozłamy,
I nie zostawił już nic w grodzie onym,
Prócz krwi i węgli.

Rozwiązanie zagadki z nr. 2.
Kana, Kanał.

Zagadka.

Ojciec przyniósł dzieciom obiad,
A obiad potem dzieci zjadł.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 6. | Ełk, na niedzielę dnia 7 lutego. | 1897.

4. Jezus i Heród,

Łuk. 23, 7—12.

Ciężko było dumnemu Piłatowi na sercu, jak długo widział Jezusa oskarżonego przed sobą stojącego. Wiedział on dobrze o tem, że Jezus sam stojąc na tym świecie, wzgardzony i oskarżony od mężów mających wielkie znaczenie w narodzie Izraelskim, nigdy nie może być niebezpiecznym rzymskiemu cesarzowi, ale przecież mu dziwnem było, że ten więzień odważył się z nim tak śmiało i bez trwogi mówić o mocy, którą on posiada, że jest królem, że się na to narodził i na świat przyszedł, aby świadczył o prawdzie, a choć jego postać była tak uniżoną i wzgardzoną to jednakowoż z jego słów przebija się majestat i godność, które przewyższają ubóstwo i niskość, w której się obecnie znajduje. Bo włóż złotą koronę na głowę żebraka, a przyodziej króla w łachmany, zawsze żebrak zostaje żebrakiem, a król królem. Patrząc na Jezusa okiem duchownym, poznasz w nim, choć tak poniżony, że on pochodzi z góry, z nieba i wyższym jest po nad wszystko ziemskie. Coś podobnego widział w nim i Piłat nie chciał go więc stracić, ale słysząc w poszukiwaniu, że pochodzi z Galilei, postanowił go odesłać do Heroda, który właśnie z całym swoim dworem znajdował się w Jeruzalem. I tak przyszła godzina nawiedzenia i łaski na Heroda, który nią wzgardził, to też i wzgardzonym został.

Zaprowadzili Pana Jezusa do Heroda. Pomyśl, kiedy go wiedziono przez ulice miasta związanego, jak wielkiej doznał hańby i wstydu, był on prawdziwie pośmiewiskiem pospólstwa jak psalm 22 o nim powiada: „Alem ja robak a nie człowiek, pośmiewisko ludzkie i wzgarda pospólstwa, wszyscy, którzy mnie widzą szydzą ze mnie.“ Zdawałoby się, że Heród go uczci, bo słowo Boskie powiada, że Heród go zdawna pragnął widzieć dla tego, że wiele o nim słyszał. Piękne to świadectwo, bo zbawienie przychodzi do tego człowieka, który pragnie Jezusa widzieć, ale chce go i słyszeć, przez słowo wchodzi zbawienie do duszy naszej — ale z drugiej strony może przynieść potępienie. Bo wielka różnica zachodzi w jakim celu chcesz słuchać słowa Bożego. Nie jeden szuka w piśmie św. w tym celu, aby dojść do wiary, inny znowu na to czyta lub słucha słowa Bożego, aby się w niewierze mocniej ugruntować, i aby mógł tem bardziej szydzić i naśmiewać się z religii. Tę drogę obrał Heród, on pragnął Jezusa widzieć, a raczej jaki cud od niego uczyniony, aby się on i cały dwór jego nad pojmanym Jezusem nacieszyli, rozerwali, naśmiali i z niego szydzili, o zbawienie duszy swojej wcale nie miał starania, a tak bliskim takowego był, bo gdzie Jezus, tam też i zbawienie bliskiem jest. Lecz serce Heroda dalekiem było od pragnienia zbawienia, serce jego utopione w rozkoszach świata, zabawach, ucztach, szukali tylko tego, co świat dać może, a więc pożądliwość oczu, pychy żywota, pożądliwości ciała. Jego pragnienie było cielesne, światowe!

Kiedy więc posłyszał, że Piłat do niego Jezusa przysyła, to ucieszył się, że życzenie jego spełnionem zostanie, ale ta radość nie pochodziła z głębi duszy pragnącej zbawienia, lecz była to radość tylko cielesna, bo spodziewał się, że na ucieszniej rozmowie prędzej mu czas zejdzie, że coś dziwnego szczególniejszego zobaczy. Tak jak na widowisku rozweselają się ludzie i naśmieją, kiedy są na komedyi, to sądził i Heród tak sobie widowiskiem Jezusa dzień uprzyjemnić i rozweselić, tem więcej, że spodziewał się od niego jakiego cudu lub znaku. Zgromadził więc około siebie liczny dwór jak to oficerów, możnych panów i panie wysokiego rodu, a kiedy tak wszystko z niecierpliwością widzenia nowości oczekują, więźnia, a za nim wstępują przed Herodem i oskarżyciele jego.

Ten Jezus, który ubogim ewangielię opowiadał, stoi na końcu żywota swego ziemskiego przed królami i możnemi tego świata.

Tu są wszystkie stany zgromadzone. Tak książęta ziemscy jako kościelni, uczony świat, mądrzy i uczeni duchowni i świeccy, przed wszystkiemi tymi wielkiemi według świata, stoi Jezus w ostatnich dniach żywota swego ziemskiego, do wszystkich wyciąga rękę zbawienia, tak jako kiedyś w on dzień ostateczny staną kiedyś oni wszyscy na sądzie przed Jezusem. Jezus i Heród stoją sobie naprzeciwko. Z Jezusem zgraja oskarżycieli; z Herodem cały świetny dwór. Jezus jako ubogi grzesznik wydany na wzgardę, Heród w spaniałości i wielkości. Miła moja duszo, na którego stronie pragnęłabyś się znajdować czy obok niskości Jezusa, czy obok wielkości Heroda? Tutaj to patrzą sobie w oczy sprawiedliwość i grzech, niewinność i zbrodnia; majestat Boży,

przed którym się wszystko unižać powinno i ukorowana nikczemnik. Stoją w tym samym pałacu, w którym przed 33 laty mędrcy ze wschodu wstąpiwszy, pytają się o nowo narodzonego króla Izraelskiego, bo widzieli jego gwiazdę, więcby pragnęli mu pokłon i cześć i uszanowanie oddać. Nie wspomniał sobie Heród, żeby mu się należało tak samo uczynić jako oni mędrcy ze wschodu, którzy Jezusa prawdziwie pragnęli widzieć, a szukając go, znaleźli, tuż przed oczyma swojemi widział Jezusa, a zamiast zadrzeć pred majestatem jego, uczuł się wyniesiony pochlebstwem Piłata, który Jezusa do niego odesłał. W zarozumiałości i pysze swojej czuł się nad wszystkich wywyższonym i widział tylko siebie we wielkim majestacie. Lecz właśnie ta godzina chwały, była najciemniejszą życia jego — godziną odrzucenia, godziną sądu.

Już raz przyłożono maść na oczy jego, aby ujrzał światłość prawdziwą, kiedy Jan Chrzciciel w domu jego pokutę opowiadał, teraz stoi Jezus przed nim i wyciąga rękę zbawienia i ratunku do niego, lecz wszystko napróżno. Wzgardził maścią pokuty, odepchnął rękę go ratującą. Jezus stoi przed nim, a on go nie widzi, nie poznaje. Takich Herodów dość na tym świecie. Odznaczają się wielkością i wspaniałością, dostojeństwami i bogactwami, potęgą i mądrością, są to mistrze sztuki i wykształcenia, a przecie ślepemi, bo Jezusa nie widzą, ani znają. Wybije i im kiedyś godzina, kiedy wołać będą i pragnąć światłości lecz będzie za późno, bo ślepemi i słońce nic nie pomoże.

A przecie pismo św. powiada, że Heród ujrzawszy Jezusa, uradował się bardzo. Tak ujrzał go oczyma cielesnemi, oczyma spragnionemi widzicie coś nowego, ciekawego, uciesznego. Heród był człowiekiem wykształconym i żył więcej w towarzystwie Greków jak Żydów i dobrze znał świat, a ten świat żył w jego sercu z całą potęgą. Tem bardziej obudziło się w niem pragnienie coś ciekawego i nadzwyczajnego ujrzeć i zobaczyć, tego wszystkiego spodziewał się od Jezusa, było to coś dla niego interesującego, powalnego, uciesznego.

Kiedy Pana Jezusa do sali wprowadzono, nastąpiła grobowa cisza. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, wszyscy czekali na słowo królewskie, sądząc, że w krótce rozpocznie się rozmowa między niem a Jezusem, że wnet coś nowego usłyszą i zobaczą. Można sobie wyobrazić, jak wszyscy z natężeniem słuchają, skoro król napoczął przemawiać. Jego królewski majestat okazał się bardzo łaskawym, bo zniżył się do pojmanego więźnia i poczyna go pytać o niektóre rzeczy. Dowiaduje się o jego pochodzeniu i ojczyźnie, a jako już słyszał, wie o tem, że pochodzi z Galilei. Ale o dziwy, jakich doznają słuchający, na pytania mu stawione, nie daje żadnej odpowiedzi. Król ośmiela go, aby mówił, nic ma być trwożliwym, widząc takie wspaniałe otoczenie, nie ma się bać, ani lękać, ale on więzień milczy.

Nie ma zamiaru król go sądzić, on tylko żąda jakiego cudu, chce się za nim do Piłata nawet wstawić, ale ani słowa na to nie wyrzekł on ojmany więzień. Ze wszystkich stron proszą go, aby co królowi odpowiedział, który mu tyle względów wyświadcza, napominają go, aby uwzględnił i pomyślał przed kim stoi, lecz wszystko daremnie. Tak samo jako przedtem, kiedy stał przed Kaifaszem, na wszystko co do niego mówiono, nawet przeciw oskarżeniu fałszywych świadków, ani słowa nie wyrzekł, tak i tu przed Herodem, żadna ludzka siła nie jest wstanie zmusić go do mówienia. Nareszcie całe to położenie jest im wcale nieprzyjemnem, bo się przekonują, że milczenie nie pochodzi wskutek trwogi lub bojaźni, widzą, że to ją naprzeciw potędze, której przezwyciężyć nie są wstanie. Wstyd i hańba dla nich wszystkich, bo czują to dobrze, że milczenie jego jest tylko wzgardą ich, jakoby im mówił: nie jesteście warci ani jednego mego słowa. Tego król jeszcze nigdy nie słyszał, tak nikt się z nim jeszcze nie obszedł. A to spotkało go nie od jakiego wysoko położonego męża, ale od tego, który zawsze i wszędzie był pokornego serca, który ubogim ewangielią opowiadał, a który dla najnędzniejszych jego poddanych czynił cuda i znaki, a który dla grzesznych ludzi nie szczędził żadnej największej ofiary.

O jak źle musiało być z nimi wszystkimi tam zgromadzonemi, skoro niegodnemi byli choćby słówko jedno od Jezusa usłyszeć. Tak są ludzie, co się szczycą i chlubią z tego, że do ich serca żadne słowo Jezusa nie wchodzi, żadne słowo wołające ich do pokuty i nawrócenia, słowo napominające o wieczności, żadne takie słowo nie ma wstępu w ich światowe serca! Jest świat, świat, który liczy się do mądrości i wykształcenia, który sobie sam świątynie buduje, a w tych ich świątyniach, opiewają moc i chwałę krzyża Jezusowego lub chwałę jego w dźwiękach muzyki, a niewinność narodzonego dzieciątka Jezusa, piękność niebieską jego oblicza, wspaniałość nieba i przyjście na sąd w obrazach, które zawieszają w swoich domach, przedstawiają. Oni wszystko to widzą i słyszą nawet podziwiają, Pan Jezus stoi w pośrodku nich, ale tylko w ten sposób jak to u Heroda było. Od niego samego, nie usłyszą ani słówka, nie doznają żadnego znaku i cudu. On dla nich jest tylko na obrazku. Jestto najsmutniejszy stan człowieka, bo uszy jego są otwarte na wrzask i krzyk świata, a wtenczas Jezus milczy, oczy widzą go, ale serce go nie czuje. Straszne to milczenie! Ta cichość podobną onej, która burzę poprzedza! A chociaż tobie się zdaje, żeś pozbył się słowa Pańskiego, żeś wyrzucił Jezusa ciebie napominającego, że będziesz miał spokój od napominania, że cię znaki Jezusa już więcej niepokoić nie będą, to jednakowoż mylisz się bardzo! Nigdy się słowa Pańskiego nie pozbędziesz, a ręce Pańskiej nie ujdziesz. Gdyż albo dasz się wyratować od zatracenia wiekuistego i przyjmiesz Jezusa z jego słowem do serca twego, lub pamiętaj, że staniesz na sądzie, a tam usłyszysz słowo gromu. Dajże się więc ochronić od wiecznej zguby jak długo głos Jezusa słyszeć możesz, daj się pociągnąć znakami łaski jak długo żyjesz, mów Panie, bo sługa twój słucha. Amen.

Historyja o głupim Janku.

Opowiem wam historyę o głopim Janku, Tak go wszyscy przezywali. Starzy śmieli się z niego, a dzieci mając z nich przykład wyśmiewały go także. To jednak niedobrze, bo nigdy nie trzeba się śmiać z człowieka, dla tego że jest ułomnym i kaleką. Matka zaś Janka po trzykroć nad nim płakała. Pierwszy raz, gdy się urodził, a widziała, jaki jest brzydki. Drugi raz, w dniu pogrzebu męża jej, w dniu pogrzebu męża jej, bo wtedy spotkała Janka, który miał już rok jedenasty, odkopującego mogiłę mogiłę ojca. Na pytanie matki, co robi, odpowiedział, że chce ojca przyprowadzić znowu do domu. Zalana łzami rzewnemi uściskała wtedy swoje dziecko i odprowadziła do domu.

W czytaniu, pisaniu i rachowaniu Janek postępów nie wiele robił, ale historyje biblijne i pieśni nabożne dobrze pamiętał. Kiedy mu matka opowiadała o męce Chrystusa płakał tak namiętnie, że musiała przestawiać. Gdy zaś mówiła mu, jak uzdrawiał chorych, jak sam zmartwychwstał i wstąpił na niebiosa, wtedy słuchał z rozwartemi szeroko ustami, aż podskoczywszy tańczył po izbie i skakał. Dla tego też w nauce konfirmacyjnej wcale ostatnim nie był, a kiedy nadszedł egzamin publiczny, rozległ się po całym kościele szmer podziwienia. Bo odpowiedzi Janka, choć trochę zanadto krzykliwym głosem dawane, były zawsze trafne. Znowu płakała matka jego, ale tym razem z radości.

Potem jeszcze po raz trzeci gorzko na nim zapłakać musiała, gdy w krótce po owej konfirmacyi umierać jej przyszło. Bo kiedy uprzedzała go o rozstaniu, on słyszeć o tem nie chciał, ale prosił rzewnie, żeby go zabrała ze sobą. Wtedy zapłakać nad nim musiała. „Jezus z tobą pozostanie, mówiła mu osłabionym głosem: On cię do mnie do nieba przyprowadzi, gdy będzie pora na to. Kochaj go zawsze i rób to, co on rozkazał.“ Te słowa widocznie uspokoiły, chłopca, bo przeniósł teraz, że matka umarła, że ją pochowano, a jego samego oddano do krewnej, która była za gospodarzem we wsi sąsiedniej. Długi jeszcze czas powtarzał on ustawicznie słowa zmarłej matki: Kochaj Jezusa zawsze i rób to, co on rozkazał.

Ale teraz nastały dla naszego Janka bardzo ciężkie czasy. Żaden promień dobroci lub miłości życia jego już nie oświecał. Z dnia na dzień słyszał tylko łajanie i był bity niemiłosiernie. Jedynie tylko siedmioletnia córeczka jego opiekunów, Elżbietka, osładzała mu cokolwiek życie: skradała się potajemnie do niego, gdy plagi odebrał i pytała ze współczuciem: „Czy cię to bardzo bolało, głupi Janku?“ Gdy zaś to potwierdzał, dawała mu na pocieszenie swój chleb albo jabłuszko. Było to niewiele, ale dla biednego sieroty stanowiło jednak najradośniejsze chwile teraźniejszego życia.

Najmilszą była dla Janka pora, gdy mógł wieczorem pójść do swej zagródki w oborze, gdzie sypiał. Tam po pewnej walce wewnętrznej, zdobywał się nawet na to, że się mógł pomodlić za swych ciemięzców. Czynił to codziennie, bo mu tak matka nakazała, mówiąc: rób wszystko co Jezus rozkazał.

Pewnej nocy zbudziło Janka rozpaczliwe wołanie: gore, gore, pali się! Gdy się Janek zerwał ze swego barłogu, już się przepalona strzecha zapadała. Słyszał często, że w razie pożaru, trzeba najprzód bydło z obory wyprowadzić. Uczynił to więc pospiesznie i drzwi obory zatrzasnął. Gdy wyszedł na podwórze już dom cały objęty był straszliwym płomieniem.

W tem rozległ się okrzyk: „Gdzie Elżbietka?“ Wołali tak rozpaczeni rodzice, a setki głosów wołanie to powtórzyły. Nagle ktoś krzyknął: Głupi Janek wskoczył do ognia! Dwie minuty czekali wszyscy z największem przerażeniem. „Udusił się w dymie!“ mówili już mężczyźni. W tej właśnie chwili kilka krokwi spadło, rozsypując tysiące iskier, i rozniecając ogień jeszcze bardziej. Aż tu wołają: Janek idzie. Osmolony, dymiący się wyskoczył ze drzwi, dźwigając dziecko na ręku. Ale ledwie postąpił kilka kroków, gdy pad zemdlony. Porwano go na ręce i złożono pod jabłonią. Elżbietka żywą była i zdrową; Janka zaś gospodarz długo docucić nie mógł. Elżbietka podbiegła do niego, wołając: „Janku, Janku, obudź się; ojciec już cię nigdy bić nie będzie!“ przyczem spojrzała błagalnie na ojca i matkę, których serca wzrok jej i słowa przeszywały do głębi.

Jeszcze raz otworzył Janek oczy, ale po to tylko, żeby się przekonać, czy mu się udało Elżbietkę uratować. Chwycił ją jeszcze za ręce i wyszeptał powoli: „Matula mi mówili: rób wszystko co Jezus rozkazał, On cię do mnie do nieba zaprowadzi. Teraz . . . . .“ Ostatnie były to słowa jego. Paraliż serca dni jego przeciął.

Gospodarz i żona jego nie mieli sposobności uczynić, co sobie postanowili, widząc swoje dziecko uratowane, mianowicie obchodzić się z Jankiem jak z własnem dzieckiem. Znalazł on spokój i szczęście u Tego, który nie patrzy na to co jest przed oczyma, ale które serce bada.

Nunija.

U podnóża gór Kaukazkich, pomiędzy Albaniją i Armeniją, oddzielona od reszty Azyi przez wysokie pasma gór, leży górzysta kraina, która niegdyś nosiła nazwę Iberyi, a teraz ze stołecznem swem miastem Tyflis stanowi część kraju Zakaukazkiego. Niezliczona ilość szumiących potoków leśnych przeżyna krainę, łagodząc potrosze surowy charakter, który jej dają góry, połyskujące latem i zimą lśniącym śniegiem. W kraju tym powietrze jest łagodne; urodzajne doliny wydają wino i zboże; w łonie skał kryją się metale i kamienie drogie, a dobrze i silnie zbudowani mężczyźni i piękne kobiety zamieszkują ten kraj, którego historya jest bardzo starą. Dawne podanie utrzymuje, że już apostołowie Szymon i Andrzej opowiadali ewangelię Iberyjczykom, czyli późniejszym Gieorgijczykom;

pomimo to pogaństwo panowało niepodzielnie w całym kraju jeszcze wówczas, kiedy cesarz Rzymski Konstantyn już uginął kolana przed Dzieciątkiem Betleemskiem; — a król Miryjan panujący wtedy nad Iberyją był gorliwym sługą bożka Mitry, uważanego przez Persów za najwyższe bożyszcze. Iberyjczycy byli ściśle podzieleni na kasty, czyli stany. Wojownik nie miał łączności z kupcem, ten znów nie łączył się z rzemieślnikiem; — a wszystkie kasty z pogardą spoglądały na niewolników, którzy żadnych praw nie mając, zdani byli zupełnie na łaskę i niełaskę swoich panów. Niewolnicy pochodzili przeważnie z innych zwyciężonych na wojnie narodowości; Iberyjczycy bowiem byli narodem nieustraszonym i wojowniczym.

Ze rządów króla Miryjana, w początkach czwartego stulecia, jednym z najwpływowszych i najwięcej znaczenia mających członków wysoko poważnej kasty wojowniczej był Bakar, który w niejednej bitwie dzielnie wspierał króla, i dla tego wielkie u tegoż miał zachowanie. Z tego powodu Bakar prawie ustawicznie przebywał na wojnach albo na dworze królewskim, tak, że mało tylko mógł poświęcić czasu domowi swemu, którym zarządzała żona jego Gadani, jedna z najpiękniejszych kobiet kraju.

Pewnego dnia jednak powrócił niespodzianie do domu, i nakazał żonie przyrządzić wspaniałą ucztę. Niezadługo Gadani siedziała u boku jego, przyodziana tak jak i on w szaty kosztowne, zdobne w perły i drogie kamienie. Bakar złożył broń swoją, zatrzymawszy tylko miecz, którego od boku nigdy nie odejmował. Gadani ozdobiona była w złote łańcuchy, naramienniki i nagolenniki; pięknie przystrojone były także niewolnice, które podczas uczty śpiewały, tańczyły lub głośno wykrzykiwały, gdy im pan albo pani ich rzucali owoce i pieniążki. Jedna tylko z niewolnic nie śpiewała i nie tańczyła, nie chwytała owoców i pieniędzy; spokojnie i poważnie usługiwała ona swoim chlebodawcom. Nie była ona przystrojona w różne błyskotki, jak inne dziewczęta, i włosów swoich sztucznie nie splotła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ufność w Bogu.

Pan zaprawdę z nami!
Tych co go miłują,
Rządzi tak drogami
Że się rozradują.
On w głębokiej ich toni zbawia.
W wyżynach stawia.

Gdy rozumem swoim
Sami się rządzimy,
Rzadko się ostoim.
Zgubę swą ujrzymy
Ręka tylko wszechmocna Jego
Poskramia złego.

Nim się dni narodzą,
Już są Panu znane,
Chociaż nas uwodzą
Mroki niezbadane.
Więc kieruje też bacznem okiem
Człowieka krokiem.

Chociaż ciężka nieraz
Nas dotyka dola,
Jednak wiemy teraz,
Że nam święta wola
Pana Boga ochroną była,
Przed złem chroniła.

Gdy nieprzyjaciele
Na nas nastawali,
I w swej złości śmiele
Zgubę gotowali:
Pan wyciągnął prawicę swoją,
I był nam zbroją.

Ich zamiary wrogie
W niwecz on obrócił,
I radości mnogie
Nam po smutku wrócił.
Oni Boga narzędzem byli,
Choć złe czynili.

Dawno z upragnieniem
Serce wyglądało,
Co za ich rządzeniem
Teraz otrzymało
Gdy w spokoju i w wiernych zborze
Cześć Boga może.

Więc pracować chcemy
Pilnie w Twej winnicy,
Życie wieść pragniemy
Jako bojownicy
Prawdy Twojej, o Święty Panie,
W zbawionych stanie.

Przyjmże w ofierze
Dzieła Twojej ręki:
Serca, które w wierze
Wznoszą szczerze dzięki.
Pobłogosław nam wielki Boże,
Prosim w pokorze.

Rozwiązanie zagadki z nr. 5.

Bocian złapał w szpony kota
Zaniósł nakarmić młodzięta,
Kot się długo nie namyślał,
Bocięta pożerał.

Inwalid na Śląsku J. K.

Zagadka.

Ani ciała, ani duszy,
wiatr zawieje, sam się ruszy.

Redaktor odpowiedzialny: Hugo Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 7. | Ełk, na niedzielę dnia 14 lutego. | 1897.

5. Jezus i lud.

Łuk. 23, 12—25.

Pan Jezus raz wpadłszy w ręce ludzi, już się więcej wyrwać nie mógł, a tak podają go sobie z rąk do rąk. Najprzód zaprowadzili go do Annasza, potem do Kaifasza, następnie do Piłata, a od niego do Heroda a nakoniec znowu go odprowadzili do Piłata. Straszne to drogi, któremi chodzić musiał, straszniejsi ludzie, przed któremi stał, a wszędzie brudy grzechów przed oczyma jego odkrywały się. Taką to jest droga przez świat, niebezpieczną, grzeszną, a tylko kto się trzyma Zbawiciela uchronić się może upadku i zatracenia i dojść do królestwa niebieskiego. Tą drogą szedł Pan, cichy, baranek niewinny prowadzony na rzeź, na stracenie. Otoczony ludem, który go prowadził, stanął znowu w ratuszu Piłata sędziem swojem, otaczając go miłością i naucząjąc prawdy. Teraz zaś już milczy, bo jego święte słowa nie przyjęto, aleć tak Żydzi jako i poganie wzgardzili niemi, ach nie poznali co ku ich pokojowi służy. Jakże ważnym on dzień był dla Piłata! Głosy z innego świata ostrzegały go i napominały, lecz podarmo sumienie jego własne niepokoiło go, ale i to on zagłuszył, bo mu więcej uchlebiała uprzejmość Heroda, ktorym Piłat onegoż dnia stał się przyjacielem, bo sobie przedtym byli nieprzyjaciółmi, którą przez to okazał, że odesłał Jezusa zaś do Piłata. Tak to czynią ludzie światowi, więcej im zależy na przyjaźni możnych, jak Jezusa. Z drugiej strony Piłat nie stracił nadziei ocalenia Jezusa od śmierci, i przyszedł do przekonania, że zamiaru tego nie osięgnie, jeżeli zda się na łaskę rady wysokiej, bo ci za nic by w świecie Jezusa nie wypuścili z rąk swoich. Ale mu wpadła nowa myśl, w jaki inny sposób mógłby Jezusa uwolnić. Widzi on licznie zgromadzony lud, a słyszał, że tenże o Jezusie wiele trzymał i na nim polegał i postanowił, że lud ma rozstrzygnąć, czy Jezus ma umrzeć lub zostanie uwolnionym. W duchu się cieszył, że onego dnia stał się przyjacielem Heroda, a teraz ufał, że się stanie przyjacielem ludu. Tą myślą według jego zdania szczęśliwą był zwyczaj, z ludowi wypuszczano na święta wielkanocne więźnia. Prawie znajdował się więzień, który dla niejakiego rozruchu w mieście uczynionego, i dla mężobójstwa był wsadzony do więzienia. Tego stawił przed lud, on miał rozstrzygnąć między temi dwoma, który miał być uwolnionym i wypuszczonym, a którego miano stracić. Już w duchu tryumfował, jak Jezusa uwolnią i we chwale prowadzić będą, już widział jak się kapłani i rada gniewać będą, jak on im tę nienawiść przeciwko Panu Jezusowi zapłaci. Lecz biedny Piłat nieprzyjąwszy miłości Jezusa i jego prawdy wpada z jednego błędu w drugi, a wszystkie środki, których się chwyta są próżnemi. Naturalnie, że lud zrazu patrząc na Jezusa obok Barabasza uląkł się. Bo, moi mili, czyż na świecie jest coś z czemby można było Jezusa porównać, albo nad Jezusa przenieść. Czyż Jezus nie jest droższym nad ojca, matkę, brata, siostrę, żonę itd. Ach powiedzże sobie w głębokości serca twego: „Nie puszczę cię Jezu mój.“ Całe swe życie poświęcił Pan ludowi dobrze czyniąc, świadcząc dobrodziejstwa i otaczając go miłością. Czyż on nie jest wyższym po nad wszystkich ludzi i stworzenia, czyż go nie powinni wszyscy po nad wszystko czcić i nad wszystko miłować?

A oto przypatrz się człowiecze, obok niego postawili zbrodniarza i morderce, patrz co za straszne przeciwieństwo. Ale okrutność ludzka nie ma granic, a Piłat nim Jezus został ukrzyżowanym kazał go biczować. I znowu wydano go w ręce dzikiego i okrutnego narodu, który nie miał ani trochy litości i poczucia ludzkiego, a któremu męczenie i katusze sprawiały uciechę. Tak Jezusa niewinne ciało było smagane, krew czysta i święta przelewaną. A ten najpiękniejszy z ludzi został tak strasznie zranionym, ubitym i utrapionym, że nawet Piłata serce twarde zmiękczyło się patrząc na jego postać, i zabłysła mu jeszcze nadzieja wyrwać Jezusa ze śmierci. Jeszcze raz chce próbować i przemówić do litości ludu, mniemając, że na widok taki lud zmięknie i rozczuli się. Wychodzi więc z Jezusem tak sromotnie ubiczowanym do ludu i stawia go przed niego, że go mogli dobrze widzieć i oglądać. Na głowie jego korona cierniowa, a cały krwią zbroczony, ciało święte posiekane, przyodziany płaszczem purpurowym i odzywa się do ich serc mówiąc: „Oto człowiek.“ Ale oni przecież wołali, mówiąc: „Ukrzyżuj, ukrzyżuj go!“ Jeszcze Piłat nalegał na lud, umywszy ręce swoje, powiadając: „Nie jestem ja winien krwi tego sprawiedliwego, wy ujrzycie.“ A odpowiadając wszystek lud rzekł: „Krew jego na nas i na dziatki nasze.“ Tak wola szalony lud.

Nie masz podobnego przykładu w całej historyi. Ten święty i pomazaniec Boży stoi przed swoim ludem i obecnie przed Żydami i poganami, cały zraniony i skrwawiony — ani się nie skarży, ani nie grozi. Świat, który on chciał uszczęśliwić swą miłością, życiem, słowy i czynami gardzi nim. A właśnie ci co go znali, których miłował i błogosławił są przeciwko niemu i wołają: „Ukrzyżuj go, ukrzyżuj go." A ci właśnie, którzy o nim nic jeszcze nie słyszeli poganie, starają się go wyrwać ze śmierci. Żydzi obchodzą się z nim jako ze zbrodniarzem, a poganie pytają się: „Cóż wtedy złego uczynił." Żydzi biorą winę śmierci jego na siebie i wołają: „Krew jego na nas i na dziatki nasze", poganie zaś drżą na myśl, że wielką odpowiedzialność na siebie biorą, wydając na śmierć tego sprawiedliwego. Ale od tej godziny następuje wielka zmiana. Słońce zachodziło ludu Izraelskiego, a wschodzi dla pogan. Tam gdzie wprzódy jasno było, teraz ciemność nastąpiła, a gdzie dawniej ciemności lud ogarnęły, zabłyska światłość. Na dom Boży przyjdzie straszny sąd, a kamień na kamieniu nie pozostanie. Tam zaś gdzie świątynie pogańskie stały; założy Pan namiot swój, zgromadzi sobie nowy naród, który będzie jego narodem i wśród tego założy królestwo niebieskie, aż do skończenia świata trwające.

Opór Piłata został złamanym. Izrael odrzucił swego króla, związek, który go łączył z Bogiem potargali i ściągnęli gniew i sąd Boży na siebie i na dziatki swoje. Piłat nie może tego pojąć i zrozumieć co widział i słyszał, a my również pytać się musimy czy to możebnem co się stało? Jestto możebnem? pytajmy się, patrząc na całą historyą narodu żydowskiego. Jak mógłby ten naród być na to wszystko tak ślepym i głuchym. Do Jana na puszczę wychodziła cała Jeruzalema i dali się chrzcić na pokutę. Na własne uszy słyszeli kazanie opowiadane: „Czyńcie pokutę, albowiem królestwo Boże się przybliżyło. Pan blisko jest." A cóż dopiero kiedy Jezus stanął w pośrodku ludu, a jeszcze więcej miał uczniów jak Jan. Sam lud świadczy." Wielki prorok powstał między nami." Wielbiono go, że większym jest, aniżeli kapłani i uczeni w piśmie. Z zadziwieniem przyznali, że tak jeszcze nikt nie uczył. Chwalili nawet za to Boga, że ludziom dał taką moc, jaką miał Zbawiciel, którego Bóg ludzkości zesłał. W ostatnich dniach wzrosło jeszcze więcej poważanie Jezusa. Uznali w nim proroka, króla swego. A jaką wielkością okrył się Pan, wzbudzając Łazarza do życia! Wołając Hosyanna, okrzyczeli go Synem Dawidowym i w tryumfie prowadzą go do miasta i świątyni. Obudziła się w sercu tego ludu nadzieja odkupienia z biedy i nędzy, a Jezus był uczonym jako przyjaciel ludu, był przedmiotem ich wiary, nadziei i miłości. To były błogosławione początki obudzenia się narodu ze snu, nawrócenia się do Boga podobne do wschodzącego słońca, ale oto chmury się gromadzą na horyzoncie kraju żydowskiego, słońce się zaćmiewa i zakrywa, aż po za temi czarnemi chmurami znikło, tak i to serce narodu zapomniało o wdzięczności, lud ten niestały ku Jezusowi daje się obałamucić, chmury nienawiści gromadzą się i znikają, promyki reszty miłości, a natomiast widzimy nienawiść i zatwardziałość, że wołają: „Precz z nim, ukrzyżuj, ukrzyżuj go!" krew jego na nas i na nasze dzieci. Jak to być mogło? pytajmy jeszcze raz. Prawda, że się wielu obudziło ze snu grzechu, ale tylko niektórzy nawrócili się prawdziwie. Więcej oni szukali tego co widomem ziemskiem i doczesnem, to też ich serca się mało ci odmieniły. Daleko jeszcze byli od rzeczy niebieskich, duchownych. Ich pragnieniem była doczesność. Gdyby ich Pan był wołał do wojny przeciw Rzymianom i założył królestwo ziemskie ludowi Izraelskiemu i w tem królestwie, gdyby znaleźli skarby i bogactwa tego świata, to byliby z nim poszli na wojnę, a nawet Rzym chcieliby byli podbić. Ale Jezus wołał ich do królestwa niebieskiego, to w tem dawał im dary niewidzialne, pokój serca i zbawienie, ale żądał walki przeciw grzechowi i nawrócenia się do Boga, takie królestwo, taka walka podobać się nie mogła. Ukrzyżuj grzech, wołaj i ty sercu twemu, walcz ale z Panem przeciwko grzechowi, nawróć się całem sercem do Pana w tenczas znajdziesz zbawienie w królestwie jego. Amen.

Stara i nowa wiara.

Razu jednego jechali razem koleją żelazną ksiądz i fabrykant zapałek. Wszczęli ze sobą rozmowę. Fabrykant zaczął się chwalić swemi milionami, jakie przynosi mu ona fabryka. „Patrz księże," wołał z zadowoleniem, „jak bogatym dziś jestem, a takim stałem się przez moją ciężką, bezustanną pracę, jedynie przez mądry rozwój sił duchowych, które spoczywają we mnie. Czy ksiądz ma pojęcie o fabrykacyi zapałek?" — „Nie wiele," odpowiedział ksiądz obojętnie, „gdyż ja jestem, jak pan widzisz duchownym." „Tak! a to bardzo dobrze," zawołał fabrykant zadowolony, — „już dawno pragnąłem porozmawiać z duchownym i zadać mu jedno bardzo ważne pytanie teologiczne. Mój wielebny księże; dziś tak wiele mówią o starej i nowej wierze. Bądźże więc łaskaw, a wytłomacz mi co to jest stara a co nowa wiara?" Ksiądz okazał się chętnym do dania odpowiedzi na ono pytanie, wymówił sobie tylko, że odpowie na to przez podobieństwo. Zgodził się fabrykant a ksiądz zaczął w te słowa: „Patrz, mój panie, jeżeli Pan Bóg kogoś błogosławi w ziemskiem powołaniu i pomnaża z każdym rokiem majątek jego, a ten człowiek zbogacony czuje się w sobie pokornym i małym, bo sobie myśli: Tego wszystkiego ja nie zasłużyłem, zkądże to pochodzi, że mnie dobry Bóg tak hojnie błogosławi? Bóg zaś dobry nie przestaje i nadal błogosławić małego człowieka i czyni go nareszcie wielkim bogaczem; człowiek zaś ten mimo swego bogactwa staje się jeszcze mniejszym i pokorniejszym i woła z głębi serca: „Panie! nie jestem godzien Twej łaski i miłosierdzia, jakie mi okazujesz w Swojej dobroci, naucz że mnie używać tych dóbr doczesnych dla Swej chwały i dobra bliźnich moich!" — „Patrz pan:

oto jest stara wiara. Nowa zaś wiara jest ta, jeżeli kogoś Pan Bóg obdarzy hojnie dobrami ziemskiemi, a ten człowiek nie pojmuje, że one dobra są prośbą pokory i wdzięcznej miłości dla Boga. Zamiast stawać się codziennie mniejszym i wdzięczniejszym, staje się codziennie większym, pyszniejszym i zapomina na swego niebieskiego Dobrodzieja tak dalece, że w końcu w podróżach swych mówi do towarzyszów: „Patrzcie się na mnie, kto ja jestem!" Widzisz pan: to jest nowa wiara."

Nunija.

(Ciąg dalszy.)

W skromnych fałdach suknia jej szara spadała po wysmukłej postaci — okrywając ją aż do szyi, ramiona jej chowały się w długich rękawach, a biała zasłona na głowie ułożona i u szyi zawiązana osłaniała jej twarz, oczy miała spuszczone, jak gdyby nie chcąc widzieć zachowania się swoich towarzyszek, które zwyczajem pogańskim stawało się coraz bardziej wyuzdanem.

„Co to tam za pódźka szara?" spytał Bakar, wskazując na cichą niewolnicę, i ujmując oburącz ciężki puhar złoty, aby wychylić zawarte w nim wino.

„To Nunija — odrzekła Gadani — niewolnica, którą kazałam kupić przed kilku tygodniami. Jest ona bardzo dziwna ale wierna i pracowita. Chodź tu Nunija, rzekła do młodego dziewczęcia, weź te owoce!"

Nunija podziękowała, ale nie skosztowawszy pięknych owoców, ukryła je w fałdach swojej sukni.

„Co to ma znaczyć?" zapytał Bakar surowo.

„Panie, — odrzekła pokornie — małżonka twoja daje mi tyle pokarmu; ile ciału potrzeba; pozwól żebym zaniosła te owoce chorej Katewanie; leży ona w silnej gorączce, którą te owoce złagodzić mogą."

„Katewana ciebie biła — wtrąciła Gadani — a ty chcesz jej dobrze czynić?"

Nunija podniosła ciche swoje oczy na panią swoją, mówiąc: „Bóg mój kazał mi tak czynić."

„A któż to jest twoim Bogiem? zapytał Bakar. Czyliż nie służysz Mitrze o dziesięciu tysiącach oczów?"

„Nie, służę Panu nieba i ziemi, który Syna swego jednorodzonego wydał za nas; jestem chrześcianką."

„Chrześcianką — rzekł Bakar pogardliwie, — których Bóg umarł na krzyżu; dużo słyszałem o tej dziwacznej religii, którą podobno nawet cesarz rzymski przyjął, alem jeszcze z niej wyznawców nikogo nie widział. Więc umarły wasz Bóg powiedział wam, żebyście tym dobrze czynili, którzy was biją?"

„Mój Bóg nie jest umarłym; — odrzekła Nunija — o żyje i króluje na wieki, i on nam rozkał kochać wszystkich ludzi, — nawet i nieprzyjaciół naszych."

„Brzmi to jak baśń", — rzekła Gadani wstrząsając głową. „Baśń! — zawołał ożywiony nagle Bakar, który tak jak wszyscy południowicy lubiał słuchać baśni. Opowiedz nam baśni o twoim Bogu; czy nie czynił on cudów i nie spełniał czynów bohaterskich?"

„Czynił to rzeczywiście, — potwierdzała Nunija — ale nie jest to baśń, tylko prawda wieczna, której nie godzi się opowiadać w chwili poświęconej zabawie."

„Opowiadaj!" zawołał rozkazująco Bakar, wyciągając się na miękkim dywanie, gdy tymczasem niewolnice przysiadły na podłopze.

Wahała się jeszcze Nunija, ale potem pomodliła się pocichu: „Panie, daj moc słowom moim, żeby też i poganie poznali twą prawdę." Poczem opowiedziała w prostych wyrazach o Zbawicielu grzeszników, który przywoływał do siebie nawet i najwzgardzeńszych a umarłych z grobów wskrzeszał. W oczach niewolnic łzy stanęły; podziwiały one w najwyższem uniesieniu tego męża, który obiecywał biednym niewolnikom toż samo zbawienie, co i bogatym i możnym. Dumny Bakar jednak wzruszył ramionami pogardliwie.

„Baśni twoje wcale mi się nie podobają. Niechcę ich dalej słuchać," rzekł ponuro.

Oddawszy mu niemy pokłon Nunija opuściła salę; ale Bakar nie mógł zapomnieć opowieści o Zbawicielu chrześcian, i często o nich rozmyślać, chociaż był z nich bardzo niezadowolony.

* * *

Osobliwy orszak ciągnął przez miasto. Na czele postępowała niewiasta w grubej żałobie; za nią szły dwie niewolnice, niosąc kołyskę, w której leżała dziecina o twarzy rozpalonej przez gorączkę, o szeroko rozwartych, osłupiałych oczach. Konwulsyjnie drgały delikatne jej członki, a monotonny śpiew niewolnic zdawał się drażnić ją raczej niż uspakajać. Zatrzymywali się przed każdym domem, a kobieta w żałobie, matka dziecięcia, cichym błagalnym głosem wołała; jeżeli w tym domu znajduje się kto, coby wiedział jaki środek na uzdrowienie dziecka, niech mi go powie. Wychodzili tedy mędrzy mężowie i doświadczone niewiasty, ale tylko potrząsali głowami a środka zaradczego nie wiedzieli. Wtedy niewolnice podniosły kołyskę, i dalej szedł orszak według zwyczaju tego kraju, w którym lekarzy nie znano. Tak przyszli też i do domu Bakara. Gadani sama wyszła, ale nic nie wiedziała, czemby dziecku w jego cierpieniu ulżyć mogła. W tem jedna z niewolnic przypomniała jej w jak wielu rzeczach Nunija umiała dobrze poradzić. Posłała po nią chętnie. Nachyliła się Nunija nad dzieckiem; litość nad niem zawładnęła jej sercem. „Środka żadnego, któryby mógł pomódz nie wiem, rzekła, ale mogę pomodlić się do swego Boga, może On raczy dopomódz." Uklękła przy kołysce, a gorąca serdeczna modlitwa wzniosła się do tronu Bożego. Lud zebrany otaczał ją w wielkim uszanowaniu, a widząc jaśniejące jej oblicze i poruszające się jej wargi, mniemał, że wymawia formuły czarodziejskie. Ręce miała wyciągnięte nad kołyską, a jeszcze podczas modlitwy otaczający widzieli jak się członki dziecka stopniowo

uspokojały, jak gorączka ustępowała z twarzyczki; nakoniec zamknęły się oczy do snu spokojnego. Po krótkiej modlitwie dziękczynnej Nunija powstała. Matka dziecięcia z płaczem przypadła jej do nóg, i chciała ją obsypać bogatemi darami. Nunija ich nie przyjęła, i oświadczyła stanowczo, że nie ona, lecz Bóg uzdrowił dziecię. Cicho i spokojnie pełniła ona dalej swoje obowiązki, ale wieść o niej wszędzie się prędko rozeszła, i sam nawet Bakar opowiadał o swojej cudotwórczej niewolnicy-chrześciance na dworze króla Miryjana. Mało on znalazł wiary u króla, tem uważniej słuchała go królowa Nino. W ojczyźnie swojej miała ona sposobność słyszeć często o chrześcianach; życie i wiara ich nie były jej tak obce, jak mężczyznom, którym nie chciało się pomieścić w głowie, żeby można cześć oddawać umarłemu na krzyżu Bogu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złoto, kadzidło i myrra.

Gdy niedostatki nas gniotą,
Gdy zbytki nas zgubić mogą,
Chryste, zrodzony ubogo,
Ty pobłogosław nam złoto!
Gdzie wieśniak ginie bez chleba,
Gdzie jęczą w łachmanach chorzy,
Tam złota wiele potrzeba,
Tam się niech złoto przysporzy.
Kiedy występku ohyda
Ma złota ile zamarzy,
Królu, potomku Dawida!
Daj go na chleb dla nędzarzy.
Gdzie nie masz pola do pracy,
Gdzie wątłe siły żywota,
Błagamy, jako żebracy:
Daj złota, Boże! daj złota!

Kadzidło — to symbol chwały,
Należy tylko Jehowie;
A przecież w człowieczej głowie
Dymy aromat rozlały.
Bogactwo wziętość lub władza,
Piętno zatarły w nas boże;
A dym kadzidła przeszkadza,
Że człek być człekiem nie może.
Złącz nas w braterskie ogniwo,
Daj nam zasługę prawdziwą,
Której kadzideł nie trzeba!
Gdy piekieł pycha obrzydła
Z Tobą się mierzy zuchwale,
Przeżegnaj garstkę kadzidła,

Myrra — to symbol cierpienia,
W niej pobłogosław łzy nasze!
Gdy cierń nam serce opasze,
Niechaj się wiara nie zmienia.
Niechaj nadzieja pokrzepi,
Niech miłość wskrzesi nadzieję,
Że jutro będzie nam lepiej,
Że się nam słońce zaśmieje.
Ośmiał nas — że mamy prawo
Zaufać Tobie, jak Ojcu!
I Tyś w oliwnym Ogrójcu
Pocił się łzawo i krwawo!
Gdy cierpień wpiją się miecze,
Gdy pęka serce sieroce,
Chryste! zbolały człowiecze!
Błogosław myrry owoce!

Wł. S.

Pieśń o Panu Jezusie.

O Panie Jezu, gdy k'nam przychodzisz,
Wnet pokój błogi do serc przywodzisz;
Miłosierny wzrok Twój tak uszczęśliwia,
Że nam ciało i duszę ożywia
Do wdzięczności.

My cielesnemi oczyma swemi
Oglądać Ciebie tu nie możemy:
Lecz dobroci pełne oblicze Swoje
Poznać dajesz wiernej rzeszy Twojej
Niewidziane.

O ktoby tylko Twemi słowami
Napawać serce nocą i dniami
Wiernie chciał, ten byłby już tu szczęśliwym
I z zachwytem wołałby prawdziwym:
Kto Ci równien!

Być miłosiernym, dobrym niezmiennie,
Odpuszczać winy nasze codziennie,
Leczyć, koić, cieczyć, — to Twoim celem;
Wiernym naszych być dusz przyjacielem, —
To Twa radość.

O niech błogiego pewność zbawienia
Już ziemskie życie nam opromienia
Niechaj dusze nasze gorliwe będą
Szukać Ciebie, aż łaskę posiędą
Wieczystą.

Będziemy wtedy Cię wysławiali,
I jako dziatki się radowali;
Choć nam czasem jeszcze łzy zroszą lice,
Wnet pocieszą nas Twe obietnice,
I ukoją.

Tak wiernie ku nam wyciągasz rękę,
Wskazujesz krzyż Swój i ciężką mękę,
Że, wzruszeni Twą dobrocią bez miary,
W szczerych łzach przynosimy ofiary
Dziękczynienia.

Rozwiązanie zagadki z nr. 6.
Liść.

Zagadka.

Stoi przy drodze na jednej nodze;
Kto go tknie, tego dźgnie.

Redaktor odpowiedzialny: Carol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 8. | Ełk, na niedzielę dnia 21 lutego. | 1897.

6. Jezus i płaczące niewiasty.

Łukasz 23, 27—31.

A tak Piłat przysądził, aby się dość stało żądości ich. Temi słowy osądzono Jezusa na śmierć krzyżową. Nikt nie ma nad nim litości. Bóg ojciec niebieski wydaje Syna swego jednorodzonego z miłości ku nam grzesznikom na okrutną śmierć krzyżową — a ludzie z nienawiści ku niemu wołają: Strać go, ukrzyżuj go.“ Już wyrok śmierci zapadł, włożono na jego święte ramiona krzyż ciężki, wyprowadzono go za miasto, dwóch złoczyńców towarzyszą mu na drodze prowadzącej na stracenie; jakoby on im był kiedy podobnym, a tak spełniło się na nim słowo pisma św., że policzonym był między zbrodniarzy. A tak postępuje orszak pogrzebowy przez ulice miasta Jeruzalemu. Wszystko co żyje tak mężowie jako i niewiasty powstało, aby oglądać wykonanie wyroku. Mężczyzni się srożą i bluźnią, niewiasty płaczą i narzekają, bo one widziały niedawno temu jego niebiańskie oblicze, oblicze jaśniejsze i piękniejsze od anielskich, a teraz pod ciężarem krzyża, po ubiczowaniu i zeplwaniu, widzą go najwzgardzeńszego i najpodlejszego z ludzi, męża boleści. Dotychczas, idąc Pan drogą śmierci, milczał, a nie otworzył ust swoich; jako baranek na zabicie wiedziony, lecz skoro ujrzał łzy w oczach niewiast, obraca się do nich mówiąc: Córki Jeruzalemskie! nie płaczcie nademną, ale raczej same nad sobą płaczcie i nad dziatkami waszemi.

Cóż za słowo miłości, ale i słowo świętej powagi! Ostatnie te słowo na drodze ku śmierci przemówione do ludzi. Począł on jako prorok kazaniem na górze, zakończył zaś kazaniem krzyżowym, który na ramionach dźwigał. A wołaniem jego od początku żywota, aż do końca było wołanie do pokuty, bo ona tylko może nas wyrwać ze sądu, który nas czeka. Do niewiast wprawdzie tylko Jezus przemówił, ale ważne to słowa dla wszystkich i na wszystkie czasy.

„Nie płaczcie nademną“ powiada Pan najprzód. Bo ta droga, którą szedł, była drogą Bożą, którą mu Ojciec niebieski przeznaczył, a postępuje nią w św. posłuszeństwie. Dla tego nie chce, aby go żałowano, pewnym będąc, że droga według woli Boga nie prowadzi na zatracenie i zgubę, lecz do chwały wiekuistej. Jakkolwiek ona cięzką jest i choćby nie wiem gdzie prowadziła; czy to na krzyż lub na śmierć, czy do grobu lub piekła zawsze ona zaprowadzi do nieba, przez śmierć do żywota, przez krzyż do korony. Nie chce więc, abyśmy go dla tego żałowali, bo cały świat i jego zbór mają się uczyć od niego, że drogi Pańskie, choćby najtrudniejsze i najboleśniejsze, choćby nam się zdawało jakoby nas Bóg opuścił, choćbyśmy sobie stopy na ostrych kamieniach i ciernich pokaleczyli, zaprowadzą nas do zwycięztwa, przyniosą pokój, radość i zbawienie. Bo wiedział Pan sam o sobie, że chociaż go zawieszą i przybiją na krzyż, a choć go i Ojciec niebieski opuści, to nad jego krzyżem jaśnieje korona chwały, która przyozdobi jego cierniami pokrwawioną głowę.

Inna zaś droga, którą człowiek idzie, a kiedy ta nie pochodzi z woli Bożej jest straszną i zgubną, jakkolwiek ona wydaje się piękną i wspaniałą. Kto bez Boga drogą idzie, nad tym trzeba gorzko zapłakać, tego trzeba serdecznie pożałować, bo choć się zdaje, że ta droga prowadzi do szczęścia i sławy i chwały, to koniec jej jest przekleństwo, zguba i wieczne zatracenie. Dla tego napomina Pan następnie, „ale raczej same nad sobą płaczcie i nad dziatkami waszemi.“ On też sam nieraz zapłakał, lecz nigdy nad sobą samym, ani nad krzyżem, który mu włożono, ale płakał nad zatwardziałością i zaślepieniem ludzkiem, nad Jeruzalem i narodem, tak nad temi płakał co go przeklinali, jakoż nad temi niewiastami, co go żałowały, jako też nad ich dziatkami. Krzyż ich nie ciśnie, ani rany ich się nie broczą, ale niestety znajdują się oni na drodze strasznej prowadzącej na potępienia. Dlatego ich ostrzega: „Albowiem ponieważ się to na zielonem drzewie dzieje, a cóż będzie na suchem?“ Przypatrz się straszliwemu sądowi sprawiedliwości Boga, który się wykonywa na Jezusie umierającym za grzechy świata na krzyżu. Patrz to się dzieje! o czem Pan Jezus do niewiast przemawia.

Miłość go na świat zesłała, on jest tem słońcem, z którego wszystkie promienie wychodzą. Ale skoro został zranionym dla występków naszych, starty dla nieprawości naszej i kiedy niemoce nasze wziął na się, a boleści nasze własne nosił i został zraniony, ubity od Boga i utrapiony, wtedy stanął jakoby w pośród płomienia ognistego. On to jest tem zielonem drzewem. A cóż możesz sobie piękniejszem wyobrazić jak zielone drzewo pełne mocy, soku i życia, pełne zielonych

liści, ozdobione pięknemi kwiatami, bogate w dojrzałe owoce, korzenie jego tkwią głęboko w ziemi, a gałęzie szeroko rozłożone, a korona wznosi się ku niebu. Tak stoi Jezus na roli tego świata wszczepiony ręką Boga samego, jako przedmiot jego największej miłości i upodobania. Żaden robak tej ziemi nie nadgryzł jego korzenia, żaden listek nie zwiędnął od upału i gorąca, żaden kwiat nie odpadł, a żadnej gałązki nie zerwała burza tego świata, a jego korona wzbiła się do samego nieba — a gałęzie, obciążone kosztownemi owocami, nachyliły się ku ludziom, dając im żywot wieczny, a przecież to zielone drzewo ogarniają płomienie sądu Bożego, że wyznać musimy, że został zraniony dla występków naszych, starty dla nieprawości naszej. To co Mojżesz w obrazie widział, kiedy Bóg Jehowa z nim o odkupieniu Izraela rozmawiał, to stoi teraz przed nami przed całym światem i Jeruzalem w rzeczywistości. On jest tem gorejącym krzem, z którego Bóg Abrahama do Izraela, a wszechmocny Stwórca nieba i ziemi do nas przemawia. Płomienie ogarniają go, on czuje ich wpalenie, ale spalić go nie mogą. On zgasi je swoją czystą, świętą krwią, a z tego ognia wnijdzie słońce łaski i zbawienia na widnokrąg grzesznego świata, aby świecić na wieki.

Lecz biada temu człowiekowi, który nie szuka schronienia w tem świetle słonecznem, wstanie on tem suchem drzewem. Jakże obrzydliwem takie uschnięte drzewo, korzenie jego pognity, pień martwy, już nie masz na gałęziach jego ani listeczka, stoi jako szkielet, a kiedy takowe drzewo ogień ogarnie, któż je wyratuje, kto ocali. Takiem okiem patrzy Zbawiciel na stracone owieczki z domu Izraelowego, których z taką gorliwością szukał, które mu tyle trudów i pracy zadały grzechami swojemi, a które z taką upartością słowo miłości i żywota wiecznego, któremi do nich przemawiał od siebie odepchnęli. To są drzewa suche martwe. Już ostatnie liście opadną, wnet, wnet, a nadejdzie dzień straszny, dzień sądu pańskiego, a ogień straszny ogarnie ich i spali od wierzchołka aż do korzenia. Wtenczas wszystko się przemieni, radość w najgłębszy smutek i narzekanie. Te, które jako samotne pożałowania godnemi były, które niedoznały uciech jakie rodzinne życie przynosi, te będą nazwane szczęśliwemi w pożyciu rodzinnem, będą najwięcej pożałowania godne, kiedy nad swemi dziatkami, temi najdroższemi klejnotami serca macierzyńskiego z bólem zapłakać i wyznać będą musieli: lepiej by wam było gdybyście się byli na ten świat nie narodzili. Tak chwyta Pan za serca one niewiasty, tak im maluje przed oczyma żywą biedę, nad którą on sam zapłakał. Oj gdyby były przyjęły to słowo do serca swojego, gdyby były zapłakały nad sobą samemi i dziatkami swojemi i mężami własnemi, ach gdyby były nad niemi nie przestały płakać z bólem wielkim, rozdzierającym serca ich i wołały, nawróćmy się póki jeszcze czas, nawróćmy się i nie odkładajmy pokuty do jutra, byłoby Jeruzalem nie było zburzonem.

Ale to słowo Pana Jezusa przebrzmiało o uszy ich, osuszyły łzy z oczów swoich, a poszły drogą zguby, razem ze swoimi mężami i dziatkami, ogień zatracenia na nich przyszedł i spalił te suche drzewa i pożarł je na wieki.

Ten ogień, mili moi, nie przestał się palić, a kiedyś zajmie się i na suchych drzewach. Pismo święte porównywa bardzo często człowieka do drzew. Był on palmą stworzenia, pielęgnowaną nad brzegami wód niebiańskich, nigdy nie miały liście jego zwiędnąć, a miał owoce przynosić ku upodobaniu Bożemu, ale niestety z grzechem weszła w nas potęga śmierci, która życie nasze prawie do ostatniej iskierki wytępiła.

Ale mimo tego jeszcze istnieje w nas iskra żywota, jeszcze nie wytraconem zostało z serca naszego pragnienie wieczności, jeszcze nie zatraconem poznanie grzechu i nędzy, w jakiej się znajdujemy, a z tej iskierki może się rozniecić święta boleść nad grzechami i tęsknota są odkupieniem i zbawieniem, jeżeli człowiek da się pociągnąć miłosierdziu Bożemu, a słowo o pokusie i nawróceniu przyjmie do serca swojego. W przeciwnem zaś razie, gdy odepchnie od siebie to słowo wołającego do pokuty i nawrócenia się, i nigdy nie zdoła zapłakać nad sobą samym, jeżeli tak mężczyzni jako i niewiasty ślepemi zostaną i nie widzą ani nie czują swej choroby śmiertelnej grzechów, nie poznają jak są nędznemi i ubogiemi, nie poznają, że lecą na ślep w paszczękę śmierci, jeżeli powiadam, mężczyzny i niewiasty, a one swych mężów wiodą do zguby i coraz bardziej odpadają od Boga, a lecą w przepaść świata tego, Kiedy, Boże uchowaj, już matka ani łezki nie ma, aby zapłakać nad straconym dziecięciem, albo aby go jeszcze uratować od zguby i do Zbawiciela przyprowadzić, albo co gorsza złym przykładem od Zbawiciela swe własne dziecię odwodzi i pędzi go siłą złego przykładu w zgubę świata tego, wtedy nic dziwnego, że wkrótce wygaśnie w ich sercach iskierka żywota niebieskiego, że to piękne drzewo potraci liście zielone, obumrze i uschnie ze wszystkiemi gałązkami, aż do samego korzenia. Nie uniknął oni tego dnia strasznego, w którym to, co im za życia było najdroższem i najmilszem, stanie się męczarnią i obrzydliwością, kiedy rodzice dzieci swe a dzieci własnych rodziców przeklinać będą. Niechże więc we łzach boleści stanie się nasze odrodzenie — podlejmy i zwilżmy to drzewo, nas samych łzami pokuty, aby się rozwinęło i zakwitło, a owoce do królestwa Bożego sposobne wydało, wtenczas rodzice i dziatki, będą błogosławieni. Amen.

Nunija.

[2] (Ciąg dalszy)

Od czasu uzdrowienia chorego dziecięcia Nunija doznawała ze strony swej władczyni niemal szacunku; nie używała tego jednak na swoją korzyść. Owszem spełniała i nadal jak najsumienniej wszelkie włożone na nią dawniej obowiązki. Wpływu swego używała tylko na ulżenie doli towarzyszek swej niewoli. Bezwiednie oddziaływała ona także i na samą panią swoję. Gadani była

wprawdzie dobrą, ale nadzwyczaj porywczą kobietą. Teraz, widząc cichą pokorę i cierpliwość niewolnicy, która nigdy nie złorzeczyła, groziła lub unosiła się, — zawstydziła się swej niecierpliwości, i starała się pohamować popędliwość swoją. Sam nawet Bakar powstrzymywał się od gwałtownych czynów, gdy słyszał Nuniję modlącą się cicho o życie zagrożonych wspólników niedoli; zdawało mu się czasami, że Bóg ukrzyżowany jednak musi być silniejszym, niż pierwotnie sądził. Pomiędzy niewolnikami zaś, skutkiem powtarzanych opowiadań Nunji, w niejednem sercu zakiełkowało miłość ku Zbawicielowi; niejeden byłby pragnął być ochrzczonym, aby mógł wyznać Chrystusa; biedna niewolnica jednak wiedziała jak niedostateczną była jej nauka; a księdzą chrześcijańskiego nie było w całym kraju.

W tym czasie zdarzyło się, że królowa Nino ciężko zaniemogła. W obawie o życie ukochanej małżonki przypomniał sobie król Miryjan ową cudotwórczą chrześcijankę, i rozkazał Bakarowi przysłać ją na dwór królowej. Jakże jednak zadziwił się Bakar, gdy Nunija stanowczo oparła się usłuchać tego wezwania, mówiąc, że nie jest czarodziejką. Zapalił się gniewem Bakar, grożąc jej śmiercią; ona pokornie nachyliła głowę, aby przyjąć raz śmiertelny, a broń wypadła mu z ręki. Prawie więcej jeszcze rozgniewał się król, gdy mu Bakar o oporze niewolnicy opowiedział. Ale go królowa uspokoiła, a natomiast wydała rozkaz, żeby ją zaniesiono przede drzwi Bakara, tak jak owo chore dziecko, będąc pewną, że widok jej cierpień wzbudzi litość w sercu Nunji.

* * *

Otoczona niezliczonym mnóstwem niewolników i wielkim orszakiem dostojników królewskich, zbliżała się lektyka, w której leżała chora królowa, do domu Bakara. Na klęczkach ucałowała Gadan wychudłą rękę swej pani, i rozkazała przywołać Nuniję. Stawiła się ona, skromnie jak zawsze okryta zasłoną swoją. Podniosła się wtedy królowa i rzekła błagając: „Chrześcianko, słyszałam, że Bóg twój wysłuchuje każdego, kto go szczerze wzywa; użal się boleści moich i proś go za mną.“

Błaganiu temu Nunija oprzeć się nie mogła: uklękła i długo się modliła. Królowa nie odwracała wzroku od niej, a kiedy podniosła się znowu, podało jej rękę i rzekła: „Dziękuję ci; wiem, że cię Bóg twój wysłuchał.“

Cierpienia królowej ustały rzeczywiście od owego dnia, i w krótce wyzdrowiała zupełnie. Wyzdrowienie to przypisywano powszechnie modlitwie Nunji. Król więc chciał ją obsypać najkosztowniejszemi darami, i wykupić ją z niewoli; ale go królowa od tego powstrzymała. „Słyszałam w ojczyźnie swojej. — rzekła — że chrześcianie pogardzają ziemskiemi darami, a tylko te uważają sobie za nagrodę, jeżeli kto z nimi czci ich Boga.“

Król Miryjan wzruszył pogardliwie ramionami i zamilkł. Ale królowa odtąd często wzywała Gadani z Nuniją do pałacu swego, i dużo zadawała pytań o wierze chrześcian, aż otworzyły się oczy obojga niewiast, tak, że zapłaty serdecznem pragnieniem pozyskać mężów swoich dla wiary chrześcian.

Czasami musiała Nunija opowiadać koleje swego życia. Była ona córką bogatego kupca chrześciańskiego; w wojnie z Iberyjczykami rodzice jej zostali zabici, dom ich spalono, a ona sama wzięta do niewoli została sprzedana na targu niewolników i kupiona przez ochmistrza Gadanii. Nigdy nie skarżyła się na los swój smutny, nigdy nie wyrażała życzenia otrzymania wolności. Pan daleko więcej cierpiał niż ja, mawiała; Bóg też wie najlepiej dla czego mię tu zawiódł; w Nim wolną jestem, będąc biedną niewolnicą. Tylko kiedy mówiła o rodzicach swoich, oczy jej napełniały się łzami. Ale pocieszała się nadzieją, że ich znowu w chwale ujrzy, a na tę myśl właściwa jej cicha radość powracała na lica. Gadani zaś i Nino jej więcej niewolnicą nie nazywały, tylko siostrą, a wtedy oczy jej żywiej jeszcze jaśniały radością: zresztą pozostała ona i nadal tak samo wierną, uległą i usłużną niewolnicą.

* * *

Król Miryjan znajdował się na łowach z przedniejszymi dworzanami swymi, pomiędzy którymi znajdował się także Bakar. Po wojnie najmilszem jego zajęciem było polowanie, i niejeden wilk i niedźwiedź padł od oszczepu i strzał jego. Jak zwykle tak i dziś król wyprzedził wszystkich na rączym swoim rumaku; coraz więcej oddalał się od orszaku swego, i nakoniec znalazł się sam pośród dzikich urwisk skalnych, z których nie mógł znaleść wyjścia. Przytem niespodzianie ściemniło się niebo, i gęsta mgła zakryła wszystko nieprzejrzystym całunem, z którego tylko wycie wilków go dolatywało. Koń drżał pod nim ze strachu. Zeskoczył z niego i wzniósł ręce do bożka swego Mitry, wołając: „O Mitro, który ze straszną pałką w ręce przebiegasz przestrzeń pomiędzy niebem a ziemią, który tysiącem uszów słyszysz, a dziesięciu tysiącami oczów widzisz, który zwycięzko walczysz przeciw Arymanowi, pomóż mnie wiernemu wojownikowi swemu, który tajemnice świętej służby zbadał poddawszy się wszelkim próbom, i otrzymał święcenie na orła, — pomóż mnie!“ Ale widocznie żadne z tysiąca uszów Mitry nie słyszało tego wołania, — bo król który w zapale łowieckim od samego rana nic nie miał w ustach, łaknął teraz straszliwie, a wycie wilków coraz bliższem się zdawało, grożąc mu zagładą. Rzucił się na ziemię i wołał coraz rozpaczliwiej i głośniej, ale na próżno; mgła tylko gęstszą się stawała, i wycie wilków zbliżało się coraz bardziej. W ostatniej rozpaczy wspomniał na ukochaną królowę, której łagodnego oblicza widzieć, a słodkiego głosu widzieć, a słodkiego głosu słyszeć już więcej nie miał.

Czyżby ona dla tego wyrwaną została z paszczęki śmierci przez modlitwę chrześcijanki, żeby on jej teraz został zabranym, i to w sposób tak haniebny? Modlitwa chrześcijanki! Ona głośno nie krzyczała do Boga swego, ona nie tarzała się rozpaczliwie po ziemi, tylko wargami ruszała, a on ją jednak wysłuchał, pomimo że wisiał mar-

twy na krzyżu, już kilka set lat temu. Czyby i jego miał wysłuchać? Nie, to nie możebne! Wszakże nie był sługą jego; chyba tylko śmiał z niego żartować sobie! Pomimo takich myśli, które się cisnęły do duszy jego, zawołał w rozpaczy swojej: „Boże chrześcijan, wysłuchaj mię w mojej nędzy, pokaż mi wyjście z tej puszczy, a będę ci służył całe swoje życie, wyrzekając się Mitry zupełnie.“

Czego natarczywie domagał się od Mitry, który w mniemaniu jego obowiązany był wiernemu swemu słudze, będącemu w dodatku królem, dopomódz w niebezpieczeństwie, — tego dopraszał się bardzo pokornie od Boga chrześcijan, dla którego nic jeszcze nie był uczynił. Przeciwnie, przypomniało mu się teraz, że ten Bóg już dla niego coś uczynił, uzdrawiając mu królowę, oraz że słyszał, jakoby On nic więcej nie żądał, tylko żeby mu cześć oddawano. Jeszcze raz poganin powtórzył ślub, uczyniony, w bojaźny swego serca, — a oto, mgła rozstąpiła się. Miryjan spostrzegł teraz wązką dróżynę górską, po której mógł dojść do towarzyszów swoich.

„Dziękuję ci, Boże chrześcian, żeś wysłuchał modlitwy mojej, zawołał z głębi serca; i ja również wiernie chcę ci dochować ślubu swego.“ Wskoczył na konia, a po krótkiej jeździe po nad przepaściami, podczas której ponownie polecał się się Bogu, napotkał niespodzianie kilku ze swoich towarzyszów, którzy go w najżywszem zaniepokojeniu szukali, a teraz powitali radosnym okrzykiem.

— Zdumieli się oni, widząc króla bardzo poważnym i cichym! nie opowiadał nic o tem, jak się z puszczy skalistej wydostał; tylko zbliżywszy się do miasta zawołał Bakara, i rzekł mu: „Przyślij jutro swoją niewolnice, Nuniję, do zamku.“

Bakar skrzyżował ręce na pierś, a król pożegnał swój orszak.

* * *

Kiedy Bakar, wróciwszy do domu, zawiadomił żonę o rozkazie królewskim, ta ostatnia nie pomału zdumiała; tak samo i Nunija nie mogła odgadnąć jego przyczyny, ale posłusznie mu się poddała. W pałacu królewskim kazała się naprzód zaprowadzić do królowej, do której zawsze miała przystęp.

(Dokończenie nastąpi.)

Z Bogiem, z Bogiem.

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa,
Tak mawiali starzy,
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się darzy.

Masz się uczyć choć niewiele:
Weźmij łaski Bożej, —
To oddali myśli płoche
Pilność twą pomnoży.

Idziesz w drogę, chociaż blizko,
Z Bogiem wychodź z progu!
A gdy wrócisz z niej szczęśliwie
To podziękuj Bogu.

Szukasz pracy, szukasz szczęścia,
Westchnij przy robocie!
Bóg przeżegna, że poczciwie
Skończysz ją i w cnocie.

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa,
Tak mawiali starzy;
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się darzy.

Nadzieja Nasza.

Z świata tego
Chciałbym do Jezusa mego
Odejść już, bo mem pragnieniem:
Być pod skrzydeł Jego cieniem,
I przed tronem Jego stać.

Swiatło drogie,
Co rozpraszasz chmury wrogie:
Kiedyż kiedyż z wybranymi,
Przed Twój tron dopuszczonymi
Ujrzę świętą Twoją twarz?

Hymn wspaniały
Wznosi chór aniołów cały.
Dusza rwie się do polotu,
I od ziemskich nędz kłopotu
Do Syonu dąży wzgórz.

Jak to będzie,
Gdy wzbawionych świętym rzędzie
Do Salemu bram wkroczymy,
Ciebie, Panie, tam ujrzymy:
Jakaż będzie radość tam!

Raju miły!
Jak twój owoc wzmacnia siły!
Jako którzy śnią, będziemy,
W cieniu drzew twych gdy staniemy,
Daj nam, Panie posiąść raj!

Rozwiązanie zagadki z nr. 7.
Oset.

Zagadka.

Ma nogi — nie chodzi,
Ma rogi — nie bodzie.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 9. | Ełk, na niedzielę dnia 28 lutego. | 1897.

7. Jezus i złoczyńce.

Łukasz 23, 39—42.

Może żadna choroba nie jest tak zaraźliwą jak choroba grzechu, przechodzi ona z łatwością z jednego na drugiego, a w krótce przenosi się na całe rodziny, zbory na wszystek lud. To samo widzimy pod krzyżem, bo nawet ten, który był z Panem Jezusem ukrzyżowanym, słysząc jak lud i żołnierze z Jezusa się naśmiewali począł mu urągać, mówiąc: „jeżeliś ty jest Chrystus, ratujże siebie i nas.“ Sam we wielkich boleściach patrzy w oblicze śmierci się zbliżającej, lecz potęga grzechu jest mocniejszą, aniżeli boleści śmierć sprowadzające. Bo tak jako lud uniesiony gniewem i nienawiścią, ku Chrystusowi urągają z niego, tak i on z tych samych przyczyn zapala się złością, i urągają Jezusowi, naśmiewając się z niego, że przybrał sobie imię Chrystusa, ale niem nie jest, skoro ani siebie, ani ich od śmierci wyratować nie może. Ale też spełniła się przepowiednia proroka mówiącego, że był najwzgardzeńszy i najpodlejszy z ludzi, bo tak lud jako żołnierze a nawet złoczyńca z nim razem ukrzyżowany, naśmiewają się z niego i urągają mu. A chociaż to godzina najciemniejsza w życiu Jezusa, która dla niego wybiła, ciemności te, ale w krótce ustąpią, a Chrystus okaże się w swoim majestacie, mając moc nawet na krzyżu udarować królestwem Bożem. Tak rozwija się rozmowa ważna pomiędzy temi trzema ukrzyżowanemi tak pod względem okoliczności towarzyszących jakoteż według treści. Rozmowę tę napoczął złoczyńca na lewej stronie Jezusa ukrzyżowany, a zwracając się do swego towarzysza z prawej strony, zagaduje Jezusa. Lecz nie jest to głos człowieka odzywającego się według psalmisty. „Z głębokości wołam do ciebie, o Panie!“ ani nie jest to wołanie serca, pokutującego, pragnącego odpuszczenia grzechów, głos wiernej duszy wzywającej Pana o ratunek, lecz jest głos człowieka, który wpadł głęboko w sidła zepsutego świata. A mowa jego zdradza, że należy do rodzaju ludzi nasienia djabelskiego, którzy z Boga Chrystusa urągając, przepisuje mu, co ma czynić. Na takie bluźnierskie słowa nie ma Pan żadnej odpowiedzi, lecz one dosięgły uszów tego złoczyńcy, co był po prawej stronie ukrzyżowanym, a te go tak przeraziły i przestraszyły, że nie mógł na nie milczeć, lecz odpowiada mu na nie, a odpowiedź jego pochodzi z serca przepełnionego uczuciem jakiego doznał patrząc na niewinnie ukrzyżowanego Jezusa. On też głęboko upadł w grzechach swoich, on też człowiekiem pochodzącym z grzesznego nasienia, lecz jego słowo jest wyrazem pokuty i żałości nad grzechem człowieka, który w całej głębokości swą zgubę poznał. Na krzyżu spodkały się dwa rodzaje grzeszników, jeden rodzaj szatańskiego pochodzenia, drugi narodzony z niewiasty!

Zaledwo on złoczyńca z lewej strony wyrzekł: „Jeżeliś jest Chrystus ratujże siebie i nas“, a zaraz otrzymał odpowiedź na nie od onego drugiego złoczyńcy, która uderzyła jako piorun w jego zatwardziałe sumienie, aby go obudzić w ostatniej godzinie ze snu śmiertelnego, mówiąc mu i gromiąc go: „I ty Boga się nie boisz, chociażeś jest w temże skazaniu? A myć zaiste sprawiedliwie: bo godną zapłatę za uczynki nasze bierzemy.“ W tych słowach widzisz wiernie wymalowany obraz bezbożnika. Dziwisz się zapewne, miły w Panu, nad dzikością onego ukrzyżowanego i umierającego złoczyńcy po lewej stronie, że jest jeszcze w stanie bluźnić i urągać się. Lecz do tego stopnia złości nie od razu doszedł, powoli, powoli wstępował ze stopnia na stopień, aż stanął na wysokości zepsucia i bezbożności. Każdy człowiek rodząc się na świat rodzi się i ze sumieniem, a bojaźń Boża nie daleko jest oddaloną od serca naszego, a jedno słowo Boże może ją w nas obudzić. Lecz człowiek potrafi głos sumienia przytłumić słowo Boże z daleka od siebie zatrzymać, idzie tam gdzie bluźniercy się zgromadzają, wstępuje na ich drogę grzechu, wpada coraz głębiej z grzechu w grzech, a tak siedzi on w dolinie cienia śmierci. Co w człowieku jeszcze drzemie dobrego, zasypia zupełnie, a na koniec umiera w nim wszystko co z Boga jest. Tak działo się i z onym złoczyńcą z lewej strony. Nie był on poganinem, lecz żydem, a od młodości swej pukało do serca jego słowo żywota. Ale nie słuchał na nie, nie uwierzył prawdzie, która go zbawić chciała, posłuchał kłamstwa to pokochał i poszedł, odwróciwszy się od Boga, za głosem kusiciela, który jest kłamcą od początku. Tak uśpiło się w jego duszy sumienie i zamilkło na zawsze, tak żył bez Boga i wpadł w coraz to cięższe grzechy, aż stał się zbrodniarzem, aż na koniec przybili go na krzyż, a w boleściach strasznych stoi przed nim sąd i wie-

czność. Całe życie nie znał Boga to i w śmierci nie masz Boga dla niego. A gdzie Boga brakuje tam nie masz i bojaźni Bożej tam nie ma trwogi przed przykazaniami jego świętymi, tam stracił grzech swe żądło. A słowa gromu o Bogu karzącym, o sądzie i wieczność są mu obce, nie pojęte, niezrozumiałe. A gdyby jeszcze uszedł śmierci, to znowu zwróciłby się na drogę grzechu i obrazy Boskiej. Chrystus, Zbawiciel, który grzechy może odpuścić i ratować od zatracenia wiekuistego, jest mu zgorszeniem i głupstwem. Strasznem to jest, ale niestety prawdziwem, że tej bezbożności tyle na tym świecie, a nawet na łożu boleści już prawie samem skonaniu, nie mogą się ocknąć z tego uśpienia grzechowego. Iluż to chorym a nawet umierającym trzebaby zawołać: „I ty się Boga nie boisz?" Leżą, wijąc się w cierpieniach i boleściach na łożu śmiertelnem, a już cień śmierci ich ogarnął. Coraz słabiej i słabiej uderza serce, a oddech ucieka, siły ustają, oczy widzą tylko przez mgłę, nad ich łożem klęczą ze złożonemi rękoma ich najdroższe osoby, wołają o ratunek i zbawienie ich duszy, sługa Boży uderza jako młotem o skamieniałe ich serca i woła do pokuty i nawrócenia, opowiada Zbawiciela grzeszników, przynosi łaskę w imieniu Jezusa, lecz on nie widzi i nie słyszy, a ostatniemi siłami odwraca i oddala od siebie łaskę i miłosierdzie Boga! A sąd coraz bliżej, a za tą bramą doczesności, czeka go wieczność. Ale to mu wszystko obojętne ha, gdyby mu zdrowie wrócono, gdyby jeszcze raz mógł wstać z łoża boleści, a znowu dalej i dalej puścić się drogą grzechu, aby jeszcze bardziej bluźnić przeciw Bogu i pomazańcowi jego, ha, wtenczas radowałaby się dusza jego. To są jego myśli, to jego pragnienie, ale nie myśli o straszności grzechu i karze ani o Zbawicielu, który jest ratunkiem i pomocą grzeszników. Ach wielki Boże, czyż to jest możliwem, westchnąć musimy, czyż to podobnem między temi, którzy noszą imię Chrystusa!

Tego co zupełnie stracił ten jeden złoczyńca, nie stracił wszystkiego z łaski Boga ów drugi. Prawdę wyznać musimy, że i on był złem człowiekiem i on był grzesznikiem umiłowawszy świat, a swój grzeszny żywot zakończył jako zbrodniarz, za co go też zasłużona kara spotkała.

Sumienie jednak jego nie ucichło, a bojaźń Boża tliła się w jego sercu od czasu do czasu jako iskra w popiele, lecz nigdy zupełnie nie wygasła. Wprawdzie wpadł i on w ręce bezbożników i szedł drogą grzechu, lecz nie raz doznał obrzydzenia w obcowaniu z bluźniercami. Jeszcze było i żyło w nim coś, za co ręka Boża uchwycić go mogła, a łaska Boża do duszy jego zbliżyć się potrafiła. Kiedy więc wydanym został w ręce sprawiedliwości, a w ciemności więzienia miał sposobność rozmyślać nad grzechami popełnionemi, to sumienie obudziło się w nim; a kiedy mu wyrok śmierci wyrzeczono, to ta iskra bojaźni Bożej wybuchła płomieniem, który mu zaświecił do głębi duszy i rozświecił te noce, co je w grzechach pędził, a kiedy krew z ran mu płynie, to przeraził go grzech, a bodziec śmierci stawił go przed bramą strasznej wieczności. Wisi na krzyżu, a pyta się co się z nim stanie? co go czeka? co z nim będzie? Straconyś, zgubionyś na wieki, woła głos sumienia, a trwoga śmiertelna przejmuje serce jego. Teraz poznaje, że grzechami swemi zasłużył sobie na haniebną śmierć na krzyżu i wyznaje przed Bogiem i światem: „My zaiste sprawiedliwie, bo godną zapłatę za uczynki nasze bierzemy, ale ten nic złego nie uczynił." Wielkie i prawdziwe to wyznanie. Oddaje tak prawu Boskiemu jako i ludzkiemu słuszność i sprawiedliwość. Sam siebie obwinia, sam sądzi i potępia. Jakkolwiek takie wyznanie rzadkiem i trudnem jest, przecież powiada: jam zgrzeszył, a teraz za to odbieram na com sobie zarobił, cierpię, bom zasłużył. Świat utrzymuje wprost przeciwnie, a kiedy nastaną godziny boleści, nie wiedzą, czemby sobie na nie zasłużyli, sądząc, że są niewinnemi, na wszystko winę składają tylko nie na siebie, to ludzie, to nawet Bóg, powiadają jest niesprawiedliwym i okrutnym, że na nich niewinnych złożył ciężar boleści i cierpień! Lecz ta mowa człowieka pysznego i niepokutującego powinna przerazić serca nasze, pomnąć na słowo Jana Chrzciciela: „Rodzaju jaszczórcy, któż wam pokazał, żebyście uciekali przed przyszłym gniewem?"

Kiedy zaś człowiek w pokorze serca swojego wyzna: Ja sam zgrzeszyłem i nieprawość popełniłem, jam zasłużył na sąd i skaranie, cierpię, bom na to zarobił wtenczas rozbroisz gniew sprawiedliwy Boga, a sąd zamieni ci się w miłosierdzie. Nie wynosi on się po nad swego towarzysza z lewej strony, nie masz różnicy między niemi, oba upadli, oba zgrzeszyli, oba w jednakowem potępieniu, a co sobie zasiali to też i żąć będą.

A tak jak z jednej strony poznał on swój grzech i wielką winę, tak z drugiej strony świadczy o niewinności Jezusa, chociaż on równo z niemi w jednakowem potępieniu się znajduje. „Ten, woła złoczyńca, nic złego nie uczynił." My winnemi jesteśmy, on zaś jest niewinnym. My grzesznemi, on sprawiedliwym. Co on zbiera, to inni zasiali, że on cierpi, to temu inni zawinili. Wszyscy ludzie przyznać muszą, skoro jest mowa o zapłacie grzechu lub karze za grzechy, żeśmy sobie sami na to zasłużyli, a tylko on sam jedynie, ten który w pośrodku na krzyżu umiera jest wyjątkiem, bo ten nic złego nie uczynił i takiem okiem patrząc na umierającego Jezusa zrozumieć możesz tajemnicę krzyża. Tylko ten komu to światło zaświeci, znajdzie drogę przez żal nad grzechami do królestwa Bożego, gdzie sprawiedliwość jest, pokój, gdzie tron łaski, aby dziecię stracone rzuciło się w objęcia miłości ojcowskiej, który otrze łzę pokuty z oczu jego i uzdrowi rany bolesne.

A kiedy Jezus to szczere i prawdziwe wyznanie posłyszał, zabrzmiało ono mu jako śpiew anielski, lecz przecież milczy, aby on złoczyńca miał czas wyrzucić wszystkie uczucia serca swojego. Bo do pokuty jaką on złoczyńca czynił, brakowało jeszcze wiary, aby mu mógł łaskę wyświadczyć. Więc milczy Pan czekając, wyglądając, spodziewając się od niego jeszcze jednego słowa, słowa

ufności i wiary, aby mu mógł zapewnić, nie bój się ja ci pomogę, ja cię wyratuję i zbawię. Jak nigdy tak i teraz Pan się nie omylił, i nie długo potrzebował czekać na słowo wiary ze serca złoczyńcy pochodzącego, bo oto obraca się on grzesznik pokutujący do Jezusa, a pełen wiary i ufności wypowiada słowo, na które Jezus czekał, a które zbawić miało duszę jego, a ewangielista dobitnie powiada: I rzekł do Jezusa: „Panie! pomnij na mnie, gdy przyjdziesz do królestwa twego.“ Cóż to za słowo! jakiego mu podobnego nie znajdziesz, jakkolwiek wiele słów wiary wzniosło się ze serca pełnego żalu przed tron Boga, wiele modlitw z głębokości trwogi i bojaźni zaniesionemi zostały do Pana, ale podobnego temu trudno jest znaleźć. Panie, woła on, Panem nazywa tego, co się z nim w równym potępieniu znajduje, Panem go mieni, choć na krzyżu rozpięty, którego kapłani i uczeni w piśmie na śmierć wydali, a lud odrzucił od siebie. Panie, ale i królu, bo wierzy w jego królestwo, do którego przez śmierć krzyżową wstąpi w królestwo, które sobie śmiercią zdobędzie i na tym świecie założy, w królestwo łaski i wiecznej szczęśliwości, królestwo, w którem on na tronie zasiądzie, aby sądzić żywych i umarłych. Była to wiara podobna onego setnika z Kapernaum, a jakiej Pan w Izraelu nie znalazł, aż dopiero tu, tu na krzyżu w sercu złoczyńcy.

Pan Jezus słysząc taką wiarę już dłużej milczeć nie mógł, aby smutnego nie pocieszyć, ufającego nie zapewnić, wołającego nie wysłuchać i zapewnia go słowem swej Boskiej potęgi: „Zaprawdę powiadam tobie, dziś ze mną będziesz w raju.“

A on, który płakał, pocieszonym został, który wierzył, zobaczył, ta owieczka, która była zbłądziła, znalazła swego pastórza, który ją wziął na ramiona swoje i zaniósł do domu Ojca swego niebieskiego.

Te trzy krzyże na Golgocie niechajże żywo i zawsze przed oczyma twemi stoją, z nich czytać możesz całe prawo ewangielii św., z jednego grozi ci palec potępieniem, z drugiego wskazuje ci na Chrystusa, a z trzeciego wyciągają się ręce miłości ku tobie i obdarzają cię rajem! Amen.

Nunija.

Nino nie mniej od innych się zdziwiła, bo po powrocie z wczorajszego polowania król jeszcze słowa do niej nie przemówił. Sama przeto zaprowadziła Nuniję do króla, który wezwawszy ją, żeby przy nim pozostała, zwrócił się z uroczystą powagą do niewolnicy i rzekł: „Przez ciebie naprzód słyszałem o Bogu chrześcian wszechmocnym i miłosiernym: do Niego wczoraj zwróciłem się, będąc w wielkim niebezpieczeństwie; On mi też dopomógł, podczas gdy mój Bożek Mitra opuścił mię haniebnie. Wtedy ślubowałem Jemu, że Jego samego czcić i Jemu odtąd służyć będę.“

Kto zdoła opisać radość obydwóch niewiast, gdy król mówił dalej: „Ponieważ w całym moim kraju niemasz nikogo, którýby o tym Bogu wiedział; ty więc będziesz mię nauczała, jak trzeba Jemu służyć, i jak padobać się Jemu można.“

Z radością najwyższą w sercu odrzekła Nunija pokornie: „Kimże ja jestem, biedna niewolnica, żebym miała nauczać króla; na to potrzeba księdza.“

„A gdzież takiego znajdę?“ spytał król.

„W państwie Rzymskiem jest ich wielu, odpowiedziała Nunija; idą oni na wszystek świat, i opowiadają ewangielię nawet tam, gdzie ich biją i zabijają; o ileż chętniej przyjdą tam, gdzie ich uprzejmie zaproszą.“

„W takim razie każę napisać list do cesarza Konstantyna, żeby mi przysłał nauczycieli, którzyby mię uczyli służyć Bogu jego; tymczasem jednak odpowiedz ty mi, co wiesz o Nim.“

„Tego nie potrzeba, królu mój, rzekła Nunija; ile ja wiem, tyle też wie królowa wasza. Niechaj ona będzie nauczycielką waszą.“

Tym sposobem dowiedział się Miryjan, że królowa i wiele innych niewiast jego poddanych oddają już cześć Bodu chrześcian. Tem też uważniej sam słuchał słów królowej Nino.

Z ust króla dowiedział się także i Bakar o tem, co zaszło; ale rozgniewało go to nadzwyczaj. Groził żonie wypędzeniem, a Nunii sprzedaniem, gdyby za ich sprawą miała nastąpić w kraju zmiana religii. Wprawdzie obawiając się gniewu królewskiego gróźb tych naraz nie wykonał; w domu jednakże obie kobiety musiały znosić z jego strony straszne okrócieństwo, a serce jego zatwardziało do tego stopnia, że Nunii prośby i modlitwy już nań wpływu nic wywrzeć nie mogły. Nigdy jednak ani słowem jednem nie żaliła się, znosząc wszelkie udręczenia w pokorze. Bakar nareszcie zabronił żonie i Nunii widzenia się z kimkolwiek; pod pozorem choroby ich oddalał wszystkich, chcących je odwiedzić. I rzeczywiście Gadani od doznanych udręczeń, a więcej jeszcze ze zmartwienia nad zatwardziałością swego męża zachorowała i umarła. Nunija zaś, osadzona w tajemnem więzieniu była tak strzeżona, że nawet królowa przybywszy na pogrzeb Gadani, który Bakar z wielkim przepychem i okazałością wyprawił, nie mogła jej i do niej się dopytać. Bakar wolał nawet narazić się na niełaskę króla; sądził bowiem, że ten z czasem o Nunii zapomni, a wtedy też i nowej religii wspominać więcej nie będzie. Znał on rodaków swoich, i wiedział, że życie kobiet zaprzątały tylko stroje i różne błachostki; mężczyznom zaś wojny i łowy nie pozwalały zaprzątać się dłużej jaką myślą poważną. Pewnym więc był, że Nino tak samo jak i Miryjan o chwilowym kaprysie prędko zapomną. Ale ziarno ewangielii zbyt silnie już było zakorzenione w sercu królowej, ona też u króla pielęgnowała troskliwie iskierkę wiary, żeby nie przygasła. Prócz tego bez wiedzy Bakara dawno już był wyprawiony do cesarza Konstantyna list z prośbą o nauczycieli.

Zniecierpliwiony oporem Bakara, który wzbraniał się stanowczo przyprowadzić Nuniję do dworu, a nawet królowej do niej puścić nie chciał; Miry-

jan wezwał go do siebie i zagroził mu śmiercią, gdyby niewolnicy żywej nie wydał. Zaraz em uwięziono go, aby powodowany nienawiścią przeciwko chrześciaństwu nie kazał sprzątnąć Nunii; królowa zaś sama z orszakiem udała się na jej poszukiwanie w domu Bakara. Długo jednak na żaden ślad biednej męczennicy natrafić nie zdołano, aż nareszcie jeden ze starych niewolników przypominał sobie straszny tajemny loch podziemny, w którym nieszczęśliwą rzeczywiście znaleziono.

Jakby w tryumfie zaniesiono biedną kobietę do króla; na której obliczu pomimo przebytych męczarni, widniał błogi pokój, z czcią najwyższą cisnęli się po drodze wszyscy do niej, aby choć szaty jej ucałować. Z przerażeniem ujrzała królowa ślady okropnych męczarni na ciele Nunii; król postanowił takowe zemścić, skazując ciemięzce na śmierć. Dowiedziawszy się o tem Nunija nagle jakby nadludzką siłą zdawała się ożywioną: ze wzniesionemi rękoma pobiegła za królem i zakryła ciałem swojem prześladowcę swego. To przełamało dziką nienawiść poganina; łzy wystąpiły do oczu jego, — łzy nieznane mu od dzieciństwa, — i padł przed Nuniją na kolana. Ta zaś nieprzestała prosić i błagać, aż uzyskała u króla ułaskawienie; wtedy dopiero opuściły ją siły, i zemdlona padła na ręce królewskiej swej opiekunki.

Męczarnie doznane zbyt były ciężkie; Nunija już więcej z łoża boleści powstać nie mogła. Pomimo to jednak sama jeszcze nauczała Bakara tej wiary, która każe kochać nieprzyjaciół, i przebaczać urazy doznane. Jedno tylko pragnienie ożywiało jej duszę, żeby przed śmiercią jeszcze mogła widzieć księdza chrześciańskiego, któryby jej udzielił komunii świętej, której tak długie lata była pozbawiona. Bóg spełnił to jej życzenie. Księża chrześciańscy przybyli od zachodu, pobożny ksiądz Eustatyjusz z Antyjochii udzielił jej ciała i krwi Pańskiej i ochrzcił Miryjana i królowę Nino; a gdy ci w białych szatach chrzestnych stanęli przy jej łożu, wtedy nachyliła głowę i zasnęła w Panu.

Miryjan i Nino wspominali ją z wielką czcią, i starali się naśladować pod każdym względem. Para królewska stała się parą nauczycielską. Przy pomocy i za wskazówkami księży Miryjan uczył mężów swego ludu, Nino zaś kobiety. Wkrótce wzniosły się świątynie chrześciańskie w całej Iberyi; chrześciaństwo szerzyło się coraz bardziej. Po kilku latach dzięki Bakar, nazywany Tomaszem, wyszedł do sąsiednich krajów jako apostoł tejże religii, dla której tak ciężko prześladował niewinną swoją małżonkę i pobożną Nuniję. Poniósł też śmierć męczeńską od sąsiedniej pogańskiej narodowości.

Od owej pory wiara chrześciańska panowała niepodzielnie w Iberyi. Półksiężyc wprawdzie usiłował walczyć przeciwko krzyżowi, ale bezskutecznie, a w niejednem podaniu ludowem przechowało się imię Nunii, której choć była tylko słabem dziewczęciem, Bóg dozwolił dostąpić zaszczytu, że przez nią zaszczepione zostały pierwsze początki wiary chrześciańskiej do serca całego narodu Iberyjskiego.

(Koniec.)

Rzuć człowiecze marny świat.

Rzuć człowiecze marny świat,
Oddaj serce Chrystusowi,
Tak unikniesz świata zdrad,
Niebezpiecznych grzesznikowi.
Jezus drogi łaska Twa
Wierneć serce niech mi da!

Ach, gdy zajrzę w serce me,
Ileż jest w nim takich rzeczy,
Co mi skryły niebo twe,
Żem je przestał mieć na pieczy.
Czuję Zbawco! w duszy mej,
Żem z natury w mocy mej.

Ty swym duchem we mnie rządź
Bym dał odpór światu złemu.
Mej miłości celem bądź,
Bym się skłonił ku dobremu.
Gdzieś Ty, Jezu, z duchem Twym,
Tam już koniec żądzom złym.

Nie zapragnie serce me
Dóbr znikomych doczesności,
Gdy ty sam zapełniasz je
Dobrem wiecznem Twej miłości.
Jedna tylko miłość Twa
Spokojności skarb mi da.

Nie poświęcę moich sił
Na usługę nieprawości;
Prawdą zawsze będę żył,
Gdym się pełen Twej miłości;
Boś Ty, Zbawco, prawdy chciał
I w niej żywot wierny dał.

Zapełń serca mego czczość
Twej miłości dobrem świętem,
Bym nie przestał nigdy rość
W życiu Duchem Twym poczętem.
Daj mi zawsze w Tobie być,
Bym mógł Twojem życiem żyć.

Któżby o cześć ziemską dbał,
Mając godność Bożych dzieci?
W tej godności bierze dział,
W kim Twa miłość, Jezu, świeci.
Kto cię kocha, ten już ma
To, co wieczną chwałę da.

Rozwiązanie zagadki z nr. 8.
Stół.

Zagadka.

W boru ścięte, w domu wygięte
U owiec leżało, u koni wisiało.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej!“

Nr. 10. | Ełk, na niedzielę dnia 7 marca. | 1897.

Niedziela zapustna.

List św. Pawła 1 do Koryntów, r. 13., w. 1—13.

Zastanawiając się nad dzisiejszą lekcyą, chcę tę myśl obszerniej wyłożyć.

Ty zaś o Panie, Boże nasz! błogosław nam, błogosław słowo Twoje, i pomoż nam zborowi Twemu, abyśmy nie byli tylko słuchaczami ale też czynicielmi słowa Twego. Wierny, miłosierny Boże, któryś jest tarczą wszystkim, co w Tobie nadzieję pokładają, nakłoń się ku nam i bądź nam miłościw, bośmy ubodzy i nędzni. Amen.

Apostoł w lekcyi dzisiejszej dowodzi, że miłość jest mocą Bożą wykonywającą dobre uczynki, że musi być jądrem uczynków. Mówi bowiem w pierwszym wierszu: „Choćbym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłości bym nie miał, stałem się jako miedź brząkająca, albo cymbał brzmiący, to znaczy: choćbym strumienie największej, porywającej wymowy z ust naszych płynęły, choćby piękne wzniosłe obrazy mowę naszę zdobiły, choćbyśmy nie wiem jak rozumnie i przekonywająco kazali, jeżeli atoli dla tego się to dzieje, że chcemy błyszczeć, zadziwić i być podziwiani, tedy mowa nasza jest miedź brząkająca, tedy słowo nasze jest cymbał brzmiący. I zaiste, Pan Bóg nasz dał nam język nie na to, aby jak apostoł Jakób mówi, był „ogniem i światem nieprawiedliwości, ale na to, aby Ojca i Syna chwalił i wielbił, aby Bogu śpiewał psalmy i hymny. Powinniśmy mówić i kazać o Jednorodzonym, zwiastować Ukrzyżowanego, opowiadać o Tym, który jest miłością, ale mówić, kazać nie tylko językiem, nie tylko wargami wspominać święte imię Jego, ale usta powinny Go zwiastować, bo serce pełne miłości ku Niemu, naszemu Bogu i Zbawicielowi. Inaczej — jesteśmy chrześcianami tylko ustami, chrześcianami, co wiele mówią o religii, o wierze, o świętobliwości, o Jezusie Chrystusie, ale gdyż w sercach naszych niema miłości ku Panu, jesteśmy jako miedź brząkająca, albo cymbał brzmiący.

Również ma się rzecz z duchownemi darami. Można bowiem mieć proroctwo, to jest dar wykładania Pisma świętego, można wiedzieć tajemnice królestwa Bożego, można mieć umiejętność, to jest ducha dociekającego prawdy, a przecież niczem nie być, niczem przed Bogiem. Nawet, co jeszcze większa, mówi apostoł: „choćbym miał wszystką wiarę, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, nicem nie jest.“ „Choćbym miał wszystką wiarę, a miłości bym nie miał,“ — toć przecież jasno rzeczone! A więc nie wiara nas zbawia, nie z wiary bywamy usprawiedliwieni, ale z miłości, to jest z uczynków. Tym wyrokiem tedy wszyscy na głowę pobici, którzy z wiary usprawiedliwienia szukają, a więc też i nasz luterski kościół? Bynajmniej, umiłowani! Apostoł w tym wierszu jak w całej lekcyi pragnie opisać zacność chrześciańskiej miłości, powiadam chrześciańskiej miłości, to jest tej, która mieszka w sercu na nowo narodzonem, a nie w sercu oddanem grzechowi. Taką miłość sprawia sam Bóg w naszych sercach, bo Bóg jest miłość, ale sprawia ją jedynie w sercach tych, którzy wierzą w Jego Syna, bo mówi Chrystus: „Nikt nie przyjdzie do Ojca tylko przez mię,“ a więc nikt nie może tej miłości mieć, kto niema Syna.

Gdy apostoł mówi: „Choćbym miał wszystką wiarę“ . . . jakąż wiarę ma na myśli? Zaiste nie wiarę usprawiedliwiającą, wiarę w Jezusa Chrystusa, ukrzyżowanego i zmartwychwzbudzonego, Zbawiciela Żydów i całego świata, gdyż ta wiara nie może być bez miłości. Lecz można też mieć inną wiarę, mianowicie tę, którą Pan w Ewangielii Mateusza w r. 7 opisuje mówiąc: „Nie każdy, który mi mówi: Panie, Panie! wnidzie do królestwa niebieskiego: ale który czyni wolę Ojca mojego, który jest w niebiesiech. Wiele ich rzecze mi dnia onego: Panie, Panie! izażeśmy w imieniu Twojem nie prorokowali, i w imieniu Twojem djabłów nie wyganiali, i w imieniu Twojem wiele cudów nie czynili? A tedy im wyznam: Żem was nigdy nie znał: odstąpcie odemnie, którzy czynicie nieprawość.“ Taka wiara to wiara uczynków, — i ona wielkich dokonała rzeczy, a przecież Pan jej proroków potępia, bo choć w wierze w Niego prorokowali i cuda czynili, przecież nie przez wiarę i z wiary w Niego jako pojednawcę i Zbawiciela szukają usprawiedliwienia, ale z uczynków, które wykonali. Nie czynią tedy woli Ojca, bo Ojciec Syna swego nam dał, aby był naszym Zbawicielem, i nikt też nie może być zbawiony, tylko jedynie przez Jezusa Chrystusa. Przeto musimy Go miłować, bo On nas najprzód umiłował, musimy wierzyć nie tylko w Jego na Golgocie dokonane dzieło pojednania, nie tylko w słowo Jego, ale musimy Jego jako tego, który nas odku-

pił, wybawił i wyzwolił z całego serca i nadewszystko miłować. Jeżeli tedy apostoł mówi: „Choćbym miał wszystką wiarę, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, nicem nie jest", to tyle znaczy jak gdyby mówił: Choćbym miał moc wiary cuda czyniącą, a nie miałbym wiary, że jestem nędznym grzesznikiem, że nie z własnych uczynków, ale jedynie z łaski zbawionym być mogę, nicem nie jest, ba jestem zgubiony i potępiony. Przeto też niezliczeni chrześcianie są zgubieni, mimo wszystkich swych uczynków przed Bogiem są niczem, bo nie mają miłości, miłości ku Synowi jako Odkupicielowi, jako temu, który za nas zapłacił; bo Go nie miłują jako tego, który przyszedł, aby zbawił to, co było zginęło.

Apostoł mówi tu tedy o fałszywej wierze oświadczając, że choćby wiara taka wielkie czyniła cuda, choćby nawet góry przenosić mogła z miejsca na miejsce, jeżeli jest bez miłości, bez prawdziwej miłości ku Jezusowi Chrystusowi, uczynki jej niczem są. Potwierdza to również słowem: „I choćbym wynałożył na żywność ubogich wszystką majętność moję, i choćbym wydał ciało moje, abym był spalony, a miłości bym nie miał, nic mi to nie pomoże." A to dla tego, bo Bóg nie patrzy tylko na to, co jest widzialne, ale doświadcza naszego serca i chce, aby uczynki nasze nie były uczynkami zakonu, ale uczynkami miłości, to jest owocami prawdziwej wiary. Jako wiara może być fałszywa, tak też i miłość, to jest: my często mniemamy, iż mamy prawdziwą miłość, a przecież jej nie mamy. Przeto nam ku nauce i przestrodze opisuje apostoł tę z wiary w Jezusa Chrystusa ściśle połączoną miłość: „Miłość jest długo cierpliwa, dobrotliwa jest," to znaczy: komu Pan dał ją w serce, ten przeoczy i przebaczy wyrządzoną sobie krzywdę, i jest dobrotliwy zawsze bez zmiany: przy wszystkich zmianach, w każdem położeniu, po wszystkie czasy jest łagodny i pogodny jak słońce wiosenne. „Miłość nie zazdrości," to znaczy, ona nie zna zawiści, nie nie chce mieć wyłącznie dla siebie, przeciwnie, im więcej serc Panu się odda, tem więcej się raduje. Lecz jeżeli kto ujmuje chwały Bogu, jeżeli dusze chrześciańskie pragną pogodzić miłość tego świata z miłością Chrystusową, wtedy się gorli, i świętą gorliwością broni chwały Zbawiciela. „Miłość nie jest rozpustna", bo jest uświęcona miłością, którą nas Chrystus umiłował i brzydzi się wszelką nieprzystojnością. „Miłość nie nadyma się," ale znając własne swe grzechy trwa w pokorze i nie wynosi się nad bliźniego. „Miłość nie szuka swego," nie kieruje się samolubstwem, nie szuka własnej chwały, ale jest płomieniem rozpalonym i podsycanym przez płomień miłości Bożej objawionej w Chrystusie Jezusie. Taką będąc nie jest przystępna podszeptom kusiciela, ale mocno trzyma się Boga. „Miłość nie jest porywcza do gniewu, nie myśli złego, nie raduje się z niesprawiedliwości, ale się raduje z prawdy," a tak i w tem podobna jest Ojcu niebieskiemu, który czyni, że słońce Jego wschodzi i na tych, którzy Jego światła i ciepła używają jedynie ku wypełnieniu swych rozlicznych złości. Miłość nawet niewdzięcznością nie da się zrazić i powstrzymać od dobroczynności, i mówi jak Luter: „Tak złym nie jesteś, abyś i mnie nakłonił do złości; ja chcę dobrym pozostać i ustawicznie dobrze ci czynić." Tak, to czyni Boska miłość, a nadto: „wszystko okrywa, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko cierpi." Taka miłość nigdy nie ustanie. Wszystko kiedyś ustanie; proroctwa, języki, umiejętności, wszystko. Gdy Pan przyjdzie sądzić żywych i umarłych, wtedy nie będziemy po części znali i po części prorokowali, ale doskonałość będzie działem naszym. To też mówi apostoł: Pókim był dziecięciem, mówiłem jako dziecię, rozumiałem jako dziecię, rozmyślałem jako dziecię; lecz gdym się stał mężem, zaniechałem rzeczy dziecińskich," bo mamy rość i pomnażać się, coraz podobniejszymi mamy się stać Temu, który jest naszą głową, naszem zbawieniem, noszym jedynym skarbem. A przecież tu w doczesności my go ledwie przeczuwamy, doświadczamy na naszych sercach skutków wiecznej miłości, mamy kilka pojęc o Tym, który jest Wieczny i Wszechmocny; jest to ten sam Bóg, w którego tu wierzymy, i którego tam oglądać będziemy, ale to jest różnica, jak apostoł Paweł mówi: „Albowiem teraz widzimy przez zwierciadło i niby w gadce, teraz poznawam po części, ale na on czas" — kiedy? Wtedy, już nie będziemy żyli w ciele i na ziemi, ale uwolnieni od brzemienia doczesności, zmartwychwstali, odnowieni, oczyszczeni, nie będziemy w Boga wierzyli, ale będziemy Go oglądali twarzą w twarz. Wtedy umiłowani znając nie będziemy znali po części, słowo Boże, samo przez się jasne i chwalebne ale dla nas dla grzechu naszego ciemne, nie będzie nam już zwierciadłem, nie będzie tajemnicą, ale będzie jasne i zrozumiałe. O będzie to błogosławiona chwila, bo jako nas Bóg teraz zna, jako i to co najskrytsze w nas Jemu nie jest skryte, tak i my Go poznamy, tak i my będziemy patrzyli w Jego ojcowskie serce.

Byśmy atoli nie szemrali i nie narzekali na doczesną niedolę, tedy mówi apostoł — w doczesności tej zostawa nam jako największa pociecha „wiara, nadzieja, miłość, te trzy rzeczy; lecz z nich największa jest miłość." „Tu", mówi Luter, „mędrkowie wielce się pomylili, poniżając wiarę dla tego, że apostoł mówi, iż miłość jest większa niż wiara i nadzieja: według swego zwyczaju na oślep rzucili się na literę i wyrwawszy jedno słowo na inne nie zważali i nie porozumieli św. Pawła, który wielkość miłości wykłada poprzedzającemi i obok stojącemi słowy. Że miłość jest większa niż wiara i nadzieja, toć zaiste jest dobrze rzeczone, boć dłużej trwa, a wiara króciej, doczesnie. Lecz również mogę rzec, że chrześcijaństwo jest większe na ziemi niż Chrystus. Mówiąc tak zaiste nie chcę rzec, że chrześcijeństwo samo przez się jest większe i godniejsze niż Chrystus, ale to chcę rzec, że na ziemi jest dłużej i więcej rozszerzone niż był Chrystus, który tylko przez trzy lata żył w małej mieścinie. Tak też miłość jest dłuższa i szersza, niż wiara i nadzieja, bo wiara jedynie w sercu i tylko doczesnie zajmuje się Bogiem, a miłość Bogiem i całym światem wiecznie

się zajmuje. A przeto rzecz ma się tak: wiara usprawiedliwia przez słowo i krzewi miłość. Ale oboje, słowo i wiara ustaną, lecz sprawiedliwość i miłość przez nie sprawiona trwa na wieki: równie budynek nie powstanie bez rusztowania, lecz budynek trwa a rusztowanie ustanie." O przeto umiłowani! nie dajcie się zwieść, ani własnemu sercu, ani przez dumne fałszywe mowy. Nie myślcie, że miłość utoruje wam drogę do nieba; nie myślcie, że gdy tylko miłość macie, wszystko inne jest obojętne. Najprzód zważcie to, co wy miłością zwiecie, zważcie i porównajcie to z tem, co apostoł w lekcyi dzisiejszej wylicza jako znamiona miłości. Brakujeli jedno z tych znamion, macie może ziemską, ludzką, ale nie macie boskiej i niebieskiej miłości.

Źródłem, z którego miłość płynie, jest serce. Jeżeli źródło nieczyste, jeżeli źródło pełne brudu i kału, to też nic czystego z niego płynąć nie może. Czystymi, nienagannymi, nowymi i świętymi czyni nas jedynie i wyłącznie krew Jezusa Chrystusa. Jeżeli tedy w Niego nie wierzymy, jeżeli nie wierzym, że bywamy usprawiedliwieni i zbawieni nie przez własną ale przez Jego zasługę, jeżeli nie wierzym, że nie przez własny rozum i siły nasze w Jezusa Chrystusa Pana naszego uwierzyć ani z nim połączyć się możemy, ale że nas Duch św. przez Ewangelią powołał, darami swoimi oświecił i poświęcił — to niema w nas miłości, i możemy wiele czynić dobrych uczynków, możemy dawać obfite jałmużny, wzbogacać ubogie, wydać ciało na spalenie, możemy mieć wielką umiejętność, głębokie zrozumienie Pisma, a przecież nie być zbawionym. Przeto najmilsi! strzeżcie się! Czujcie i módlcie się, abyście nie przyszli w pokuszenie! W naszych dniach świat wiele mówi o miłości, a pragnie wiarę poniżyć i potępić. Ale jak ptak bez skrzydeł nie może latać, tak my bez wiary w Tego, który jest naszą sprawiedliwością, nie możemy miłować. Apostoł Paweł wystawiający wielkość miłości jest równocześnie największym kaznodzieją wiary, a każąc Galatom wiarę pisze (r. 1., w. 8): „Ale choćbyśmy i my, albo anioł z nieba opowiadał wam Ewangelią mimo tę, którąśmy wam opowiadali, niech będzie przeklęty." Trwajcie w miłości, ale trwajcie też w wierze, a będziecie zbawieni. Amen.

Walka i zwycięstwo.

„Służcie Panu z weselem, przychodźcie przed oblicze jego z radością. Albowiem dobry jest Pan, na wieki trwa miłosierdzie jego, a od narodu aż do narodu prawda jego." (Psalm 100, 2, 5).

Zimny, północny wiatr dmąc gwałtownie zamiata po ulicach tumany śniegu, który upadł dnia poprzedniego. Przez zamarzłe ulice skrzypiąc na mrozie jadą powozy, omnibusy, dorożki i fury ładowane, a ludzie otuleni w płaszcze i futra w różne ciągną strony. Zdaje się jak gdyby każdemu bardzo było pilno. Spieszno jest bez wątpienia i pewnemu młodemu człowiekowi, który wyszedł z jednej z bocznych ulic miasta i walcząc z podmuchem silnego wiatru, co mu śniegiem oczy zasypuje, szczelnie zapina pod szyję lekkie swoje palto i szybkim krokiem naprzód podąża. Młodzieńcem tym jest Stanisław Karski pracujący w kantorze bogatego kupca Kuehnemana. Ha, jakże zimno biedakowi! Jedną ręką trzyma kapelusz, żeby go wiatr z głowy nie zerwał, a w drugiej niesie ciężki worek z szarego płótna; w worku tym znajdują się pieniądze, które nie są jego własnością; zwierzchnik Stanisława bogaty kupiec Kuehneman, polecił mu zapłacić kilka zaległych rachunków w odleglejszych dzielnicach miasta. Mógłby był wprawdzie pieniądze doręczyć młodemu człowiekowi w banknotach i ulżyć mu tym sposobim ciężaru, nie uczynił jednak tego i całą znaczną sumę wypłacił w srebrze.

Jak pan załatwisz interes możesz pójść do domu, jutro oddasz mi pokwitowane rachunki — rzekł do młodzieńca patrząc nań wzrokiem posępnym.

Dla czego kupiec tak niechętnie spogląda na swego pracownika? Dawniej, parę lat temu bywało zupełnie inaczej; wówczas Stanisław był ulubieńcem pryncypała, który mu powierzał najważniejsze prace w kantorze, jednak pewien wypadek w życiu młodego człowieka stał się powodem zmiany jego położenia. Serdeczny i jedyny przyjaciel Stanisława utonął w falach rzeki.

W milczeniu, ani jednej łzy nie wylawszy, siedział młodzieniec dniem i nocą przy trumnie, spoglądając ustawicznie na spokojne oblicze zmarłego, które nawet i po śmierci jeszcze piękne było. Zamilkły na zawsze usta kochane, a jednak w głębi serca młodego człowieka nutą potężną dźwięczą słowa pełne spokoju i miłości, któremi niegdyś przemawiał doń przyjaciel drogi: „Stanisławie, zbudź się ze snu!" „Nawróć się do Boga!" „Jezus, twój Zbawiciel stoi u wrót serca twego, ach wpuść go! spiesz się, ratuj duszę twoją!" „Dzisiaj, skoro słyszysz głos Boga, nie zamykaj serca twego."

Zmarły był prawdziwem dziecięciem Bożem, i najgorętszem życzeniem jego było, żeby najserdeczniejszy przyjaciel również się nawrócił.

Teraz gdy ukochane oczy zamknęły się nazawsze, poczęło się rozjaśniać w duszy Stanisława. A gdyby ten najdroższy przyjaciel, ten wierny druh jego miał w istocie słuszność? Głęboka cisza panuje w komnacie nieboszczyka, cisza tak uroczysta, jakby w niebios przedsionku. Wśród wieńców barwnych kwiatów, wśród białych róż i lilii spoczywa ten, który był mu najdroższym na ziemi; — na szlachetnem obliczu zmarłego maluje się spokój. Stanisław pada na kolana i chwyta w swe gorące dłonie złożone jak do modlitwy martwe i zimne ręce przyjaciela, — długo tłumione łzy płyną z serca przepełnionego żalem i boleścią, i są zasiewem, z którego zwolna lecz pewnie, pocznie nowe kiełkować życie, życie w Bogu i dla Boga.

Od tej pamiętnej chwili położenie Stanisława w domu Kuehnemana bardzo się zmieniło.

Ludzie oddani wyłącznie życiu światowemu natychmiast potrafią poznać w kim mają przymierzeńca.

Stanisław od pewnego czasu stetryczał, stał się obłudnikiem i świętoszkiem, ukarzę go za to — rzekł do siebie pryncypał i dotrzymał słowa. Odtąd młody człowiek wystawiony był na różne docinki swego zwierzchnika, który obrał go za przedmiot drwin złośliwych, i często obrażał niegodnem podejrzeniem.

Z godnością prawdziwego chrześcianina znosił młodzieniec to złe obejście i nigdy ani na chwilę nie zawahał się z całą otwartością wyznawać prawdę i głęboką wiarę swoją.

Teraz, gdyśmy poznali bliżej naszego młodego przyjaciela, podążmy za nim po uciążliwej drodze, jaką przebywa wśród śnieżnej zawiei. Ponieważ zajduje się niedaleko rodzicielskiego domu, to jest małej ubogiej izdebki, w której mieszka jego rodzina, postanawia, zanim załatwi interesa swoje, wstąpić, aby się dowiedzieć o stanie zdrowia ojca, który od pewnego czasu był obłożnie chory.

Matka wychodzi na spotkanie syna z oczyma czerwonemi od płaczu.

Ach, dzięki Bogu mój Stasin, żeś przyszedł — rzecze z ciężkiem westchnieniem — bo w wielkim jesteśmy kłopocie. Ojciec wciąż ciężko chory, nie mamy ani grosza w domu, a dzisiaj musimy koniecznie zapłacić zaległe komorne; czy nie możesz nam dopomódz?

I mówiąc to matka spoglądała z ufnością swemi poczciwemi oczyma, których wejrzenie Stanisław zawsze tak dobrze rozumie. Pragnąłby swoje serce złożyć u nóg matki ukochanej aby jej dopomódz, lecz niestety ani jednego talara nie posiada w kieszeni; ostatnie 50 fenygów, któremi chciał opłacić swój skromny dzienny posiłek, oddaje jej mówiąc:

Ach mateczko droga, jakżebym pragnął być ci pomocnym, ale Bóg widzi, że nie mogę! Może pan Kuehneman zechce naprzód wypłacić mi moją pensyę. Będę się modlił do Boga, wszakże on posiada skarby nieprzebrane, a ty mateczko módl się także i wierz głęboko, że Pan Bóg nas nie opuści.

Matka jednak smutnie potrząsa głową; nie umie ona z wiarą słać modłów do nieba, nie umie wołać z głębi serca: Panie mój, i Boże mój! Ten zupełny brak ufności w miłosierdzie Boże bywał nieraz powodem ciężkiego zmartwienia dla Stanisława.

Małe rodzeństwo widząc wchodzącego brata otoczyło go kołem, a najmłodszy Józio pochwycił za ręce i nachylając się do ucha szepnął: „Stasiu, mnie się jeść chce!“ Ojciec leżąc na ubogiem posłaniu podał rękę synowi i westchnął ciężko nic nie mówiąc. Biednemu młodzieńcowi naraz zdaje się, że nędza z całą swą przerażającą grozą tłoczy udręczone jego serce. Jednak zwraca się do siostry i chcąc jej dodać odwagi, mówi:

Nie rozpaczajmy kochana Helenko; niegdyś z rozkazu Pana kruki znosiły prorokowi Elijaszowi chleb i mięso; jeżeli się Bogu spodoba, to i dla nas cud uczyni. Nie smućcie się, wieczorem do was raz jeszcze zajrzę.

Uściskawszy rodziców i rodzeństwo zabrał swój worek i zeszedł szybko ze wschodów. Dodając jednak swoim otuchy sam ciężkim dręczył się smutkiem. Śląc do Boga modły gorące o pomoc dla rodziny, szedł od domu do domu płacąc rachunki i odbierając pokwitowania.

Tymczasem wieczór nadszedł, a na ulicach pozapalano latarnie; cienie posępnej nocy zimowej odpowiadały zupełnie obecnemu jego usposobieniu. Pozostawał mu tylko jeszcze jeden rachunek do zapłacenia u pewnego starego bankiera, który zajmował wspaniały dom na jednej z pryncypalnych ulic miasta. Siedział on w swym kantorze przy biórku i sam odebrał pieniądze. On jeden uprzejmie wskazał młodzieńcowi krzesło i podając pokwitowany rachunek z życzliwością spojrzał na Stanisława, który powstał i z ukłonem pełnym szacunku kantor opuścił.

Dzięki Bogu — szepnął — już wszystko załatwione, ale cóż to jest? tu są jeszcze pieniądze, a przecież już wszystkie rachunki zapłaciłem.

Przy świetle latarni ogląda worek i widzi, że pozostało się jeszcze około pięćdziesiąt talarów. Zdziwiony i zamyślony biegnie Stanisław do domu rodziców, i już na wschodach słyszy donośny głos sługi sądowego, który licytuje nędzny dobytek biednej jego rodziny. Pełen przerażenia wpada do izdebki — ach jakiż widok okropny! matka otoczona zgłodniałemi dziećmi siedzi z załamanemi rękoma u łoża chorego ojca, a łzy gorzkie płyną po zapadłych jej policzkach.

Stanisław stoi nieruchomie we drzwiach, nie mogąc ani jednego słowa przemówić. Nawet w sercu sądowego sługi przywykłego do takich scen bolesnych budzi się litość; zbliża się do Stanisława i szepcze z cicha:

Idzie tutaj tylko o czterdzieści talarów. Czy nie mógłbyś pan dopomódz?

Młodzieniec bólem przejęty smutnie potrząsa głową; nie może ani jednego przemówić słowa, a w duszy budzi się jakaś myśl szczególna; natchnęło ją niebo, czyli też piekło? — Mam przecież jeszcze pięćdziesiąt talarów — czyż nie jest to zrządzenie miłosiernego Boga, który w ciężkiej niedoli chce nam dopomódz? Pięćdziesiąt talarów, jest to drobnostka dla bogatego pana Kuehnemana — nigdy się nie dowie, on taki niedbały w swych interesach pieniężnych; — zimny dreszcz przejmuje młodzieńca; już chce usta otworzyć i zawołać: Oto są pieniądze, wy sprzedający i kupujący, ustąpcie natychmiast z ubogiej izdebki mych biednych rodziców!

(Ciąg dalszy)

Rozwiązanie zagadki z nr. 9.
Skrzypki.

Zagadka.
Wiele szyb potrzeba do całego okna?

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 11. | Ełk, na niedzielę dnia 14 marca. | 1897.

Druga niedziela postna.

List św. Pawła 1. do Tessalonicensów 4, 1—8.

Z upadkiem pierwszego człowieka rozpoczyna się i historya upadków rodzaju ludzkiego — a w tej historyi jakby jedno tło, jedna główna barwa wszędzie ważne miejsce zajmuje żądza. Z obudzeniem się w sercach naszych pierwszych rodziców tego szatańskiego uczucia, kusiciel te serca opanował. Mieli wszystko, na każdym kroku, na każdej piędzi błogosławionego raju napotykali ślady miłości Stwórcy, dobroć i łaska Jego zlały na nich dary ziemskie jak najobficiej — lecz szatan rzekł do niewiasty: możesz być równą Bogu — i szczęście raju zniknęło z przed jej oczu, niezadowolona zapragnęła czegoś więcej, zapragnęła właśnie tego, co jej było wzbronione. To pragnienie, ta pożądliwość, ta chęć łaknąca, nigdy nie syta, sięgająca zawsze po to, czego nie mamy, po osiągnieniu gardząca przedmiotem nabytym — jest jarzmem, które gniecie miliony ludzi — jest pragnieniem, które piekąc serca — napawa je męką; jest ogniem piekła, który goreje w piersi ludzkiej, prowadzi do zguby duszy, do zbrodni i występków, do czynów kainowych i judaszowych. To pragnienie, ta pożądliwość jest jak kameleon, mieni się w kolorach tęczy, przeinacza, objawia w tysiącznych postaciach, — w tem jedna i jednakowa — że zawsze przed sądem Bożym pociąga za sobą potępienie. O jednem objawieniu takiem, jednem a przecież podwójnem, mówi apostoł w liście dzisiejszym — słowa tego listu rozważmy, aby się z nich nauczyć:

Że Bóg powołał nas, nie ku nieczystości, ale ku poświęceniu.

Apostoł przypomina Tessalończykom, iż poprzednio już napominał i uczył ich, jak postępować mają, aby się przypodobać Bogu — zwraca uwagę ich przy tem na to, iż co mówił, czego uczył, w czem ostrzegał — nie czynił tego z własnej myśli, z własnej mądrości, ale z rozkazu danego przez Pana Jezusa, danego w objawionem słowie Bożem. To odwoływanie się apostoła do Jezusa jest ważne z dwóch przyczyn, raz, że wykazuje wielkość udzielić się mających przestróg, drugi raz, iż kładzie tamę wszelkim użaleniom i się obrazom ostrzeżonych, gdyż apostoł przemawia nie jako sługa ludzki, lecz jako powołany sługa Boży.

Przypomniawszy to Tessalończykom zwraca się do głównego przedmiotu, to jest, powiada im, że wolą Boga jest poświęcenie wasze, a zatem winniście się powciągać od wszeteczeństwa, wolą Jego jest poświęcenie wasze, a więc nie powinniście się dopuszczać oszukaństwa i ucisku. Pożądliwości przeto cielesne i oszukaństwa były panujące w onym zborze, do którego się apostoł odzywa. Tessalonice było wielkie miasto, wrzała w niem zabawa, rozrywki i uciechy. Oraz było to miasto handlowe, zgromadzające w sobie zyski i bogactwa. Jako zazwyczaj w wielkiem mieście, rozwielmożniły się i tutaj nadewszystko grzechy wszeteczeństwa i cielesnej sromoty. Grzechów tych dopuszczał się także zbór chrześciański w Tessalonice, bo jeszcze pogańskie zwyczaje nad nim panowały. Moc zwyczaju, moc wyobrażeń i uprzedzeń jest wielka, lecz od tej mocy silniejszą być powinna w nas moc Chrystusa.

Powiecie może, lecz słowa listu, przynajmniej dotyczące pożądliwości, nie dotyczą nas, a przynajmniej mało kogo. Powiecie może, zresztą czy gdzie się o podobnym przedmiocie mówić? Może zechcecie być cenzorami Pisma, może byście chcieli miejsca podobne jak wiersz trzeci listu dzisiejszego i bardzo wiele w tym rodzaju znajdujących się w Starym i Nowym Testamencie wykreślić, usunąć. O, wykreślcie je z serc waszych a nie będą razić uszu. Złe myśli, pożądliwości, wychodzą z serca, tam je zniszcz, tam je wymaż, tam niech będzie skromność a razić nie będą. Zresztą dla czego i skąd ten fałszywy wstyd? Dla czego i skąd? Zapytaj, dla czego za dotknięciem rany chory porusza się i jęczy! Grzech pożądliwości plugawi spojem ubogie i bogacze, całe rodziny, i całe narody i rzuca tysiące ludzi w niedolę szatanowi. Gdzie niema wstydu i skromności, gdzie pożądliwość cielesna objawia się, w słowach i uczynkach, w zwyczajach i ubiorach, tam przestano służyć Bogu, tam zdeptano przykazania Boskie, tam wyparto się Jezusa Chrystusa.

O niech każden z nas spojrzy w serce swoje, niech każden roztrząśnie swe myśli, a niemal każdy będzie się musiał uderzyć w piersi i rzec: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, tem bardziej, jeżeli sobie przypomni słowa Pisma świętego, że ciało nasze ma być mieszkaniem Ducha świętego. Zniewazająć je, niewładając niem w

świętobliwości i uczciwości, znieważamy Boga i zasługujemy na wieczne potępienie.

Gdzie pożądliwość ciała, tam i ucisk i oszukaństwa, tam nie szukaj prawych rzemieślników, rzetelnych kupców i urzędników, nie szukaj ludzi, którzyby na widok złota nie byli gotowi sprzedać własnego sumienia. Bo kto ciało plugawi, kto jego żądzom nieczystym dogadza — jakże ten ma się oprzeć chciwości? Wszeteczeństwo, zbytek, rozpusta, potrzebują środków, bo w ogóle wszystko, co w świecie się znajduje, nie może być nabyte darmo — trzeba pieniędzy, trzeba tych posłanników księżecia ciemności. Ztąd chęć nieprawych zysków, ztąd oszukaństwa, które powszechnie nazywa się tylko zarobkiem. Ztąd wydzieranie sobie majątków, chęć posiadania co największych dostatków, chęć nabycia ich za jakąkolwiek cenę, chęć zbudowania tu na ziemi raju, w którym by można nic nie robić, wszystko mieć, niczego nie potrzebować od Boga, wszystko mieć w sobie, dogadzać swoim namiętnościom, a jednak być cnotliwym.

O ile bracia moi ulegacie temu grzechowi, o ile z pożądliwością ciała jest w was złączona pożądliwość nabycia złota i dostatków, roztrząśnijcie sumiennie, roztrząśnijcie, bo i wszeteczniк, jakimkolwiek on jest, czy jawny, czy skryty, czy uczynkowy czy słowny, i oszukający, czy dozwolnym czy niedozwolnym sposobem — jest, będzie i musi być potępiony zatracony i zagładzony na wieki. Nie sądźcie, że Bóg nie będzie tak srogo karał ułomności temperamentu, ciała, czasu i wychowania, — pomnijcie co apostoł powiada: Kto to odrzuca, ten nie odrzuca człowieka, ale Boga, który nam też dał Ducha swego świętego. Nie odrzucajcie więc słów tych.

Niech ciało wasze będzie czyste, niech chęć zysków nie pobudza was do szukania nieprawych zysków — a dopniecie tego tylko wtenczas, gdy jednego szukać, a jedno prosić będziecie, o to jedno, co na każdej drodze jest potrzebne, to jest o wiarę w Chrystusa. Bo wszelkie upomnienia zewnętrzne, wszelkie pochwały, cnoty i piękności obyczajów nic nie pomogą — żądza jest silniejszą od morałów — uwierzcie, że Chrystus Bóg mieszkał jako człowiek w ciele waszem, że Chrystus dla zbawienia ciała tego umarł, a nie będziecie go plugawić, nie dozwolicie nieczystym żądzom i myślom mieszkać w tem ciele i sercu. Uwierzcie, że Chrystus okupił was krwią swoją, że ją wylał za was wszystkich, że zapłacił za was nie złotem ani srebrem, ale swoją świętą, drogą krwią, tudzież niewinną męką i śmiercią swoją, i że tą śmiercią swoją połączył was w jedno, w jedno święte chrześciaństwo — a nie będziecie oszukiwać i uciskać, bo miłość Zbawcy nauczy was miłości bliźnich, braci waszych. Tak najmilsi! Postępujcie tak, abyście się nie przypodobali ciału i i pożądliwościom waszym, poznajcie wasze grzechy, pokutujcie — a zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, Bóg wybawi was, wybawi teraz i na wieki, wybawi z pod władzy grzechu i świata i nie będzie nawiedzał na was grzechów ojców waszych. Amen.

Czerpcie tylko.

Lat temu kilka, okręt kupiecki, płynący do Brazylii, spostrzegł statek, dający sygnały, że się w niebezpieczeństwie znajduje. Na szczycie masztów powiewała flaga, którą zwykle w razie niebezpieczeństwa wywieszają, a strzały armatnie co chwila słyszeć się dawały. Statek ów wszakże nie mógł być burzą miotany, ani nie utkwił na rafie podwodnej, bo wybrzeża jeszcze widać nie było, a słońce zwrotnikowe ciskało palące promienie na gładką i spokojną powierzchnię morza. Jakkolwiek więc zrozumieć nie mógł przyczyny tych sygnałów, kapitan okrętu kupieckiego pośpieszył odpowiedzieć na przesłane mu wezwanie, i zbliżywszy się na odległość głosu, spytał załogi statku, co jest przyczyną alarmu. — „Wody już nie mamy — odpowiedziano — umieramy z pragnienia." — „Tylko to? — odkrzyknął kapitan — czerpcie tylko tuż obok okrętu, jesteście u ujścia Amazonki."

Amazonka jest największą na świecie rzeką. Wypływając z wysokich gór Peruwii, nieopodal od wybrzeża Oceanu Spokojnego, przepływa Amerykę Południową tam, gdzie ma ona największą szerokość, i niesie do Atlantyku ogromną masę swoich wód, zwiększoną dopływem kilku rzek, którym równych pod względem wielkości niema w całej Europie. W tej środkowej tętnicy Nowego-Świata wszystko kolosalnych jest rozmiarów: od samego źródła, — licząc w to wszystkie jej zakręty na równinach Brazylii, aż do ujścia, Amazonka ma długości nie mniej jak 1400 mil. Często na milę szeroka, jest tak głęboką, że w niejednem miejscu sonda 300-stpowa nie może dna jej dosięgnąć. Wartkie to może oblewa najżyźniejsze w świecie okolice. Bujna roślinność rozwijająca się na wybrzeżach pod zjednoczonem działaniem wilgoci i zwrotnikowego gorąca przechodzi wszystko, co wyobraźnia nasza pojąć zdoła. Rzeka toczy swe fale przez niekończone lasy dziewicze, stojące nad brzegami ścianą pni, zwartych jak kłosy a prostych jak kolumny. Wpłynąwszy w który z kanałów, okrążających liczne wysepki na rzece rozrzucone, ujrzymy pochylające się nad wodą najróżnorodniejsze drzewa, okryte bujnym liściem, lub kołyszące nad falami kwieciste wieńce lian. Wzdłuż bowiem wszystkich tych pni drzewnych pną się, czepiają, okręcają najrozmaitsze i najrzadsze rośliny. Pod tem olbrzymiem sklepieniem zieleni rozpościerają się wszystkie przepychy przyrody, i patrząc na nie, wzruszony widz pojmuje ten naiwny wykrzyknik Indyanina, który służąc Humboldtowi za przewodnika wpośród tej puszczy, mówił mu: „U nas jak w raju!"

Skąpawszy w swoich falach rozległe równiny Brazylii, majestatyczna rzeka rzuca się do Oceanu ujściem zajmującem całą przestrzeń pomiędzy dwoma przylądkami, odległemi jeden od drugiego blisko na mil 75. Taka jest siła prądu odrywającego płynną tę masę, że w porze deszczów, Amazonka toczy swój bieg wśród fal Oceanu, przynajmniej na jakie dwieście mil od brzegа, nie łącząc zielonkawych wód swoich ze słoną wodą morską. Ztąd wynika, że okręt płynący do Brazylii może

żeglować po słodkiej wodzie Amazonki na długo przedtem, nim ziemię spostrzeże, i w takiem właśnie położeniu znajdował się wyżej wzmiankowany statek. Płynął on Atlantikiem nie mając już ani kropelki wody do picia zdatnej.

Dziwne położenie tych żeglarzy, umierających z pragnienia na niewyczerpanem morzu wody słodkiej, czyż nie przypomina nam położenie wielu, z imienia tylko chrześcian, którzy także, i to od dawna może, żeglują po wzburzonym oceanie świata, jęcząc nad goryczą unoszącej ich fali, zamiast czerpać zbawienną wodę łaski, do której dostępu Bóg im udzielił. Jak przebywający puszczę Izraelici, nie znaleźli ani w Mara żywej wody bieżącej, której się nadzieją cieszyli, lecz słonawą i zdrowiu szkodliwą wodę. Co chwila podnoszą oni okrzyk na trwogę i nieustannie powtarzają, że świat ten zepsuty nie odpowiada ich potrzebom. Podróżni to są w ucisku i obawie, którzy chętnieby z załogą naszego statku powtórzyli: „Umieramy z pragnienia."

Wielu także znajdzie się strapionych, których dusza cierpieniem jest znękana. Stracili oni może przyjaciela, który droższym im był nad życie; skarbem był dla nich i radością, i w rozpaczy swojej wszelkiej pociechy odmawiają. W sercu ich zrobiła się próżnia niczem niezapełniona; doznają potrzeby miłości, a nie znajdują na ziemi nic, coby temu pragnieniu zasiłku dostarczyć mogło. Zgryzota, która ich trawi, wszystko goryczą im zaprawia, całe ich życie zatruwa. Stali się pastwą smutku, który śmierć radzi; dusza w nich usycha, i mdleje w braku prawdziwego dobra. Oni także zawołaćby mogli: „Umieramy z pragnienia."

Wielu nareszcie jest takich, którzy, by osiągnąć niebo, cel ziemskiej swojej wędrówki, starali się zbierać przez całe życie obfity zasób cnót, dobrych uczynków, których doniosłość ich samych uderzać zaczyna. Długo pewnymi czuli, że odwagą swoją, dobrą wolą, panowaniem nad sobą, są w stanie sprawiedliwość Boską zadowolnić. Kilka cząściowych zwycięztw nad grzechem, życie powierzchownie uczciwe, utwierdzały ich w tem złudzeniu. Z upodobaniem liczy dobre uczynki swoje, dzięki składały Bogu, że nie są takimi, jak wszyscy. Ale oto zbliża się kres podróży; znaczące symptomaty, śmierci zwiastuny skłoniły ich do wniknięcia w samych siebie i do zdania sobie na dobre sprawy z istotnej w oczach Przenajświętszego Boga wartości tego życia, które się skończy niebawem. Sumienie ich się budzi i wszędzie im ukazuje pychę, próżność, samolubstwo. Zapas cnót, na których się wspierali zmniejsza się z dniem każdym; nie długo nie znajdą już nic, coby ich potrzebom odpowiadało; wszystka ich sprawiedliwość zamienia się w gorycz, i w urzędzeniu swojem rzucają ten okrzyk trwogi: „Ocalcie nas, giniemy."

I tak trawią się tysiące nieszczęśliwych, zapominając, że mają tuż obok siebie obfite źródło życia, w którym o każdej godzinie z łotwością i bez żadnego kosztu czerpać mogą.

Walka i zwycięstwo.

Wtem wzrok jego pada na otwartą biblię leżącą na łóżku ojca, i oto słowa, które czyta: „Żaden, gdy bywa kuszony, niech nie mówi: Od Boga kuszony bywam; bo Bóg nie może kuszonym być we złem, a sam nikogo nie kusi." (Jak. 1, 13). Stanisław wzruszony do głębi duszy biegnie na strych do małej komórki i zamknąwszy drzwi na klucz pada na kolana, wołając:

O Boże mój, o Panie mój, — przebacz mi! — o mało co, żem nie został złodziejem. Dzięki, dzięki Ci za udzieloną przestrogę — o nie, nie, pieniądze te pan Kuehneman musi znowu odebrać, i to natychmiast, Ty o Boże i tak nam dopomożesz, a jeżeli nie zechcesz, to jednak niechaj będzie cześć i chwała świętemu imieniu Twemu. Ale, o Panie mój, miej litość nad biednemi memi rodzicami i nad zgłodniałem rodzeństwem, dopomóż im łaskawie!

Stanisław pokrzepiony na duszy powstał i zeszedł na dół, nie mogąc jednak znieść głosu sługi sądowego, wybiegł szybko na ulicę, nie pożegnawszy się z rodziną.

Niepokojem dręczony chodzi po ulicach rozmyślając jak ma postąpić, aby uratować rodziców z ostatniej nędzy.

Mamże pana Kuehnemana prosić o wcześniejszą wypłatę mej pensyi? albo też zwierzyć się jednemu z mych przyjaciół? Ach mój Jezu, mój Jezu najdroższy, Tyś mym jedynym, najlepszym przyjacielem; do Ciebie zwracam się o pomoc, Ty słyszysz me błagania, Ty mi dopomożesz!

Tak rozmyślając i modląc się przybył Stanisław do domu, w którym zajmował maleńką na poddaszu izdebkę. Znużone jego członki potrzebowały wypoczynku; zapalił lampę i przeczytawszy jeden ustęp z Pisma Świętego, położył się do łóżka. Dnia tego nic prawie nie jadł — nie czuł jednak głodu; smutek, który go dotąd udręczał, ustąpił, a nawet w miejsce jego błoga ufność napełniła duszę.

Gdzież się podziała troska, która dręczyła me serce? — mówi do siebie młody człowiek — zapewne Bóg miłosierny dopomógł mym rodzicom!

Pokrzepiony tą nadzieją zasypia spokojnie i budzi się dopiero nad ranem.

O godzinie ósmej jak zazwyczaj jest tuż przy swem biórku w kantorze pana Kuehnemana. Gdy tenże zajął swe miejsce, Stanisław zbliża się do niego i podaja mu pokwitowane rachunki.

Dobrze — rzecze pryncypał — połóż je pan na stole.

Może pan będzie łaskaw przejrzyć pokwitowania?

Kupiec bierze je do ręki i pobieżnie przejrzawszy, rzecze krótko:

Idź pan do swego zajęcia; czemuż jeszcze stoisz?

Panie Kuehneman — odpowiedział Stanisław pewnym głosem — po spłaceniu wszystkich

rachunków pozostało się jeszcze pięćdziesiąt talarów.

Dobrze — mruknął kupiec z jakiśm dziwacznym wyrazem twarzy i wskazał młodzieńcowi, żeby poszedł do swego zajęcia. W tejże samej chwili wszedł służący do kantoru i szepnął coś na ucho swemu panu.

Powiedz mu, że nie potrzeba, niechaj odejdzie, odpowiada pan Kuehneman.

Całe przedpołudnie upłynęło Stanisławowi przy zwykłem zajęciu, myślał jednak ciągle o swych rodzicach mając przeczucie, że Bóg im dopomógł.

W porze obiadowej wyszedł z biura, nie dla tego żeby się posilić, bo ani grosza nie miał przy sobie, lecz chciał przejść parę ulic i zajrzeć do rodziców.

W bramie spotkał się ze służącym pana Kuehnemana. Starzec przystanąwszy spoglądał ze współczuciem na młodzieńca.

Janie — rzekł Stanisław — cóżeście tak tajemnie rozmawiali z panem Kuhnemanem? przecież nie o mnie?

Ach, wolałbym, żeby mnie pan wcale nie pytał — odpowiedział stary sługa. — Oto te pięćdziesiąt talarów były pułapką, w którą pan miał się złapać; policyant był już zamówiony, żeby pana odprowadzić do cyrkułu. Tym razem wiedziałem, że napróżno się cieszy.

Ciemny rumieniec oblał bladą twarz młodzieńca. Gniew i oburzenie, wstyd i wdzięczność naprzemian serce jego przejmuje. Najchętniej byłby natychmiast ten dom opuścił, żeby już wcale nie powrócić. Nigdy nie byłby posądził pryncypała swego o taką złośliwość i niegodziwe postępowanie. Jan spogląda na niego dobrodusznie i biorąc za rękę mówi:

Bardzo mizernie dzisiaj wyglądasz panie Stanisławie, chodź do mego pokoiku, moja żona przyrządziła już obiad, bądź pan naszym gościem.

Dobry, poczciwy przyjacielu — odrzekł młody człowiek wzruszony — dziękuje ci serdecznie, ale jeść nie mogę — nie, nie mogę, Bóg mi świadkiem — muszę pójść trochę na świeże powietrze, dusze się kompletnie.

(Dokończenie nastąpi.)

Żal się człowiecze Temu jedynie.

Żal się człowiecze Temu jedynie,
Co cię sam tylko zrozumieć może;
Po mym upadku, po ciężkiej winie,
Dźwignąć mnie możesz o dobry Boże.

Gdy grzesznik Ciebie błaga w pokorze,
Ty winy jego strącasz w otchłanie,
I ja pod krzyża padam podnóże,
Odpuść mi grzechy, o dobry Panie.

Ty, coś przez straszne krzyża katusze,
Zadość uczynił za grzesznych Ojcu,
I tak się kornie za nasze dusze,
Modliłeś Panie, za nas w ogrójcu,

O bądź miłościw grzesznej mej duszy,
Która tak wiele kosztuje Cię,
Dla której zniósłeś tyle katuszy,
Z skruchą, z pokorą uprasza Cię,

Byś mię ustroił w swoje zasługi,
I swoją łaską ozdobił mię,
Składam Ci u nóg ciężkie me długi,
W każdym ucisku użalając się.

Osądź sam ciężkie swe przewinienia,
A Pan potępiać ciebie nie będzie,
Od niego doznasz ułaskawienia,
Gdy cię sumienie oskarżać będzie.

Wyrzecz się własnej sprawiedliwości,
Tylko w Jezusie szukaj pociechy,
On ci użyczy błogich radości,
Odpuszczając ci wszystkie twe grzechy.

Nie przestawaj błagać prosić
W ranach Jego ukryj się,
On co uczynił zadosyć,
Przez swą dobroć zbawi cię.

Lubo jeszcze w grzechy wpadam,
I tak słabym czuję się,
Jednak ufność w Tym pokładam,
Co umarł za grzechy me.

Bo im więcej człek uznaje,
Swoje grzechy, słabość swą,
Więcej Bogu się oddaje,
I ze skruchy błaga łzą.

Temu jaśniej łaska świeci,
Większa miłość w sercu tkwi,
Ufny do Jezusa leci,
Tam mu tylko pomoc lśni.

Człowiek widzi że sam z siebie,
Jest bezsilnym, a więc chce
Drugim pomoc nieść w potrzebie,
Nad każdym lituje się.

My tylko łaski błagamy,
Tylko łaską możem żyć,
Tylko w łasce Twej ufamy,
Wiecznie pragniem Ciebie czcić.

Rozwiązanie zagadki z nr. 10.
Ani jednej.

Zagadka.

Co to za kościół, co nie ma drzwi a pełno w nim ludu?

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 12. | Ełk, na niedzielę dnia 21 marca. | 1897.

Trzecia niedziela postna.

List św. Pawła do Efezów, r. 5., w. 1—11.

Wielka godzina zmartwychwstania, dzień zwycięztwa nad śmiercią, święto wielkanocne, nadchodzi, a kościół, mając w pamięci wszystko to, co uczynił Zbawiciel i Odkupiciel nasz, zwraca uwagę i serca nasze na drogę, wiodącą na Golgotę. Tam wiedzie nas i napomina: naśladujcie Tego, który miłością wieczną umiłował was, Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, idźcie za Nim drogą, którą On szedł, a porzućcie ciemne manowce pożądliwości i świeckiej rozkoszy, bo tylko w Nim jest żywot i zbawienie. Wszystkie niedziele pasyjne, cała Biblia i także dzisiejsza lekcya, napominając nas, jednogłośnie wołają na nas: pokutujcie i doświadczajcie samych siebie, czy słuchacie głosu Bożego, czyście złożyli z siebie starego człowieka, czy chodzicie tak, jakoby rzeczopospolita wasza była w niebiesiech? Albowiem najmilsi! życie nasze jest pielgrzymką; początkiem jej Bóg — i Bóg też przystanią, do której zdążyć winniśmy. Nie jest zabawką żywot nasz, ale talentem, powierzonym nam od Najwyższego, i będziemy musieli zdawać rachunek, jakeśmy talentem tym szafowali. Drogośmy odkupionemi, w boleściach Jezusa Chrystusa zrodzonemi dziećmi, przyjętemi za dzieci w Chrzcie świętym. Toż jako dzieci Boże winniśmy żyć i umierać i dobry bój wiary bojować. To samo mówi też apostoł w lekcyi przeczytanej. Rozważmy tedy napomnienie jego

Chodźcie jako dziatki światłości,

odpowiadając na te dwa pytania; czy siedzimy w ciemnościach — i jako chodzić mamy w światłości.

1.

Czy siedzimy w ciemnościach, — pytanie to najmilsi! jest bardzo poważne. Przy tem pytaniu boleśnie dotykać się, głęboko trzeba ranić serce człowiecze, a to rzecz niebezpieczna; trzeba zedrzeć powierzchowne błyskotki i powiedzieć słowo prawdy bez ogródki, a to razi; niweczy pytanie to obojętność z trudnością zachowywaną, i budzi oskarżający głos sumienia, a to sprawia niepokój w używaniu rozkoszy światowych. Lecz czy nie dotykać się wrzodu i nie wyrzynać go dla tego, że to choremu boleść sprawia? Czy śpiącego, gdy dom jego się pali, nie budzić dla tego, aby go nie przestraszyć? Tak też czy na ono pytanie nie dawać odpowiedzi, ponieważ ona tak brzmi: że wszyscy zgrzeszyli, i nie dostawa im chwały Bożej? Tak, przyjaciele moi! jeżeli kiedy, to właśnie w tym czasie, w którym mękę Pańską rozważamy, trzeba głębiej spojrzeć w serca nasze; a jeśliby ciemności światowe oślepiły oczy wasze, to oto jakby pochodnią przyświeca wam apostoł, gdy mówi w lekcyi przeczytanej: „Bądźcież tedy naśladowcami Bożymi, jako dzieci miłe.“ Tak, naśladowcami Bożymi być winniśmy. Lecz powiecie może: jesteśmy przecież na świecie, żyjemy w społeczeństwie ludzkiem, więc trzeba nam czynić, co inni czynią, a radości niewinnych nauka Jezusowa też nie zabrania. Jakkolwiek pięknie brzmi i sprawiedliwą być się zdaje obrona podobna, jednak jest ona lichą. „Nikt nie może bowiem dwiema panom służyć,“ a Ten, który za was umarł na krzyżu, w wszystką swą mękę, w wszystkie swe boleści nie żąda niczego, oprócz serca waszego, ale serca nierozdzielonego, serca całego. Nie możecie Bogu służyć i mamonie, — jednego miłować musicie a drugiego mieć w nienawiści, bo to wiecie, iż żaden wszetecznik, albo nieczysty, albo łakomca nie ma dziedzictwa w królestwie Chrystusowem i Bożem. W doczesności chodzić trzeba jako we dnie, żyć w prawdzie na świecie, ale nie dla świata, chodzić, ustawicznie czuwać i modlić się. Albowiem którejże rzeczy nie splamił grzech, i którąż rzecz na świecie pozostawił kusiciel czystą? Oto miłość — ta miłość, którą Bóg wiał w serca nasze — którą w małżeństwie dwoje ludzi ma spajać i uszczęśliwiać — jakżeż często wyradza się w dziką namiętność, jakżeż często rzuca się na bezdroża nieczystości, jakżeż często nie obawiając się w uczynkach, jednak zieje jadem w myślach i słowach. Cóż szlachetniejszego nad miłość rodzicielską — a jednak — jakżeż często bywa źle rozumianą i źle wykonywaną. Oto uważają to za miłość ku dziecięciu, gdy dogadzają zachciankom jego; zdawają się miłować dziecię, gdy kształcą je w wszystkich sztukach i umiejętnościach, ale naukę o Bogu, modlenie się do Ojca niebieskiego, wychowanie w karności i napominaniu Pańskiem mają za rzecz podrzędną, przestarzałą i nie przynoszącą żadnego pożytku. — Cóż naturalniejszego jak troska o chleb powszedni? Jakżeż atoli mało tych, co pamiętają o słowie Pańskiem: „Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, ale w niebie, albowiem gdzie jest skarb wasz, tam jest

serce wasze." Zbierają, troszczą się, szukają, lecz tylko dóbr doczesnych — pieniądze ich jest Bogiem ich. — „Wysoko o sobie nie rozumiejcie, nie bądźcie chciwy próżnej chwały, niechaj nie będą wzianowane między wami błazeńskie mowy i żarty, które nie przystoją, niechaj was nikt nie zwodzi próżnemi mowami, albowiem dla tych rzeczy przychodzi gniew Boży na syny uporne, nie bądźcież tedy uczęstnikami ich." A jednak biegają i gonią za marną chwałą, nie zważając na sposoby nabycia jej — tylko wielkim, ubóstwianym, podziwianym i czczonym być od wszystkich chce się człowiekowi. A choć przy tem cierpi sumienie i szkoduje dusza, to mówią, że nie można zważać na duszę i sumienie, ani sobie czynić zbytecznych skrupułów. Albo gdy znajdziesz się w szumnem towarzystwie, to trzeba się czemś przyczynić do powszechnej zabawy, trzeba coś powiedzieć, trzeba światłością swoją błyszczeć przed ludźmi, a choć przytem rzeknie się niejedno niepotrzebne słowo i błazeńska mowa, choć imię Jezusowe lżone bywa, jednak trzeba wraz z innymi gadać i żartować, bo inaczej za pobożnisia cię ukrzyczą. Może myślicie, że trzeba zastosować się do ludzi, gdyż nie można zapominać, żeśmy tylko ludźmi ułomnemi, a nie aniołami. Zaprawdę, zaprawdę, o tem pamiętać należy, że właśnie dla słabości naszej unikać musimy sideł kusiciela. Musimy wyznać, żeśmy tylko biedni grzesznicy, synowie zgubieni i córki zgubione, jesteśmy oni ślepi i głusi, co siedzą na drodze żywota. Pamiętajcie, że można publicznie unikać wszystkich grzechów, które apostoł w lekcyi wzmiankuje, a jednak w sercu je chować i pielęgnować i należeć do tych, co uczynki ciemności miłują. Jeżeliśmy tego jeszcze nie poznali, i nie uczuli boleści i przyczyny skażenia serca naszego, jeżeli nie wierzymy jeszcze, że szczerą prawdą jest słowo Pańskie, które mówi, że myśl serca człowieczego zła jest od młodości jego, to trzeba o nas powiedzieć, że nie tylko byliśmy niegdyś, ale jeszcze jesteśmy ciemnością. Tak, najmilsi! ciemna łaska obojętności i faryzeuszowskiej zarozumiałości zdarta być musi z oczy naszych, choćby boleść to sprawiało, zdarta być musi, choćby bogato ubrani i przystrojeni panowie zamienić się musieli na żebraków, musi to nastąpić, inaczej bowiem nie mamy dziedzictwa w królestwie Chrystusowem i Bożem i nie możemy chodzić w światłości. — Przejdźmy tedy do pytania drugiego:

2.

Jako w światłości chodzić mamy?

Aby wiedzieć to, trzeba przedewszystkiem poznać Tego, który jest światłością i prawdą. Cóż On uczynił? Oto z miłości ku nam — tak zwiastuje apostoł — Chrystus wydał samego siebie na ofiarę i na zabicie Boga ku wdzięcznej wonności. Przyjmijcie najmilsi! to niebieskie zwiastowanie, otwórzcie mu serce i rozum wasz, bo jest to wielkie, jest to Boskie zwiastowanie. Syn Boży, Ten, który ziemię i niebo stworzył, Ten, pod którego nogami błyszczą słońce i gwiazdy, który siedzi na tronie Ojca, przyjmuje niewolniczą postać człowieka, leży w żłobie w Betleemie, cichy i spokojny, otoczony pasterzami ubogimi, rośnie w mądrości łasce u Boga i u ludzi, przyjmuje Chrzest nad Jordanem, naucza jako moc mający, czyni cuda, płacze nad ociążonym grzechem a jednak niepokutnym ludem w Jeruzalemie, walczy w modlitwie w Getsemane, bywa pojmany, biczowany, oplwany, niesie krzyż, nosi koronę cierniową, i On, król chwały, On, Pan nieba i ziemi, umiera pomiędzy dwoma zbójcami na krzyżu! Dla czego zaś stało się wszystko to? Oto aby nas najmilsi! nas, cośmy w Chrzcie świętym imię Jego otrzymali, aby nas i nawet ludzkość całą odkupić od mocy szatana, grzechu i śmierci, aby nas, cośmy z winy człowieka raj utracili, znowu przywrócić do raju. Chcelymi tedy znowu posięść ten sad niebieski, w Jego ślady wstępować, Tego naśladować winniśmy, który za wzór nam położony jest. Lecz czy pamiętacie, czego On żąda od nas? Oto tak On mówi: „Jeżeli kto chce iść za mną, niechajże samego siebie zaprze, a weźmie krzyż swój, i naśladuje mię." Tak, Najmilsi! poświadczyć muszę, co mówi jeden z wiernych świadków Jezusowych: „Poważną sprawą jest chrześciaństwo prawdziwe: mało ich jest, co je zna, a jeszcze mniej tych, co je ma. Więcej trzeba by być prawdziwym chrześcianinem, aniżeli poddać rozum w posłuszeństwo słowa Bożego, więcej aniżeli naukowo trzymać się wiary ojców, więcej aniżeli pilnować uczciwego, kościelnego, cichego żywota. Droga jest wązka. Nawrócenie jest dwojakie, fałszywe i prawdziwe; jedno ku śmierci, drugie ku żywotowi. Fałszywe jest tylko powierzchowne, prawdziwe jest zupełne; fałszywe tylko łataniną, prawdziwe odnowieniem ducha i umysłu; fałszywe podobne do węża, które zrzuca starą skórę, ale mimo nową błyszczą skórę pozostaje żmiją jadowitą; prawdziwe nawrócenie podobne jest do gąsienicy, która umiera, lecz z śmierci powstaje jako nowe stworzenie, jako motyl w piękne skrzydła przystrojony i kołyszący się na kielichach kwiatów. Nic przed Bogiem według Jego własnego świadectwa ostać się nie może, oprócz tego, co nowem stworzeniem w Chrystusie się stało, — poczęte z Ducha świętego, narodzone w żłóbku ubóstwa w duchu, na cierniach smutku według Boga i pokuty." Tak na cierniach smutku i pokuty, a kto tych nie zna, kto łez syna marnotrawnego jeszcze nie płakał, kto pokuty unika, — ten może chodzi drogami cnoty światowej, lecz nie idzie jeszcze na cierniowej drodze odkupienia. Niech zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój — te słowa Pańskie są i te wykonać należy. Zaprzyj samego siebie, to znaczy, to nie czyń tego, co twoja osoba chce, czego żąda miłość własna, czego życzy sobie ciało twe, — lecz czyń wolę Bożą, a wtedy jesteś dziecięciem Bożem. Lecz rzekniecie może, jakżeż to ciężko człowiekowi tak zaprzeczeć samego siebie. Nie jest to lekko, lecz pamiętaj, czy był lekki krzyż, który Zbawiciel nosił? A tybyś go nosić nie chciał? Czy słodką była Jego śmierć — a ty nie chcesz umrzeć dla świata, aby z Chrystusem zmartwychwstać? Ciężko? tak trudno jest być prawdziwym chrześcianinem. Wązka jest droga, wiodąca do żywota, lecz czy nie mamy stanąć na niej? Jest jeszcze inna droga.

Czy na tę udać się chcecie? Jest ona wygodniejsza, i wesoło na niej, chodzą tam ubodzy i bogaci, w łachmanach i w drogich płótnach i jedwabiach, bez żałości i troski, wśród śmiechu i żartów, — a droga ta jest szeroka i brama przestronna, a wiedzie na potępienie.

Potępienie! Wyraz, co razi świeckie ucho, a jednak nie jest to wyraz tylko, lecz rzeczywistość, rzeczywista męka, która wiecznie trwa. Krótka tedy radość bezbożnych, znikoma jest chwała grzesznika, ale nagroda jego — wtedy gdy życie ziemskie kończy się — rozpoczyna się jako inne, jako wieczne życie kary. Nawróć się tedy, co siedzisz w radzie niepobożnych i mieszkasz w dolinie ciemności, — nawróć się, póki jeszcze czas. Najmilsi! pamiętajmy, że chodzić mamy jako dziatki światłości, a to tylko wtedy jest możliwem, gdy mamy wiarę, lecz nie przez nas urobioną wedle własnego widzimisię, ale wiarę, którą zwiastuje Biblia, Pismo święte, które Jezus Chrystus krwią swoją zapieczętował. Przyjmijcie Jezusa Chrystusa, lecz nie onego bohatera cnoty, nie onego wielkiego człowieka, ale Jezusa, Syna Bożego, który przyszedł szukać owieczki zgubione, Zbawiciela grzeszników. Do Niego idźcie, do oblubieńca i biskupa waszych dusz, nie odziani w szatę własnej sprawiedliwości, samochwalstwa i pychy, lecz jako ubodzy, znękani, zgubieni, trądem rażeni grzesznicy, a przyjmie was w łasce swojej i rzeknie wam: odpuszczone są grzechy wasze; a wtedy i tylko wtedy chodzicie w światłości. Lecz światłość tę, wielki dar ten, jakoż przyjąć? Kupić go nie można, bo Chrystus owszem nas kupił, wymową ani gwałtem wziąć go nie można, — wyprosić, wybłagać, wyżebrać go trzeba. Tak, przyjaciele moi, z łaski, tylko z łaski zbawionym być można. Aby zaś łaska ta dostała się nam, trzeba byśmy grzechy swe poznali, i w Jezusie Chrystusie łaski szukali. Taka jest nauka naszego kościoła ewangielickiego. Nie porzucajcie jej, bo jest perłą kosztowną. Nie zapominajcie jej wy chrześcianie ewangieliccy, bo wielkie rzeczy powierzył wam Bóg, naukę, która rdzeń i fundament swój w Biblii ma. Trzymajcie mocno, co macie, nie bądźcie obojętnymi względem skarbu waszego. Wielki skarb dany wam, wielka też jest wasza odpowiedzialność przed Tym, który siedzi na prawicy Ojca. Zborze Jezusowy, chodź w światłości, aby nie rzeczono kiedyś o tobie, jako o zborze laodyceńskim: bodajżeś był zimny, albo gorący. A tak jednak ponieważeś letni, a ani zimny, ani gorący, wyrzucę cię z ust moich. Najmilsi! weźmy do serca słowa lekcyi dzisiejszej. Jakkolwiek obcy u was, lecz jako sługa Pana naszego, jako domownik wiary, wołam na was: nie chodźcie w ciemności, ale w światłości, aby nie rzeczono o was w dzień sądu: Zważonyś, zważony, a znaleziony lekki i odrzucony. Amen.

Walka i zwycięstwo.

I podawszy starcowi uprzejmie rękę, wybiegł na ulicę.

Dla czego niektórzy bogaci ludzie takie złe mają wyobrażenie o biednych? — myślał młodzieniec ze smutkiem — dla czego zastawiają na nas sidła, aby omotać biedną duszę i unieszczęśliwić doczesnie i wiecznie? Dla czego pchają do zguby zamiast nam, przed którymi wszystkie drzwi są zamknięte, podać rękę pomocną?

Takie oto myśli ranią dotkliwie serce Stanisława. Czyż nie ma nikogo ktoby zlitował się nad nieszczęśliwym? Dla czego więzienia i domy obłąkanych są tak przepełnione? Gdy się nad tem zastanowimy, dojdziemy do przekonania, że często, niestety, brak miłości bliźniego jest przyczyną zepsucia i niedoli ludzkiej.

O Panie, o Boże mój, wesprzyj mię Twą potężną prawicą, aby nie zwątpiła dusza moja! — woła nieszczęśliwy — o Jezu Chryste, jedyny, najlepszy przyjacielu, ulituj się nad nami, weź nas w Twą opiekę!

I oto Pan w istocie ulitował się nad ciężką niedolą młodzieńca, wszystko zmieniając ku dobremu.

* * *

Bankier Skalski człowiek w podeszłym już wieku, któremu Stanisław na samym końcu zapłacił rachunek, siedział zadumany przed swym biórkiem; owładnął nim dziwny jakiś niepokój, a wybladła twarz młodzieńca stała mu ciągle przed oczyma.

Albo wwielkim znajduje się kłopocie — mówił do siebie starzec — lub knuje coś złego!

Przejęty współczuciem dla nieznajomego, zamyka się w swym gabinecie i modli się za niego z głębi serca: „Panie, strzeż go od grzechu, uchroń od rozpaczy, dopomóż mu łaskawie!

W parę godzin potem znajdujemy go w pokoju żony, siedzącego wygodnie przed kominkiem z cygarem w ręku.

Jesteś taki dzisiaj zamyślony i milczący, cóż ci to mój mężu? — zapytuje troskliwie żona.

Nic mi nie jest chwała Bogu, ale, rzecz dziwna, ciągle stoi mi przed oczyma ów młody człowiek, który dzisiaj był u mnie z wypłatą rachunku firmy Kuehneman. Nie mogę zapomnąć jego bolesnego wejrzenia; był to młodzieniec pełen szlachetnego obejścia. Żałuję bardzo, żem go nie zapytał o jego stosunki.

Możesz bardzo łatwo dowiedzieć się kto on jest, kochany mężu.

Masz słuszność, jutro zaciągnę o nim bliższych wiadomości.

Po chwili bankier wstaje.

Nie, moja droga — rzecze — nie mogę czekać do jutra; jeszcze dzisiaj muszę się coś bliższego o nim dowiedzieć. Do widzenia, wkrótce będę z powrotem.

I zarzuciwszy płaszcz na ramiona pan Skalski szybko wyszedł z domu. Wkrótce dowiedziawszy się kim jest ów młody człowiek i gdzie mieszka, pospiesznie udał się do rodziców, gdyż powiedziano mu, że w wielkiej znajdują się nędzy. Właśnie licytowano fotel, stary zabytek rodzinny i lepszych jeszcze czasów, a płacz kobiety i dzieci łączył się boleśnie z uderzeniami młotka aukcyonatora.

Moi ludzie — pyta pan Skalski, którego postać olbrzymia otulona płaszczem futrzanym iście królewski miała wygląd — o jakąż tu sumę idzie?

Proszę pana — odpowiedział sługa sądowy — idzie tutaj o czterdzieści talarów należnych za komorne, których ci biedni ludzie zapłacić nie mogą, a o które koniecznie dopomina się właściciel domu.

Co, tylko czterdzieści talarów, nie więcej? i dla takiej to bagateli niepokoi się biedną rodzinę? Oto są pieniądze — mówi dalej pan Skalski kładąc pięćdziesiąt talarów na stół. — A teraz moi ludzie bądźcie tak dobrzy i opuśćcie to mieszkanie.

Radosne zadziwienie maluje się na twarzach wszystkich obecnych. W parę minut potem w izdebce pozostała się tylko rodzina i nasz zacny bankier. Chory ojciec, przy którego łóżku usiadł pan Skalski, chciał dziękować swemu dobroczyńcy, lecz nie był w stanie ani jednego przemówić słowa. Kobieta zbliża się, aby wyrazić mu swą wdzięczność, lecz starzec szlachetny przerywa jej, mówiąc:

Cicho, cicho, nie ma za co dziękować, przedewszystkiem trzeba pomyśleć jak wam dopomódz na przyszłość. Potrzebujecie teraz chleba, pieniędzy i doktora; wkrótce wszystko mieć będziecie, zaufajcie tylko Bogu, który chce wam dopomódz. A teraz bywajcie zdrowi, śpijcie spokojnie, Pan ma was w Swej opiece.

I mówiąc to pan Skalski pożegnał się ze wszystkiemi i pospiesznie izdebkę opuścił. W godzinę potem służący jego przyniósł pełen kosz żywności, a dla chorego ojca poduszkę i ciepłą wełnianą kołdrę. Niezadługo przyszedł również doktór, który żadnej nie zapisał recepty, polecił tylko choremu dawać wino, dobrze go odżywiać, starać się to, żeby miał spokój. Dwa pierwsze polecenia doktora łatwo było wykonać dzięki zacnemu dobroczyńcy, który rodzinie na pierwsze potrzeby dość znaczną pozostawił sumę; pożądany spokój chory również wkrótce odzyskał.

Noc, która nadeszła po owym dniu tak pamiętnym, była dla ubogiej rodziny obfitą w błogosławieństwo. Lody bowiem przełamane zostały, a serca dotąd zimne zagrzały się miłością ku Bogu, który w tak cudowny sposób okazał im łaskę Swoją.

O miłosierny Zbawicielu — dziękujemy Ci z głębi duszy — ufamy Ci niezachwianie, wstydzimy się naszej niewiary i miłujemy Cię sercem całem; Panie, błogosław nam! — modlili się uszczęśliwieni biedacy zamykając powieki do snu spokojnego.

Pan Skalski pragnąc zobaczyć się jeszcze dnia tego ze Sstanisławem, przeszedł parę ulic w nadziei, że może spotka się z nim przypadkiem; jednak szukał go napróżno.

Jutro zobaczę się z nim — rzekł wreszcie do siebie i z radosnem uczuciem w duszy do domu powrócił.

Następnego dnia około południa udał się w stronę mieszkania pana Kuehnemana, mając nadzieję, że się spotka ze Stanisławem. Gdy tenże w smutnych pogrążony myślach jakby śpiący podążał ulicą, uczuł nagle, że go ktoś silną ręką chwyta za ramię. Obejrzał się zadziwiony i ujrzał przed sobą zacnego bankiera, który nań życzliwem spoglądał okiem.

Gdzież to tak szybko, młody przyjacielu? Czy jesteś już pan po obiedzie? Jeżeli jeszcze nie, to proszę bardzo, bądź moim gościem.

Uprzejmie dzękuje łaskawemu panu — odparł zmięszany Stanisław — chciałem się tylko cokolwiek przejść.

Nie odmawiaj mi pan, proszę bardzo. Pójdziemy na obiad do hotelu „Pod orłem."

Zanim Stanisław mógł się zastanowić, siedział już z panem Skalskim w małym gabinecie przy osobnym stoliku, na którym stopniowo kelner postawił smaczne potrawy i doskonałe napoje. Podczas gdy znużone jego ciało posilało się dobrym darem Bożym, duszy jego również podano pokarm pokrzepiający. Nie jako obcy, lecz jak ojciec rodzony, odezwał się zacny starzec do młodego człowieka.

Zdaje mi się, mój młody przyjacielu, że nie jesteś zadowolony z obecnego twego położenia?

Bolesny wyraz odbił się na twarzy Stanisława.

Proponuje panu miejsce w moim kantorze z podwójną płacą — rzekł pan Skalski zrozumiawszy młodzieńca — możesz je objąć natychmiast. Znam osobiście pańskiego pryncypała, zatem sam z nim się rozmówię, a pan nie będziesz już potrzebował przestępować progu domu, w którym tak niegodnie z tobą postępiono.

Stanisław zmięszany, zachwycony, uścisnął z wdzięcznością ojcowską rękę swego dobroczyńcy.

Cóż lepszego mogłoby mi się wydarzyć nad to, że mogę usługi moje ofiarować tak zacnemu człowiekowi!

Więcej nie mógł wypowiedzieć słowami do głębi serca wzruszony młodzieniec. Wdzięczność i uwielbienie przepełniało jego duszę.

Od tego dnia Stanisław objął miejsce w kantorze swego opiekuna, z którym już się nie rozłączył przez całe życie. Początkowo będąc tylko pomocnikiem, wszedł następnie w półkę z bankierem, a w końcu został jego zięciem.

Jakże mam Panu i Bogu memu odpłacić za wszystkie Jego dobrodziejstwa, które na mnie zsela, — mówił nieraz z wdzięcznością, a wdzięczność ta dla Stwórcy przez całe życie pozostała w głębi jego duszy.

(Koniec.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 11.
Ogórek.

Zagadka.

Kogo suknia zdobi?

Redaktor odpow. w zastępstwie: Hugo Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 13. | Ełk, na niedzielę dnia 4 kwietnia. | 1897.

Życie domowe Filipa Melanchtona.

„Błogosławiony wszelki, który się boi Pana, który chodzi drogami Jego. Bo prace rąk twoich pożywać będziesz, i będzieć się dobrze działo. Żona twoja będzie jako winna macica płodna po bokach domu twego, dziatki twoje jako latorośle oliwne około stołu twego. Oto taki będzie ubłogosławiony mąż, który się boi Pana.“ Psalm 129.

Gdy rozważamy życie znakomitych mężów, gdy sobie przed oczy stawiamy wielkie dzieła, które wykonali, tedy wydają się nam ci mężowie, jakby wyższemi istotami. Gdy się atoli przypatrzymy jak w domu swoim, między swoimi żyli, wtedy się przekonywamy, że byli takimi ludźmi jak my. Jest to ciekawem przypatrzeć się jak mężowie znakomici w pożyciu domowem się sprawowali; a gdy życie ich było przykładnem, wtedy nam takie uważanie jest miłem i budującem.

Niedawno obchodziliśmy 400-letnią pamiątkę urodzin sławnego reformatora Filipa Melanchtona, przy czemeśmy sobie przypominali, ile ten mąż Boży pracował, jak wielkie zasługi około reformacyi kościoła położył i jak imię jego wówczas i teraz głośne jest w całym świecie. Nie będzie więc od rzeczy, jeżeli się przypatrzymy życiu domowemu tego znakomitego męża.

Melanchton należał do tych ludzi, którzy nie mają czasu do żenienia. Przyjaciele jego życzyli sobie, żeby się ożenił, szczególnie z dwóch przyczyn: najprzód, ponieważ był słabego zdrowia i dla tego potrzebował żony, któraby go pielęgnowała, powtóre, ponieważ go chcieli w Wittenberdze zatrzymać. On pisze o tem: „Proszą mnie, żebym się żenił i żebym tem sposobem położenie moje polepszył. Gdybym wiedział, że mi to nie będzie przeszkadzać w moich pracach i studyach, tedybym się dał do tego nakłonić. Ale teraz się to nie stanie. Znałem wielu mężów młodych, którzy wiele obiecywali, ale ożeniwszy się, zostali w sprawy familijne zaplątani i zawiedli piękne nadzieje, które w nich pokładano.“ Lecz przyjaciele jego nie dali się takiemi rozumowaniami przekonać, a ponieważ on się ożenić nie chciał, dla tego oni go ożenili. Szczigodny burmistrz miasta Wittenbergii, imieniem Hieronim Krapp, miał nadobną 23-letnią córkę Katarzynę, z którą Melanchtona w sierpniu 1520 r. zaręczono. Ślub młodej pary odbył się w listopadzie tego samego roku. Melanchton tego roku nigdy nie żałował. Pisze on: „Wszystkie przyczyny co do żenienia się obmyślałem i usłuchałem rady przyjaciół. Nienawidzę mizantropicznych rozumowań, według których niektórzy cześć w tym pokładają, że płcią żeńską pogardzają i od małżeństwa się odciągają. Jeżeli płeć żeńska ma swoje słabości, mają je i mężczyzni.“ O swej żonie tak powiada: „Ona jest osobą, nad którą sobie lepszej od Boga wyprosić nie mogłem.“ Pewnemu przyjacielowi pisał: „Ona zasłużyła lepszego męża.“ Przyjaciel Melanchtona Camerarius jej cnoty tak opisuje: „Była bardzo pobożną żoną, która męża swego serdecznie miłowała; do tego była pilną i skrzętną gospodynią, szczodrą i dobroczynną w obec wszystkich, o ubogich tak dbałą, że w udzielaniu darów nie tylko na swoje siły zapomniała, ale także u innych usilnie za ubogich prosiła i za nimi się stawiała. Najwyższa nienaganność życia i obyczajów była jej właściwą i starając się ciągle o pobożność i cnotę, nic nie dbała o wykwintne uczty i wystawne suknie.“

Dom, w którym Melanchton mieszkał, zachował się aż dotąd. Na zewnątrz nie wygląda pokaźnie, ma małe okna z małemi szybami, osadzonemi w ołowianych ramkach. I wewnątrz było wszystko proste i skromne. W pokoju stał w kącie wielki piec kaflowy, na pośrodku wielki stół z dębowego drzewa, około stołu kilka stołków, koło ścian ławy i kilka skrzyń.

Melanchton pobierał rocznej płacy najprzód 200, potem 300, a nareszcie 400 złr. Względem ubogich był nadzwyczaj szczodrym, ubogim studentom dał ostatni grosz, który miał w domu. Zachował się według słów Jana Chrzciciela, który powiada: „Kto ma dwie suknie, niechaj udzieli temu, co nie ma; a kto ma pokarm, niech także uczyni“ (Łuk. 3, 11.) Zdarzało się, że nie mając pieniędzy, srebrne kielichy i inne kosztowności, które w darze otrzymał, z domu wyniósł i u złotnika sprzedał, aby mógł ubogiemu udzielić. Jego zięć powiedział: Raczej mu nic nie dajcie, on to przecie znowu rozda.“ Dla swej szczodrobliwości miał często niedostatek. W pierwszych czterech

[illegible] nie sprawił swej żonie ani jednej sukni.

Porządek dzienny był w domu Melanchtona następujący: Ponieważ Melanchton miał bardzo dużo pracy, nie miał czasu długo spać, spał tylko 4—5 godzin; już o drugiej godzinie rano wstawał, zapalił lampę i szedł po cichu, żeby nikogo nie zbudził, do swego pokoju. Dwie godziny później przyszedł jego sługa Jan i przyniósł dużo listów, arkuszów z drukarni, książek i t. p. Niektórym profesorom musiał Melanchton wykłady napisać, które oni potem przed studentami czytali. O godzinie 7 rano szedł Melanchton do pokoju familijnego, gdzie się odbyło nabożeństwo ranne. Dom swój nazywał kościołem Bożym, w którym on był kapłanem. Sługa Jan przeczytał ustęp z Pisma św., który potem Melanchton wyłożył, poczem jeszcze zmówił modlitwę. Przy obiedzie zmawiano oprócz modlitwy stołowej Wierzę. Przed 8 godziną rano szedł Melanchton na uniwersytet. W drodze pozdrawiali go studenci i obywatele Wittenberscy z głębokiem uszanowaniem. Czas od 11—12 godziny przepędził w kole swej familii. Tu sobie odpoczął od trudów i bojów; tu wśród dziatek stał się dziecięciem. Pewnego razu przyszedł do Wittenbergii jakiś uczony francuski, aby widzieć słynnego Melanchtona. Gdy go wprowadzono do pokoju, jakże dziwny obraz się mu przedstawił! Oto Melanchton siedzi przy kołysce, jedną ręką kołysze, w drugiej trzyma książkę i czyta. Zapewnie sobie uczony francus słynnego nauczyciela Niemiec tak nie przedstawił. Pewnego razu siedział Melanchton w głębokich myślach zanurzony, przygnębiony smutkiem nad niepokojem w kościele, mając łzy w oczach. W tem przybiegła córeczka jego, siadła na jego kolanach i otarła mu fartuszkiem łzy z oczu. To go pocieszyło. — Melanchton miał czworo dziatek, których imiona są: Anna, Filip, Jerzy, i Magdalena. Jerzy, chłopiec bardzo utalentowany, umarł w 2 roku życia. Filip był dobroduszny, ale nie rad się uczył. Dziwna rzecz! Syn uczonego Melanchtona nie ma ochoty do nauki. Piękna i mądra córka Anna poszła w 14 roku za utalentowanego ale lekkomyślnego profesora Sabina. W małżeństwie nieszczęśliwa, umarła w 25 roku życia. Młodsza córka Magdalena poszła w 17 roku za lekarza Peucera, który był bardzo dobrym małżonkiem i zięciem. Męskich potomków Melanchtona już nie masz. Tylko potomcy jego córki Magdaleny znajdują się jeszcze dziś w Niemczech; jednym z nich jest słynny kaznodzieja ks. Dr. Zimmermann w Wiedniu. — Oprócz żony i dzieci miał Melanchton w domu swoim sługę, Jana Kocha, który mu przez 34 lata wiernie służył. On był mu pomocnikiem nawet przy pracach literackich, starał się o wychowanie jego dzieci i zarządzał sprawami ekonomicznemi jego domu.

W jedzeniu był Melanchton bardzo miernym. Jego żona przysiłała go do jedzenia tak, że nieraz narzekał, iż się żona jego boi, że z głodu umrze, jeżeli nie jest napchany jak kiełbasa. Jadał zwykle tylko raz na dzień. Jego ulubionemi potrawami były: Rosół, jarzyna, jaja i drobne ryby. Nim szedł spać, co się zwykle działo o godzinie 9 wieczór, ponieważ sen przed północą uważał za najlepszy, wypił szklankę wybornego wina, które mu przyjaciele jego z nad Renu przysłali. Czasem posłał mu także jego książę zwierzyny i wina.

Lubo Melanchton nie był miłownikiem biesiad, przecie czasem gości u siebie chętnie przyjmował i tak wypełniał napomnienie ap. Piotra: „Gościnnymi bądźcie bez szemrania" (1 Piotra 4, 9.) Jego zwykłymi gośćmi byli: Marcin Luter, profesorowie uniwersytetu Wittenberskiego, pokrewieństwo jego żony i studenci. Takie uczty musiały być bardzo dobrze ożywione, gdy zważymy, że się zeszli profesorowie i studenci z różnych stron świata. Melanchtom powiada, że niekiedy mówiono przy jego stole w 13 językach.

Przy stole, w gronie rodziny i przyjaciół, był Melanchton wesoły. Umiał o swych wielustronnych znajomościach opowiadać, przy czem lubił swe opowiadania powiastkami i żartami przeplatać. On powiada: „Mężowie uczciwi mają w uczciwych ucztach upodobanie, aby znajomości odnowili, albo nowe zawiązali." „Jest mi to nieznośnem, jeżeli niektórzy przy stole na drugich z wytężoną patrzą uwagą, albo pokryjomu mówią, jakby szpiegowie, tylko na to czatując, żeby słowo wypowiedziane uchwycić, na złe obrócić i dalej powiedzieć mogli. Niektórzy mniemają, że przez to udowodniają wielką mądrość, ale jest to tylko brak wykształcenia." „Cóż jest życie bez wzajemnej wymiany myśli? Jeżeli chcecie być ludźmi, żyjcie jak ludzie. Ireneusz opowiada, jak uprzejmą była rozmowa Jezusa z ludźmi." Aczkolwiek atoli Melanchton był w towarzystwie wesołym, przecie osoba jego była tak poważna i czysta, że w jego obecności nie pojawiło się żadne nieprzystojne słowo.

Jak to w życiu rodzinnem zwykle się zdarza, że Pan Bóg krzyż i utrapienia różne dopuszcza, tak i nasz Melanchton doznał w życiu swém rodzinnem obok radości i pociechy także wiele smętku i utrapienia. Pierwszy syn jego Filip nie był utalentowany i z powodu chorobliwości pomału rósł. Drugi jego synek Jerzy, pociecha i radość ojca, został mu przez śmierć odebranym w 2 roku życia. Melanchton pisze: „Nic mi nie było w życiu droższem nad tego chłopca. Ukazowały się u niego nadzwyczajne dary ducha. Jaką ranę mi ta strata zadała, tego nie mogę słowami opisać." Marcin Luter pisał o tym smutnym wypadku do swoich przyjaciół: „Naszemu Filipowi odebrał Pan Bóg minionej niedzieli jedno z jego dziatek. Możecie sobie myśleć, jak trudno nam tego męża, który ma tak tkliwe i czułe serce, pocieszyć i uspokoić. On się bardzo martwi nad tą śmiercią, ponieważ jeszcze nie jest w tem wyćwiczony.

„Przyj. Ludu."

(Dokończenie nastąpi.)

Młody wędrownik.

Pewnego dnia, z wieczora, podczas srogiej zimy, żona rzemieślnika P. zbliżywszy się do okna, spostrzegła młodego człowieka, który idąc po przeciwnej stronie ulicy, wstępował od domu do domu. Człowiek ten szedł z wolna i drżał widocznie, ale bo też mróz dnia tego był nadzwyczaj silny. Dym z kominów nakształt olbrzymych słupów wznosił się prosto w górę, mali chłopcy, ślizgający się na lodzie, chuchali w skostniałe ręce i dobiegłszy do końca ślizgawki i przystawszy na chwilę drżący z zimna przebiegli ją znów z powrotem; a kwiaty, któremi mróz szyby okien przyozdobył i które w południe stopniały już prawie, zakwitły znów w całej pełni.

To zapewne jakiś biedni rzemieślnik, — rzekła kobieta z widocznem współczuciem, bo sądząc z jego czystego ubrania, na coś lepszego wygląda; twarzy jego nie mogę wprawdzie dojrzeć, lecz obuwie widzę mu tak lekkie, że patrząc na niego aż zimno się robi. Niechaj Bóg najwyższy strzeże każdego, od odbywania wędrówki podczas takiej srogiej zimy.

Zapewne — odparł mąż, — lecz młodzi ludzie bardzo często przez lenistwo, zuchwalstwo i złe życie dochodzą do takiej nędzy, że aż żebrać muszą; chociaż bywają i tacy, którzy są niewinni, którzy ubożeją w skutek choroby lub w skutek tego, że rzemiosło ich nie wszędzie opłaca.

To prawda, mój Boże! — zawołała żona. Kto wie jak się tam naszemu synowi na obczyźnie powodzi! Od trzech lat nie mamy żadnej od niego wiadomości, a i on także nie wie gdzie obecnie mieszkamy. Niewiedzieliśmy gdzie się znajdował i dlatego nie mogliśmy go uwiadomić.

Nie kłopocz się o to, moja droga, — odrzekł jej mąż. Niepodobna przecież było porzucić korzystny zarobek, jaki mi tu ofiarowano, i który przyjąłem chętnie w nadziei, że go kiedyś z synem moim będę mógł podzielić; to też skoro zgłosi się do miejsca naszego dawniejszego zamieszkania, odnajdzie nas potem z łatwością i wszystko pójdzie dobrze. Lecz co się stało z nieznajomym o którym mówiliśmy? nie widać go już, zapewne przeszedł na stronę po której mieszkamy. Wybierz też, moja kochana, z pomiędzy pończoch moich jedną gorszą parę i daj mu ją. Może znajdzie się znów jaki poczciwy chrześcijanin, który synowi naszemu przyjdzie kiedy z pomocą.

Kobieta z widocznem wzruszeniem zbliżyła się do szafy, a chociaż natrafiła zaraz na parę zużytych już pończoch, nie wzięła jej jednak do ręki, gdyż przejęta litość dla nieszczęśliwego, wahała się nie wiedząc czy ma dać lepszą lub gorszą parę.

W tej chwili ktoś drzwi otworzył. Wtedy to kobieta, zwracając się do dziewczyny służebnej, która przy kołowrotku siedziała, rzekła:

Powiedz temu młodemu człowiekowi niech zaczeka chwilkę.

Służąca podniosła się szybko i wybiegła z pokoju, a pozostali małżonkowie usłyszeli w sieni głośną rozmowę, której jednak zrozumieć nie mogli. Za chwilę weszła znów służąca do pokoju, niosąc w ręku kwiaty misternie wyrobione z kolorowego papieru i małe tekturowe pudełeczka.

Ach, pani moja, — rzekła, — ten człowiek wygląda tak uczciwie i przyzwoicie. Mówi, że jeszcze piętnaście mil musi iść pieszo, ażeby się dostać do rodziców swoich, których dotąd jeszcze ani razu o pomoc nie prosił; lecz teraz zmuszony jest, gdyż dwa miesiące przeleżał w szpitalu, a ponieważ jest jeszcze bardzo osłabiony i pracować nie może, wyrabia te oto pudełka i kwiatki. Mówił, że może je kto na podarunek dla dzieci kupi, gdyż wstydzi się odbierać jałmużnę; chociaż dotychczas mało kto kupił od niego, choćby tylko przez litość nad biedakiem.

Słysząc to gospodarz domu skwapliwie wyciągnął rękę, a wybierając z pomiędzy wielu par pończoch najlepszą, zawołał:

Daj mu ją daj, droga żono, on wart tego! Trzeba mu także odegrzać resztę objadu naszego, niechaj się biedak posili i rozgrzeje.

Kiedy kobieta wyjąwszy z szafki posiłek przeznaczony dla biedaka, wyszła z nim z pokoju, zaraz za drzwiami rozległ się głośny okrzyk:

Boże, toć to syn mój! — witaj mi witaj, moje drogie dziecię!

Ach, moja matko kochana!

I zanim gospodarz domu zdołał wydostać się z za warsztatu swego, ujrzał już ukochanego syna swojego i w objęciach małżonki, który wchodząc do pokoju, zawołał z radością:

Ojcze mój, drogi mój ojcze!

Klemens Boruta.

Nędza należy do tych niewielu szczęśliwych wiosek Górnego Szląska, które dotąd zachowały swą polską nazwę. Wyznać jednak trzeba, że ani landrat, ani prezes rejencyi, ani nawet minister spraw wewnętrznych, w połączeniu z ministrem sprawiedliwości, nie kusili się o przemianę jej rodzinnego imienia. Podczas gdy Raciborze, Lublinice, Olszowy i inne miejscowości otrzymały, bodaj w pisowni, przymusowy chrzest germański, Nędza pozostała nietknięta. Nie można bowiem liczyć tego za szkodliwy uszczerbek, że boska mowa landratów, nie znajdując w swem abecadle samogłoski nosowej, zastąpiła ją z półgłoską płynną i z Nędzy zrobiła Nędze. Ludowi natomiast nawet królewsko-ziemiańska rejencya pozostawiła zupełne i niczem nieograniczone prawo używania Nędzy.

Naturalnie korzystał z tego prawa i Klemens Boruta, którego ród od wieku blisko mieszkał w Nędzy i który był najlepszem świadectwem wiarogodności nazwiska wioski. W rodzie tym bowiem umarło z głodu 15 członków, najsławniejszym jednakże między nimi był Warzyniec Boruta, ojciec Kliemensa. Kiedy w r. 1847 nawiedził Nędzę głód, Wawrzyniec, podówczas wdowiec, bez środków żywności i roboty, łapał nocą pod strzechami wróble, a dniem łowił na sidła wrony, których

mięsem karmił dziesięcioletniego syna. Gdy nareszcie wróbli nie stało, a wrony zmądrzały, zrozpaczony wyrobnik, nie mogąc przez dwa dni znaleść dla dziecka pożywienia, postanowił się powiesić. Przechodząc wszakże koło zabudowań dworskich, spostrzegł na śniegu obdartego ze skóry lisa. Boruta wziął mięso do domu, upiekł je, a ponieważ sam od kilku dni nic nie miał w ustach, a dziecko spało, zjadł więc skwapliwie kawałek pieczeni. Po chwili uczuł gwałtowne boleści. Przekonany, że lis był strychniną otruty, wyrzucił mięso, wybiegł za chatę, położył się na ziemi i zaczął jeść gwałtownie śnieg z ziemią w nadziei, że się tem uleczy. Chłopiec, zbudziwszy się w nocy, zaczął krzyczeć i wołać tatula, ale tatulo nie przyszedł. Na drugi dzień znaleziono go martwym za chałupą. Ponieważ nie przypuszczano, ażeby w jego żołądku coś być mogło, więc sąsiedzi zdecydowali, że zmarzł. Na opinii tej poprzestał lekarz obwodowy i my równieź zgodzić się na nią musimy.

Po śmierci ojca, przyjaciel jego, owcarz dworski, Szymon Brzost, wziął Klemensa do owczarni i tam go przezimował, dzieląc się nim swoją strawą. Czasem było jadła skąpo, ale czasem, zwłaszcza ku wiośnie, gdy owce zdychać zaczęły, Brzost dorzynał je i wyprawiał sobie z wychowańcem sute biesiady. Zgromadziwszy w lecie zapas korzeni, plótł on zwykle w zimie bardzo ładne koszyki. Chłopiec tak szybko wyuczył się przy nim tej sztuki, że zarobił kilka talarów, za które kupił sobie dymkowy surdut, spodnie i dwie koszule. Gdy owce wyszły w pole, a nadewszystko, gdy zdychać przestały, stary rzekł do Klemensa:

No, spróbuj poszukać sobie chleba, Jak ci bieda dobodźe, przyjdź do mnie.

Klemens w swojem nowem dymkowem ubraniu wyszedł, płacząc, powłóczył się po wsi, odnowił z kilku chłopcami znajomość i wieczorem stanął w owczarni.

A, hultaj jesteś — zawołał rozgniewany stary — ty myślisz, że tu przy mnie, jak Burek, będziesz ciągle leżał? Ruszaj mi w świat.

Nie tyle rozkaz, ile owczarski bat, który Brzost ze ściany porwał, zdmuchnął chłopca z podwórza, jak świecę. Było wszakże już ciemno; potuławszy się więc za stodołami, gdy noc zapadła, przyległ do sterty słomy i zasnął. Ale nazajutrz, chociaż stary bardzo rano wstał, już Klemensa nie było. Gdzie się podział? Pytał owcarz ludzi we wsi, pytał przyjezdnych, ten i ów spotkał chłopca, ale wszyscy objaśnić nie umieli.

Zawzięty kaduk! — mruczał stary. Szelma, ani piśnie, jak gdybym go nie przezimował. Może zmarł gdzie? Nie przyszedłby-to, nie pogadał, i zjadłby coś, oto tłustego barana dorżnąłem. Psy pożrą...

Pomimo że dorzynanie baranów w Nędzy musiało szeroko i porętnie rozbrzmieć w okolicy, młody Boruta się nie pojawiał. Brzost długo jeszcze wywiadywał się, nareszcie machnąwszy ręką, całkiem o kerlu mówić przestał. Upłynęło lat siedem. Jednego dnia parobek dworski, spotkawszy owczarza, zagadnął go:

To i mamy napowrót Klimka.

Jakiego Klimka?

No, juści Borutę, tego, co z wami zimował. Jest tutaj?

A jaki fryc! Nie poznalibyście go. Zgodził się do pługa.

Brzost nic nie odrzekł i wrócił do owczarni. Położywszy się na słomie, zaczął rozmyślać. Doznał jakiegoś przyjemnego dreszczu, ale zarazem obudziły się w nim uśpione uczucia gniewu.

Dam po łbie batem, jak tu zajrzy — szepnął.

W tej chwili do owczarni wszedł Klemens. Rzeczywiście, wyglądał elegancko. W czarnej kamizelce, z korej wysuwały się rękawy czerwonej koszuli dymkowej, w długich nowych butach, w świeżej czapce niebieskiej, osadzonej na wytłuszczonych włosach, z cygarem w ustach, nad któremi, pod przypłaszczonym nosem, zaczął się wysypywać jasny wąs, wszedł on śmiało i stanął na progu.

„Morgen!" — zawołał junacko.

A co to — krzyknął Brzost — nie widzisz, że tu słoma — z cygarem wchodzisz!

Toć je w gębę wetknąłem, nie w snopek — odrzekł Boruta, nadrabiając miną.

Pójść stąd, żebym go głębiej nie wetknął.

Klemens wyjął z ust cygaro, opluł je i zgaszone schował do kieszeni.

Czemuż to dziadek — rzekł, zbliżając się łagodnie — tak mnie wypędzać jak wilka. Przecież wam drzazg za paznokcie nie biłem. A że poszedłem w świat, toście kazali.

Kazali! — krzyknął stary — juści całe życie w torbie nosić cię nie mogłem, żebyś z nie chleb wyjadał, a dopóki trzeba było, tom od miski nie odganiał.

Albo to mówię? Ale kiedy musiałem swojej miski poszukać, to musiałem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żarty i dowcipy.

— Jakby Jasny Pan chciał — to ja mam akurat dla jasnego Pana cymes panienkę — ma 100 tysiąców.

— Któż to taki?

— To panna Trzypszlycka.

— Alež ona przecież kulawa.

— Oj waj — wielka rzecz — przecież Jasny Pan nie potrzebuje żone, żeby goniła zająców.

Rozwiązanie zagadki z nr. 12.
Tego, co umie w niej chodzić.

Zagadka.

Ile na niebie gwiazdeczek,
Tyle na ziemi dziureczek.

Redaktor odpow. w zastępstwie: Hugo Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 14. | Ełk, na niedzielę dnia 11 kwietnia. | 1897.

Życie domowe Filipa Melanchtona.

Módlcie się za niego, ile można, żeby go Pan pocieszył i napiszcie do niego list pocieszający. Wiecie, ile nam na tem zależy, żeby ten mąż był zdrowy i żył. My wszyscy jesteśmy z nim chorymi i smętnymi.“ Melanchton szukał w smętku swym pociechy w Słowie Bożem. Gdy biblię otworzył, wpadły mu do oczu słowa psalmu 100 w 3: „Wiedzcież, żeć Pan jest Bogiem; On uczynił nas, a nie my samych siebie, abyśmy byli ludem Jego, i owcami pastwiska Jego. Ten wyrok go pocieszył. Jakeśmy już nadmienili, była najstarsza córka jego Anna w małżeństwie nieszczęśliwą. Serce jego bardzo cierpiało z powodu nieszczęścia umiłowanej córki. Umarła ona w młodym wieku, w 25 roku życia. W nocy, w której z tego padołu płaczu odeszła, ukazała się ojcu swemu w śnie, jako uwielbiona w chwale niebieskiej. Czworo dziatek, które po niej zostały, wziął Melanchton do swego domu i miał z nich taką radość, że i w wykładach swoich o nich opowiadał. Za to była młodsza córka jego Magdalena w małżeństwie bardzo szczęśliwa z profesorem medycyny Peucerem, który należał do najmilszych przyjaciół jego teścia. — Żona Melanchtona nie miała stałego zdrowia. Gdy na śmierć zachorowała, nie było go w domu. Nie mógł jej oczu zamknąć, gdy zasnęła w dzień 11 października 1557 r. Rektor uniwersytetu Wittenbergskiego w ogłoszeniu o jej zgonie powiada, że dom jej zawsze był przytułkiem uciśnionych, jej ręka niewyczerpaną studnicą ubogich. Każdodziennie modliła się słowa Psalmu 71 w 18: „Aż do starości i sędziwości nie opuszczaj mię, Boże!“ Gdy Melanchtonowi doniesiono o śmierci jego żony, podniósłszy oczy ku niebu rzekł: „Żegnaj! w krótce pójdę za tobą.“ Jeszcze krótko przed własnym swym zgonem napisał: Gdy codziennie na moich wnuków patrzę, przypominam sobie z ubolewaniem ich babkę. Ona się o całą rodzinę troszczyła, małych wychowywała, chorych pielęgnowała, troski moje słowami pocieszającemi uśmierzała, dzieci modlić się uczyła. Dla tego wszędzie mi jej braknje. A tak chociaż wszystkie przyczyny pocieszające zbieram, jako to: że małżonka moja w takim wieku umarła, że się już wielu lat spodziewać nie mogła, że boleści, które od dawna cierpiała, coraz boleśniejszemi były, i że, gdybym ja był wprzód umarł, jeszcze więcej by cierpiała, przecie miłość do niej i do wnucząt, które tyle w niej utraciły, z taką gwałtownością się we mnie obudza, że pod ciężarem żalu mego prawie ulegam.“ Największą pociechą jego we wszystkim krzyżu było słowo Boże, szczególnie słowa ap. Pawła: „Jeżeli Bóg za nami, któż przeciwko nam?“ (Rzym 9, 31).

Widzieliśmy, jak pięknem było pożycie domowe naszego Melanchtona. Obyśmy cnót jego, jakie w tym względzie okazał, naśladowali! W naszych czasach mówi się wiele o naprawie stosunków społecznych. Ta naprawa powinna się zacząć od domu, od familii, ponieważ familia jest podstawą społeczeństwa ludzkiego. Gdyby się życie familijne naprawiło, gdyby w każdej rodzinie zamieszkała cnota i pobożność, jak wielkie błogosławieństwo by z tego na cały naród wypłynęło!

Koniec.

Wielki tydzień.

Tygodniu cichy, bądź mi pozdrowiony!
Jakżeż mi myśleć tęskno, rzewno, błogo,
Jako od jarzma śmierci uwolniony
Jestem Chrystusa skonem i krwią drogą;
Idziesz jak śmierci święte przypomnienie.
A przecież pełen błogiego pokoju,
A miłość Boża, jako wiosny tchnienie
Cieszy nadzieją biedną duszę moją.

I jeszcze słońce wiosenne zakrywa
Twarz swoją za chmur cienistą zasłonę,
Czasem, gdy promień te chmury przerywa
Wychodzi ono blade i stęsknione —
Ach! jeszcze święci tę straszną godzinę,
W której zaćmiło się oblicze jego,
Gdy na Golgocie za mych grzechów winę
Skonał Pan w mękach krzyża haniebnego.

Wprawdzie zakwita niejeden kwiateczek
W miejscu, gdzie słońce cieplejsze zagrzało,
Ale nieśmiało pod słaby listeczek
Chowa się jeszcze na chwileczkę małą;

Tu i tam krzewy zielenią się znowu,
Lecz krzewu róży gałązki kolczyste,
Nagie — plączą się w koronę cierniową
Na Twoje skronie, Panie Jezu Chryste!

Niejeden ptaszek tu i tam już śpiewa
Pieśń o miłości, o kwiatkach i wiośnie,
A z pieśnią oną uczucia przybywa,
A z pieśnią oną chęć i rozkosz rośnie;
Lecz w tem się zrywa cudnej pieśni wątek,
I w śpiewnej piersi słodki głos zamiera,
Bo smutno głoszą dzwony w Wielki Piątek:
Pan wszechstworzenia na krzyżu umiera!

Wprawdzie dnie dłuższe już zapowiadają,
Że blisko lato z swoją wspaniałością;
Ale się jeszcze dzień i noc równają,
Jeszcze jest ciemność we walce z światłością,
I jeszcze wieczór na ziemię zstępuje
Ze świętym zmierzchem, a więc w takiej dobie
Serce pobożniej i myśli i czuje
Przy Chrysta krzyżu i przy Chrysta grobie!

A kiedy jasny księżyc się wytoczy
Na niebo, czystą pogodą oblane,
To mi się ziemia w tej chwili uroczej
Zda być ogrodem cudnym w Gietsemane.
A gdy wiatr nocny zawieje od sioła,
Wspomnę na powiew wiatru wieczornego,
Co uroczyście, by skrzydłem anioła,
Wiał po nad grobem Zbawiciela mego.

A przecież — w grobach już się życie nowe
Budzi, — bo Ducha owiała je tchnienie, —
A przecie — sfery górne, zaświatowe
Drgają jak cudne, dalekie harf brzmienie, —
Tam już anieli struny dźwięczne stroją,
Żeby zanucić Wielkanocne psalmy,
Zmartwychwstałemu książęciu pokoju
Gotują, niosą na przyjęcie palmy!

To też się dziecię doczekać nie może
Swej wielkanocnej sukienki różowej;
I to też wiosna na polu i w borze
Ma w pogotowiu śliczny strój kwiatowy.
A więc ma duszo! z troski i żałości
Podnieś się, powstań, bądź nadziei mocnej!
Z Wielkopiątkowej błyśnie ci ciemności
Śliczny, wesoły ranek Wielkanocny!

K. G.

Biedny bogaty murzyn.

Jakto, zapytacie się zdziwieni, czyż można być jednocześnie biednym i bogatym. Tak, moje kochane dziateczki, murzyn, o którym wam mówić będę, był biednym w pieniądze i dobra ziemskie, lecz zato bogatym w miłość i wiarę w Pana i Zbawiciela swego. Bogatym był również jako ojciec, ponieważ miał bogobojnego syna, jakiego nie często napotkać się zdarza. Lecz bogatym był jednocześnie i w długi, gdyż, wskutek nieszczęśliwych okoliczności, stracił cały swój majątek. Poszedł tedy dnia jednego do człowieka, któremu był dłużny i rzekł: „Panie, nie jestem w stanie długów mych spłacić, lecz weź mię w zmian jako niewolnika, a będę ci służył wiernie.“ Ale człowiek ten, słysząc to, rozgniewał się na murzyna i sprzedał go wkrótce pierwszemu lepszemu handlarzowi niewolników, jakiego napotkał. Związano nieszczęśliwego i zaprowadzono nad brzeg morza, zkąd miał następnie wsiąść na okręt, na którym już 600 innych murzynów leżało razem, w ciasnej, wilgotnej i ciemnej przestrzeni. Wtedy to biedak raz jeszcze spojrzał w niebo i rzekł: „O Jezu, który przez miłość ku mnie przyjąłeś na się postać niewolnika, dodaj mi odwagi, ażebym i ja również niewolę moją cierpliwie znosił.“ Lecz oto nagle, kiedy miał już na okręt siadać, przybiegł syn jego Jerzy, który był nieobecny, w chwili gdy ojciec jego dom opuszczał, a rzucając mu się z płaczem na szyję, zawołał: „Ach, ojcze mój, dlaczegoś mnie raczej nie oddał za długi, przecież miałeś, według ustawy naszej, prawo do tego; pozwól mi zatem, drogi ojcze, ażebym w miejsce ciebie wsiadł na okręt niewolniczy!“ Lecz stary ojciec potrząsnął siwą głową, a ucałowawszy swego syna, ze łzami w oczach odrzekł: „Nie, mój synu kochany, pozwól że ja pojadę; jestem już stary i mam nadzieję, że mnie Pan Bóg wkrótce zawezwie do krainy wiecznej szczęśliwości i swobody; ty zaś, moje dziecię jesteś młody jeszcze, pozostań zatem w domu i módl się za twego rodzica.“ Lecz Jerzy, nie zważając na słowa ojca, pobiegł do handlarza i błagał go usilnie, ażeby zamiast starego ojca jego na okręt swój zabrał. Handlarz przystał z ochotą na taką zmianę, ponieważ murzyn był piękny i silny.

Kiedy młodemu chłopcu okuto ręce w ciężkie kajdany, raz jeszcze pozdrowił ojca, który stał nad brzegiem, łzami zalany i wsiadł pospiesznie na okręt. Lecz Ten, który z nieba na łzy nieszczęśliwego patrzał, zesłał mu wkrótce swą pomoc. Wzruszającej tej sceny, pomiędzy ojcem a synem, był świadkiem pan bardzo zamożny. Jego to natchnął Zbawiciel myślą poczciwą, bo zbliżywszy się do handlarza, wyjął sakiewkę swoją złotem wypełnioną i wypłacił mu znaczną sumę, którą za niewolnika zażądał. Następnie, zwróciwszy promieniejącego Jerzego ojcu jego, zniknął pospiesznie w tłumie.

Odtąd sędziwy ojciec modlił się codziennie wraz z synem za dobroczyńcę swego, który za czyn szlachetny jaki spełnił, zapewne w niebie nagrodę otrzymał.

„Czcij ojca twego i matkę twoją, ażeby ci się dobrze działo i ażebyś długo żył na ziemi“, brzmi przykazanie, w którem się mieści obietnica Boska.

Niezbadane są drogi Opatrzności.

U pobrzeża Ameryki stał okręt, z rozpiętym już żaglem, mający wkrótce odpłynąć do Anglii.

Kopitan dał sygnał do odjazdu, a w kilka minut potem olbrzymi okręt kołysał się już na falach oceanu. Chociaż nie wielu podróżnych znajdowało się na nim, czas im jednak schodził bardzo przyjemnie. Pomiędzy jadącymi, znajdowała się także młoda wdowa po oficerze angielskim, z jedynem swojem dziecięciem, małym Williamem. Ładne to chłopię, o niebieskich oczętach i jasnych blond włosach, wijących się w naturalne pierścienie, było jedyną radością i pociechą matki, a wkrótce stało się też i ulubieńcem wszystkich podróżnych.

Młoda wdowa miała do dziecka swego piastunkę, murzynkę. Piastunka ta wyrzucała niejednokrotnie czulej matce, że zanadto przywiązaną jest do swego dziecięcia i że przez to zapomina o Bogu. Pewnego dnia murzynka, zwyczajem swoim, napominała znów młodą matkę, a podniósłszy w górę rękę, ze łzą w oku rzekła: „Pani, źle robisz, że dziecię twe więcej kochasz nad Jezusa, nie czyń tego, bo skoro syna twego nad Zbawiciela przenosisz, to On ci go wkrótce odbierze.“

Zdarzyło się, że po kilku dniach podróży okręt zatrzymać się musiał w mieście portowem, ażeby na dalszą drogę zaopatrzyć się w wodę i żywność. Wyprawiono zatem małą łódkę, dla nabrania wspomnianych rzeczy, a okręt tymczasem pozostał u portu. Prawie wszyscy podróżni znajdowali się na pokładzie, a w liczbie ich piastunka z małym Williamem. Skoro dziecię ujrzało ogromne miasto z jego pięknemi domami i wysokiemi wieżami, rozliczne sklepy i masę ludzi, przechadzających się na brzegami morza, zaczęło z radości trzepotać rączkami i nóżkami i nagle — zanim piastunka spostrzedz się zdołała, wypadło z rąk jej wspienione nurty morza, niknąc zwolna, z przed oczu obecnych, pod piętrzącemi się bałwanami. Na okręcie powstał zament i strach nie do opisania, gdyż niewiedziano, jak sobie w nieszczęściu tem radzić. Nagle jeden z pasażerów, siedzący na drugim końcu pokładu, z książką w ręku, słysząc rozpaczliwe krzyki, zbliżył się i zapytał: cóż to się stało takiego? „William wpadł do wody,“ zawołało naraz kilkanaście głosów. Wtedy to podróżny, przywoławszy psa swego z rasy Neufundlandzkiej, zażądał aby mu dano jakąś część ubrania tonącego dziecięcia. Piastunka dała mu chusteczkę Williama, która jej w ręku pozostała, w chwili kiedy dziecię w morze wpadło i za pomocą której usiłowała nadaremnie je uratować. Podróżny wziął ją, a następnie dał psu swemu do powąchania. Pies obwąchał ją, poczem na znak dany mu przez pana swego, wskoczył z pokładu w fale morskie i zniknął wkrótce z przed oczu obecnych. Podczas gdy matka małego Williama wraz z piastunką, drżąc ze strachu i przerażenia śledziły ruchy psa, nagle bałwany rozdzieliły się, aż z wnętrza ich wynurzył się czarny i kędzierzawy łeb zmyślnego zwierzęcia, niosącego w pysku swym uratowane dziecię. Szybko spuszczono łódkę, do której wskoczył jeden z majtków, kierując w stronę wyczerpanego już z sił stworzenia. A przybył w samą porę, bo w chwili, gdy poczciwe psisko z drogim swym ciężarem zatonąć już miało.

Wtedy to nasz majtek schwycił psa za głowę i wraz z uratowanym Wiliamem wciągnął pospiesznie na przygotowaną łódkę.

Niebawem wszystko troje dopłynęli szczęśliwie do brzegu, witani przez stojących na pokładzie, głośnemi okrzykami radości. Młoda matka, odzyskawszy w tak cudowny sposób ukochane dziecię swoje, przytuliła je serdecznie do łona, a zbliżywszy się następnie do psa, zbawcy jej drogiego Williama, objęła łeb dzielnego zwierzęcia rękami, skrapiając go jednocześnie łzami wdzięczności. Następnie, zwracając się do właściciela jego, rzekła: Panie, odstąp mi psa swego, cały mój majątek oddam ci za niego, gdyż pragnę posiąść wybawcę mego dziecięcia. Lecz nieznajomy odpowiedział jej: Cieszę się niewymównie, droga pani, że pies mój wyświadczył ci tę przysługę, lecz sprzedać go nie mogę, gdyż póki żyć będę, nie rozłączę się z nim. Wtedy to wierny pies, jakby rozumiejąc słowa swego pana, położył się u nóg jego, a patrząc nań z wdzięczności, zdawał się mówić: tak aż do śmierci nie rozłączymy się ze sobą.

Młoda matka zrozumiała myśl Pana naszego Jezusa Chrystusa, w doświadczeniu jakie na nią zesłał i całą duszą zwróciła się ku Niemu, uważając odtąd dziecię swoje jako dar łaski Zbawiciela.

Mateusz 10, 37. „Kto miłuje ojca albo matkę nad mię, nie jest mię godzien; a kto miłuje syna albo córkę nad mię, nie jest mię godzien.“

Treny Jeremiaszowe 3, 22, 23, 24. „Wielkie jest miłosierdzie Pańskie, żeśmy do szczętu nie zginęli: nie ustawając zaiste litości jego. (23) Ale się na każdy poranek odnawiają; wielka jest prawda twoja. (24) „Pan jest działem moim, mówi dusza moja, dla tego mam w nim nadzieję.“

Klemens Boruta.

1] (Ciąg dalszy.)

O, ja wiem, zostałeś panem i dlatego nie chciałeś się nawet dowiedzieć, czy stary nie zdechł gdzie pod krzakiem. Jużci, pan taki — to nie Burek, który zaraz przyleci, jak krzyknę: do nogi. Pal dyabli głupich.

Ja, pan? Bo po siedmiu latach mam czem skórę przyodziać. Nie gadalibyście po próżnicy. Żebyście wiedzieli, po jakiej to ja drabinie lazłem, zanim wylazłem, ile się szczebłów złamało...

Zkądże miałem wiedzieć — rzekł, widocznie ugłaskany Brzost, podciągając za uszy skurczoną u buta cholewę.

O, może i wam w młodości tak bieda nie dobodła — mówił z westchnieniem Boruta, usiadłszy na progu. Przez miesiąc ciepłego nie skosztowałem, potem ledwie kilka groszy na dzień w kopalni wydrapałem; w fabryce dali zarobek, póki nie stanęła; z banhofu za przespanie wypędzili, wziąłem się do służby na folwarku i ot, co na mnie, to całe z niej bogactwo.

Ciężko, ciężko — zauważył Brzost już bez śladu złości.

Klemens nie potrzebował wcale być przenikliwym psychologiem, ażeby z ostatnich słów zgadnąć, że stary jeżyć się przestał. Posunął się więc bliżej do niego, wyjął z kieszeni zgaszone cygaro i ssąc je, roztoczył przed oczyma Brzosta całe pasmo swych siedmioletnich przygód. Były w nich wszystkie nici, z jakich się zwykle tka życie biedaka. Słuchając tej powszedniej doli sierocej, stary przerywał ją ciągle radami mądrości po szkodzie:

Nie byłoś ci — zawołał wreszcie — trzymać się kopalni!

A toż trzymałem się — odrzekł Boruta — póki kawał węgla się nie oderwał i nosa mi nie przetrącił.

Brzost spojrzał na swego wychowańca i dostrzegł widocznie przełamanie chrząstki nosowej.

Długo chorowałeś?

Ze dwa dni krew buchała, ale to była furda. Jak mi, panie, maszyna ten oto palec odgryzła, to świerkało w oczach, świerkało!

Owczarz ze zdziwieniem popatrzył na rękę Klemensa, u której istotnie palca brakło.

A tu głód, bo robić nie mogłem. Poszedłem do apteki po maść, to feniga nie ustąpił. Myślałem, że sobie łeb ukręcę. I gdyby tyle! Ale raz przyszedłem do fabryki, stoję, a psi wnuk, Born, puszczał żelazo w rynnę; kiedy nie pryśnie, durch do kości zbój przepalił mi nogę.

Zdjął but i odsłonił łydce szeroką szramę po oparzeniu.

To cię opadło ze wszystkich stron — mruknął Brzost i zaczął czegoś szukać w słomie pod poduszką posłania.

A no! — rzekł Boruta — może przecie koniec. Mnie i świdra dyabeł w ręce nie utrzyma, bo mu się wykręcę.

Podczas gdy zaciekawiony poszukiwaniami pana Burek powstał i zaczął mu przypatrywać się, kręcąc ogonem, niemniej zaciekawione obecnością Boruty owce zbliżyły się w gromadce. Klemens, chcąc je za tę uwagę wynagrodzić, podał wysuniętemu naprzód skopowi niedopałek cygara. Baran ujął je zębami, zgryzł i plując odbiegł, a spłoszone jego ucieczką stado, bojaźliwie w kąt się stłoczyło.

Myślałeś, że piernik — rzekł śmiejąc się Boruta i w przystępie wesołości porwał za ogon Burka, okręciwszy go kilka razy w koło. Pies zaskowyczał i zaczął szczekać. Przestraszone owce jeszcze gwałtowniej skupiły się w kącie.

Nie pójdziesz ty darmozjadzie! — krzyczał owczarz na Burka, nie uwzględniwszy jego słusznej racyi gniewu.

Pies tem smutniej ogon spuścił, że jego pan wyjął ze słomy butelkę, co mniejsza, a zarazem kawał gotowanej baraniny, owiniętej w skórę ze starej torby, co dla kudłatego towarzysza obojętnem nigdy nie było i teraz być nie mogło.

Na zdrowie twoje — rzekł Brzost, przykładając do ust butelkę, z której obficie pociągnął.

Na wasze — odpowiedział Klemens i pożądliwie zanurzył w gardło pokrzepiającą szyjkę.

Ostra! — rzekł, przymrużając oczy.

Trzemielówka — mówił stary z widocznem zadowoleniem. Sam sobie ją przyprawiam. Biorę okowitę od Kaczera, wlewam na korę trzmielinową i tak stoi tydzień, potem kładę sobie trochę głogu, macierzanki, rozchodniku, dębowych gałek, pokrzywiego korzonka i cynamonu.

Ho! ho! — podziwiał Boruta.

Dobrze łyknąć, to każdą chorobę wystraszy. Albo to raz i sobie i drugim kości prostowałem. No, zjedz kawałek mięsa, wczoraj dorznąłem — motylica precz dusi.

Co ma tłusty połeć smarować, lepiej, że ludziom da się pożywić. Czy pan sam często tu przyjeżdża?

Ale skąd. Siedzi w Berlinie, albo nad morzem. A chociaż przyjedzie, to na tyle folwarków czasu mu nie starczy. Jużci zajrzy, powącha i dalej. Tu i nie ma gdzie mieszkać. Dwór stary, trzy pokojo lepsze, to rządca mieszka.

Podobno okrutny niemiec, ten rządca.

Ludzkiego słowa nie da. Krzyczy, rozgania, żebyś ze skóry wylazł, to jeszcze mu za mało. Dziedzic, mówią, niezły człowiek. Ale jak przyjedzie, Klein nigogo nie puszcza, a choć uda się komu dostać, póty będzie wymyślał, że wszyscy gałgany, próżniaki, polskie szkódniki, aż pana przekona. Wyjrzyj, czy tam kto ucha nie wyciąga. Nie?

Niema nikogo.

Albo i ze mną. Dwanaście lat tu jestem i dobrze było. Jak on nastał, zaraz zakrzyczał, żem głupi, niedołężny, że mnie wygoni. Ot tak. A, niech go robaki! Do ciebie Klimku.

Czuć macierzankę — rzekł Boruta, smakując.

Jakby człowieka połechtało — prawda? Choć płaczesz, wypijesz kropkę, zaraz śmiać się musisz. Ciebie przechodzi? — Bo mnie już podbiera. Kisiel, ten, wiesz, z pod kuźni, robi jakąś siarkówkę, ale nie umywała się, chociaż na nosacizne niezła. Ho! ho! niedoczekanie, żeby mają trzmielówkę kto dobrał. Owczarz zna zioła. Przychodzą do mnie z kieliszkami, a ja tylko po kropelce, po kropelce i za najmniejszą odrobinę płać, bo spirytus w rzece nie płynie, a cynamon na miedzy nie rośnie. Burek, masz kanalio kość i ty podjedz. Na starą zgodę wypijemy jeszcze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 13.
Ściernisko, rżysko.

Zagadka.

Który święty ma dwie dusze, dwa nosy, czworo oczu, cztery nogi i cztery ręce?

Redaktor odpow. w zastępstwie: Hugo Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej."

Nr. 15. | Ełk, na niedzielę dnia 2 maja. | 1897.

Kazanie po Wielkiej Nocy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Pan zmartwychwstał, Jezus Chrystus ukrzyżowany, żyje — oto zwiastowanie aniołów nad grobem, oto radosna nowina wielkanocna. Święto to obchodziliście dziś dwa tygodnie. Dzwony, które zamilkły w Wielki Piątek, odezwały się na nowo i ogłaszały zborowi, światu chrześcijańskiemu nowe życie, zwycięztwo Pana naszego Jezusa Chrystusa, zwycięztwo Baranka Bożego, który kładzi grzechy świata. Dziś w drugą niedzielę po tem wszystkiem pieśni zmartwychwstania i tryumfu brzmią jeszcze w sercach naszych, Chrystus jeszcze przed nami stoi, serca nasze palają, a usta nasze mówią z Tomaszem w pokorze i uwielbieniu: „Panie mój i Boże mój!" Lecz nie dosyć uwielbienia. Jako Pan zwyciężył i my mamy zwyciężyć, inaczej daremnie święcimy Wielkanoc. Lekcya nasza niechaj nas nauczy i napomni.

Abyśmy świat zwyciężali.

Chrześcianin jest wojownikiem, walka życiem chrześcianina. Życie chrześcianina to nie sen, nie gnuśny pokój, to walka, w której się zdobywa nie mienie co zginie, nie ziemię, to walka, której wawrzyny korona cierniowa, oznaką zwycięztw krzyż, a zdobyczą pokój wieczny. Walką życie chrześcianina a nieprzyjaciel, z którym chrześcianin bój toczyć ma, potężny i wielki, nieprzyjaciel ten to świat. Jaki świat? Któren świat? Jan powiada, wszystko, co jest na świecie, jako pożądliwość oczu, pożądliwość ciała i pycha żywota, to nie jest z ojca ale ze świata. Pożądliwość oczu, wpływ świata przez oko, rodzi pożądliwość ciała, pychę żywota. A chociaż to piękne, niewinne, chociaż świat wyszukuje i dobiera słówek, co na ciało siane bywa, to zginie.

Czyście ten świat zwyciężyli? Czyście zwyciężyli, oddaliwszy się znudzeni nim — czyście zwyciężyli nie używając go dla tego, że nie znajdujecie gustu — czyście zwyciężyli uciekłszy w jakie ustronie? To ucieczka, to cofnięcie się, ale nieprzyjaciel niepokonany. Zewnętrznie świata nie zwyciężysz, przed światem się nie zamkniesz, świata nie zabijesz formami, ni umartwieniem ciała. Bo zkąd, dla czego pożądliwość oka, ciała, dla czego pycha? Bo jest to, w co tysiące nie wierzą, co tysiące wyśmiewają — bo serce nasze z natury złe i zepsute. Nie samo złoto łudzi, nie piękna twarz obudza pożądliwość ciała, w sercu leży zaród. Świat zewnętrzny wpływa, wewnętrzny przyjmuje, zespolone rodzą grzech.

Dla tego igrać nie należy, to wielki nieprzyjaciel; ale czy niezwyciężony? Dzięki Bogu, że tak nie jest. Wszystko co się narodziło z Boga, zwycięża świat, a to jest zwycięztwo, które zwyciężyło świat, wiara nasza. Wiara zwycięża. Wiara apostołów zwyciężyła stary Rzym, przed wiarą apostołów ukorzył się świat, przed wiarą apostołów skrył się w ciemności szatan. Wiara to słowo, które gdybyście do serc wzięli, gdyby promyk jeden wiary uderzył serca wasze, nie bylibyście sługami świata, mielibyście Boga, ukrzyżowali ciało, odrodzili się, nie byli ludźmi małego serca, ludźmi rachuby, ludźmi samolubnymi, szukającymi tylko tego, co wasze, co miłe dla oka i ucha, co głaszcze waszę próżność, podchlebia dumie serca — wy byście umarli dla świata, żyli dla Boga, wybyście wyrzekli się siebie i przestali myśleć o sobie i Chrystus byłby waszem życiem, waszą miłością.

To się nazywa wierzyć. Taka wiara nie ślepa, taka wiara nie w głowie, ona w całym człowieku, w całej istocie. To nie wiedza, nie powtarzanie pojedyńczych zdań, nie rzecz pamięci — to życie z Boga, to narodzenie się z Boga, to nie rzecz, którą my sobie dać możem, my wyrobić, my wyrozumować, — to dar łaski, łaski okupionej przez Chrystusa. Dla tego to powiada apostoł: Któż jest co zwycięża świat? Czy ludzie wyżsi rozumem, ludzie wielkich zdolności, ludzie bogaci, ludzie dobrze wychowani, ludzie postępowi? — Nie, i jeszcze raz nie, tylko kto wierzy, iż Jezus jest Synem Bożym, tylko ten zwycięży świat.

Oto macie odpowiedź na wasze wyrzekania, dla czego tak źle na świecie. Bo przewrotność wzięła górę, bo szatan zwiódł miliony, poprowadził je w niewiarę. Jedni wierzą w Boga, ale przez siebie ulepionego Boga, drudzy wierzą w Chrystusa, ideał ludzkości, ale któż wierzy, że Jezus jest Synem Bożym, kto wierzy, — to jest nie wie tylko, nie przypuszcza tylko, nie sądzi, że tak jest — ale kto życie i śmierć, nadzieję i ufność, duszę i serce, wszystko złożył na tej świętej, mocnej, wiekuistej podstawie. Jezus Chry-

stus jest Synem Bożym, Jednorodzonym z Ojca wieczności, a jednak narodzonym z Maryi Panny? Spojrzyjcie w wasze serca — jesteście słabymi, nosicie pęta grzechu, robak grzechu, pychy, dumy, zazdrości toczy wasze serce, toczy serce całej społeczności, bo nie ma wiary w Chrystusa, Chrystusa Syna Bożego. Ale On przyszedł do was przez wodę i krew, powiada apostoł, przyszedł z Boga z wieczności przez wodę, którą jest Stary Testament i Jego obmywanie, przyszedł przez krew, którą jest jego ofiara na krzyżu. On przyszedł przez wodę, to jest przez chrzest nad Jordanem, przez krew na Golgocie. Wątpicie? Trzej świadczą na niebie — Ojciec — Słowo — i Duch święty. Ojciec przy chrzcie Chrystusa — słowo, które się ciałem stało, Duch, który zstępuje z nieba, to świadectwo na niebie. Jest i świadectwo na ziemi: Duch — woda i krew. Duch to jest Pismo, woda chrzest, krew śmierć Chrystusowa. A ci trzej ku jednemu są, ku jednemu nie ku dwom, nie aby serce wasze i to i tamto miłowało, ku jednemu, ku temu, który was umiłował, za was umarł, ku Chrystusowi. Wielkie to świadectwo, kto nie wierzy, kłamcą czyni Boga. Kto wierzy temu świadectwu, temu dał żywot, żywot w Synu. Kto ma Syna, ma żywot, kto niema Syna, niema żywota. Żadnej pośredniej drogi, żadnych cnót i przymiotów, żadnych wymówek i tłomaczeń niema. Kto ma Syna Bożego, kto ma Chrystusa w sobie, w sercu, ten ma żywot, żywot wieczny, ten i tam. Kto niema Syna, to trup, kto niema Syna, to zbutwiały grób, z wierzchu pobielany może, z wierzchu jaśniejący, zdobny, wspaniały, wewnątrz próchnem, robactwem, zgnilizną napełniony.

Czy to was razi? Chciałbym, chciałbym tchnąć w was życiem, chciałbym aż do krwi zranić serca, aby zabolały, abyście w boleści uczuli życie, chciałbym, abyście raz raj mieli w sercu swem, zobaczyli jakie tam spustoszenie, raz spojrzeli w serce i uczuli jaki tam cmentarz i zapłakali choć raz łzę żalu, łzę pokuty, łzę skruchy. Lecz któż stopi te lody co otaczają serce człowieka, kto złamie te żelaza uporu i dumy, któremi uzbroił człowiek piersi swe? Nie człowiek, nie słowo ludzkie, tylko Syn Boży i Jego słowo i dla tego w imieniu Jego wzywam was, wy, którym wydał świadectwo w wodzie i krwi, boście ochrzczeni i choć raz byli przy komunii świętej — nie depczcie tego świadectwa, bo ono stanie przed oczyma waszemi w dniu sądu. Napisałem wam to, mówi apostoł, wam, którzy wierzycie w imię Syna Bożego, żebyście wiedzieli, że macie żywot wieczny i abyście wierzyli w imię Syna Bożego. On i dziś wam to ogłasza, On i dziś woła na was, świadczy, powiada, abyście wierzyli, iż macie żywot wieczny. Wiara w Syna Bożego, w imię Jezusa Chrystusa, to jest życie, wszystko inne ginie, pomija. Żadna nazwa, żadne imię nie da wam zbawienie, oprócz imienia Jezus Chrystus. — On Zbawiciel, On pomazaniec, w Nim zbawienie, w Nim żywot. Wierzcie, że śmiercią swoją was zbawił, że krwią swoją was wykupił, a zwyciężycie świat. Zwyciężycie nie siłą, ale wiarą, wiarą w Niego. Amen.

Klemens Boruta.

(Ciąg dalszy.)

2) Obaj znowu pociągnęli kolejno z butelki, na której dnie niewiele zostało.

Jak umierzył — rzekł Brzost — trzymając flaszkę do światła. Mamy gęby równe, jak kieliszki, ha, ha, ha! — jak kieliszki — półkwartki! Mnie dwudziestu zębów brak, to i gęba powinna być większa. Dwa przeszłego roku sobie wybiłem. Szelma Burek, wypłoszył w polu małą europatwę; ja za nią, on mi pod nogi, potknąłem się i rznąłem zębami o kamień. Poszedł psie, poszedł Klein, a zbój: Weg, weg!... owce zrosił! Cóż to one kopyt nie mają, w butach chodzą lepszych niż ja, bo bez dziur. Hu — ha!

Moja gąsko, stąpaj wąsko...
Moja sroko, chodź szeroko.

A, żeby tak kapela, tupnąłby...

Ba, rozśmiał się Brzost, skłaniając głowę na posłanie i przymykając radośnie załzawione oczy.

Pójdziemy do karczmy, dziewek nałapiemy po drodze, jeśli nie będzie muzyki, to będziemy szczękać szklankami. A gardło od czego? Od picia — to będę pił, od śpiewania — to będę śpiewał.

Moja gąsko, stąpaj wąsko.

Moja! wtórował Brzost, dmuchając przez nastraszone wąsy.

U nas było dziewczyn huk, tylko lucyper nie pozwalał. Szymonie w wasze ręce.

W ręce! — odbił echem owczarz, ale ująwszy butelkę, nie mógł jej do ust ponieść i na nodze oparł.

Tam na tańcu — mówił, skłaniając się do Brzosta Klemens — podpiłeś się, tu i nagniotek nie zaboli.

Przebieraj, przebieraj,
Żebym ja ci nie przebrał....

Brał! — szepnął owczarz chrapliwie.

Born nie wyfrunie mi z garści — bełkotał Boruta — ja go jeszcze ścisnę!

Ścisnąłem Marysię,
Że aż mi się zgięła...

Aa! Burek, psia wiara! No, Brzoście, pójdziemy do karczmy; prawa w górę, lewa na dół...

Moja gąsko . . .

Już Brzost nie mógł odpowiedzieć na to wezwanie, bo zasnął. I Boruta również rozpocząwszy daremnie kilka śpiewek, zapadł w sen głęboki. Po chwili, ośmielony milczeniem Burek zbli-

żył się i zabrawszy resztę baraniny, odszedł na bok. Zwolna po owczarni zaczęła się rozchodzić i mieszać z wyziewem nawozu ostra woń trzmielówki, którą Brzost, wypuściwszy z ręki butelkę, obok siebie wylał. Zdziwione owce podsunęły się gromadką do śpiących, ale Burek, który podejrzywał je o złe zamiary względem jego pana, a nadewszystko względem ukrytej w posłaniu baraniny, odpędził je natychmiast warczeniem. Kilka wszakże odważniejszych skopów znowu wróciło, jeden nawet zaczął obwąchiwać miejsce, z którego rozchodziła się woń trzmielówki, ale cofnął się, kichnął i pokręcił nosem, jak gdyby z Borutą mówił:

Czuć cynamon.

Gdy Burek, naśladując pana, syt baraniny, również usnął, gdy odstraszone jego warczeniem i wonią trzemielówki owce spokojnie legły, w owczarni zapanowała uroczysta cisza. Swobodnie też przez otwarte drzwi rozlewał się po słomie jasny potok wrześniowego światła. Na podwórzu również nie odzywał się żaden hałas, jak gdyby dla nieprzerwania błogiej drzemki dwu ukołysanych przez trzemielówkę przyjaciół.

Nagle na smudze światła u progu owczarni odbył się jakiś cień. W progu jej stanął niskiego wzrostu, dobrej tuszy, w kurtce i dużym kapeluszu, młody mężczyzna. Rozejrzał się na około, zatrzymał wzrok na śpiących, wywinął wzgardliwie grube wargi, nałożył binokle i mruczał.

Tak nie naigrawałby się ze śpiących Jowisz, ale naigrawał się Gerhard Klein.

Zbyt wina śpiących była niewątpliwą i zbyt surowy jej sędzia był pewnym efektu,ażeby nie miał ociągać się z rzuceniem gromu. Stał więc przez chwilę na progu, mierzył Borutę i Brzosta wzrokiem, z którego przebłyskiwały uczucia gniewu, szyderstwa lub zadowolenia. Nareszcie, jak gdyby mu szczęśliwa myśl błysnęła, cofnął się na podwórze, a spostrzegłszy przechodzącego parobczaka, kiwnął na niego:

Brzost leży chory — rzekł z drwiącym uśmiechem. Wypędź owce na pole po cichu, żeby go nie obudzić i hüte bis Abend, tam rechts od lasu.

Parobczak pobiegł do owczarni, zdjął ze ściany bicz i zaczął po cichu wyganiać owce, ku wielkiemu zdziwieniu Burka, który wyskoczył z legowiska, spojrzał to na śpiącego pana, to na przywłaściciela jego berła, chciał zaprotestować, ale widząc swą bezsilność, wybiegł tylko na podwórze i wrócił, jak gdyby mówił:

Broście, i ty na taką zniewagę pozwolisz?

Brzost pozwalał, bo spał. Nagle rozległo się na podwórzu trzaśnięcie z bata. Owczarz, który odgłosy swego bicza znał, drgnął silnie. W tej chwili Klein, nie chcąc stracić obmyślanego efektu przebudzenia, zawołał po niemiecku:

Nie przeszkadzać panom!

Ockniony już do połowy, a przytem wrażliwy na głos rządcy Brzost, zerwał się w przerażeniu.

Co pan każe? — spytał.

Nic, szanowny panie Brzost — odrzekł ironicznie Klein — ja tylko upominałem chłopaka, co owce popędził, ażeby śpiących panów nie budził.

Owce popędził? — wybełkotał strwożony starzec, oglądając się po pustej owczarni. — Zdrzemnąłem się chwilę, jagniaki musiały odpocząć. Burek, psia paro, gdzie bat mi zawlokłeś, a ty szelmo, bodaj cię . . .

Kopnął psa, który zaskowyczał przeraźliwie, zaczął się kręcić bezmyślnie, wreszcie wybiegł z owczarni.

Panie Brzost! — zawołał rządca.

Co pan każe?

Powtarzam, że ja panu nic nie rozkazuję, bo jesteś wolny. Chcę tylko poradzić, ażebyś pan, przespawszy się, poszedł ze swoim towarzyszem na przechadzkę.

Co to ma znaczyć, proszę pana?

To ma znaczyć, że od jutra będziesz pan pasał tylko swego Burka, bo ja pijaków nie trzymam.

Alboż . . .

Milcz, zabieraj twoje łachmany i precz!

Słowa te, wypowiedziane gniewnym tonem, przebudziły Borutę.

Łotrze! — krzyknął Klein — to ty zgodziłeś się po to, żeby mi ludzi rozpajać, owczarnię zaswędzać jakąś śmierdziuchą! Oddawaj zadatek i wynoś się gałganie, bo cię kijem przemierzę.

Boruta wytrzeszczył oczy, zbierając myśli, które mu wódka jeszcze rozpraszała, nareszcie nachylił się poziomo i z rozpędem uderzył głową Kleina w brzuch tak silnie, że ten padł w znak na słomę. Nie rzekłszy ani słowa, wyszedł.

Zbój — krzyczał, dźwigając się rządca — łapać go, zbój!

Boruta nie obejrzał się nawet i wkrótce znikł za budowlami.

Ja cię, zbrodniarzu, przebodę — wołał siny z gniewu Klein — ty nie wiatr, nie uciekniesz! Ha! podłe gnaty polskie! I ty może myślisz łbem rozbijać? — wrzasnął do stojącego pokornie Brzosta.

Dwanaście lat, panie, tu wiernie służę — odrzekł spokojnie owczarz.

Wy wszystko równo — mówił nieco spokojniej Klein, przeszedłszy nagle do polskiej mowy. Ha, ryj,. ja go obciąć będę. Pamiętaj Brzost, że przed sąd przysięgniesz! Ty w Boga wierzysz — co?

Zawsze.

No, jeśli ty w Boga wierzysz, to u sądu powiesz, że on zbój był. Idź do owiec, ja tobie przebaczam, bo wina swoja znasz.

Owczarz nisko skłoniwszy się, odszedł w pole. Klein udał się do dworu — a gdzie był Boruta?

Dworskie zabudowania Nędzy wznosiły się na górze. U jej spodu biegła pokrzywiona w różne strony wieś, której ubogie, przeważnie słomą kryte chaty, zrzadka jedynie przekładane domkami z czerwonej cegły, wskazywały, że głód szerokie prowadził w niej gospodarstwo. Znać to było i z ubogich plonów, które wieśniacy zwozili na małych furkach do stodół. A słońce wrześniowe świeciło tak jasno, jak nad obrazem szczęścia i dostatku. Ach, to poczciwe słońce, czasem ono jedno tylko nie odmawia człowiekowi swych promieni, gdy los go ze wszystkich swoich łask obedrze! Czasem za-

miast chleba położył swój odblask na stole biedaka, jak gdyby go światłem nakarmić chciało. Dobre słońce, nie gaśnij, nie zasłaniaj swego oblicza dla ubogich.

Boruta, usiadłszy na klocu pod chatą, od której skręcał się na wieś gościniec dworski, utkwił wzrok w słońce. O czem myślał? Więcej o tem, co z sobą zrobi, niż o tem, co zrobił z Kleinem. Niezwietrzały jeszcze wpływ trzmielówki, pewne oszołomienie, gniewny półsen — wszystko to tworzyło w jego głowie wir wrażeń, a nadewszystko nastrajało go zuchwale. Zwróciwszy wzrok na pole, spostrzegł Brzosta, śpieszącego do owiec. Wstał więc z kloca, okrążył zabudowania folwarku i podążył za owczarzem.

Szymonie! Szymonie! — wołał zdaleka.

Ale Szymon, pogrążony we wspomnieniach świeżego wypadku, nic nie słyszał.

Cóż tak zagony liczycie? — krzyknął wreszcie Boruta, doganiając owczarza.

A co? nie gorzki migdał? — rzekł, zatrzymawszy się Brzost.

Potłukłem go bardzo?

Tłusty wieprz — nic mu się nie stało. Ale co rymnął, to rymnął, jak kłoda.

Krzyczał, słyszałem; niech mnie za ogon złapie.

Powiedział, że cię do sądu weźmie, a mnie postawi, żebym przysiągł.

Niech skarży. Was zostawił?

Czort go wie, kazał iść do owiec. Wypędzi, to pójdę z torbą. A co ty?

Trzeba poszukać roboty.

Byłeś u Jana?

Po co? Że stryj, to nie pan i nie kupiec. Chleba nie ma, a roboty nie da. A co, że w chałupie przenocować pozwoli!

A ty głupi, chałupa jest do połowy twoja i ogród także. Przecież dziedzictwo po nieboszczyku ojcu do ciebie należy. Toć grosz warto.

Więc połowa chałupy i grodu moja? — powtórzył Boruta zdziwiony.

Jakeśmy żywi oba! Idź tylko i powiedz, kto jesteś. Oni cię sami poznają, siedem lat nie wieki.

Daj gęby Antośka
Kiedym tak bogaty.
Jak nie chcesz w stodole
To pójdziem do chaty.

Zaśpiewał Boruta, skacząc uradowany po polu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pieśń wieczorna.

Tłomaczył M. Kapuściński.

Jam znużony, spocząć chcę,
Powieki mych oczu mknę,
Niech Twój, Ojcze, święty wzrok
Czuwa przy mnie w nocny mrok.

Jeźlim przez dzień czynił źle,
To, mój Panie, nie karz mnie,
Syna Twego święta Krew
Niech Twój Boży gładzi gniew.

Wszystkich, co mi bliscy są,
Racz strzedz, Boże, ręką Twą,
Wszelkich ludzi, wszelkiej płci,
Boże mój, polecam Ci.

Ty spoczynek chorym ślij,
Ich powieki słabe mknij,
Niechaj księżyc w gwiazdek ślad
Płynąc, patrzy w cichy świat.

O dobry litościwy Boże.

O dobry litościwy Boże!
Uznaj w skrusze i w pokorze,
Żem tak ciężko obraził Cię,
Sumienie bardzo strofuje mię.

Jednak takie mam zaufanie,
Że nie chcesz śmierci grzesznika, Panie!
Lecz by się nawrócił do Ciebie,
By z Tobą wiecznie królował w niebie.

Ufny w obietnicy Twojej,
Przychodzę z uznaniem winy mojej,
Błagając kornie Twej litości,
Odpuść mi Panie wszystkie moje złości.

Dla zasług Chrystusa Syna swego,
Przyjm Ojcze syna marnotrawnego,
Przez gorzką Twą mękę i konanie,
Bądź mi miłościw o Chryste Panie.

O zasłoń Panie grzechy me,
Żałuję żem obraził Cię,
O zbaw mię przez zasługi Twe,
O co gorąco modlę się.

O wspomóż przez Twe zmiłowanie,
Bym tu Twą wolę pełnił, Panie,
A potem z Aniołami w niebie,
Wiecznem Hossanna wielbił Ciebie.

Rozwiązanie zagadki z nr. 14.
Święty stan małżeński.

Zagadka.

Żyje bez ciała, mówi bez języka, nikt go nie widzi, a każdy go słyszy.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 16. | Ełk, na niedzielę dnia 16 maja. | 1897.

Czwarta niedziela po Wielkiej Nocy.

Ewangielia św. Jana, r. 16., w. 5—15.

„Lecz teraz idę do onego, który mię posłał, a żaden z was nie pyta mię: Dokąd idziesz? Ale żem wam to powiedział, smutek napełnił serce wasze. Lecz ja wam prawdę mówię, wamci to pożyteczno, abym ja odszedł; bo jeźli nie odejdę, pocieszyciel on nie przyjdzie do was, ale jeźli odejdę poślę go do was. A on przyszedłszy, będzie karał świat z grzechu, i z sprawiedliwości, i z sądu: z grzechu mówię, iż nie uwierzyli we mnie; z sprawiedliwości zasię, iż do Ojca mego idę, a już mnie więcej nie ujrzycie; a z sądu, iż książę tego świata już jest osądzony. Mamci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę; bo nie sam od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszy, mówić będzie, i przyszłe rzeczy wam opowie. On mię uwielbi; bo z mego weźmie a opowie wam. Wszystko, co ma Ojciec, moje jest; dla tegom rzekł: Że z mego weźmie, a wam opowie.“

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Dzisiejsza Ewangielia a w niej słowo Pańskie: „Lecz teraz idę do onego, który mię posłał,“ wielkie były powinny uczynić wrażenie na umysł uczniów, ale ponieważ serca ich nie były jeszcze oświecone Duchem Bożym, przeto nie dostąpili tego, czego mieli dostąpić: pociechy i pokrzepienia, radości i pokoju. Podobnie dzieje się często i nam. Pan nas wiedzie, Pan do nas przychodzi, Pan nas wzywa: „Naśladujcie mię“ — a my naśladujemy Go, dopóki droga, po której idziemy, równa, wygodna i przyjemna. Gdy się nam dobrze powodzi, jesteśmy pobożni, chwalimy Boga, miłujemy Syna Jego miłego całem sercem i całą duszą, lecz gdy się niebo nad nami zachmurzy, gdy przyjdą dni i godziny, w których trzeba znosić krzyż i utrapienie, zniknie pokora, pobożność, miłość, wiara, ufność, zniknie wszystko, serce pełne smutku, niecierpliwimy się, szemrzemy i narzekamy, że nas Pan zupełnie opuścił, że nas zbyt surowo karze, że zbyt ciężki na nas wkłada krzyż. Tak, narzekamy i szemrzemy! a grzech ten tak powszechny, iż bez wyjątku wyznać musimy: „Wszyscyśmy grzesznikami i nie dostawa nam chwały Bożej.“ Przeto też wszyscy potrzebujemy pociechy i pokrzepienia, którego szukać chcemy w dzisiejszej Ewangielii rozważając słowa Chrystusowe:

Wam ci to pożyteczno, abym ja odszedł do Ojca.

Ty zaś, Zbawicielu grzeszników, Jezu Chryste, który siedzisz na prawicy Ojca, i jesteś naszym Orędownikiem, poślij nam i w tej godzinie nabożeństwa Ducha prawdy, aby nas wprowadził we wszelką prawdę. Pomóż, aby tenże Duch sercami naszemi kierował; daj nam, ach prosimy Cię, daj nam wszystkiem takie serca, byśmy poznali, żeś Ty jest Pan, Bóg nasz, nasz Zbawiciel i odkupiciel. Amen.

„Idę do Onego, który mię posłał, a żaden z was nie pyta mię: Dokąd idziesz? Ale że wam to powiedział, smutek napełnił serca wasze.“ Ach, uczniowie byli smutni i strapieni. Straszna to dla nich była myśl, iż mogliby być odłączeni od Pana, mistrza swego. Jeszcze nie byli zupełnie wolni od miłości rzeczy ziemskich, jeszcze się serca ich nie wyrwały z pęt tego świata. Przeto ani nie przeczuwają pocieszenia, które jest tak blisko, nie przeczuwają błogosławieństwa, które na nich spłynie przez odejście Pańskie. Czyż tak i nam nie dzieje się często? Oddani boleści, zupełnie w troskach doczesnych pogrążeni, często nie jesteśmy zdolni, szukać pocieszenia tam, gdzie je znaleźć można. Szukamy go u świata, a świat nam go dać nie może, i musielibyśmy zginąć, gdybyśmy nie mieli arcykapłana, który ma litość nad słabościami naszemi. Tej litości, tej miłości Jego doznali i uczniowie. „Lecz ja wam prawdę mówię“, powiada, „wam ci to pożyteczno, abym ja odszedł.“ Tak, najmilsi! dziękować Mu, chwalić i wielbić Go mamy we dnie i w nocy za tę łaskę, bo gdyby Pan Jezus Chrystus nie odszedł do Ojca, nie mieliby smutni pocieszenia, nie mieliby grzesznicy pokoju, nie mielibyśmy radości w życiu, nadziei i ufności w śmierci, zgoła nie mielibyśmy zbawienia i żywota. Lecz mamy to wszystko, bo Pan nasz odszedł do Ojca. Że wrócił do Ojca, to nam rękojmią Bożej miłości ku nam, rękojmią naszego ułaskawienia i odkupienia; że jest u Ojca, w tem nasza pewność, że nie jest tylko dziecięciem Bożem, jak my dziećmi Bożemi jesteśmy, ale że jest Bogiem, Bogiem wszechmocnym, co nam także poświadcza cała Ewangielia. Jego odejście, Jego śmierć i uwielbienie to ostateczne zatwierdzenie Bożej ku nam miłości. Bo

czyż Bóg, który Synowi swemu nie przepuścił, ale Go za wszystkich wydał, miałby nas opuścić albo zapomnieć? O nie, najmilsi! Gdy grzech się w nas rozmnoży, gdy nas bojaźń i trwoga napełnia, cóż nas może podtrzymać? Nic, tylko odejście Pana do swego Ojca. Jezus Chrystus jest nasz lekarz i pomocnik, Jego odejście naszym ratunkiem od zatracenia, bo On wydany jest dla grzechów naszych, a zmartwychwzbudzony dla sprawiedliwości naszej, a wszedł do nieba, aby być naszym Orędownikiem u Ojca. Dla tego, że odszedł, myśmy własnością Pańską, a książę tego świata nic w nas niema, jeżeli wierzymy i miłujemy Tego, który za nas umarł.

Ale — wielkie ale — jesteśmy też przystępnymi obfitości pociechy i błogosławieństwa zawartego dla nas w odejściu Jezusa Chrystusa do swego Ojca? Wielu, bardzo wielu słyszy dzisiejszą Ewangielią, a nic z niej nie mają, choć to wszystko i dla nich nagotowano, i nad wieloma zostaje gniew Boży, chociaż miłość Jego tak chwalebnie się objawiła w Jezusie Chrystusie. Nie każde serce jest sposobne przyjąć łaskę Bożą i zbawienie nam w Chrystusie ofiarowane, ale musi wprzód być przygotowane i przysposobione do przyjęcia pocieszenia i błogosławieństwa Ewangielii. A któż ma je przysposobić? Kto, jeżeli nie ów Duch, o którym Pan mówi: „A on przyszedłszy będzie karał świat z grzechu, z sprawiepliwości i z sądu."

On będzie karał świat, to znaczy, On go weźmie w swą Boską wycwikę, będzie go nauczał, i pokazywał mu jego zepsucie, aby w sercach powstał ów smętek, który jest według Boga i sprawuje pokutę ku zbawieniu, której nikt nie żałuje. Duch Boży ćwiczy serca i sumienia ludzkie, aby się stały sposobnemi do przyjęcia zbawienia w Chrystusie objawionego a wychowywanie to wykonuje przedewszystkiem przez kazanie słowa Bożego, mianowicie tak, iż naprzód przekonuje świat, że żyje w potępieniu godnem grzechu niewiary, jak Pan w tekście mówi: „Będzie karał świat z grzechu, iż nie uwierzyli we mnie." Niedowiarstwo, które odrzuca samego Syna Bożego, i czyni z Niego Bóg wie co, niedowiarstwo, które gardzi łaską Bożą pragnąc zbawienia z własnej sprawiedliwości, to właściwy korzeń wszystkich innych grzechów, jak mówi Luter: „To jedynie w Nowym Testamencie grzechem pozostawa, że świat nie chce poznać i przyjąć Chrystusa." W dziwnem, głupiem zaślepieniu mniema człowiek, że nie potrzebuje Zbawiciela, że wystarczą do zbawienia jego własne cnoty i uczynki, jego własna szlachetność. Gdzie to niedowiarstwo panuje, tam słowo Boże musi pozostać bez skutku, tam pokój Boży nie może duszy uszczęśliwić, tam nawet powrót Jezusa do Ojca w niczem nas pocieszyć nie może. Albowiem zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, tylko kto wierzy w Syna Bożego, tylko ten ma żywot wieczny. A kto wierzy, temu Duch Boży objawi sprawiedliwość Bożą, jak mówi Pan: „Będzie karał świat z sprawiedliwością, iż do Ojca mego idę, a już mnie więcej nie ujrzycie." Toć pewnie nie znaczy tylko, że przekona świat o niewinności i sprawiedliwości Chrystusowej — albo, że świat pozna, jak niesprawiedliwie i bezbożnie Jezusa na śmierć wydano, ale przedewszystkiem tu mowa o uzyskanej nam przez śmierć Chrystusową sprawiedliwości, która jest odpuszczenie grzechów, a która bywa poczytana tym, co wierzą w Jednorodzonego Syna Bożego. O tem ma Duch Boży przekonać świat, a gdy przywiódł człowieka do znajomości grzechu, gdy w duszy obudził tęsknotę za pocieszeniem, pomocą i łaską, łaknienie i pragnienie sprawiedliwości, wtedy dokonuje swego dzieła, wtedy przekonuje dusze pragnące zbawienia, że książę tego świata jest osądzony i nie ma mocy nad tymi, którzy są Chrystusowi.

Tak Duch Boży przysposabia serca, tak prowadzi nas we wszelką prawdę, jeżeli się chętnie prowadzić damy, oświeca nas i uwielbia Chrystusa w duszach naszych. Przez Niego oświeceni poznawamy, jak bardzo potrzebujemy pocieszenia, poznawamy swój grzech, ale ku naszej radości poznawamy też, że Chrystus jest naszym Odkupicielem i Zbawcą, i poznawamy także, że pracuje w nas Duch Boży. Pracę Jego w nas tak Pan opisuje: „Mam ci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę; bo nie sam od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszy mówić będzie, i przyszłe rzeczy wam opowie. On mnie uwielbi, bo z mego weźmie, a opowie wam. Wszystko co ma Ojciec, moje jest; dla tegom rzekł: Że z mego weźmie, a wam opowie." Nic tedy obcego, ale to, co Pan sam zwiastował, miał Duch ów uczyć, miał wykładać to, co w Piśmie stało napisane, miał u apostołów wykonywać i dalej wieść dzieło oświecenia i poświęcenia. Jako też i Luter mówi: „Wierzę, że nie przez własny rozum ani siły moje, w Jezusa Chrystusa, Pana mojego uwierzyć, ani z Nim połączyć się mogę; — ale, że mnie Duch święty przez Ewangielią powołał, darami swymi oświecił, w prawdziwej wierze poświęcił i utrzymał, tak jak całe chrześciaństwo na ziemi powołuje, zgromadza, oświeca, poświęca i w prawdziwej jedynej wierze w Jezusa Chrystusa utrzymuje."

Ten Duch pragnie też i wasze serca oświecić, wy młodzi chrześcianie, wy konfirmandzi! On szuka was. Jezus Chrystus i dla was odszedł do Ojca, i wiódł was dziś do stołu swego. Przychodźcie tedy z sercem pragnącem zbawienia, przychodźcie z pokorną prośbą, przychodźcie z radosną ufnością, przychodźcie do Jezusa Chrystusa, z którym dziś zawarliście przymierze. Konfirmacya to odnowienie przymierza w chrzcie z Bogiem zawartego, na nowo wyrzekliście się grzechu, a ślubowaliście wierność Bogu i kościołowi chrześciańskiemu, który tu w doczesności nosi nazwę luterskiego. Jeżeli wytrwacie w tem przymierzu, jakakolwiek wypadnie wam dola, wszędzie i zawsze okaże się nad wami miłość Jezusowa. Może czeka was ucisk i krzyż, niechybnie przyjdzie też i pokuszenie, przyjdzie świat z swem szyderstwem, ale Pana zawżdy się trzymajcie. W krzyżu będzie was pocieszał dobry pasterz, będzie was bronił,

będzie was strzegł, będzie przy was z swą wszechmocną pomocą. Miłość swoję okaże nad wami, jak ją okazał nad wami, rodzice dzieci konfirmowanych, i nad wami wszystkimi. Jeżeli w nas jest iskierka wiary, musimy wyznać, namci to pożyteczno, iż odszedł do Ojca. Jemu się oddajcie, wy spracowani i obciążeni, On może, On chce wam sprawić odpocznienie; Jemu się oddajcie wy grzesznicy, a grzesznikami wszyscy jesteśmy, On jest naszą sprawiedliwością: Jemu się oddajcie wy dziewice i młodzieńcy, On jest waszym Zbawicielem. On woła: Pójdźcie do mnie wszyscy, idźmy za głosem Jego, idźcie starzy i młodzi, idźcie dzieci i rodzice, idźcie do Niego, On wasz Zbawca i Odkupiciel. Panie, do Ciebie idziemy, Panie przyjmij nas! Amen.

Klemens Boruta.

3) (Ciąg dalszy.)

Tak, tak! — mówił Brzost — to twoja ojcowizna.

Dziedzic, to po dziedzicku. Dziś się upijemy Szymonie, ale bawarskiem.

To pewnie! Wyszczułby mnie jutro za dziesiąty kopiec.

Nie bójcie się, mam łeb twardy.

Masz go dla siebie, a wreszcie ja tylko trzmielówkę . . . Bawarskie w głowie zawraca.

E, to odwróci. Przyjdźcie dziś do szynku.

Nie mogę, ja tylko moją . . .

Spróbujcie innej. Pójdę do stryja, a wieczorem potańcujemy.

Przebieraj Marychna
Żebym ja ci . . .

No, do wieczora, Szymonie — rzekł, podawszy rękę owczarzowi i wesoło odszedł.

Przynieś jutro na pole kroplę, to skosztuję... wołał Brzost.

Owa ojcowizna, która tak niespodzianie zbogaciła Borutę, była nędzną chatą, za którą wąskim językiem wyciągnął się kawałek ogrodu. Gdzie mech nie osłonił, tam przegniłe gonty rzęsiście wyhaftowały dach dziurami, które na jednej stronie założono badylem, zatkano gałganami lub chrustem. Po tej to bowiem stronie mieszkał Jan Boruta, stryj Klemensa i współwłaściciel nieruchomości, zapisanej w księgach hypotecznych Nędzy pod Nr. 15. Zabłocona sień dzieliła dom na dwie połowy. Na prawo znajdowała się dość obszerna izba, a za nią alkierz. W tej izbie Janowa, kobieta podeszłego wieku i wychudłej budowy, macała właśnie w szafliku kurę, która na jajkach siedzieć chciała, gdy wszedł Klemens.

Dobry dzień!

Dobry dzień!

Nie poznajecie pewnie — Klemens.

A! — odrzekła, przyglądając mu się uważnie, gdy ją pocałował w rękę. Skądże?

Ze świata. Cóż tu słychać?

A słychać. Kaśka ot leży, bo febra ją trzęsie, a stary ledwie dziś do szosy nogi zawlókł.

Z pod kożucha na łóżku odezwał się lekki jęk.

Czy stróżuje?

Stróżuje — z rydlem. Drogę sypią do Rybnika. Gdzież ty teraz?

Tu mnie dziś zgodzili i dziś wypędzili.

Za co?

Bom się na godzinkę spać położył.

To jaskinia nie dwór! Żeby ziemia się pod nim zapadła. Gdzieś wracasz?

Nie wracam, pozostanę tu tymczasem, oddacie mi połowę chałupy.

Człowieku! — zawołała oburzona Janowa. — nie boisz ty się Boga? Młody, zdrów, zabierać nam tę głupią izbę!

A ona wam po co?

Na dworze prosiaki uwiążę, czy to psy?

O, spleciemy chlewek, będą stały.

Okien nie ma, przez pułap się leje.

Gdybym na drodze sypiał, jeszcze bardziej by się lało.

Tfu! — splunęła Janowa — wilcze ślepie! Z ołtarza by zdarł.

E, z wami gadać a miesiącowi się przedrzeźniać, to jedno — rzekł Klemens i wyszedł.

O ile Janowa z natury była chciwa, a z biedy na wszystko łakoma, o tyle zawojowany przez nią mąż chętnie z każdym się dzielił. Bez trudu więc tegoż jeszcze dnia pomógł synowcowi przeprowadzić prosiaki do sieni. Klemens, nie mając garści słomy, a przytem chcąc zagłuszyć smutek, jaki mu się co chwila w duszy odzywał, zgodnie z pierwotnym zamiarem poszedł do karczmy, gdzie ucieszywszy się tańcem i bawarem, przenocował. Nazajutrz od świtu zaczął porządkować mieszkanie. Wymiótł je, oczyścił z kurzu, pozaklejał wybite okna i myślał nad tem jedynie, jakby je wywietrzyć z woni poprzednich mieszkańców, gdy wtem wybawiła go z kłopotu niespodziewana okoliczność: dostał wezwanie do sądu w sprawie Kleina.

Pootwieram okna — mówił do siebie — jeśli wsadzą do kozy, mieszkanie przez ten czas wywietrzeje.

Jakoż nie tyle może skutkiem zabiegów Kleina i zeznań Brzosta, ile skutkiem życzliwości, sąd odgadując zapewnie złe powietrze w mieszkaniu Boruty ofiarował mu na dwa tygodnie kozę.

Brzost nie tylko wyrzekł się „kropli“, którą sobie u Klemensa zamówił, ale nawet widocznie go unikał. Jako bowiem jedyny świadek powalenia Kleina, zeznaniem swojem na jego korzyść w sądzie głównie przyczynił się do osadzenia Boruty w kozie. Ile w tem zeznaniu było prawdomówności, a ile chęci utrzymania się na zajmowanem stanowisku, domyślać się nie będziemy. Tylko dla zadowolenia ciekawych zrobimy przypuszczenie, że samolubstwo, które nie jest wstrętnem dla nikogo, nie mogło być takiem dla Brzosta, i że zapytywany w sądzie o szczegóły wypadku, myślał naprzód o sobie, a potem o przyjacielu.

Myliłby się wszakże ten, ktoby sądził, że Boruta uczuł do owczarza jakąś niechęć. Bynajmniej. Karę swoją uważał za bardzo naturalną, do pewnego stopnia sprawiedliwą, a nawet przyjemną.

zmęczony natłokiem wrażeń i zaniepokojony brakiem miejsca, potrzebował w spokoju uporządkować myśli i usunąć z nich jakiś plan życia.

Gdy powrócił do izby, zaledwie po długiem rewidowaniu nosem odczuł ślady woni poprzednich jej mieszkańców. Przyznać trzeba, że było to równie zasługą wrześniowego powietrza, jak i Kasi, która niezależnie od dąsań matki krewnikowi podłogę, a raczej jej ostatki wymyła. Co więcej, znalazł Boruta i okna deseczkami pozabijane i garść słomy w kącie, przykrytą starym, kiedyś niebieskim kilimkiem. Stryja w domu nie było, stryjenka nie obiecywała serdecznego przyjęcia; Klemens więc tylko rozejrzał się po izbie i już miał wyjść, gdy przez drzwi odchylone zajrzała Kasia.

Wlezże głupia — zawołał wesoło — bo nos sobie przytniesz. Tatulo u roboty?

Przy szosie — odrzekła nieśmiało, stanąwszy na progu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pieśń wieczorna.

Już słońce bieg skończyło
I tarczę swą ukryło
Tam za tym pasmem gór.
Już gwiazdki zapłonęły
I nocną straż ogjęły
Nam przyświecają zpoza chmur.

Już Anioł stróż zstępuje
I miejsce obejmuje,
Gdzie dobre dziecię śpi.
Więc kończy swe zabawy
I wszelkie dzienne sprawy
I o Aniołkach dziecię śni.

Chwal duszo, pochwal Pana
Co od samego rana
Był wciąż opieką twą.
O Boże! cieniem ręki
Dla Chrystusowej męki
Strzeż ciało i duszyczkę mą.

Rozmaitości.

— Podróż naokoło świata. Grono osób, należących do towarzystwa petersburgskiego, jak donosi jeden z dzienników rosyjskich, postanowiło bieżącego lata wybrać się w podróż naokoło ziemi dla przyjemności. W tym celu incyator główny podróży, książę K., zamówił w Anglii odpowiedni yacht spacerowy, który w Ameryce i Afryce będzie dłużej przystawał w portach, a podczas przystanków, podróżni będą polowali. Cała podróż trwać będzie półtora roku. Do podróży tej zapisało się 28 osób, z których prawie połowa należy do płci pięknej.

— Pióro dyamentowe. Ludziom, którzy wiele piszą, wiadomo, jak niedogodną jest zmiana stalki, gdy ręka już się do jednej przyzwyczaiła. Niedogodność ta szczególniej daje się we znaki w czasie podróży, w hotelach bowiem, jak wogóle we wszystkich instytucyach publicznych, pióra podawane do użytku ogólnego wiele pozostawiają do życzenia. Amerykanie widocznie najbardziej niegodość tę odczuwali, u nich bowiem pojawił się pierwszy wynalazek pióra wiecznego. System tegoż został obmyślany przez Westermanna. Składa się z obsadki kauczukowej, w której tkwi pióro złote, zakończone dyamentem. Po użyciu pióro ochrania się przez zatknięcie na niem nakrywki. Pióro samo uregulować można raz na zawsze, odpowiednio do przyzwyczajenia. Atrament dopływa do pióra na zasadzie prawa o włoskowatości, więc też zrobienie plamy jest niemożliwem. Po napełnieniu pióra pisze się niem około 1500 godzin. W Warszawie pióra takie nabywać można w sklepie A. Chodowieckiego przy ulicy Senatorskiej.

— Najmniejszy kot na świecie. Do ogrodu zoologicznego w Berlinie przywieziono kota, który został umieszczony w oddziale rzadkich zwierząt. Kot ten pochodzi z wyspy Ceylon, jest wielkości pięści, ale nader zwinny. Przebywa prawie zawsze na drzewach i skacząc ciągle po najcieńszych gałęziach, żywi się najchętniej małymi ptakami, które chwyta nadzwyczaj zgrabnie. Rasa tych kotów żyje tylko na wyspie Ceylon; podobny, ale już nieco większy gatunek znajduje się na wyspie Sunda.

Żarty i dowcipy.

Niepocieszony.

Ksiądz: Jędrzeju, cóż się to, z wami stało, od chwili śmierci waszej nieboszczki żony, codziennie się upijacie?

Gospodarz: Tak, Jegomościuniu we wódce znajduję jedyną pociechę w swym smutku.

Ksiądz: Słuchajcie jednak, jak długo to potrwa?

Gospodarz: Jegomościuniu, kiedym ja niepocieszony.

Jasne jak słońce.

Gospodarz A.: Sąsiedzie, wiecie wy o tem, że moje kury odwiedzają często wasze podwórze?

Gospodarz B.: Tak wiem o tem.

Gospodarz A.: A zkąd wy to wiecie?

Gospodarz B.: Bo mi już cztery z nich brakują.

Rozwiązanie zagadki z nr. 15.
Echo.

Zagadka.

Machnął ptaszek skrzydłem,
Cały świat zasłonił jednem piórkiem.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku

Ewangielik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.“

Nr. 17. | Ełk, na niedzielę dnia 30 maja. | 1897.

Niedziela po Wniebowstąpieniu Pańskiem.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

List św. apostoła Piotra 1, r. 4, 8—11.

„Przetoż trzeźwymi bądźcie i czułymi ku modlitwom, a nadewszystko miejcie uprzejmą miłość jedni ku drugim; albowiem miłość zakryje mnóstwo grzechów. Gościnnymi bądźcie jedni ku drugim bez szemrania. Każdy jako wziął dar, tak nim jeden drugiemu usługujcie, jako dobrzy szafarze rozlicznej łaski Bożej. Jeźli kto mówi, niech mówi jak wyroki Boże; jeźli kto posługuje, niech to czyni jako z siły, której Bóg dodaje; aby we wszystkiem chwalony był Bóg przez Jezusa Chrystusa, któremu należy chwała i panowanie na wieki wieków. Amen.“

Niedziela dzisiejsza położona jest między wielkiemi świętami. We czwartek obchodziliśmy Wniebowstąpienie Pańskie, a za tydzień święcić będziemy wylanie Ducha św. na apostołów. Oba święta przypominają nam Pana i Zbawiciela naszego, oba opowiadają nam, po co przyszedł na świat, i co nam zdobył. Wniebowstąpienie Pańskie zwiastuje nam, że Ukrzyżowany dla tego zmartwychwstał i do nieba wstąpił, aby na nas zstąpił Duch, którýby nas wiódł do wszelkiej prawdy, Duch św. pocieszyciel. Duchem tym oświecone, Ewangielią nauczone gromadzą się do dziś dnia niezliczone, biedne, grzeszne rzesze ludzi od południa i północy, od wschodu i zachodu, by zgiąć kolana swoje przed Jezusem. Duch ten jest przewodnikiem kościoła, ogniem, który mimo wszelkiej oziębłości nie wygasł.

Duchem tym oświeceni powinniśmy naśladować Ukrzyżowanego, który nas tak umiłował, że duszę swą za nas wydał, powinniśmy to uczynić z radością, bo Chrystus jest nie tylko naszym Panem, lecz także Zbawicielem, nie tylko Bogiem, ale równocześnie prawdziwym człowiekiem, który niemoce nasze wziął na siebie, a którego sinością jesteśmy uzdrowieni. Lecz jakże Go naśladować? Jedni widzą w Jezusie wzór cnoty, a w cnocie najpiękniejszą ozdobę życia chrześciańskiego. Inni mniemają, iż aby naśladować Chrystusa, trzeba pozbyć się swoich dóbr, pościć, uciec od ludzi i wieść jakiś dziwny, od wszystkich innych odróżniający się żywot. Inni znowu tego są mniemania, że od naśladowania Chrystusa należy powtarzanie słów, które wypowiedziały Jego Boskie usta, wyznawanie ustami, zręczność prowadzenia po chrześciańsku wyglądającej rozmowy i zabawy. Czy zdania te są słuszne, że naśladowanie Chrystusa jest czemś tylko zewnętrznem, o tem poucza nas dzisiejsza lekcya apostolska, z której zechcemy się więc nauczyć:

Jak mamy naśladować Jezusa Chrystusa, Syna Bożego?

Ty zaś, Panie i Boże nasz, któryś jest Ojcem dziatek Twoich na ziemi, spojrzyj łaskawie na nas dzieci Twoje, naucz nas słowem Twojem, abyśmy w Synu Twoim znaleźli żywot wieczny. Amen.

Że mamy naśladować Jezusa Chrystusa, ukrzyżowanego i zmartwychwstałego, o tem z pomocą Bożą chcę do was dziś mówić, o tem was chcę pouczyć. Ten Jezus Chrystus jest ten, który umarł, na trzeci dzień zmartwychwstał, wstąpił na niebiosa, siedzi na prawicy mocy Bożej — jakoż tego Jezusa Chrystusa może naśladować człowiek, z prochu narodzony Tego, w którego imieniu się mają zginać kolana wszystkich tych, którzy są na niebie, na ziemi i pod ziemią? Zdawałoby się, iż Jezusa Chrystusa naśladować, naśladować rzeczywiście i prawdziwie jest niemożebnem. A przecież najmilsi! mówi Pan: gdzie ja jestem, tam i wy będziecie, ja jestem głową, wy członkami, ja winną macicą, wy latoroślami. Kto mnie chce służyć, niechaj mnie naśladuje. Więc to jest pewna, iż mamy naśladować Chrystusa. Jak Go zaś mamy naśladować, to uczy apostoł św. w dzisiejszej lekcyi, mówiąc: „Trzeźwymi bądźcie i czułymi ku modlitwom, a nadewszystko miejcie uprzejmą miłość jedni ku drugim, aby we wszystkiem chwalony był Bóg przez Jezusa Chrystusa.“ Modlitwa, miłość i chwała Boża — to trzy rzeczy, trzy warunki, które wykonać musimy, chcemyli Jezusa Chrystusa naśladować, oto ślad stóp Chrystusowych, w które wstąpić trzeba, chcemyli się z Chrystusem połączyć.

1.

Zaiste — modląc się, ale nie usty tylko lecz sercem, wylewając serce nasze w serce Ojca naszego niebieskiego, przedkładając Bogu Ojcu w imieniu Chrystusowem nasze życzenia, troski, przestępstwa i nasze pragnienie sprawiedliwości

nie naśladujemyż Jezusa Chrystusa? Zapewne! Kto się modli, modli serdecznie, prawdziwie, ten ci wie, że w modlitwie człowiek jest w prawdzie jeszcze na ziemi, ale także w niebiesiech, znajduje się na tym padole płaczu, ale także u Pana i Zbawiciela swego. Modląc podnosimy się do Pana, On żyje w nas, a my w Nim. Jeżeli się zaś nie modlimy — a nie można się modlić, nie wierząc w Jezusa Chrystusa — tedy zostawamy w grzechu, nie mamy siły do poświęcenia, nie mamy pokoju, nie zwyciężymy świata. Dla tego też napomina Pan: zostańcie we mnie, apostoł św. uczy: módlcie się nie ustawając, a św. Piotr w lekcyi naszej woła: Trzeźwymi bądźcie i czułymi ku modlitwom. Trzeźwość ta, to nie ona zwyczajna wstrzemięźliwość, owszem — ponieważ modlitwa jest rozmową serca naszego z Bogiem, więc uczy apostoł, że chcemyli się szczerze modlić, nie śmie mieszkać w sercu naszem mamona, pycha, cielesne chucie, miłość świata i pieczołowanie o doczesny żywot. Musimy być w tych rzeczach trzeźwymi, wstrzymywać się od tych rzeczy, a miłość musi napełnić serce nasze, a tak — modlitwa nasza będzie prawą, a w modlitwie będziemy naśladować Jezusa Chrystusa.

2.

Lecz nie tylko modlitwą mamy i możemy naśladować Chrystusa, apostoł pisze także: nadewszystko miejcie uprzejmą miłość jedni ku drugim. Miłość ma być tą związką doskonałości, łączącą tych, którzy są Jego na tym świecie, w jednę wierną, świętą społeczność. Miłość ma być tym silnym węzłem chrześcian pomiędzy sobą, którego nie rozluźnią ni słabości, ni upadki braci samych, ani też rozerwą pochlebstwa groźby i złość świata. Także tedy przewrotnymi są, którzy myślą i sądzą, iż dla chwały Bożej i zgodnie z wolą Bożą można ludzi prześladować, spalić, krew ich wylewać i tym podobne. Którzy tak mówią albo czynią, wyrzekli się Chrystusa, mogą się jeszcze nazywać chrześcianami, ale przestali być chrześcianami i nie naśladują Chrystusa Pana. Wyraźnie bowiem powiedział Pan: „Potem pozna świat, że uczniami moimi jesteście jeżeli się między sobą miłować będziecie."

Abyśmy atoli nie oszukiwali samych siebie pozorami miłości, abyśmy przyrodzonej jakiejś dobroduszności i słabości nie udawali za miłość Chrystusową, wylicza apostoł niektóre znamiona prawej miłości Chrystusowej, według których możemy samych siebie doświadczać. „Miłość," powiada apostoł, „zakryje mnóstwo grzechów," to znaczy, miłość grzechu bliźniego nie widzi, nie słyszy, nie czuje, owszem zakrywa go, a widzi tylko brata i miłuje go. Czyż więc, najmilsi, można to nazwać miłością, gdy się dla ułomności bliźniego ma tak bystre oko, że się zaraz ujrzy i najmniejsze źdźbło w oku jego? Czy to jest miłość, która z takiem zadowoleniem odkrywa nagość bliźniego i jeszcze drugich przywołuje, aby się nią napaśli? Czy to jest miłość, gdy z sobą samym masz wprawdzie wiele cierpliwości, ale z bliźnim nie masz żadnej, i dla grzechu jego nim gardzisz i depczesz go nogami? Czyż to jest miłość, która się wstydzi za brata, który upadł, i dla pychy lub bojaźni przed sądem świata da mu zginąć w grzechu zamiast go ratować? Czy to jest miłość, która za doznaną urazę, rozmyśla o zemście i wykonuje ją? O nie, prawa miłość zakrywa mnóstwo grzechów, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko cierpi. Takowa miłość jest kamieniem probierczym, czy wolni jesteśmy od samolubstwa i naśladujemy Chrystusa Pana.

Nadto apostoł Piotr opisuje w dzisiejszej lekcyi prawdziwą miłość temi słowy: „Gościnnymi bądźcie jedni ku drugim bez szemrania, każdy jako wziął dar, tak nim jeden drugiemu usługujcie jako dobrzy szafarze rozlicznej łaski Bożej." Powinniśmy tedy dzielić nasz dom i nasz stół i cokolwiek mamy z tym, który nie ma. Powinniśmy dar od Boga nam dany spożytkować dla braci, służyć im radą naszego rozumu, pracą naszych rąk, urzędem naszym i powołaniem, naszymi stosunkami, służyć braciom, nie ich wyzyskiwać, służyć a nie sprzedawać się za nędzną zapłatę. I oto, co znaczy naśladować Chrystusa miłością.

3.

W końcu naśladujemy Chrystusa nie tylko modlitwą, nie tylko uprzejmą miłością jedni ku drugim, ale także chwaląc Boga we wszystkiem przez Jezusa Chrystusa. Jeżeli wierzymy w Jezusa Chrystusa i chcemy Go naśladować, tedy życie nasze musi być pobożne, Bogu oddane, tedy musimy w Jego królestwie pod Nim żyć w wiecznej sprawiedliwości i błogości. W życiu naszem nie może być niczego, co się woli Bożej sprzeciwia, słowo każde, czyn każdy, i każda myśl musi mieć źródło swoje i początek w Bogu. Tak najmilsi! chcieli naśladować Chrystusa prawie i prawdziwie, według nauki pisma, tedy w Jego imieniu się módlcie, w Jego imieniu się między sobą miłujcie, w Jego imieniu we wszystkiem Bogu chwałę dajcie. Amen.

Stracenie anarchistów w Barcelonie.

Dnia 4-go maja stracono w Barcelonie w Hiszpanii na forcie Montjuich pięciu anarchistów, skazanych za udział w zamachu dynamitowym na „Calle de Canebios Nuevos". Nazwiska ich są: Aschori, Molas, Mas, Alsina i Nogues. Pisma hiszpańskie przepełnione są opisami chwili wykonywania wyroku, a wyjmujemy z nich następujące szczegóły:

Dnia 3 bm. udał się sąd wojskowy do wspomnianej cytadeli. Skazanych zbudzono i zaprowadzono jednego po drugim pod silnym konwojem do sali sądowej, podziemnej komnaty pod mieszkaniem komendanta twierdzy. Ascheri, główni sprawca zamachu, sprowadzony jako pierwszy, wyszedł zupełnie spokojnie i rzekł: „Dzień dobry, mości panowie!" Bez zmiany twarzy wysłuchał wyroku, i podpisał go pewną ręką. Molas pozdrowił ró-

-wnież trybunał, napozór spokojnie słuchał wyroku, nie chciał go jednak podpisać. Trzeci, Ludwik Mas, był daleko więcej nerwowym: „Jestem złym anarchistą — mówił — ponieważ wydałem mych współtowarzyszów." Poczem, drżąc silnie, podpisał wyrok śmierci. Gdy wychodził ze sali, chwiał się tak mocno, że jeden z żołnierzy pochwycił go pod ramiona. Żywo wyprostował się i zawołał: „Mogę iść sam; jeszcze nigdy nie czułem się tak silnym, jak dzisiaj." Alsina był bardzo smutny i zgnębiony. Podczas czytania wyroku płakał, łkał głośno i jęczał. „Jestem niewinny! Miejcie litość." Już od trzech dni wiedział Alsina, co go czeka. Rodzina jego przesłała mu list: „Córeczka twoja ciągle jeszcze chora" — co oznaczać miało: dla ciebie nie ma ratunku!" Jako ostatni wszedł Nogues. Wszedł zuchwale i nieustraszenie i zawołał: „Do pioruna! czas, aby ta historya się skończyła!" Podpisał wyrok i pewnym krokiem wyszedł z sali.

Skazańców odprowadzono z powrotem do ich cel. Te za pomocą czarnej draperyi, ołtarzyka i płonących świec zamieniono w kapliczki, w Hiszpanii bowiem, każdy na śmierć skazany musi ostatnie 24 godzin swego życia spędzić w kaplicy, gdzie się przygotowuje do zgonu. Prócz kapelana polowego pułku Alfonsa 12., przybyło tam sześciu jezuitów, aby skazanym nieść ostatnią pociechę religijną. O ciało troszczy się „Hermandat de la Paz y Caridad", bractwo, do którego należą osoby wyłącznie wyższych stanów, a które skazanym łagodzi nie tylko ostatnie chwile pod względem materyalnym, lecz po ich śmierci każe także odprawiać msze za zbawienie ich duszy i zajmuje się zbieraniem jałmużny dla pozostałej rodziny.

O godzinie trzeciej po południu pozwolono skazanym przyjąć krewnych w kapliczkach. Alsina, gdy zobaczył żonę i czworo nieletnich dzieci, rzucił się ku nim i uściskał je serdecznie. „Wiecie, że jestem niewinny" mówił z łkaniem. — „Wiemy o tem" odparła żona i zaczęła płakać. — „Mówcie to wszędzie i zawsze" — dodał i wypchnął ich niemal z celi. Molas przyjął siostrę i kuzynkę. Do tej ostatniej rzekł: „Wiesz dziecko, że udaję się w bardzo daleką podróż?" — „Tak" odparło dziewczę, „ale nie zapomnij uwiadomić nas, gdy wrócisz." I Molas twierdził, że jest niewinny. Gdy siostra wyszła z celi, była tak wzburzona, że rzuciła się na członka bractwa i wypoliczkowała go. W drodze z powrotem do Barcelony spotkała dwóch policyantów i poczęła na nich tak rzucać kamieniami, że ci uciekli. Noguesa odwiedziła kochanka i dwoje jego dzieci. Dodawał im odwagi i mówił, że życie na tej ziemi jest nędznem, a śmierć nie napawa go wcale obawą.

Alsina, Nogues i Molas nie chcieli przyjąć księży, aż do ostatniej chwili śpiewali piosenki anarchistyczne i zajadali smacznie podane im delikatesy i potrawy, pili wino i palili cygara. Ascheri i Mas nawrócili się zupełnie i cały dzień spędzili na modlitwie i rozmyślaniach. Wieczorem wzięli ślub obydwaj w kaplicze; pierwszy z wdową po rozstrzelanym anarchiście Borasie, drugi z jej córką. Oświadczyli, iż czynią to z pobudek moralnych. O godzinie 8 odbyły się te dwa oryginalne śluby, na których byli obecni oficerowie, sędzia i jezuici. Obydwie „panny młode", które znajdowały się w więzieniu w Barcelonie, przywiozono na wozie celkowym do cytadeli.

W Barcelonie w przeddzień wykonania wyroku poprzylepiano na rogach wielu ulic plakaty następującej treści: „Mordercy! Kaci! Zemsta anarchistów bliska!

Anarchistów, uznanych za niewinnych, w liczbie 63, między nimi adwokata Corominasa, wysłano do zachodnio-afrykańskiej kolonii Rio de Oro, wskutek tego, iż Niemcy, Francya i Włochy nie chciały ich przyjąć na swoje terytorya.

Stracenie na Montjuich odbyło się bez żadnego wypadku. Wszyscy oskarżeni okazali odwagę i zadziwiający spokój. Ascheri i Mas modlili się, trzej pozostali śpiewali pieśni anarchistyczne. Wojsko gęsto obsadziło górę i nie puszczało nikogo na miejsce stracenia. Dodać należy, iż strzelano z karabinów Mausera, dostarczonych niedawno z Niemiec. Użyto ich po raz pierwszy.

Klemens Boruta.

4) (Ciąg dalszy.)

Cóż, trzęsie cię jeszcze?

Dziś nie.

Boruta wyciągnął z kieszeni bułkę i kawałek kiełbasy, które sobie po wyjściu z kozy kupił, i podał Kasi.

Na, zjedz.

Kasia zrobiła z początku zawstydzoną minę, ale wreszcie skusiła się do łakoci. Klemens z zadowoleniem spoglądał na jej rumieńce, tem bardziej, że one rozpaliły się na dosyć ładnej twarzy. Nie była ta twarz artystycznie kształtna, nie zawierała tych pociągłych rysów, które są cechą poprawnej ludzkiej rasy i tej delikatności, która jest wynikiem troskliwej hodowli, lecz tworzyła okrągłe, właściwe ludowym urodom jabłko, na którem nos filuternie się zadzierał, a oczy żywo biegały. Potrzeba było tylko Kasię nieco wyleczyć, odpaść i ubrać, żeby rój parobczaków koło niej się uwijał, a panicze za najlepszą żniwiarkę uważali. Boruta był znawcą i dlatego krewniaczkę poczęstował.

Tańcowałeś w niedzielę? — spytał.

Boga tam! Na przespanie nocy mało.

Ale tyś nie od tego . . . mruknął Klemens i objął dziewczynę, którą tylko głowę odwróciła.

Katarzyna! — odezwał się skrzeczący głos z sieni.

Wybiegła.

Prosiaki kwiczą — krzyczą krzyczała matka — a ty zęby suszysz przed chłopem. Ja ci je porachuję!

Jak tylko groźby ucichły, Boruta wyszedł z domu; dokąd — ściśle nie wiedział. Rozejrzał się po niebie, popatrzył w jednym i drugim kierunku drogi, uciął sobie pręt z wierzbiny i ruszył pogwizdując w pole. Oczekiwał on stryja, z którym chciał się rozmówić co do możliwości dosta-

nie roboty; ale że słońce jeszcze było wysoko, więc szukał dla reszty dnia jakiejś rozrywki. Odnajdę Brzosta — myślał sobie — i pogadam może . . .

Na tę samą miedzę, po której szedł Boruta, wyjechał z za krzaków jakiś mężczyzna na wielkim, ciężkim trakenie.

Rządca, czy nie rządca, a juści on — szepnął Klemens, uczuwszy lekkie drżenie w nogach.

Klein poznał go z daleka, podciął konia i zbliżywszy się, osadził gwałtownie.

Co tu robisz? zawołał po niemiecku.

Idę — odrzekł Boruta.

Przez czyje pole?

Przez szląskie.

Ty zbóju! krzyknął Klein, zamierzywszy się szpicrutą.

Klemens chwycił konia za uzdę.

Ostrożnie, bo ściągnę i umiarkuję.

Rządca wiedział, że Boruta dotkliwie miarkuje, nawet gdy nie grozi, cóż dopiero gdy grozi. Rzekł więc spokojnie i po polsku:

Proszę zurück, tu chodzić nie wolno.

Święta ziemia, bo niemiec ją kupił! — bąknął Boruta i wrócił do drogi, idąc przed Kleinem, który za nim postępował na koniu, a później gościńcem popędził do dworu.

O odszukaniu Brzosta, po tem świczem starciu, nie można było myśleć. Owczarz bowiem pasł niezawodnie na polach dworskich, a rządca po nich chodzić zabronił. Usiadł więc Boruta na kamieniu, wziął kawałek leżącego kija i zaczął strugać wiatraczek. Przechodzący i przejeżdżający ze zdumieniem spoglądali na młodego, zdrowego chłopa, który w porze roboczej zabawiał się dziecinnymi figlami. Klemens tymczasem strugał starannie deszczułki, aż wreszcie osadził je w krzyż złożone na patyku i zatknął na górce w ziemię. Wiatr poruszył skrzydłami wiatraczka i puścił je w szybki ruch. Klemens z zadowoleniem stanął przed swem dziełem i przypatrywał mu się długo uśmiechnięty.

Dobry dzień! — rzekła jakaś stara, przechodząca wieśniaczka. Dużości umelli?

Boruta, zawstydzony, nic nie odpowiedział, a gdy kobieta oddaliła się, poszedł wolnym krokiem do wsi. Słońce już się zniżało ku ziemi. Czerwony jego blask złocił dachy i drzewa, jak gdyby przyświecał jeszcze nad obowiązet niedokończonej pracy po polu. To też robotnicy się śpieszyli, ożywieni nadzieją spoczynku i przedwieczornym chłodem, który im znużone siły wzmacniał. Nikt wszakże nie witał z taką radością nadchodzącej nocy, jak zmęczony całodziennem próżnowaniem Boruta. Wszedł on do swojej izby i położył się na posłaniu. Zasnąć nie mógł, bo w kozie dobrze się wywczasował a przytem jakiś niepokój wewnętrzny utrzymywał go w ciągłej czujności. Zamknął więc oczy i myślał. O czem? O tem wszystkim zapewne, co napełnić lub odziać musiał.

Już gęsty mrok zapadał, gdy na progu izby stanął jakiś wysoki, nieco zgarbiony, chudy mężczyzna.

Wy stryju? — spytał Klemens.

A no ja. Cóż to, już śpisz, spracowałeś się w kozie?

Niech ją! Nie ma tam przy szosie roboty?

Ba! Przyszedłem właśnie ci powiedzieć co jest.

Co dają?

Dotąd półtory marki, a od jutra jedną, bo powiadają, że ludzi mają dosyć.

Ha, będzie przynajmniej na podpłomyk z kwasem.

Jutro do dnia.

Po tych słowach wyszedł, nie spytawszy nawet, czy jego krewniak ma co polizać. Chłopi nie znają rozczuleń, a może nie mają na nie czasu. Zresztą na usprawiedliwienie Jana przypuścić trzeba, że wiadomość o kiełbasie i bułce musiała za pośrednictwem Kasi dojść do niego.

Nazajutrz stryj z bratankiem wyruszyli do roboty. Przy szosie już znajdował się dozorca Kugelhut.

A kogo to Jan prowadzić?

Pan mówił, żeby do szabru . . .

Ja nie pytam do czego, tylko kogo.

Boruta, mój bratanek.

Wasz bratanek, ten co pana Klein w brzuch trynknął . . . nie . . . nie . . . takie zuchy nie chcę.

Boruta spojrzał na dozorcę wzgardliwie, ale stłumił gniew i odszedł.

Gdzie się podział, znowu nikt powiedzieć nie umiał. Znikł ze wsi bez śladu. Brzost dowiedziawszy się o tem, mruknął zmartwiony:

A właśnie barana dorżnąłem.

Ciężko było owczarzowi tem bardziej, że po części uznawał się winnym losu Boruty. Przecież gdyby nie trzmielówka, rządca parobka by nie wypędził, a gdyby nie zeznanie Brzosta do kozy by nie wsadził.

I Kasia żal za krewniakiem poczuła.

A tak często wał — mówiła do ojca — jak gdyby sto lat miał tu zostać.

To! poszedł pewnie gdzie lepiej — odrzekł Jan — nie ma czego żałować.

Janowa tylko szczerze rada była ze zniknięcia Klemensa. Nie czekając nawet, aż domysł się sprawdzi, wegnała uroczyście prosięta do oczyszczonej izby.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 16.

Noc.

Zagadka.

Święta Urszula perły rozsiała,
Miesiąc widział, nie powiedział,
Słońce wstało, pozbierało.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej.“

Nr. 18. | Ełk, na niedzielę dnia 13 czerwca. | 1897.

Święto Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Ewangielia św. Jana. r. 3., w. 1—15.

„A był niektóry człowiek z faryzeuszów, imieniem Nikodem, książę żydowski. Ten przyszedł do Jezusa w nocy i rzekł mu: Mistrzu! wiemy, żeś przyszedł od Boga nauczycielem; bo nikt tych cudów czynić nie może, które ty czynisz, jeźliby Bóg z nim nie był. Odpowiedział Jezus i rzekł mu: Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci: Jeźli się kto nie narodzi z nowu, nie może widzieć królestwa Bożego. Rzekł do niego Nikodem: Jakoż się może człowiek narodzić, będąc stary? izali powtóre może wnijść w żywot matki swojej i narodzić się? Odpowiedział Jezus: Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci: Jeźliby kto się nie narodził z wody i z Ducha, nie może wnijść do królestwa Bożego. Co się narodziło z ciała, ciało jest, a co się narodziło z Ducha, duch jest. Nie dziwuj się, żem ci powiedział: Musicie się z nowu narodzić. Wiatr, gdzie chce, wieje i głos jego słyszysz, ale nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd idzie; takżeć jest każdy, który się narodził z ducha. Odpowiedział Nikodem i rzekł mu: Jakoż to być może? Odpowiedział Jezus i rzekł mu: Tyś jest nauczycielem w Izraelu, a tego nie wiesz? Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, iż co wiemy, mówimy, a cośmy widzieli, świadczymy: ale świadectwa naszego nie przyjmujecie. Jeźliż gdym wam ziemskie rzeczy powiadał, a nie wierzycie, jakoż, będęli wam powiadał niebieskie, uwierzycie? A nikt nie wstąpił do nieba, tylko ten, który zstąpił z nieba, Syn człowieczy, który jest w niebie. A jako Mojżesz węża na puszczy wywyższył, tak musi być wywyższony Syn człowieczy. Aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.“

Po święcie zesłania Ducha Bożego, obchodzimy z dniem dzisiejszym uroczystość Trójcy św.; ową tajemnicę boską, wielką i niezgłębioną dla umysłów po ludzku potężnych, otwartą i jasną dla dzieci Ojca w niebiesiech, ludzi ufających słowu Pisma, ludzi umiejących w pokorze szukać światła w źródle światłości. I dziwić się temu nie można. Jak, żeby widzieć, trzeba mieć zmysł widzenia, tak aby wniknąć w tajniki królestwa Bożego, pojąć dary Pana zastępów, trzeba mieć wzrok serca, wzrok, który Bóg daje wszystkim pragnącym i wiedzącym, że w ciemności żyją. Bóg ten chce, byśmy żyli, chce byśmy opuściwszy ciemności grzechu, w światłości chodzili, a światłość tę zawarł w słowie Pisma świętego, i kto słowu wierzy, w niem szuka prawdy, przez nie pragnie dojść do Boga, ten wszedł na drogę zbawienia, i tajemnice Boskie Bóg mu otworzy, i to czego rozum nie zbada, geniusz nie doścignie, bojący się Boga i miłujący Go znają, czują i pojmują.

Stwierdza to Ewangielia dzisiejsza, stwierdza słowo, które Chrystus wyrzekł do Nikodema, że człowiek nie takim jakim jest, nie w tym stanie, w jakim na świat przychodzi, jest dziecięciem Boga, ale staje się niem przez chrzest, czyli narodzenie z wody i Ducha. To drugie narodzenie nie jest narodzeniem z ciała i z ludzi, ale narodzeniem z Chrystusa, książęcia, początku i źródła życia, życia tego, którego, że tak powiem, krwią, siłą żywotną, pokarmem, jest wiara, nie wiara chwiejąca się, nie oznaczona, w formach zewnętrznych tylko zawarta, ale wiara w Chrystusa Jezusa, Syna Bożego, prawdziwego Boga i człowieka, który za nas i dla nas umarł, abyśmy w Jego śmierci i zmartwychwstaniu znaleźli żywot, zbawienie, grzechów odpuszczenie. Sam Chrystus albowiem w Ewangielii dzisiejszej powiada:

Kto we mnie wierzy, nie zginie, ale będzie miał żywot wieczny.

Słowa te rozważymy w tej Bogu poświęconej chwili. Do Chrystusa, w porze nocnej, powiada ewangielista Jan, przyszedł Nikodem, niektóry z faryzeuszów, książe żydowski. Człowiek ten, poświęcający się nauce i badaniu Pisma, o czynach Zbawiciela wyrobił w sobie przekonanie, że Jezus jest mistrzem, który przyszedł od Boga nauczycielem. Miał zatem wiedzę o Chrystusie, ale nie wiarę w Jego osobę, a jeźli już wiarę, to zewnętrzną, powstałą z widzenia czynów, mogącą pobudzić do naśladowania tych czynów, ale nie wiarę z Boga wyszłą i do Boga prowadzącą. Wiara, o której Nikodem sądził, że jej Chrystus nauczyć może, była to według rozumienia faryzeuszów nauka, system, przedmiot, który dosyć pojąć rozumem, objąć pamięcią, a już się doszło do celu. Zdanie to podziela wielu i w czasach dzisiejszych, sądząc, że dosyć jest spełnić czyn, wypełnić obrządek, zadosyć uczynić formie, a już ma się niebo i jest się bliskim Boga.

Obrządki zaniedbywane być nie powinny. Aczkolwiek obrządki są rzeczą zewnętrzną, każda religia ma je, żadna bez nich obejść się nie może. Religia polega na ujęciu w formy wyobrażenia;

religii i wyznań dla tego jest wiele, są różne, lecz wiara jest tylko jedna, i w jednej tylko zbawionym być można. Każde więc wyznanie, każda religia o tyle jest prawdziwa, o ile odbiła w sobie wiarę, o ile jasno, czysto wyznaje tę wiarę, którą nam Pismo święte ogłasza, a której treścią, celem, przedmiotem jest Chrystus Jezus. Dla tego to religia Starego Testamentu, religia Żydów była prawdziwą, bo wszystkie jej postanowienia były znakami zewnętrznymi, mającymi głębokie wewnętrzne znaczenie; znakami, które jak palec, jak wskazówka zwracały oczy ludu izraelskiego do tego, który miał przyjść i wybawić Izraela do Mesyasza. Kto wierzył w Tego, którego owe ofiary i obrządki wskazywały, a nie poprzestawał na dopełnieniu zewnętrznem przepisanych obrządków, temu jak Abrahamowi, Izaakowi, Jakóbowi i wszystkim prorokom Bóg przyrzekał zbawienie. Zbawiciel przyszedł, i znaki i formy straciły znaczenie, religia Starego Testamentu umarła, ale wiara, którą ona głosiła żyje, jest jedną w żydowstwie i chrześcijaństwie, jedną w Starym Testamencie, jedną w Nowym, z tą różnicą tylko, że tam jest zwiastowanie, tu spełnienie, ale cel jej, treść jej jedna jest, jest ten sam Chrystus, przez którego Bóg wszystkie rzeczy stworzył; Ten, którego Bóg zwiastował jako nasienie z nasienia niewiasty; ten sam, w którym Bóg przyrzekł błogosławieństwo potomkom Abrahama; ten sam, którego głosili prorocy, którego Dawid wielbił w psalmach, który się narodził w Betlehemie, umarł na Golgocie, siedzi na prawicy Ojca, żyje i króluje, daje nam łaskę w chrzcie, grzechów odpuszczenie w komunii; którego ogłasza słowo Ewangielii, który przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

O jednym ze znaków takich mówi Chrystus w Ewangielii dzisiejszej do Nikodema. Powiada mu, że ów wąż wywyższony na puszczy przez Mojżesza był znakiem wywyższenia Chrystusowego. W czasie wędrówki obrzydził sobie lud mannę i szemrał przeciw Bogu i przeciw Mojżeszowi. Bóg go ukarał przypuszczając nań węże ogniste, które kąsały lud, i pomarło wiele ludu z Izraela. Lud wołał uleczenia, żądał pozbycia się złego, ale też wyznał swój grzech. Litując się Bóg rozkazał Mojżeszowi, aby ukuł węża z miedzi i wystawił go na włóczni, aby każdy, kto nań spojrzy, został uzdrowiony, nie ze spojrzenia, ale z wiary w rozkaz, w polecenie, w przyrzeczenie, jakie Bóg z palem tym złączył. Uleczenie więc dostępował każdy Izraelita w spojrzeniu na wywyższonego węża, rany goiły się, śmierć niechybnie odstępowała. W tem wspomnieniu przeszłości uczy Chrystus Nikodema, że i Syn człowieczy wywyższony będzie, i tak jak ów wąż będzie uzdrowieniem chorych i więzących. Bo i my, bracia moi! znajdujemy się w wędrówce, idziemy przez pustynię życia. W tej pustyni skwary dolegliwe i ucisku; węże ogniste — pokusy świata i ułudy; — i serce nam niemi chore, i duszę kala grzech, i zbłąkani, spragnieni, zbici z drogi gonimy mary, upadamy, giniemy. Lecz i nam dał Bóg ratunek. Syn człowieczy wywyższony, Chrystus ukrzyżowany ma być lekarstwem naszem.

Tak, bracia moi! nie ów znak z dni przeszłych, lecz pamięć, która nas łączy z przeszłością, lecz słowo Ewangielii winno nas budzić ze snu, abyśmy spojrzeli i przejrzeli. Bo Ukrzyżowany, bo Chrystus, i cóż On uczynił? Czy znacie, bracia moi! uczucie miłości, czyście kiedy w życiu mieli dobroczyńcę, czy wiecie, co to nędza, co to choroba, i czy kiedy troskliwa ręka pielęgnowała was? Jeżeliście znaleźli takiego człowieka, jeżeliście miłowali waszych rodziców, jeżeli sercem wielbili dobroczyńcę, jeżeli znacie, co to jest poświęcenie się dla innych, tedy wiecie, jakie uczucia napełniały serce wasze dla tych drogich waszych, dla tych waszych ukochanych. A jednak to wszystko, co oni wam uczynili, co ludzie uczynić zdolni, jak ludzie ukochać, jak ludzie dla ludzi poświęcić się mogą, maleje przy tej miłości, którą nas Chrystus umiłował. Kiedy my wyszli z Boga, a upadliśmy; kiedy my stworzeni na obraz i podobieństwo Boga w jarzmie ciała i świata żyli, On, Syn Boży, On źródło światłości opuścił niebo i zstąpił na świat, wziął ciało, wziął nędzę, nosił na sobie choroby nasze, nie miał miejsca, gdzieby złożył głowę swoję, znosił głód i pragnienie, szyderstwa i męki, a to wszystko, aby wybawić nas od grzechu, śmierci i przekleństwa, zadosyć uczynić sprawiedliwości Boga, i otworzyć nam drogę do utraconego raju. Dla tego to, kto w Niego wierzy, nie zginie, ale mieć będzie życie wieczne. Śmierć jest zapłatą za grzech; od grzechów uwolnić nas może ten tylko, który grzechy wziął na siebie i za nie umarł. I wy wierzycie w Ukrzyżowanego, wy wszyscy przypominacie sobie Jego śmierć, Jego mękę, Jego poniżenie, przypominacie jak zdradzony, zraniony uwisł na krzyżu i wołał: Ojcze, dla czegoś mnie opuścił? Czy wszyscy przypominając to sobie wierzycie: On za nas umarł, wasze, nasze, moje, twoje, naszych ojców, naszych dzieci, naszych przodków i potomków grzechy i winy na Nim leżały, na krzyż Go poniósły i wycisły z serca owe bolesne: Ojcze, dla czegoś mnie opuścił?

Wielu nie wierzy temu, wielu szkaluje słowo Ewangielii, wielu odwraca się od ukrzyżowanego Zbawiciela, szydzi z Jego śmierci, brzydzi się przelaną za nas krwią, nie chce ani słyszeć o tem, że tylko przez wiarę w tego ukrzyżowanego Zbawiciela, przez Jego śmierć my żywot mamy. I dla czego? Bo oni miłują grzech, bo grzech jest dla nich powabnym i słodkim, jest urojeniem, zwykłą ułomnością, i dla tego, gdy spojrzą na Ukrzyżowanego drży dusza ich, bo tam na krzyżu ukazuje się w całej wielkości, w całym ogromie grzech i jego przekleństwo. O dla tego, bracia w Chrystusie, korzmy się przed Tym, który nas umiłował, miłujmy Tego, który za nas położył życie swoje, wierzmy w Tego, który jest zbawicielem. Kto wierzy, ma żywot, kto nie wierzy, zginął, zginął bez ratunku. Pośredniej drogi niema, niema innej wiary, innej drogi, innego pośrednika, jedynym jest Chrystus. On powiada: Jam jest zmartwychwstanie i żywot, kto w Mię wierzy, choćby też umarł, żyć będzie; nikt nie przyjdzie do Ojca, tylko przezemnie; kto we Mnie wierzy, ma

żywot. Powiecie może: ale my go mieć nie możemy, my ludzie z ciała, ciałem jesteśmy. O nie, albowiem kto się narodził z wody i z Ducha, wszedł do królestwa Bożego. Wyści: weszli przez chrzest: przez wodę i Ducha narodziliście się przy chrzcie, odrodzili, wszczepili w Chrystusa, przez chrzest weszli do królestwa Bożego. Tam Bóg włożył na czło nasze koronę królewską, ale my, my wolimy nosić jarzmo świata, i z dzieci Boga stać się niewolnikami grzechu; tam Bóg zlał na głowę naszę błogosławieństwo ojcowskie, ale my swawolnie ją strząsamy i ściągamy przekleństwo.

Tak, bracia moi! kto się ochrzci a uwierzy, zbawion będzie; kto się ochrzci, jest na nowo urodzony, nie z ciała ale z Ducha. Ale jak dziecię musi wzrastać i stać się mężem, tak i my odrodzeni musimy róść w wewnętrznym człowieku. Tysiące zostawają w stanie skarłowaciałym, tysiące odwracają się od Chrystusa, bo świat się z nich śmieje, i stara się przytłumić ich nowy żywot. Kto się na nowo narodził, a odwraca się, wszedł do królestwa Bożego, jest jego obywatelem, ale obywatelem występnym, który wyrzuconym być musi. Wyście odnowieni, czy w odnowieniu żyjecie, czy pielęgnujecie nowego człowieka, który w was narodzony? On z Boga jest zrodzony, a wy go światu poświęcacie. W imię Trójcy proszę was, uwierzcie w Pana Jezusa Chrystusa, a niebo wam należy. Szukacie nieba na ziemi, ale nikt nie wstąpił do nieba, tylko Ten, który zstąpił z nieba, Syn człowieczy, a nikt nie wstąpi do nieba, kto nie wierzy w Chrystusa. Bez Niego żywi — umarli, z Nim umarli są żywi; bez Niego życie śmiercią, z Nim śmierć życiem. Odrodzeni żyjcie, róście w wewnętrznym człowieku, a mieć będziecie żywot wieczny. Amen.

Klemens Boruta.

5) (Ciąg dalszy.)

Djabli nadali — mruczała — wielki pan! Dlatego, żeby miał się gdzie jedną noc przespać, tyle obrazy boskiej. Z bibułki — delikatny! A prosięta to mogą na deszczu. O płot się oprzeć i zdrzemnąć — nie dosyć?

Wszystkich tych żalów i dąsów Boruta nie słyszał, bo był daleko od rodzinnej zagrody, daleko...

Innym historykom pozostawić muszę zadanie opisania dziejów Nędzy po wydaleniu się z niej Klemensa Boruty w ciągu następnej ćwierci wieku. Bo jakkolwiek przez ten czas spełniło się w tej wsi bardzo wiele zdarzeń, ja przecież, poświęciwszy pióro jedynie losom tytułowanego bohatera, wypadków tych opowiadać nie mogę. Zaledwie wspomnieć mi wypada, że rodzice Kasi pomarli, ona zaś, poślubiwszy wędrownego rymarza, osiadła z nim w połowie ojcowskiej chaty i strzegła tradycyi trzymania prosiąt w drugiej części domu; że Klein przeniósł się do innego majątku a jego miejsce zajął niejaki v. Dornfisch. Nowy rządca od tego zaczął swe panowanie, że Brzosta za niedołęstwo od obowiązków uwolnił. Biedny owczarz wziął bat, Burka, pęk korzeni do koszyków, stare cholewy i butelkę, na czapkę założył stary pilśniowy kapelusz, a na ramiona zarzucił kapotę zimową — i wyszedł. Drobny deszczyk wiosenny mżył z zachmurzonego nieba i roztapiał czarną, sapowatą ziemię w grząskie błoto. Jakkolwiek Brzost miał dawno wypowiedzianą służbę i o zyskaniu środków życia przedtem myślał, znalazłszy się za wrotami, nie wiedział dokładnie, gdzie ma złożyć swoje, niezbyt wprawdzie obfite, ruchomości. Sunął się tak powoli, że Burek co chwila go wyprzedzał i przystawał; zmyślny pies widocznie odgadywał, że jego pan przenosi się bardzo blisko, kiedy tak nogi za sobą wlecze. Jakoż Brzost, zbliżywszy się do chałupy Borutów, stanął, pomyślał chwilę, wreszcie wszedł. Było to w półtora roku po zniknięciu Klemensa, a w kilka miesięcy po śmierci jego stryjenki. Gdyby ona żyła, niedługo pozwoliłaby zapewnie spocząć przyjacielowi męża i bratanka. Ale Jan, który wraz z córką tyle tylko potrzebował w chacie przestrzeni, ile jej dwa tapczany ze stołem zajmowały, nie wypędził owczarza.

To i zostańcie — rzekł — będzie nam w zimie cieplej, a w lecie i na górce prześpicie.

Brzost został, żeby jednak nie ciężyć zbytecznie gospodarzowi, całe dnie przesiadywał i plótł koszyki na drugiej stronie z posagowemi prosiętami Kasi i dopiero wieczorem kładł się na strychu. Skromne rzemiosło dawało drobny zarobek, dwór wszakże nieco mu do życiu pomagał. W dworskiej kuchni bowiem była stara pomywaczka, która pamiętała o owczarzu i zawsze z obiadu pozostawiała albo garnuszek krupniku, albo kilka kartofli, albo wreszcie kawałek mięsa, które on dostawszy kryjomo przez okno, krył w cholewę i uciekł do domu. Jakże wtedy wesół biegł za panem Burek! Oblizywał się ciągle i rozganiał po drodze kury, jak wówczas, kiedy Brzost barany dorzynał.

Szedł czas jednostajną koleją, zabierając ofiary. Złożył do grobu Jana Borutę, wydał za mąż Kasię, obdarzył ją dziećmi, tylko Brzosta zdawał się nie tykać. Było to jedyne miłosierdzie, jakiego owczarz od losu doznał. Wszystko go prześladowało, tylko śmierć unikała. Czy był jej za to wdzięcznym?

Po co mnie — mówił — starą skorupę chowa, kiedy tyle garnków natłukła? Ot i Burek zdechł — a ja nie mogę, chociaż niema nawet robaka, dla którego bym był potrzebny.

Po zgonie Burka Brzost widoczniej się postarzał, ale żył i plótł koszyki między prosiętami, których coraz nowe pokolenia przybywały do izby Klemensa. Z biegiem lat wszakże zaczął tracić wzrok i nieraz musiał wołać najstarszego syna Kasi, ażeby mu korzonek w plecionce przeciągnął. Nie pomogły niebieskie okulary z siatką, które mu rymarz sporządził, wzrok gasł nieustannie. Nareszcie owczarz dostał zapalenie oczu i zaniewidział. Rozpłakał się stary serdecznie.

Teraz jeśli nie przyjmą do szpitala, połóż się pod płotem i zdechnij jak Burek.

Nie przestawał jednak pleść koszyków, wyręczając się jedynie częściej synem Katarzyny. Właściwie ślepota nie zmniejszyła mu środków do życia. Bo i za koszyki czasem grosz kapnął, i pomywaczka ze dworu o starym nie zapomniała, i rymarz do miski zaprosił. Więc ciągnął Brzost nędzne życie i nie umierał, chociaż doliczył się lat 80 z okładem.

A gdzież w ciągu tego długiego czasu był i co robił Boruta?

Nadszedł rok 1879. W lipcu obiegła po tarnowickiej kopalni ołowiu smutna wieść, że liczba robotników zostanie zmniejszoną. Jakoż pewnego dnia zarząd górniczy ogłosił im ten smutny wyrok. Przeszło 150 wynędzniałych, zasmuconych mężczyzn, kobiet i dzieci otoczyło wejście do szybów, wiodąc leniwą, ciągle przerywaną rozmowę.

Pono do węgla potrzebują — mówił jeden.

Gdzie? — spytało kilka głosów.

W Budziszynie.

Chwat! — odezwał się stary robotnik. W Budziszynie niedługo ludzi kopać będą.

To w Gliwicach!

Ot głupie gadanie — rzekła stara kobieta. Wczoraj Maciej stamtąd przyjechał, powiada, że także rozpuszczą.

Nie będzie roboty, to pójdę do Obera i . . .

Daj pokój z pięścią. Żeby nie ty, możeby nas nie wygnał — zawołali dwaj górnicy.

Żeby nie ja, tobyście psom kości wydzierali. Flaki! Oni mi będą teraz przymawiać!

Bo prawda.

Jak dam w gębę, to także będzie prawda.

Daj!

Masz kundlu!

Rozpoczęła się bijatyka. Wezbrana siła wzburzenia musiała się wyładować choć w części, jeżeli nie miała doprowadzić do groźnego buntu przeciwko zarządowi. Prosty robotnik jak para: ujęty w karby, spełnia najuleglej wszelkie posługi, ale gdy je rozerwie, niszczy wszystko, co na drodze swego wybuchu spotka. Wszczęta bójka, która szybko rozszerzyła się na dalsze koła zebranych, odegrała rolę klapy bezpieczeństwa. Zadowolone w niej na chwilę dzikie instynkty osłabły i nie miały mocy do burzliwego ujawnienia się przeciw zarządowi kopalni. Ciągle wymysły, w których język polski przeplatał się czeskim i niemieckim, rozdmuchiwały gasnący ogień walki.

Niemym jej świadkiem był czterdziestoletni górnik, który stał na uboczu, trzymając za rękaw małą obdartą dziewczynkę. Twarz jego chuda pokryta fałdami, w których rysowały się ciemne smugi ołowianych sadzy, wyrażała poważny smutek, ożywiany jedynie lekkiemi drganiami ust i zmarszczkami czoła. Ani do bójki, ani nawet do rozmowy się nie mieszał, owszem, usuwał się skwapliwie coraz dalej z dzieckiem, ile razy zapaśnicy ku niemu się zbliżyli. Po co przyszedł? Dość było spojrzeć na jego bose nogi, połatane spodnie, wytarty kaftan, ażeby odgadnąć, że nie ściągnęła go tu chęć sejmikowania. Do izby sama robota nie przyjdzie, więc, jak inni, wyszedł z domu, tą samą drogą, którą przez dwadzieścia kilka lat codzień do pracy uczęszczał, wziął z sobą dziecko, bo wiedział, bo wiedział, że nazad wróci i słuchał w gromadzie, czy tam gdzie jego grubych rąk nie potrzebują.

Stał tak długo milczący, od pola walki odsunięty, wreszcie pochwycił rozpaczliwie dziewczynkę na ręce i pobiegł do domu. Niedługo ukazał się z nią i z małym pakunkiem na plecach, powiedział słów parę przed progiem do starej kobiety i puścił się drogą, która wiodła do różnych wsi, a także i do Nędzy. Spotkawszy go w tej podróży, po przełamanym chyba nosie czytelnik poznałby w nim Klemensa Borutę.

Przez ćwierć wieku uderzał oskardem w tarnowickiej kopalni ołowiu — oto jego historya. Dodać do niej wypada zaledwie to, że się ożenił i stracił w lat kilka matkę dziewczynki, którą teraz do Nędzy dźwigał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości.

— **Bruki korkowe.** „Zeitschr. für Architektur und Ing. Wesen" donosi, że w Wiedniu ułożono na próbę kawałek bruku nowego systemu. Są to cegiełki prasowane z masy, wytworzonej z drobno krajanych odpadków korka w połączeniu z asfaltem i innemi wiążącemi substancyami. Jako zalety tego rodzaju bruków, wspomniane czasopismo przytacza ich wytrwałość i taniość. Cegiełki przed użyciem, podobne jak kostki drewniane, zanurza się w smole pogazowej, a następnie układa się na przygotowanym wprzód pokładzie betonowym.

Rozwiązanie zagadki z nr. 17.

Ta zagadka jest nieznana
Świętą Urszulą pisana.
Ona perły swe rozsiała
Miesiącowi to znać dała,
Miesiąc perłów nie mógł zebrać,
Słońcu to musiał w moc dać.
Jak się słońce wgórę wzbiło,
Tedy perły pozbierało.
A tak na moje mniemanie
Pewnie będzie r o s a panie.

Adam Galla,
Ueckendorf (Westfalia.)

Zagadka.

Wysoki tatka, niziuchna matka,
Syn sowizdrzał, córka ślepotka.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej.“

Nr. 19. | Ełk, na niedzielę dnia 27 czerwca. | 1897.

Druga niedziela po świętej Trójcy.

Pismo święte jest jak źródło wód żywych, z którego czerpie się i nigdy wyczerpać go nie można. Perykopy, czyli Ewangielie i listy niedzielne, to liczne strumienie tryskające z owego źródła. Płyną, płyną co rok, zawsze te same i zawsze jednakie, mimo to orzeźwiają spragnionych, krzepią upałem codziennego życia strudzonych pielgrzymów, a wezbrane łamią tamy stawiane rękami tego świata, świadcząc, że słowo Boże nigdy się zestarzeć ani spowszednieć nie może. Oto i Ewangielia dzisiejsza należy do owych strumyków dobrze wam znanych. Któż je nie słyszał, któż nie przypomina sobie tego lub owego kazania wypowiedzianego na ową Ewangielię a mimo to, któż jej nie czyta z zajęciem, któż nie pomyśli: piękna-ż to i bogata Ewangielia. Otóż i przewielebny ksiądz Superintendent poleciwszy mi, abym na tę Ewangielię powiedział kazanie wizytacyjne, pokazał nam jawnie, że nie należy do tych, którzy powiadają: perykopy się przestarzały, precz z niemi! — owszem wskazał nam, że się perykop trzymać powinniśmy i wypowiadać zawarte w nich prawdy, chociaż są nieraz przeciwne duchowi czasu i wstrętne nowomodnemu niedowiarstwu, jak naprzykład Ewangielie o cudach Chrystusa, o wyganianiu djabłów. — To com znalazł w Ewangielii dzisiejszej roczytując się w niej, chcę przed wami najmilsi wypowiedzieć, a to com znalazł, tak mi się przedstawia:

Pan powołuje wielu, lecz nie wielu chce powołania Jego słuchać.

Zanim do rozważania tej prawdy przystąpimy, wołamy do Ciebie Boże święty, racz się zmiłować, udziel Ducha swego, otwórz uszy i serca słuchaczy, poświęć i oświeć umysł i wargi sługi Twojego. Amen.

W rozdziale, z którego wyjęta jest Ewangielia dzisiejsza czytamy, iż Chrystus wszedł w Sabat do domu pewnego przedniejszego faryzeusza i jadł tam chleb, a obecni temu z sekty faryzejskiej podstrzegali Go. Zbawiciel świata, jako prawdziwy Bóg-człowiek, wiedział o tem, znał podstępne i niegodne myśli słuchaczów swoich, mógł ich zgromić, mógł precz pójść od nich, lecz nie uczynił tego, bo przyszedł szukać i zbawić zgubione, i nie chce śmierci grzesznika, ale chce, aby się nawrócił i żył. Co więcej, Chrystus nie tylko nie wyszedł z domu, w którym Go zdradliwie podstrzegane, ale owszem opuchłego człowieka uzdrowił, gorszących się z tego powodu zawstydził, pokazawszy, że gdy wół do studni wpadnie, mimo Sabatu ratują go, i w podobieństwie pokazał słuchaczom swoim, jako ich zaślepia pycha, jako szukają chwały ludzkiej, chwały własnej, a nie tego, co jest Boskiem. Jeden ze słuchaczy, uderzony słowy Chrystusa, zawołał: „Błogosławiony, który je chleb w królestwie Bożem!“ Na to odpowiedział Jezus podobieństwem, któreście właśnie słyszeli z Ewangielii dzisiejszej, i ponieważ ów słuchacz mówił o królestwie Bożem, oczywistem jest, iż wieczerza, o której Pan mówił i na którą pewien człowiek zapraszał wielu, jest obrazem czyli wyobrażeniem królestwa Bożego.

Lecz czemże jest królestwo Boże? Jak każde królestwo, czego dowodem jego nazwa, jest państwem i ma swego króla, swoje granice, swoje prawa, swoich obywateli. Bożego królestwa panem jest Bóg; królestwo Boże ogarnia ziemię i niebo, jako przez Boga stworzone państwo; państwa tego zaś najprzedniejszą ozdobą jest kościół, owa stolica królestw, a panującym jest tu Chrystus, prawem święte słowo Boże, obywatelami ci, którym król owego królestwa udziela obywatelstwa. Jak zaś obywatelstwa udziela, uczą własne słowa Króla i Pana w stolicy królestwa w duchowej Jerozolimie panującego, gdy wstępując na niebiosa powiedział: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha świętego; ucząc je przestrzegać wszystkiego, com wam przykazał“ (Mat. 28, 18, 19). Człowiek, o którym mówi Ewangielia, sprawiwszy wieczerzę, „posłał sługę swego w godzinę wieczerzy, żeby rzekł zaproszonym: pójdźcie, bo już wszystko gotowe!“ Chrystusa sługą w stolicy królestwa Bożego, w kościele, jest każdy sługa kościoła, każdy kaznodzieja, i kto jest prawdziwie kaznodzieją Chrystusowym, spełnia wiernie rozkaz Jego: woła, woła i zaprasza, powiadając: pójdźcie, bo już wszystko gotowe! Tak najmilsi! naszem zadaniem, naszą powinnością, naszym św. obowiązkiem jako sług Chrystusa jest, wskazywać wam, nie jakbyście bogactw tego świata nabyli, nie jakbyście w tym dumnym świecie mogli zy-

skać zaszczyty, sławę, pochwały; nie jakbyście mogli nabyć umiejętności doczesnej, światowych nauk, — ale jak macie brać z tego, co wam Bóg od wieków zgotował i co obdarza tem, co jest wieczne. To zaś, co Bóg od wieków zgotował, jest ów Syn z niewiasty narodzony, który miał zdeptać głowę węża (1 Mojż. 3, 15; ów korzeń Izajego (Jez. 11, 10), ów mąż boleści, który miał wziąść na się niemocy nasze i nosić własne boleści nasze (Jezaj. 53, 3, 4); ów Baranek Boży, który gładzi grzechy świata (Jan 1, 29); ów mąż, który będzie sądził wszystek świat, żywe i umarłe (Dzieje ap. 17, 31), owe słowo, które u Boga było i Bogiem jest, które się ciałem stało i mieszkało między nami i widzieliśmy chwałę Jego, jako Jednorodzonego Syna Ojca z wieczności (Ew. św. Jana, 1, 1. 14); ów Jezus, w którego imieniu wszelkie kolana skłaniać się mają tych, którzy są na niebiesiech i tych, którzy są na ziemi, i tych, którzy są pod ziemią (Filipen. 2, 10.) W Chrystusie jest wszystko gotowo, wszystko, co was z grzechów obmyć, serce w smutku pokrzepić, umysł światłością Bożą oświecić, pokojem prawdziwem obdarzyć, szczęśliwość doczesną i wieczną dać może i wszystko, co jest prawdą, żywotem i zbawieniem. Dla tego też gdy zakon i Ewangielią opowiadamy, wołamy: pójdźcież, bo już wszystko gotowe! — I wołamy na wszystkich, na wielkich i małych, bogaczów i ubogich, żonatych i bezżennych, prostaczków i uczonych, wielkich i małych grzeszników, na ubogie, ułomne, chrome i ślepe! Wołamy, wołamy słowem, — nie przymuszamy; wołamy, sami będąc tylko mizernymi sługami, wołamy po wsiach i miastach, wśród chrześcian i pogan, i aby wołanie nasze zrozumiane być mogło, wołamy nie po łacinie, ani tylko po niemiecku, po francuzku, po polsku, ale w mowie każdego plemienia, ludu i narodu! Wołamy, mizerni słudzy Pańscy, nie uzbrojeni mieczem, nie otoczeni pachołkami i katami, nie w imieniu tej lub owej zasady politycznej, filozoficznej, naukowej, ale w imieniu tego, który nas posyła, który powiedział: idąc nauczajcie wszystkie narody. Wołamy przy chrzcielnicy, w szkołach, z przed ołtarza, z kazalnicy, u łożu niemocnych, nad grobem umarłych, wołamy, bez względu na osoby: pójdźcie, bo już wszystko gotowo.

I czy wołanie nasze znajduje zawsze chętnych słuchaczów? Ewangielia dzisiejsza opowiada, że nie! Sługa, wysłany przez człowieka, który zgotował wieczerzę, wrócił i powiedział, jako wszyscy zaproszeni jednostajnie się wymawiali! Jednostajnie, bo lubo jeden rzekł, iż kupił wieś, drugi, iż chce doświadczyć wołów swoich, inny, iż żonę pojął, — wszyscy w sprawach światowych i domowych szukali powodu wymówki. Goście zaproszeni byli widocznie miłymi, i dobrymi znajomymi człowieka zapraszającego, mimo to nie przyszli. Rozgniewawszy się, wysłał sługę swego na ulice i na drogi miejskie i kazał wprowadzić ubogie, ułomne, chrome i ślepe — a gdy mimo to u stołu, na którym stała wieczerza, jeszcze wiele miejsca było, rzekł do sługi: „Wnijdź na drogi i między opłotki a przymuś wnijść, aby był napełniony dom mój.“ Czegóż to nas uczy Pan w tej opowieści? Oto, stawia nam przed oczy dzieje kościoła swego. Najprzód wezwany został przez apostołów Izrael, lud umiłowany i wybrany przez Pana: — względy światowe, myśl o królestwie żydowskiem, walki i stronnictwa polityczne sprawiły, iż przedniejsi z ludu, kapłani, nauczeni w Piśmie, słowem to, co nazywamy dziś inteligencyą, odrzuciło Ewangielią. Zaproszono więc ubogie, ułomne, chrome ślepe, — to jest celników, jawnogrzeszników, ubogich w duchu, maleńkich. Lecz Pan nie przestał na tem i rozkazał apostołom iść do pogan i słowem Ewangielii zmusić na drogach ciemności i wśród opłotków bałwochwalstwa siedzących, by weszli do królestwa Bożego.

Tak się działo w pierwszych czasach chrześcijaństwa, tak samo dzieje się i dziś. Człowiek, który sprawił wielką wieczerzę, Chrystus Pan, wysyła nas sługi swoje i każe wołać: pójdźcie, bo już wszystko gotowe: Lecz jakże często głos nasz jest głosem wołającego na puszczy! Oto, dymiące się w niedziele kominy fabryk, otwarte sklepy, tłumy śpieszące na przechadzkę, różne załatwiane w niedzielę rano interesa, — świadczą, iż tysiące tysiąców powiada: miejcie nas za wymówionych, nie mamy czasu! Obecnie wszystko odkłada się na niedzielę! Zgromadzenia, mityngi, wycieczki, najzabawniejsze widowiska, odwiedziny znajomych — muszą się w niedzielę odbywać, bo każdy powiada: Panie i Boże miej mnie za wymówionego, w dniu tygodnia mam do spełnienia obowiązki światowe, niedziela to dzień Twój, zapraszasz mnie do kościoła, ale kościół nie ucieknie Ty Boże jesteś tak dobry, że Ci wszystko jedno, czy słuchamy Twego słowa, Twych upomnień, czy nie, miej nas za wymówionych! Wołamy: „pójdźcie, już wszystko gotowe! lecz jak często się zdarza, iż chociaż dom Boży przepełniony jest słuchaczami, jedni słuchają nie słysząc, drudzy myślą o tem, jakby się wydostać co prędzej z kościoła, inni zadawalniają się tem, że byli w kościele i wszystko im jedno co im mówiono, a wielkie mnóstwo — prosto z kościoła biegnie na ową szeroką drogę zwykłych przyzwyczajeń, biegnie z domu Bożego do kaplic szatana, biegnie od stołu Pańskiego do stołów Beliala. Najmilsi, cobyście powiedzieli o gościu, któregoście zaprosili do domu waszego, i gość ten nie chciałby z wami rozmawiać, pokazywał jawnie, iż was lekceważy, podanych mu pokarmów nie wziął do warg, a wyszedłszy z domu waszego, pobiegł co rychlej do gospody! Czyliż takimi gośćmi królestwa Bożego nie są ci, którzy temi samemi wargami modlą się i przeklinają, te same ręce składają do pacierzy i niemi też nieprawość czynią, zginają kolana, niby w imieniu Boga a przecież chodzą po szerokiej drodze?!

O najmilsi, chrześciaństwo to główna siła i potęga królestwa Bożego, to nie zbiór obrzędów, ani szereg przepisów moralnych, to nie religia dla prostaczków tylko, to nie szata, którą się można od święta stroić, i wedle ducha czasu przykrawać, — chrześciaństwo to życie w Bogu i z Bogiem.

Dla tego też Jezus porównywa królestwo Boże z wieczerzą. Kto na wieczerzę jest zaproszony, powinien ją jeść, kto je, w tym spożyty pokarm przerabia się w Jego ciało i krew. To też na to postanowił Chrystus świętą wieczerzę, i powiada: Kto je ciało Moje i pije krew Moję, ten jest we Mnie a ja w nim. Bracia i siostry, ludzie różnych stanów i powołań w tym domu Bożym zgromadzeni, zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: oto i dziś zaprasza was Bóg; oto i dziś powiadam wam sługa Chrystusowy: pójdzcie, bo wszystko gotowe! Bierzcie więc bierzcie słowo Pańskie do serc, a Chrystus niech ożyje w was! Chrystus ma być w was, inaczej „nie ukąsicie wieczerzy Jego! — nie będziecie tam, gdzie On jest, na prawicy Ojca.“ Amen.

Klemens Boruta.

6) (Ciąg dalszy.)

Ponieważ prosięta, korzystając z pogodnego dnia, wybiegły na podwórze, Brzost więc swobodnie mógł zajmować się pracą w przeznaczonej dla nich izbie. Siedział on pod ścianą, otoczony pękami korzeni i prętów, z których powoli, nieśmiało, plótł mały koszyk. Obok dziesięcioletni Wicek, syn Katarzyny, wpatrywał się w robotę owczarza i zastępując mu brak oczu, ostrzegał go co chwila.

Nie tu, dziadku nie tu.

Brzost zwykle ustawał, badał ręką plecionkę i mówił:

Co ty mnie będziesz uczył! Przeplotłem ten patyk, teraz ten.

Ale ominęliście jeden.

Utrzyj sobie nos, głupi, który ominąłem?

No, ten.

Owczarz zaczął macać palcami i choć przekonał się o słuszności uwagi chłopca, gderał:

Mądry, bo ma oczy. Kiedy ja je miałem, urwisie, to o wiorstę mogłem odróżnić, czy owca leci, czy baran.

Nie sztuka — rzekł chłopiec — baran ma rogi.

Osioł jesteś, a mały baranek gdzie ma rogi?

Na głowie.

Och, ty capie, tobie one wyrosną.

Podczas gdy Brzost tak się z małym kramarzył, na progu stanął człowiek z dziewczynką, któregośmy widzieli przy tarnowickiej kopalni. Rozejrzał on się po izbie i zatrzymał wzrok na starcu.

Dziadku — rzekł Wicek — czegoś chcą.

Kto?

Nie wiem.

Co gadasz, ciemięgo?

Przyszli.

Kto tam? — zapytał owczarz.

Klemens Boruta — odpowiedział przybyły.

Klemens . . . Boruta — powtórzył Brzost, opuszczając plecionkę koszyka — Klemens, biedny mój chłopaku, żyjesz? Gdzie jesteś, nie widzę cię, nie zobaczę, oślepłem, pójdźże, daj rękę Brzostowi.

To wy, Brzoście? — rzekł Klemens zdziwiony. Nie poznałeś mnie, zgrzybiałem — co? Spruchniały już drzewa, które ze mną wyrosły, ani jednego głosu znajomego nie słyszę. I twój się zmienił, ile masz lat?

Czterdzieści z górą.

Czterdzieści, Jezu! Gdzież jesteś, jakże ci się wiedzie?

Źle, dziadku, źle, dwadzieścia lat w kopalni kułem, teraz roboty nie mam.

O, biedny, daj mi rękę, siądź tu. Wypędzili cię znowu, pobiłeś kogo?

Rozpuścili nas w Tarnowicach, wziąłem dziewczynę i przywlokłem się tu.

To i córkę masz, gdzie, chodź tu, no dobrze, a gdzież żona?

Umarła.

Biedny robaku. I mnie wygnali, plotę koszyki z Wickiem. To syn Kasi. U nich także bieda. Rymarz lata po wsiach z wywieszonym językiem i zarobić nie może. Zostaniesz tu?

Muszę, póki coś się nie trafi.

Trudno, bo trudno. Każdy za kamieniem się ogląda, czy chleba nie minął. O mój drogi, co za czasy. Zboże podobno przepadło, kartofle gniją, kto nie zdąży umrzeć przed zimą, strasznie żyć będzie.

Albo to od dziś? I moja nieboszczka nie byłaby zmarła, gdybym miał co zjeść. Cherlała, cherlała, cherlała, w domu zimno, w garnku pusto, ledwie dziecko było czem uciszyć. Furda bić łbem o mur, aby go przebić. A tu nic, czasem tylko powietrza chłapniesz i na tem przestać musisz.

Wicek — rzekł Brzost — pobiegnij na górę i przynieś garnuszek, co tam stoi przy posłaniu liściami nakryty. Zjedzcie kaszy trochę — dodał po odejściu chłopca — dziewczyna pewnie głodna.

Jak przed dwudziestu pięciu laty częstował owczarz Borutę, ale już bez trzmielówki, bez wesołego usposobienia, bez nadziei spokojnego jutra. Gdy dziewczyna pochłaniała kaszę, dwaj przyjaciele opowiadali sobie wzajemnie przygody życia.

Zdrów jesteś, oczy masz — mówił Brzost, to prędzej gdzie się uczepisz, ale ja . . . Ot budują na folwarku stodołę, może tam się robota znajdzie.

Pójdę, popytam. Ty, Marcysiu, zostań i zamieć izbę, ja zaraz wrócę.

Tylko mi moich prętów nie ruszaj — rzekł owczarz do dziewczynki — tam, w sieni, jest miotła.

Marcysia zaczęła skrzętnie uprzątać izbę, którą znów prosięta utracić miały. Brzost ciągle z nią rozmawiał, wypytywał się o szczegóły losów ojca, ale ona niewiele go objaśnić mogła. Było to dziecko miłe., ale fizycznie wątłe i umysłowo nie rozwinięte. Ciągłe odżywianie się kartoflami, do których tylko czasem dolewano serwatki lub dokładano kawałek baraniego łoju, nie pozwoliło się wzmocnić wątłemu z natury organizmowi i przytępiło jej władze duchowe. Marcysia miała już lat osiem, a wyglądała na pięć. Chuda, drobna, blada, z niepomiernie wydętym brzuchem, z rzadko porosłymi jasnymi włosami, nosiła na sobie widoczne ślady choroby. Umysł jej obracał się w

bardzo ciasnem kółku pojęć i stosunków dość żwawych, ale po za tem kółkiem tracił wszelką siłę. Zapytana, jak się zwie jej ojciec, odpowiadała natychmiast, ale niezdolna była objaśnić, jak ona się nazywa. Liczyła z trudnością do trzech, każdy dzień świąteczny był dla niej niedzielą, a powszedni czwartkiem. Dla czego czwartkiem — żaden psycholog nie umiałby tego wytłomaczyć. Zabiedzona od dzieciństwa znosiła głód z nadzwyczajną cierpliwością. Dostawszy nawet jakiś pokarm, jadła go powoli i mało. Wprawiona rozkazem w ruch, uwijała się skrzętnie, ale wypełniwszy polecenie, siadała w kącie niema i osłupiała.

I teraz, zmiotłszy izbę, przytuliła się do komina.

Gdzie mała? — pytał Brzost Wicka — wyszła.?

Jest.

Czemuż nic nie gada? Nie bój się Marcysią, chodź tu, ja cię nauczę pleść koszyki.

Wszedł Boruta.

No, to i dobrze — rzekł widocznie uradowany.

Cóż takiego? — zagadnął Brzost.

Dali mi robotę przy stodole. Marka za dzień, ale i to pieniądz! Dziewczyno, podskocz, będzie kolacya. Masz tu nożyk i obierz te kartofle.

Zaczął wysypywać z zanadrza ziemniaki.

Garnka dostaniemy, drzewa bodaj z płotu nałamię i będzie bal. Tam w woreczku jest kawałek słoniny i sól. Teraz pójdę Łomy kupić.

Znów wyszedł. Dziewczyna zabrała się do roboty, wymyła garnek Brzosta przyniosła wiórów i nastawiła przy ogniu kolacyę.

Wieczorem już Boruta był zagospodarowany i poprzyjaźniony z rymarzem oraz jego żoną. Katarzyna nie zapomniała mu, że ją przed dwudziestu kilku laty poczęstował kiełbasą i wywdzięczyła się teraz miseczką gotowanej marchwi. Krótko wszakże trwały przypomnienia dawnych czasów i opowiadanie przebytych kolei. W biedzie wysychają uczucia. Myśl, zajęta ciągle najprostszemi potrzebami życia, nie ma checi i czasu kwilić rzewnie. Mieszkańcy więc domu Borutów, zamieniwszy między sobą kilka westchnień i pamiątek, zmierzywszy pobożnie swoją niedolę, legli spać z zamiarem kłopotania się nazajutrz jedynie osobistemi sprawami. Dostrzedz można było tylko, że między Brzostem a Borutą splątł się jakiś silniejszy węzeł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O dobrodziejstwach Boga.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie;
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi i w niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz; bo to wszystko Twoje;
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie wyznawamy,
Bo nad tę przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszystkiego świata; Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznie uhaftował,
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi
I zamierzonych granic przeskoczyć się boi;
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna czasy swoje znają.

Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi;
Wino jesień jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśni zima wstawa.

Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboże deszcz ożywia snadnie;
Z Twoich rąk wszelkie zwierze patrzy swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrobliwości.

Bądź na wieki pochwalon, wiekuisty Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi,
Jeno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi.

Rada dziecięcia.

Unikaj, ku złemu kędy wiedzie droga,
Idź prawym szlakiem od pierwszych swych lat;
Zacnych uszanuj, wielbij i czcij Boga,
Pielęgnuj w duszy niewinności kwiat.

Chowaj prostotę, nie szukaj bogaczy,
Nie szukaj możnych — lada wiatr ich zmiata;
Najwięcej bowiem w oczach Bożych znaczy
Błyszcząca jak śnieg niewinności szata.

Ileż to razy niebotyczne wieże
W gruzy runęły? wierz mi moje dziecię,
Podczas gdy oko Najwyższego strzeże
Małego majtka na masztowym szczycie.

Unikaj, ku złemu kędy wiedzie droga,
Idź prawym szlakiem od pierwszych swych lat;
Zacnych uszanuj, wielbij i czcij Boga,
Pielęgnuj w duszy niewinności kwiat.

Rozwiązanie zagadki z nr. 18.
Niebo, ziemia, wiatr, noc.

Zagadka.

Czerwona jak koral, winny smak,
Kamienne serce, czemuż tak?

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej.“

Nr. 20. | **Ełk, na niedzielę dnia 11 lipca.** | **1897.**

Czwarta niedziela po świętej Trójcy.

Boże, Ojcze litościwy, napełnij umysły nasze Duchem świętym i daj nam poznanie prawdy, bez niej bowiem jesteśmy słabymi i niedołężnymi, bez niej błądzimy po bezdrożach złudzeń i ułomności, przestajemy być dziećmi Twemi, oddalamy się od Ciebie, rozrywamy węzły łączące nas z Tobą i z religią. Boże! wlej miłość w serca nasze, miłość, która zwracając się do Ciebie jako do Ojca, niech tem silniej ogarnie całą ludzkość, niech nam dozwoli widzieć w każdym człowieku brata, niech wszędzie i zawsze przypomina nam, iż jesteśmy dziećmi jednego Ojca. Boże! natchnij nasz uczuciami temi, dozwól nam godnie pojąć i wysłuchać naukę Jezusa Chrystusa Pana naszego, i spraw o Ojcze, abyśmy teraz i w każdej chwili czynem i słowem odpowiedzieli powołaniu chrześcianina. Amen.

Ewangielia św. Mateusza. r. 6., w 1—4.

„Strzeżcie się, abyście jałmużny waszej nie czynili przed ludźmi, dla tego, abyście byli widziani od nich; inaczej nie będziecie mieli zapłaty u Ojca waszego, który jest w niebiesiech. Przetoż, gdy czynisz jałmużnę, nie trąb przed sobą, jako obłudnicy czynią w bóżnicach i na ulicach, aby byli chwaleni od ludzi. Zaprawdę powiadam wam, odbierają zapłatę swoję. Ale ty, gdy czynisz jałmużnę, niechaj nie wie lewica twoja, co czyni prawica twoja, aby jałmużna twoja była w skrytości, a Ojciec twój, który widzi w skrytości, ten ci jawnie odda.“

Wzniosłość i prostota, oto są dwie niezaprzeczone cechy prawd zawartych w Nowym Testamencie. Wzniosłość, która nas chrześcian prowadzi w krainę ducha, rozwiązuje pęta zmysłowości, osłania przed natarczywością ułud światowych i darzy niezliczonymi skarbami zasad świętych i doskonałych. Prostota w myślach łatwych do pojęcia, łatwych do urzeczywistnienia. Nic bowiem nie wyrzekł Chrystus, niczego nie żądał, czego byśmy zrozumieć lub wykonać nie byli w stanie: możność wykonania należy w każdym z nas, i byle nie zbywało na chęci i woli, możemy spełnić wszystko, możemy pokonać i największe trudności. Wzniosłość i prostota rozlane są we wszystkich naukach Chrystusa, połączone stanowią całość, która pojęta, napawa umysł niezrównaną słodyczą, otacza urokiem i już tu, na ziemi, dozwala kosztować rozkoszy niebieskich. Jedną z takich słodyczy jest dobroczynność i o niej właśnie mówi Chrystus w wyrzeczonych słowach i w tych niewielu słowach zamyka wielkość, zdobną prostotą.

Zbawiciel mówiąc

O dobroczynności,

1. Wzywa nas, abyśmy byli dobroczynnymi, a zarazem wykazuje błędy ludzi pozornie dobroczynnych,
2. Naucza jaką ma być dobroczynność i
3. Co nas winno pobudzać do dobroczynności.

1.

Bądźcie dobroczynnymi woła Chrystus, nieście pomoc bliźnim waszym woła Pismo święte; wspierajcie się wzajemnie, woła ludzkość cała! Te trzy potężne głosy przenikają tysiące serc, tym głosom posłuszne są nieraz całe narody. Lecz ludzie błądzą, i często, zbyt często naruszają i najświętsze prawa, krzywią i najwyraźniejsze przepisy, — ludzie i w dobroczynności nawet szukają zaspokojenia żądz, dogodzenia dumie i miłości własnej. Takich ludzi karci Chrystus w wyrzeczonych słowach i woła, aby nie byli obłudnikami. Kto bowiem rozrzuca jałmużnę dla pozorów, łudzi i siebie i otaczających go, wykracza przeciw Bogu i religii. Kto nie czynem lecz jałmużną chce sobie łaskę Boga skarbić, poniża siebie, zapomina czem jest ów, który stworzył niebo i ziemię. Kto dając jałmużnę ogląda się na ludzi, widzi dobroczynność tylko w powierzchowności, widzi cnotę, tylko w oznakach zewnętrznych. Wszystkie te błędy potępia Chrystus, wyrzuca z towarzystwa ludzkiego i wszystkim podobnie czyniącym ogłasza, iż na ziemi już odbierają zapłatę, a razem i karę.

Gdyż, cóż może być przykrzejszego nad myśl, iż czyny nasze kończą się w tem znikomem, czasowem życiu, iż niema dla nas przyszłości, iż sami niszczymi prawo zasługi przed sprawiedliwym sędzią naszym. Cóż boleśniejszego nad wspomnienie, że człowiek obdarzony rozumem, istota podobna Bogu zniża się do błahej powierzchowności, szuka pochwał i poklasku u podobnych sobie ludzi, u bliźnych? Cóż smutniejszego nad wspomnienie, iż podobnem postępowaniem znieważamy chrześciaństwo, zapieramy się Mistrza i Zbawiciela naszego. Któryż bowiem człowiek wyrówna Chrystusowi wielkością wyświadczonych dobrodziejstw? Żaden i nigdy. Zbawiciel obdarzył ród ludzki

najhojniejszą jałmużną, otwierając mu drogę do cnoty, prawości, szczęścia teraźniejszego i wiecznego. Chrystus jest największym dobroczyńcą, pojednał bowiem człowieka z Bogiem, uczynił tegoż człowieka człowiekiem i stworzył nową ludzkość. Wielkość dobroczynności dzieł Chrystusa podziwiała nawet zaślepiona współczesność, dzieła te przelewają się na nas, będą udziałem potomnych, przetrwają wieki, bo są niczem nie zniszczone. Mimo to, Twórca tych dzieł nigdy nie szukał chluby, i cokolwiek czynił, czynił w imieniu Ojca niebieskiego, mimo tę wzniosłość, mimo to, że Zbawiciel jest największym dobroczyńcą naszym, jest zarazem i najdoskonalszym, najgodniejszym naśladowania. Wstępujmy w ślady boskiego Mistrza, rozważajmy życie i czyny jego, a poznamy:

2.

Jaką ma być dobroczynność. — „Gdy czynisz jałmużnę, niechaj nie wie lewica twoja, co czyni prawica twoja", mówi Chrystus, podając zasady dobroczynności. Niechaj nie wie lewica twoja, co czyni prawica, to jest, chrześcianie, będąc dobroczynnymi, odrywajcie się od stosunków osobistych, familijnych i społecznych, przytłumiajcie uprzedzenia, które na zawadzie stawać by wam mogły. Widząc w nieszczęściu nieprzyjaciela, lub tego, który was prześladował, zapomnijcie o sobie, zapomnijcie o wyrządzonej wam krzywdzie, a nieście mu pomoc z całą otwartością i słodyczą chrześcianina, pokonajcie namiętności, które pobudzać was będą do odwetu, szanujcie i we wrogu bliźniego i syna wspólnego Ojca. Chrześcianie, widząc żebrzących wsparcia, idźcie za popędem serc, nie ociągajcie się, nie oglądajcie na stosunki familijne i społeczne, bo te kilka groszy jałmużny nie przyniosą wam uszczerbku, nie przyprowadzą do ubóstwa. Darzcie, darzcie nieszczęśliwych, nie wymawiajcie się niemożnością, bo sądzę, że kiedy przypomnicie sobie, ilu nieszczęśliwych nie ma tyle nawet, aby zaspokoić najgwałtowniejsze potrzeby życia, kiedy tylu ginie w nędzy, chętnie pozbawicie się chwilowych uciech i poniesiecie wsparcie nieszczęśliwym. Zapomnijcie chrześcianie o biędach i uprzedzeniach, niestety, zbyt zagęszczonych w wieku naszym, to jest, nieście pomoc, nie pytając, czy nieszczęśliwy jest waszym współwyznawcą lub ziomkiem. Nieszczęście i niedostatek są jednakowe we wszystkich wyznaniach i narodach, nędza dotyka wszystkich zarówno, łzy niewierzących w Chrystusa i w prawdę, są jednak łzami ludzi! Bóg każe słońcu przyświecać i czynom cnotliwego i występkom zbrodniarza, Bóg darzy powietrzem i godnych i niegodnych, Bóg w działach dobroczynności nie czyni żadnych różnic. Podobnie czynił Chrystus: udzielał wszystkim naukę bez wyjątku, darzył pociechą i żydów i pogan i cnotliwych i występnych. Dla czegoż więc my słabi ludzie, wyłamujemy się z pod tych praw świętych? Chrześcianie, bądźmy posłuszni woli Boga i Chrystusa, nie pytajmy się, kto jest ten nieszczęśliwy; nieśmy pomoc, nasycajmy głodnych i pragnących, okrywajmy nagość nędzy.

Lecz czyli tego tylko żąda od nas Chrystus? Czy nie podaje On nam własnymi czynami wyższej jeszcze nauki? Nauka ta odznacza się związkiem i stopniowaniem, prowadzi w wyższą sferę, ukazuje najszlachetniejszą stronę dobroczynności. Zastanówmy się albowiem nad towarzystwem ludzkiem, spojrzyjmy głębiej w społeczeństwo, a ujrzymy między innemi dwie plagi niszczące społeczeństwo: — ubóstwo środków materyalnych, i ubóstwo środków duchownych.

Do ulżenia pierwszemu przyczyniło się i przyczynia wielu, a nawet niema zapewne ani jednego między wami chrześcianie, któryby chociaż raz w życiu nie ulżył ubóstwu skromnym dodatkiem. Niedostatkowi zaradza wielu, zaradzają wszyscy, ubóstwo powierzchowne doznaje zewsząd wsparcia, wsparcie to bowiem jest mniej więcej łatwe. Jest jednak ubóstwo przechodzące okropnością wszystkie inne, jest nędza boleśniej i srodziej dojmująca niż zimno i niedostatek odzieży; — nędza myśli i ubóstwo w cnocie i religii. O jakże godny jest pożałowania człowiek, który stawszy się machiną, żyje tylko zmysłowością i w zmysłowości. Takiego nic nie obchodzi, po takim nie żądajcie, aby myślał o drugich; nie żądajcie, bo on myśli nawet o sobie, żyje z dnia na dzień, zaspakaja tylko potrzeby ciała; — duch, myśl są mu nieznane. O jakże smutny jest stan człowieka, który nie zna cnoty, a jeżeli zna to z nazwiska tylko. Cóż takiemu po samej jałmużnie, on ją bierze, rzuca, marnotrawi, i znów żebrze, znów wyciąga rękę, a często z nędzy swojej robi rzemiosło. Pozbawiony wsparcia, zepsuty lenistwem, nie postara się o godziwe środki wyżywienia, lecz puszcza się na występek i powiększa liczbę zbrodniarzy. Chrześcianie, kalectwo ciała obudza w was litość, — a cóż powiecie na kalectwo duszy? Kalectwo to powinno z oczu waszych wycisnąć łzy żalu i politowania, powinno wstrząsnąć was aż do gruntu serca, bo nad to kalectwo, niema nic straszniejszego. Wystawcie bowiem sobie człowieka bez religii, bez bojaźni Boga, bez wiedzy dobrego. Miotany namiętnościami i im tylko ulegający, puszcza się na wszytko, gwałci i najszlachetniejsze uczucia, występek popiera zbrodnią. W szczęściu dumny i zuchwały, jeżeli popadnie w niedolę, gdzież będzie szukać pociechy, cóż mu doda odwagi? On niema religii, któraby pokrzepiła zwątlone serce, niema religii, któraby mu powiedziała, ufaj w Boga, w siebie i bliźnich. Rozpacz nim miota i środek, do którego się ucieka, jest odpowiedni całemu życiu, — jest samobójstwo. Równemu losowi ulega człowiek z nadwątlonemi wyobrażeniami religijnemi, lub z wyobrażeniami, które zamknęły religią w formie i czczej powierzchowności. Taki nie oprze się nawałowi wypadków, upadnie pod brzemieniem ubóstwa i zakończy rozpaczą lub zbrodnią! Wszystkie te ubóstwa są nierozdzielne, jedno wypływa z drugiego, jedno płodzi drugie, zaradzić im, jest obowiązkiem każdego chrześcianina, a środki zaradcze podaje Zbawiciel. Gdyż Chrystus leczył nie tylko kalectwa ciała ale i duszy, On rozwinął myśli ludzi stępionych zmysłowością, On nauczył cnoty, On podał religią świętą i boską. Chrześcianie, jesteśmy uczniami Chrystusa, jesteśmy wyznawcami prawd, które ogłosił, obowiązkiem

więc naszym jest, zaradzać nie tylko ubóstwu ciała, ale i ubóstwa duszy. Wyszukujmy nieszczęśliwych, leczmy ich umysły, leczmy balsamem, który tak obficie zbierać możemy w nauce i życiu Jezusa Chrystusa. Wprawdzie, jest to zatrudnienie wymagające czegoś więcej, nad osoby pieniężne, jest to zatrudnienie, jest to obowiązek, który lepiej poznamy, jeżeli zastanowimy się nad tem.

3.

Co nas winno pobudzać do dobroczynności. Pobudką tą nie jest i być nie powinna ani próżność ani obłuda, jako słabości nie godne istoty myślącej i przeciwne chrześcijaństwu. Jałmużna twoja ma być w skrytości, mówi Chrystus, ma więc wypływać z serca i rozumu, ma być czysta, niesksalana niskością myśli ziemskich. Czyniąc jałmużnę pamiętajcie o tem chrześcianie, iż dobroczynność jest obowiązkiem nakazanym przez religią i ludzkość, jest obowiązkiem połączonym z innymi; oddzielona od tej całości, traci moc i znaczenie, zamienia się w czczą rachubę przed Bogiem. Będąc dobroczynnymi, odrywajcie się od ciała, nieście dary czyste, dary mienia i myśli, wspierajcie czynem i słowem, zapobiegajcie nędzy jałmużną i nauką. Bierzcie przykład z Chrystusa, który nauczając lud mawiał: „Bądźcie doskonałymi jako i Ojciec wasz, który w niebiesiech jest, doskonały jest.“ Chrześcianie bądźcie więc doskonali i w dobroczynności. Czyńcie to, co wam nakazuje religia, a nie słuchajcie podniet zmysłowych, czyńcie dobrze nie dla wdzięczności, lecz dla Boga. Pamyślicie zapewnie chrześcianie, iż trzeba wielkiej mocy i szlachetności, aby nie zrazić się niewdzięcznością: właśnie wszystkie zasady religii chrześciańskiej wymagają siły ducha i pewnego hartu, inaczej bowiem nie mogą być pojęte i wykonane. Tego poświęcenia, tej wielkości wymaga i dobroczynność. Jeżeli bowiem chrześcianie dajecie jałmużnę, jeżeli dobroczynni staracie się wlewać w zepsuty umysł zbawienne nauki Chrystusa, a jeżeli wtenczas zapłatą waszą jest lekceważenie, lub inny jaki wyskok niewdzięczności, wtedy właśnie pokażcie, że jesteście chrześcianami, że cokolwiek czynicie, czynicie nie dla siebie, lecz dla Boga i Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Chrześcianie, jeżeli doznając często podobnego losu, stygnąć będziecie w zapale, wspomnijcie Zbawiciela. Jakże skończył ten największy dobroczyńca rodu ludzkiego! Oto niewdzięczne człowieczeństwo rozpięło Go na krzyżu! Za cóż Chrystus przelał krew swoję, oto za ród ludzki, dla zbawienia rodu ludzkiego; i jakże on Mu się odpłaca? Niewdzięcznością i oburzającem zaniedbaniem świętych praw i nauk Jego. Jestto największa niewdzięczność i niesprawiedliwość, a jednak Chrystus przebaczył swoim zabójcom, jednak duch Chrystusa mieszka między nami, jednak duch ten ciągle i zawsze szuka przystępu i do waszych serc chrześcianie, wciska się w umysły wasze, obala błędy, które przynosicie ze sobą na świat jako dzieci natury, otacza was i podnosi do Boga. Chrześcianie! nic opierajcie się władzy tego ducha; bądźcie dobrymi, wtedy bowiem tylko możecie być dobroczynnymi; pamiętajcie, iż jak żyjecie, tak skończycie, jakie są czyny wasze, taka was czeka nagroda. Niech dobroczynność wasza ogarnie całą ludzkość, niech jałmużna płynie z serc a przewodnikiem jej niech będzie rozsądek i religia. Bądźcie dobroczyńcami ubogich cieleśnie i duchownie, naśladujcie Zbawiciela i wyryjcie w umysłach te słowa Jego: „Niech jałmużna twoja będzie w skrytości, a Ojciec twój, który widzi w skrytości, odda ci jawnie.“ Amen.

Klemens Boruta.

7) (Ciąg dalszy.)

Pójdę już na górę — rzekł owczarz, gdy noc zapadła.

Po co? — mówił Boruta. Przyniosę wam posłanie, tu spać możecie. Przecie już prosiąt niema. Mnie nie zawadzacie a i dziewczynie będzie raźniej, gdy ja pójdę do roboty.

Owczarz nie dał się długo namawiać i od tej chwili został lokatorem dawnego swego przyjaciela.

Nazajutrz o świcie Boruta stanął przy pracy. Och, z jakąż skwapliwością do niej przystąpił! Robił wszystko: mieszał wapno, podawał cegły, ociosywał bale, kopał, posłuszny na każde skinienie, jak gdyby się bał, ażeby go nie pozbawiono tak szczęśliwie zyskanego zarobku. Gdy raz mularz krzyknął:

Nie potrzeba cegły!

Boruta omal nie padł na dół z całem brzemieniem. Zdawało mu się, że w tych słowach usłyszał straszną dla siebie groźbę. Trwożony tak ustawicznie, popełniał ciągłe błędy i ściągał napomnienia, ale z drugiej strony dowodami pilności zyskiwał wielkie uznanie.

Miałby ja takich trzech, jak ty — rzekł raz do niego rządca Nędzy — to wybudowałby ja z nimi całą stodołę.

Boruta podrósł z dumy.

Rósł on z dniem każdym, ale równocześnie rosła i stodoła.

Klemens takie miał poczucie wartości swych rąk, że nie przypuszczał nawet, ażeby zachwycony nim p. Dornfisch mógł nie zużytkować tyle użytecznej siły. Płynęły więc dnie w dość jasnem zadowoleniu. Brzost siedział w domu i plótł koszyki, opowiadając dzieciom o dawnych czasach, w których trzmielówka niepoślednią grała rolę, Narcysia pod jego kierownictwem gotowała obiady i kolacye, a chociaż grosze nie zawsze starczyły, widmo głodu do izby nic zaglądało.

Jednego dnia Boruta wrócił do domu niezwykle wesół.

Skończyliśmy stodołę — rzekł do Brzosta — jak cacko.

Cóż teraz będzie? — spytał owczarz lękliwie.

Co z innymi będzie, nie wiem, ale ja przy dworze zostanę. Dornfisch zawołał mnie do siebie i kazał przyjść jutro. Żeby dał ze 60 talarów i ordynaryę! Chyba da.

Nazajutrz Boruta z pewną miną wszedł do

rządcy. Dornfisch, ujrzawszy go, wyjął z biurka książkę, popatrzył na nią, obliczył pieniądze i podając je Klemensowi rzekł:

Dostajecie jeszcze trzy talary. No, ja z wami zadowolony; jak będzie robota, to ja was zawołać. Bądźcie zdrów.

Boruta skamieniał. Wziął pieniądze machinalnie, popatrzył osłupiały na Dornfischa, chciał coś powiedzieć, ale gdy rządca powtórzył:

Bądźcie zdrów, poczciwy Boruta . . . nieszczęśliwy człowiek wyszedł.

Pogodne słońce wrześniowe, to samo, które przed dwudziestu pięciu laty tak starało się rozweselić pozbawionego pracy Borutę i teraz zabiegło mu drogę, gdy wracał od rządcy, obrzuciło go swymi ciepłymi promieniami i osuszało łzy, które u spuszczonych powiek robotnika zawisły. Klemens szedł machinalnie, ściskając pieniądze w ręku, zapomniał nawet włożyć kapelusza, utkwił wzrok w ziemię i potykał się co krok na bruzdach i zagonach pola, na które bezwiednie z drogi zboczył. Oddaliwszy się znacznie od wioski, oprzytomniał i stanął. Nogi wszakże chwiały się pod nim, więc usiadł na świeżo zoranej roli. Przez chwilę rozglądał się na około błędnym wzrokiem, następnie otworzył rękę i zaczął na niej liczyć odebrane pieniądze. Liczył długo, chociaż wszystkiego miał 9 marek i 4 fr. grosze.

Nie dołożył, nic nie dołożył — szepnął smutnie. Żeby grosz, żeby pięć fenygów, żeby jeden.

Zerwał się i podążył ku domowi. Właśnie Marcysia płukało groch, przyśpiewując sobie w robocie i wiodąc rozmowę z Brzostem. Zajmowana tak długo przez prosięta izba, dzięki obecnym jej mieszkańcom, dziwnie wypiękniała. Przybyły do niej dwa tapczany, stolik, trochę garnków i misek, a rozstawione na półkach nowe koszyki Brzosta stanowiły nawet pełną ozdobę. Światło jesienne wlewając się swobodnie przez czyste, chociaż maleńkie szyby okien, nadawało tej ubogiej siedzibie wesoły widok. I Brzost, choć ślepy, czuł błogie orzeźwienie w tej jasności, bo nieustannie żartował.

Wicek, Wicek, nie gap się na dziewczynę, tylko prątki podawaj. Ona nie dla ciebie śpiewa. Ale jak urośniesz i będziesz umiał bez płaczu cebulę rozebrać, to cię z Marcysią ożenię.

O, ja już dziś umiem — odezwał się chłopiec.

Patrzcie go, obibok, umie, a ile razy nos przytem utrzesz, hę? Nie taki jak ty smyk przechwalał się we dworze. Czerwoną sukienkę zdjął, ale jak się do białych koszulek zabrał, beczał też, beczał! O, tak.

Zjedz teraz zęby — krzyknął wchodząc Boruta — bo już nic innego mieć nie będziesz.

To ty Klemensie? — spytał strapiony Brzost.

A ja i bieda za mną. Nie zgubiłem jej — mówił dziko — nie bójcie się. Wlecze się zmora, wlecze, nic odczepię jej, nie odpędzę, nie uduszę. Ona mnie udusi. Kanarek — szelma. Świergotał, obiecywał i dał — w kark. Jak robota będzie. Ha, ha, ha — będzie bywa długie, bardzo długie. Choćbym te pieniądze tylko lizał, to bym i wreszcie wylizał.

Upadł ciężko na tapczan i westchnął. Izbę zaległa cisza.

Co się stało? — przerwał nieśmiało Brzost.

Nic nowego — rzekł szyderczo Boruta — to samo, co od czterdziestu lat ciągle mi się zdarza: skończyłem robotę, odprawili.

Odprawili — powtórzył stary ze smutkiem.

Bo i cóż mieli zrobić — odparł gniewnie Boruta — do chlewu mnie wsadzić i na słoninę karmić? Nie wieprz jestem, tylko człowiek, mam ręce i gębę, jak dla rąk zbraknie, gęba pościć musi. Czego się jąć? Gwiazdy na niebie liczyć, czy wodę w rzece mierzyć?

W słowach Boruty widoczna była plątanina starganej nieszczęściem myśli. Rzucał je bez ładu, chciał gniewem kogoś ugodzić i nie wiedział celu.

Ty połknij groch — zawołał do Marcysi wysypującej z garnka ugotowany obiad, ja połknę ciebie, Brzost — mnie, będziemy syci. Do tego przyjdzie, niedaleko . . . Rymarz w domu?

Pojechał — bąknęła dziewczyna.

Ha! — zawołał, zrywając się z tapczana — podpalę kiedy tę chałupę, bo mi już życie obmierzło!

Klemensie! Klemensie! — uspokajał go Brzost.

Ja wiem, że mię tak ochrzcili, nie przypominajcie. Jedz mała nie czekaj na mnie. O, żeby nie ty, puściłbym się w świat i nie oparł aż tam, gdzie biedy niema.

Mówią — odezwał się Brzost — że do Polski potrzebują dużo ludzi.

Plotą, a wy słuchacie i nie rozumiecie. Jak roboty nie ma, każdemu się ona śni, że gdzieś jest. Toć gadają, że i pod Wiedniem do wałów potrzeba. Więc cóż? Czy kareta po mnie zajedzie, czy kolej dowiezie? Do Polski — to raj! Znam takich, co do tego raju w kapocie poszli, a bez kapoty wrócili.

A ja znam takich, co tam dużo zarobili pieniędzy!

Może ukradli. Niby to raz kosztowałem polaków. Wlej do nich wtedy, kiedy masz dwie skóry, bo jedną pewno zedrą.

Ot! bajesz głupstwa.

Już ja się waszego rozumu za ogon nie czepię. Co widziałem, to wiem. Albo to Pęczkowskiego z Gliwic za Wisłą nie obili? I za co? Za to, że za kośnika się zgodził.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 19.
Wiśnia.

Zagadka.

Cztery ćwierci dobrej miary
W nowy worek wysuł stary.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej"

Nr. 21. | Ełk, na niedzielę dnia 25 lipca. | 1897.

Szósta niedziela po świętej Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

List św. Pawła do Efezów, r. 6., w. 4.

„A wy ojcowie! nie pobudzajcie do gniewu dziatek waszych, ale je wychowajcie w karności i w napominaniu Pańskiem."

Niedawnymi czasy mówiłem do was, najmilsi, o obowiązkach matki względem dzieci. Obowiązki te były święte i wielkie, od ich sumiennego spełnienia albowem zależy szczęście dzieci, zależy trwałość ich pokoju i swobody w kółku domowem, w pożyciu familijnem. Gdyż kobieta wychowuje w córkach swoich ciche, łagodne, przyszłe żony i matki, w synach, prawych, dobrych ojców i mężów, wiernych przyjaciół, godnych towarzyszy — zatrudnia się rozwinięciem owych przymiotów, jakie zdobyć powinny serce człowieka w jego stosunkach familijnych, domowych i towarzyskich, a tem samem kładzie kamień węgielny do przyszłych jego czynności, do najwyższych jego nawet przeznaczeń. Lecz, po dziś dzień świat zawarty czterema ścianami domu rodzicielskiego i świat jest po za temi ścianami, to dwie wielkie sprzeczności, dwaj wielcy przeciwnicy. Kiedy w pierwszym panuje boski pokój i niebiańskie wesele, a jego progów strzegą czyści aniołowie, tamten jest mięszaniną drogich klejnotów i niecnej ziemi, wielkich czynów i jeszcze większych zbrodni, cudów doskonałości i dziwów brzydoty, walką złego z dobrem, chmurą niosącą albo pioruny zniszczenia, albo deszcz ożywny i urodzajny. Tego świata poznać nie może kobieta, bo jej światem są mąż i dziatki, w jego plugawe i błędne bezdroża kobieta wstępować nie powinna, bo jej drogi wiodą po obłokach, jej uczucia unoszą się ponad ziemią, ona wiedzie do nieba. Prawda i kobieta musi umieć stawiać czoło burzy nieszczęść, bo nawałnice świata wciskają się i w cichy zakątek domowy, są one jednak jak odgłos dalekiego grzmotu, bo i w domowem kółku zdarzają się niedole, te jednak ściągają się tylko do wydarzeń, jakie człowieka spotkać mogą w jego stosunkach rodzinnych, a raczej, ona winna uczyć dziatki swoje, jak po trudach życia wśród świata, sposząc można i odetchnąć, odetchnąć wolno, swobodnie, obetrzeć pot znoju, łzy żalu i rozpaczy pośród lubych sercu osób, pośród swoich. Taki to jest zawód matki, takie przeznaczenie kobiety, takie same i ojca, lecz jemu nastręcza się jeszcze jedna powinność i dla tego też zastanówmy się

Nad obowiązkami, jakie ma ojciec względem dzieci a zwłaszcza względem synów swoich.

Pomijając to, o czem mówiłem rozwijając powinności matki, powiadam, iż obowiązkiem ojca jest uczyć dzieci swoje:

1. jak mają żyć — jako dzieci świata doczesnego, i

2. jak żyć jako dzieci świata wiecznego jako dzieci Boże.

1.

Przeznaczeniem naszem jako ludzi z ciała, jest, żyć na tej wielkiej ziemi i pośród drugich ludzi, wchodzić z nimi w stosunki, używać praw, jakie Bóg dał człowiekowi, cieszyć się tem, co nas otacza. Lecz jakaż to różność panuje między tymi ludźmi, ileż to śladów udeptanych przez tysiące pokoleń w tysiącach lat, ileż żądań budzi się w sercu ludzkiem, jedno przeciwne drugiemu, i ileż to na nieszczęście celów w tym życiu doczesnem. Wybór trudni a wybrać trzeba, dróg wiele a jedną tylko iść można. Wśród tych błędnych ścieżek, mylim się nieraz, chwytamy i znów rzucamy to, co nam drudzy podają, a potrącani w tłumie, który nas otacza, idziemy często tam, gdzie tłum ten nas popchnie a gdziebyśmy iść nie powinni. Ludzie, to jak liść oderwany od drzewa, nim miota każdy powiew wiatru, nimi każda okoliczność, a tak być nie powinno. W tym świecie ileż to zmian, ile różnych wypadków rodzi się i ciągle wysnuwa — świat to jak wzburzone wody morza, kipią, szumią i miotają bezustannie łódką naszego życia. Umieć trzymać w dzielnej ręce ster, umieć kierować się wśród nawałnicy i nie wpaść na skały ukryte — oto nauka, jaką ojciec udzielić winien synom swoim.

Powiecie może, na co to wszystko, najlepszym ich przewodnikiem będą wypadki, jakie ich spotkają i drudzy ludzie. Lecz, tak nie jest. Młode serce waszych dzieci, wychowanych chociażby jak w raju, wyszedłszy na świat, znajdą wężów-kusicieli. Wasze córki znaleść mogą fałszywe przyjaciółki, które im powiedzą, że skromność przystoi dziecięciu ale nie kobiecie wykształconej; że wiara po-

przysiężona mężowi przed ołtarzem Boga, to czcza formalność, — córki wasze, jeżeliście je dobrze wychowali, nie pójdą za ich radą, lecz słowa występne, pierwszy raz przez nie usłyszane, mogą osłabić ich wiarę w cnotę, mogą naruszyć pokój i duszy. Co większa, kiedy córkom waszym błyśnie przed oczyma błyszczący świat zbytków, kiedy u nóg ich czołgać się będzie niegodne pochlebstwo, kiedy do serc młodej dziewicy szukać będzie przystępu człek z wielkiem znaczeniem, wielkiemi bogactwy, lecz niegodny, lecz nikczemny — któż zaręczy, że one nie dadzą się złudzić, nie dadzą się omamić świetnymi pozorami? Lub jeżeliście sami wybrali męża córce waszej i sądzicie, żeście dobrze wybrali, wtedy właśnie, właśnie zmiana, jaką spostrzegacie w lubem dziecięciu, wyda świadectwo o mylnym sądzie waszym. A synowie wasi — o ileż to, ileż niebezpieczeństw zagraża im jako dzieciom świata doczesnego. Ich niepokalaną dusze nieraz będą chcieli oprysknąć jadem zepsucia, ich młodym oczom pokażą cały majestat zbytku i szczęścia ziemskiego, ich gorącą pierś będą chcieli natchnąć żądzą posiadania wielkiego imienia i zapaliwszy w nich ogień złych namiętności, zatrą niemiłosierną ręką ślady, któreście w ich duszy kreślili. Synowie wasi opuściwszy wasz dom rodzicielski z szlachetnemi skłonnościami, jeżeli to były tylko skłonności, mogą się z czasem nagiąć do złego. Bo zaiste i człowiek oświały a nie mający w sercu prawdziwej miłości Boga i dobrego, nie mający żywego uczucia i pojęcia, co to znaczy być chrześcianinem i dziecięciem Boga, obłąka się i upadnie w zdradliwe sidła fałszu. Iluż to albowiem, nazywanych ludźmi prawymi, takimi jednak nie są. Nie dość albowiem, oddać każdemu co jego, nie dość nie splamić dobrego imienia, wypełniać pilnie obowiązki swego powołania, mimo to można nie być prawdziwym człowiekiem, prawdziwym chrześcianinem. Nie mierzmy albowiem czynów naszych po ludzku, nie porównywajmy się z ludźmi — miarą naszych czynów, naszych uczuć, winien być Ten, który jest zbawicielem naszym. Nie sądźmy też, iż życie jest sztuką, że ojciec, który nauczył syna sztuki życia na świecie, dopełnił obowiązków swoich. Niestety, taki ojciec nie wychował człowieka, ale sztukmistrza, ale szarlatana, może dojść wysoko, ale i na tej wysokości będzie nędznym, czołgającym się robakiem, może otoczyć się promieniami wielkości, ale będą to promienie malowanego obrazu. Otwórzcie, otwórzcie dzieciom waszym oczy, nim je w świat puścicie, pokażcie im wszystkie niebezpieczeństwa, jakie ich czekają, obdarzcie ich umysł bystrością zdolną rozróżnić przedmiot od jego cienia, prawdę od fałszu, podnieście zasłonę otaczającą widownie świata, niech patrzą, niech widzą z daleka kraj, który przebiegać mają, inaczej albowiem nie znajdą prawdziwego gościńca. Zawołacie może — poco razić młody umysł, poco budzić niedowierzanie? Lecz czyliż nie lepiej udzielić im rad, które czerpać możecie z własnego doświadczenia, nauczyć, czego się i jak wystrzegać mają, a niż by mieli oni przechodzić tę samą drogę, którą wyście chodzili? O powiedzcie, czyliż nie jednej chwili życia nie wspominacie ze wstydem i żalem, czyliż nie wiecie, jak bolesne wam były upadki wasze, nic bądźcie samolubnymi, oszczędźcie dzieciom waszym tych upadków, tego wstydu. Zresztą, odpowiedź znajdujecie w słowach tekstu: „Ojcowie nie pobudzajcie dziatek waszych do gniewu, ojcowie wychowujcie je w napominaniu Pańskiem.“ Sprawiedliwie albowiem uczułyby one, jeżeli nie gniew to żal do was, żeście im inaczej wystawili świat i życie doczesne, jak jest rzeczywiście, żeście ich nie ostrzegli o niebezpieczeństwach życia. A żebyście nie obudzili w nich niedowiarstwa względem ludzi, nie zarazili młodych umysłów, wychowujcie je według napominania apostoła, w „napominaniu Pańskiem“, to jest, uczucie

2.

jak żyć mają jako dzieci świata wiecznego jako dzieci Boga. Lecz, z żalem wyznać potrzeba, że nic bardziej nie bywa zaniedbywane w wychowaniu, jak nauka religii. Iluż tu ojców, ten święty obowiązek przekazuje innym, iluż sądzi, że to jest tylko rzeczą duchownych, obowiązkiem księży! O jest to błąd nie do darowania! A więc religia jest celem tylko pewnego stanu, a więc nie każden winien zgłębiać samodzielnie to, co jest najwyższym darem człowieka, a więc trzeba wierzyć, a samemu nie myśleć. O nie, nie, tego nie żąda religia! Nauka Chrystusowa potrzebna jest tak każdemu człowiekowi, jak potrzebne jest do życia powietrze. Bez niej nikt obejść się nie może, nikt nie jest w stanie jej pojąć, jeżeli się sam nad nią nie zastanowi, sam nie zgłębi, jeżeli tego nie uczyni, nie będzie człowiekiem, chrześcianinem, i dla tego też tak mało jest prawdziwych ludzi. Matka zaszczepia w sercu dziecięcia delikatny, piękny kwiatek religii, ale jeżeli ojciec go nie wzmocni, burze świata zetrą jego barwy i zostawią tylko słaby jego szczątek, maluczkie ziarno. I to ziarno może z czasem spruchnieć, bo i cóż bardziej wystawione jest na niebezpieczeństwo, jak wiara człowieka, ta czysta wiara chrześciańska, niezawisła od zdań pojedyńczych wyznań. Na nią rzuca się z wściekłością cały świat występków, na nią podnosi zabójczą rękę piekło zbrodni, jak to widzimy na Chrystusie, bo ona, ona tylko, ta Boska święta religia, zasłania nas przed mocą złego i grzechu. Religia to pancerz nieprzebity, to tarcza, to skarb, skarb nieoceniony. Ale nie jest to religia obrządków. Nie to jest religią, że dzieci wasze pilnie dopełniają tych obrządków, religia jest to żywe uczucie nauki Chrystusa, żywe pojęcie prawdy, którą On ogłaszał, żądza stanie mu się choćiaż w części podobnym, pragnienie wstąpienia w Jego Boskie ślady.

Nauczcie dzieci wasze, waszych synów i córki, nauczcie czytać księgę żywota, Nowy Testament, czytać nie tylko okiem ale i sercem, nauczcie je pojmować prawdy nauki Zbawiciela, nauczcie zgłębiać święte tajemnice religii, dajcie im jak tylko możecie najwyższe wykształcenie religijne, a dacie im szczęście, dacie im niebo. Wtedy nie zwiodą córek waszych powaby światowe, zachowają one dziewiczą czystość duszy, nie pokalają anielskich

serc i uczuć zaszczepionych w nich przez matki, będą to kobiety godne imienia chrześcianek i obywatelek, kobiety godne zająć w społeczności miejsce, jakie im Bóg przeznaczył. Matki kształcić winne w córkach swoich aniołów, wy wyrabiać w nich macie ozdobę ludzkości. A wasi synowie? Matka w ich sercach zaszczepi religią, wy ją wprowadzcie do ich myśli, wy nauczcie ich wstępować w ślady Zbawiciela Chrystusa, nauczcie ich na Jego życiu, że chociaż by im ofiarowano świat cały i wszystkie korony, odepchnąć go, odrzucić od siebie winni bez namysłu, jeżeli by to miało pociągnąć za sobą dusz ich znikczemnienie. Ojcowie, wy myślicie, że waszym obowiązkiem jest okryć, dać pokarm ciału dzieci waszych. Prawda jest to obowiązkiem waszym, macie jednak jeszcze wyższy, jeszcze świętszy, to jest danie pokarmu i duszy, ich umysłowi. I zwierzęta okrywają wśród zimy swe młode, wy macie wychować ludzi, wasze dzieci są nie tylko waszemi, ale i dziećmi Boga. I cóż z tego, że nagromadzicie im stosy złota, cóż z tego, że ukształcicie w dzieciach waszych cacka bawiące drugich, że powiecie, iż można czołgając zajść bardzo daleko, że doprowadzicie je do tego nawet, iż wiadomością zadziwiać będą współczesnych, lub wieńcem sławy ozdobią swe skronie — to wszystko wielkie nic, to wszystko wielkie w oczach ludzi żyjących li doczesnością — ale w obliczu Tego, który stworzył niebo i ziemię, który jest prawdziwym Ojcem naszym, to nie jest, błahą, nędzną nicością, gdyż często to właśnie bywa plamą naszego życia, zniszczeniem naszego bóstwa. Nauczcie dzieci wasze, aby w każdym czasie, w każdym narodzie umieli zachować czyste serce, aby nie oni złotu, ale złoto im służyło, aby ukochali prawość i cnotę, słowem byli chrześcianami, nauczcie ich tego, a wówczas może umrą z głodu, umrą w nędzy, poniżeni, odepchnięci od ludzi, ale Ten, który zesłał Zbawcę, Ten ich wywyższy, Ten przytuli dziatki wasze do swego łona.

Ojcowie, zostawcie dzieciom waszym w spuściźnie poczciwe imie, a będzie to piękniejszem dziedzictwem od szerokich włości lub szumnych tytułów. Ojcowie, nie pobudzajcie dziatek waszych do gniewu, wychowujcie je w napominaniu Pańskiem, uczcie je własnem życiem, jak mają postępować jako obywatele, ludzie i chrześcianie, uczcie ich świętych prawd nauki Chrystusa, a dopełnicie świętych obowiązków waszego powołania. Powiecie może — iż w takim razie musielibiście najprzód zmienić własny sposób życia, musieli sami pracować nad sobą, sami uczyć się pojmować religią Chrystusa! Tego właśnie trzeba, tego żąda po was święty Zbawca. Ofiara, jaką zrobić macie z własnych skłonności i urojonych praw świata, nie jest za wielką, bo wszak tu idzie o wasze dziatki, o waszą krew, o zbawienie dusz waszych, waszę i ich wieczność. Nie mówcie — to za późno. Dobrze czynić, postępować na drodze doskonałości nigdy nie jest i nie było po niewczasie. I wy, i wy ojcowie, których włos obsypał już szron starości, naróbcie się raz jeszcze, bo to dla dzieci waszych, wszyscy też podajcie silną, męską dłoń waszym żonom, a Bóg wam dopomoże, pobłogosławi usiłowaniom waszym, bo tylko działając społem możecie dopełnić obowiązków rodzicielskich, tylko od was zależy szczęście, za którem darmo gonimy, na was włożył Bóg święty obowiązek wychowywania ludzkości, On wam powierzył dziatki swoje, przed tronem Jego sprawiedliwości staniecie, a biada, biada wam, jeżeliście powierzonych wam aniołów strącili w otchłań piekielną, jeżeliście własną ręką zgasili tlejący w nich płomień Boski. O wy, którzy dla uciech świata zaniedbujecie dziatki wasze, wy, którzy gorszycie ich własnymi czynami, nie wychowujecie w nich przyszłych mieszkańców nieba, godne dzieci Boga, ale służalców świata — w godzinę śmierci waszej sumienie zawoła głosem wielkim: biada wam, biada zabójcy dziatek waszych! Amen.

Klemens Boruta.

8) (Ciąg dalszy.)

To też gy jeden wilk do nas się przemknął, porachowaliśmy mu żebra, że aż mu dwóch brakło.

I w jednej wsi zabił. Ty pluj gdzie chcesz, a ja byłem pod Sandomierzem i . .

To idźcie sobie tam do sto tysięcy djabłów, nikt was tu nie trzyma. Wam będzie wesoło, a drugim lżej.

A czemże ja ci tak zaciężyłem? — rzekł Brzost boleśnie. — Żałujesz mi tego kąta, który nie załowałeś tyle lat prosiętom? Pójdę, pójdę, choć ślepy jestem, jeszcze kawałek dachu ludzie dadzą, a chleba cudzego nie jadłem i jeść nie będę.

Powstał stary, wziął Wicka za rękę i do drzwi zmierzył.

Tfu! — splunął Boruta. — Tak się dąsacie, jak panna w zalotach. Czyż ja wam ten kąt wymawiam? Gorzkie słowo z ust się wyrwało, bo w nich nie słodko. Ach dziadku! dziadku! albo raz człowiek człowieka szturgnie, a jednak go nie przebije. Siadajcie oto i pilnujcie domu.

To rzekłszy, wziął z miski garść grochu, wsypał w usta i wyszedł. Nawet surowy pogromca pijaków proboszcz parafii, do której Nędza należała, przebaczyłby, widząc go wchodzącego do karczmy. Boruta bowiem nie myślał kieliszkiem rozpraszać smutku, ale chciał po prostu znaleźć kilkoro próżnujących ludzi, którzyby z nim porozmawiali, poradzili. Jakoż istotnie w karczmie obradowało kilku wieśniaków i wieśniaczek, podpitych lub trzeźwych, gotowych wszakże do zajęcia się losem nowego towarzysza. Była to gromada najemników, żyjących z dnia na dzień, przepijających właśnie resztki świeżego zarobku.

Robota jest i będzie — rzekł stary chłop, którego Boruta zaczepił — tylko nas do niej nie stanie. Zje Dornfisch djabła z sosem, aż my mu za dziesięć groszy na dzień do kopania pójdziemy.

Niechby i tyle — odezwał się Klemens.

Wy bo pewnie wielki pan, kiedy o grosze nie dbacie, my chudzięta.

Nie pan, ale potrzebny.

A my co, z fanaberyi? Nie jadamy pieczonych kijów. Wolę tu tydzień daremnie siedzieć, niż za głupią markę się najmować.

Wolicie za siebie.

A jużci nie za was — odparł gniewnie chłop — kopcie sobie i nosem nie motyką kartofle, jak się wam podoba.

Gromada się zaśmiała, Boruta poczerwieniały od gniewu mruknął.

Swoim nosem jeszcze nie kopałem, ale waszym zaraz mogę.

Żórz, żórz, to ja tę skibę twymi zębami posieję.

Cymbał! — rzekł Boruta i wyszedł śród świstów i krzyków.

Chwat — w nogach!

Wyprawa Boruty do karczmy nie była tak chybiona, jakby się na pozór zdawało. Wprawdzie nie dano mu żadnej rady, nie nastręczono roboty, ale z gróźb nienajmowania się dworowi za tanią cenę błysła mu nadzieja, że ręce jego będą pożądane. Wracał weselszy i słusznie, bo dowiedział się od Brzosta, że Dornfisch przysyłał po niego do młocarni. Odtąd dni wyrobnika różnie się przeplatały: kolejno miewał i nie miewał zajęcia, a ta niestałość nie zubożyła go odrazu, ale zsuwała powoli do nędzy. Skazany często na bezczynność, musiał zarobkiem jednego dnia pokrywać potrzeby kilku, a tymczasem nadchodząca spiesznie zima wydatki ciągle mnożyła. Sam Boruta nie miał ciepłego ubrania, z dziewczyny obleciało wszystko, mrozy szczypały coraz silniej, obok tych kłopotów zarysował się inny, podobno najstraszniejszy, mianowicie zupełny brak roboty. Po obrobieniu pola, możność najmu w folwarku ustała. Klemens z drżeniem oczekiwał jutra, które go ostatecznie chleba pozbawi.

Jak gdyby te warunki nie dopełniły jeszcze miary nieszczęścia biednego człowieka, pewnego rana Brzost z pościeli się nie podniósł. Dopóki płótł, chociaż niedołężnie i powoli swoje koszyki, dopóty zarabiał na garnek ciepłej strawy i nie był dla Boruty ciężarem. Teraz, gdy zachorował, wyrobnikowi przybyły trzecie głodne usta do nakarmienia. Czuł to chory starzec i dlatego ciągle powtarzał:

Dobij mnie, dobij. Za kilka dni życia, co mi tam jeszcze pozostaje, i grzechu mięć nie będziesz.

Nie kuście — odpowiadał Boruta, nie wiedząc jakim sposobem z przepaści się wydobyć.

Trzy dni upłynęło bez roboty. Przez te trzy dni Klemens prawie nic nie jadł, choremu rymarka dawała po troszce mleka, Marcysia żywiła się obierzynami z kartofli.

Głód — jeden tylko wyraz, a ileż cierpień! Zdaje się, że każda w nim zgłoska jęczy. Jęk ten nie wyrywa się nigdy z jednych ust, ale brzmi chórem. Gdzie morowe widmo powiało swą śmiertelną chustą, tam pada nie jedna ofiara, ale całe gromady. Tak było i w Nędzy. Ten sam dramat, który śledziliśmy w życiu Klemensa Boruty, odegrywał się w życiu wielu mieszkańców tej wioski, a nawet prowincyi. Brak pracy, nieurodzaje, wylewy rzek rozpostarły szeroki obraz ubóstwa, w którym losy naszego bohatera tworzyły tylko cząstkowy ucisk. Nieszczęściem jego nie była bezczynność i niedostatek, ale to, że znalazł się w otoczeniu równie klęską dotkniętem. Dopóki bieda pozwalała się dusić, dopóty jej ofiary cierpiały odosobnione, bez wiedzy o sobie, z przekonaniem, że tylko każdą z nich srogi los pognębił. Gdy nareszcie tłumione cierpienia wybuchły głośną skargą, zlały się w wielki okrzyk trwogi i rozpaczy. Od lata zarówno w Nędzy, jak i w jej okolicach panowała bieda; ale dopiero w jesieni, gdy nadzieja ratunku zgasła, gdy przeszłość rozwarła się jak noc ciemna i przerażająca, z tysięcy piersi wybiegło straszne hasło głodu. Hasło to złowrogiem echem zabrzmiało w całej prowincyi, w całem państwie, odbiło się o tron, przeleciało za granicę, zawiadomiło o klęsce świat wszystek. W tym okropnym chórze był i głos Boruty.

Przez trzy dni, jak rzekliśmy, nic on nie jadł, a musiał przytem patrzyć na karmiące się obierzynami kartofli dziecko i dogorywającego Brzosta. Stary owczarz rozdzierał mu serce nie tylko swym widokiem, ale i swojemi słowami.

Mój robaku — mówił — nie myśl o mnie, godzina dłużej czy krócej wszystko jedno. Lepiej nawet, że bieda dodusi. O Marcysi pamiętaj i o sobie. Mnie żebyś marcypanami karmił, nie uzdrowisz. Już czas ciało zrzucić, ledwie się trzyma. Febra raz trzęśnie, to i obleci. Nie dawaj mi mleka, niech mała wypije. Nie widzę was, moi kochani. Ach! żebym chociaż na minutkę przejrzał i pożegnał się z wami. A może i lepiej, żem ślepy. Sprzedałeś Klemensie wszystkie koszyki?

Wszystkie — odrzekł z westchnieniem Boruta.

Nic już niema — ciągnął Brzost słabo — niema, a ręce pozamierały. Palcami ruszyć nie mogę . . . próbowałem zgiąć prątek . . . gdzie tam! Dusza zewsząd uciekła, tylko jeszcze w piersiach siedzi. Ale niedługo wyskoczy. Na jednym włosie się trzyma. Czuję, że ten włos serce mi opasał i na to umrę. Żeby go można zdjąć, byłbym zdrów, ale to daremny zachód. Napar z wierzbinowego kwiatu pomaga, ale skąd takiego kwiatu wziąć? A do wiosny nie doczekam. Marcysia, jadłaś co dziś.

Nic, dziadku.

Idź do dworu, poproś starej Jagny, ona zuchelek chleba dla ciebie wyszuka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 20.
Nowy Rok, cztery kwartały.

Zagadka.

Gęsią orze, piaskiem sieje,
A dobrze mu się dzieje.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej.“

Nr. 22. | **Ełk, na niedzielę dnia 8 sierpnia.** | **1897.**

Ósma niedziela po świętej Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkiemi. Amen.

Ewangielia św Jana, r. 3., w. 14—15.

„A jako Mojżesz węża na puszczy wywyższył, tak musi być wywyższony Syn człowieczy. Aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.“

W Piśmie św. są słowa, które możemy nazwać kamieniami granicznymi królestwa Bożego, są takie, na których jako na kamieniu węgielnym królestwo Boże jest zbudowanem. Jedne i drugie próbowano niecaz poruszyć z miejsca ich. Jedni twierdzą, iż granice królestwa Bożego są za ciasne, duch wieku nie może się w nich pomieścić, musi je przekroczyć, inni mówią, budowa to wielka ale z wiekami zwietrzała, trzeba ją przebudować, odnowić, trzeba może nawet jej węgielne kamienie wyrzucić, ma-li budowa odpowiadać duchowi czasu i wymogom dzisiejszej kultury. Nawet w teologii są różne kierunki, wśród tych, co są powołani opowiadać słowo, nie mniej wśród słuchaczy nie brak takich, coby chcieli z wodą pływać. Nie może to więc być obojętnem zborowi Chrystusowemu, jakie stanowisko zajmuje ich kaznodzieja. Ja tu dziś gościem i pielgrzymem pośród was — chcecie mnie doświadczyć i wypróbować. I słusznie tak, boć człowiek jest słabym i krewkim po wszystkie dni swoje. Apostołowie Pańscy, w ciężkiej godzinie opuścili wszyscy Pana swego, Piotr się Go zaparł po trzykroć, łatwo i w mojem sercu mogło się stać rozerwanie, i to serce moje mogło się oderwać od Tego, który jest prawdą, drogą i żywotem. Czy tak się stało, doświadczcie, gdy wam według tekstu mówić będę:

O Tym, który na krzyżu został wywyższony dla żywota świata.

W nocnej rozmowie Nikodemowi, książęciu żydowskiemu — bo nie tylko ubodzy rybitwi, wzgardzeni celnicy, wyrzuceni od ludzi trędowaci przychodzą do Chrystusa, ale także wybrańcy losu — powiedział Pan: „Jako Mojżesz węża na puszczy wywyższył, tak musi być wywyższony Syn człowieczy, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.“ Przypomnijmy sobie najprzód one opowiadanie Starego Testamentu. Lud izraelski w drodze z Egiptu do Kanaan, znajduje się na puszczy i szemrze przeciw Mojżeszowi i przeciw Jehowie. Tedy przepuścił Pan na lud węże ogniste, które kąsały lud a wielu umarło. Lud widząc to, przyszedł do Mojżesza, mówiąc: zgrzeszyliśmy, módl się do Pana, żeby odjął od nas te węże. Mojżesz modlił się do Pana i Pan mu rzekł: „Uczyń sobie węża miedzianego i wystaw go na drzewcu, i stanie się, ktokolwiek ukąszony będąc wejrzy nań, że żyw zostanie. I było tak, gdy kogo wąż ukąsił, i spojrzał na węża miedzianego, że żyw został.“

Dziwna to historya, nieprawdaż? Lada jaki mędrek powie, jakże to może być? co może komu pomódz, że spojrzy na węża miedzianego. Bajka to dla dzieci, tyle warta, co inne podobne historye biblijne — niezgodne z nauką ani rozumem. Przedewszystkiem zauważyć należy, że Duch św. nie natchnął onych wielkich mężów Bożych, aby napisali podręcznik historyi naturalnej, ale aby opowiadali słowo Boga żywego. Po wtóre zaś przypomnieć trzeba, co napisano stoi (Rzym. 15. 4): „Cokolwiek przedtem napisano, ku naszej nauce napisano, abyśmy przez cierpliwość i przez pociechę pism nadzieję mieli.“ Wszystko, co w Biblii napisano, jest ogniwem jednego wielkiego łańcucha — każde ogniwo dla siebie dziwnem się nieraz wydaje, ale wszystkie razem tworzą cudowną istotnie całość, która rzeczywiście napełnia serca cierpliwością i pociechą, i obudza w duszy niebieską nadzieję. Jak w przyrodzie to, co jest cielesnem jest obrazem rzeczy duchowych, tak w Piśmie św. Stary Testament jest cieniem i obrazem rzeczywistości, którą przedstawia Nowy Testament. Miedziany wąż, wywyższony przez Mojżesza na puszczy jest obrazem i podobieństwem. Jako miedziany wąż na puszczy wywyższony przynosi ludowi Izraelskiemu cielesne uzdrowienie, tak Jezus Chrystus, nasienie niewiasty, które miało potrzeć wężowi głowę, został wywyższony na krzyżu, ku uzdrowieniu i ku wiecznemu żywotowi rodu ludzkiego.

Ku uzdrowieniu? Czy jesteśmy chorymi? O tak chorymi, chorymi na ciele i na duszy. Któż temu może zaprzeczyć? Idźcie na cmentarze nasze, ujrzycie tam grób za grobem, małe i wielkie. Którzy tam odpoczywają, używali żywota swego, jak i my. Teraz są umarli — bo zapłatą grze-

chu jest śmierć, są umarli — bo taki jest skutek ukąszenia wężowego, są umarli, — po krótszej lub dłuższej chorobie cielesnej. A śladów chorób duchowych azali nie widać na każdym kroku? Cóż znaczą wyniosłe myśli pyszałków, którzy się żywego Boga wypierają, a sami chcą być bogami? Azali nie jest to choroba duchowa? Azali nie są na duchu chorymi, samobójcy, zbrodniarze, marnotrawcy, mściwi i kłótliwi, azali nie są chorymi na duchu wszyscy, co popadli w występki hańbiące? W długiej i uciążliwej drodze żywota, przez puszczę do niebieskiego Kanaan, skuszeni i zwiedzeni przez węża starego, zmęczyli i zniechęcili się, stracili siłę i ochotę do życia, rozchorowała się dusza ich. Tak najmilsi! grzech jest chorobą, która wywiera skutki swoje na ciało i duszę, która sprowadza doczesną i wieczną śmierć. Pan sam to powiada, a słowo Jego jest prawdziwe: Wszyscy zgrzeszyli. Prawdę tę próbują obalić zarzutem, że przecież małe dzieci nie są grzesznemi. Owszem i ich serce zatrute jest grzechem. Kto ma oczy a chce widzieć, ten temu nie zaprzeczy. Jak upadli aniołowie Boży, tak upadają i dzieci, jak człowiek od Boga stworzony został skuszony, tak co z ciała jego pochodzi, ciałem jest, ciałem grzesznem, które nie może odziedziczyć królestwa Bożego. Ach jakże często dzieci są złośliwe, mściwe, jakże wcześnie można dojrzeć w sercach ich początków złego, które w późniejszem życiu splami ich duszę — z grzesznych rodziców narodzone, nie mogą być świętemi i czystemi, ale są grzesznemi. Nazwijcie to słabością, niedoskonałością, prawem natury, nazwijcie, jak chcecie — zawsze prawdą zostanie, że jesteśmy chorymi, chorymi na ciele i duszy, grzech przywiódł na nas cielesną i duchową nędzę.

Rozważcie najmilsi! Jeżeli to jest naturalnym biegiem rzeczy i nieuniknioną koniecznością — dla czegoż narzekacie? poddajcież się przecie ślepo tej konieczności i zaniemiejcie w bolu! Czy to potraficie? Na małą chwilkę, na dni kilka, — a potem wybuchnie gwałtownie żal, serce jęknie w rozpaczy, i ogląda się za pomocą. A wieczna miłość w niebiesiech słyszy te jęki, słyszy wołanie nędzarzy. „Zdrowie twoje przywrócę, i od ran twoich uleczę cię, mówi Pan." Syn Boży, przyobleczony w nasze ciało i krew, daje się za nas wywyższać na krzyżu, i wydaje samego siebe za grzechy nasze. W Nim dokonane jest zbawienie świata. „On grzechy nasze na ciele swoim zaniósł na drzewo, i niemoce nasze na się wziął, a siniałością Jego jesteśmy uzdrowieni." Śmiercią swoją odjął moc temu, który miał moc śmierci, Jego święta, pojednawcza śmierć jest żywotem świata. Tą śmiercią zgładzone są śmiertelne rany, jakie nam zadał grzech. A tak Chrystus ukrzyżowany i zmartwychpowstały jest lekarzem naszym od grzechu, a śmierć Jego lekarstwem. W Chrystusie ukrzyżowanym mogą wyzdrowieć wszyscy ludzie, od wszystkich nieuleczalnych ran, w Chrystusie wszystkie strapione i na śmierć chore dusze, mogą znaleść pokrzepienie, siły nowe, żywot i zbawienie. Nauka i umiejętność, wywody rozumu na tę chorobę człowiekowi nie pomogą, lecz jedynie, jak powiada sam Zbawca i pomocnik nasz, — wiara. Wiara tak wielkie rzeczy czyni. Kto w Niego wierzy, nie będzie osądzony. Kto w Niego wierzy, chociażby umarł, żyć będzie.

Tak najmilsi! Nie tylko przytoczone słowa, ale cała Biblia uczy zgodnie, że Bóg za grzesznego, a wskutek grzechu, mocy śmierci poddanego człowieka, Syna swego Jednorodzonego wydał na śmierć, a każdy, kto pragnie być wybawionym, wysłuchanym, uzdrowionym, musi — wierzyć weń. A cóż to znaczy wierzyć? Jestli wiara wiedzą o Tym, w którego wierzymy, przyswojeniem sobie pewnych zasad teologicznych, albo może mówieniem w biblijnych słowach, zwrotach i wyrazach? Bynajmniej! Uczeni tłomaczą w najróżniejszy i najsprzeczniejszy sposób, czem jest wiara, a przecież Pismo św. wyraźnie nam to objawia. Wiara nie jest wiedzą, bo i „djabli wierzą, że jest Bóg, a drżą." Pismo św. uczy: Wiara jest tęskliwem wyglądaniem Boskiej pomocy, serdeczną ufnością w moc i łaskę Bożą, ochotnem oddaniem się w Boską opiekę i opatrzność. Jako Mojżesz kazał Izraelitom wejrzyć na węża miedzianego, wywyższonego na drzewcu, tak Bóg każuje nam wejrzeć na Ukrzyżowanego. Tu jasno jest powiedziane, co to znaczy wierzyć. Najmilsi! niechże taką będzie nasza wiara. Nie szukajmy nigdzie pociechy i pomocy w utrapieniu dusz naszych, jak u Ukrzyżowanego. Gdyby Izraelici nie byli wejrzeli na węża miedzianego, byliby pomarli, — i my, jeżeli nie wejrzymy w wierze ku Ukrzyżowanemu, będziemy nosili z sobą niezagojone rany nasze i od nich pomrzemy. Najmilsi! nie możecie, czy też nie chcecie wierzyć? nie może się to zmieścić w głowie waszej, że Jezusowe rany, męka i śmierć mają pomódz wam, i mają zgładzić grzechy wasze? A przecież radno jest, abyście z wesołem i ufliwem sercem wierzyli. Czy nie byliby głupcami owi Izraelici, gdyby się byli trapili myślami, co im może pomódz on wąż miedziany, zamiast wejrzeć nań i być zdrowymi? Spoglądaj ty z wiarą ku Panu i Zbawicielowi twemu, mimo wątpliwości twego rozumu, abyś nie umarł ale żył. Więcej jak na przemądry twój rozum, zważaj ty na twoje sumienie, które się głośno domaga pojednania. U każdego człowieka w głębi duszy jest potrzeba pojednania, pragnienie, wzdychanie i szukanie za zbawieniem, czy sam potrzebę tę czuje i rozumie czy nie. W każdej duszy jest próżnia, którą tylko Chrystusem może być wypełnioną. A jeżeli jeszcze wątpisz, jeszcze jesteś niepewnym, weź Pismo św. i czytaj, przypatrz się osobie i życiu Chrystusa Pana, a potem uważaj, co ci powie twoje serce. Powie ci: Mąż ten nie kłamie. A ten mąż powiada: „Jako mojżesz węża na puszczy wywyższył, tak musi być wywyższony Syn człowieczy, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny." To jest krew moja za was wylana ku odpuszczeniu grechów. Jamci jest chleb on żywy, którym z nieba zstąpił; jeźliby kto jadł z tego chleba, żyć będzie na wieki, a chleb, który ja dam, jest ciało moje, które ja dam za żywot świata.

Tu jest koniec kazania mojego. Pełną prostoty jest prawda Pisma o grzechu i odkupieniu, prostem też jest moje kazanie. Jezus Chrystus jest prawda, droga i żywot. Wierz w Pana Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony ty i dom twój. Amen.

Klemens Boruta.

9) (Ciąg dalszy.)

Toż tam sześciu psów żywią i dla ciebie się znajdzie. Pobiegnij mała i spytaj jej, czy nie ma kwaśnego jabłka z kapusty, bo mi bardzo sucho w gębie.

Po wyjściu dziewczyny stary zapadł w większą maglinę. Narzekał, zdejmował sobie włos z serca, sprzedawał koszyki i częstował Borutę bułkami. Klemens nie mógł znieść tego majaczenia i wysunął się z izby. Przed domem spotkał rymarza, któremu bieda również dokuczać zaczęła.

No, stuknijmy się łbami i rozbijemy je — rzekł Klemens — bo już niema innej rady.

Ja idę do landrata, mówią, że rozdaje zapomogi.

Skądże?

Z Berlina przysłali.

Ha, pójdę i ja.

Poszli. Landrat mieszkał o milę drogi. Przed domem jego stała gromada ludzi, wynędzniałych, obszarpanych, drżących od zimna i chwiejących się od głodu. Szeptali oni coś znacząco między sobą. W duszę nowoprzybyłych wstąpiła nadzieja.

Żeby nie miał dać, toby nas nie wołał — mówiła jakaś kobieta.

Ale gdzież tyle zboża?

Pewnie w magazynach, tylko kwitki napisze.

Nareszcie wyszedł landrat.

Moi kochani — rzekł po niemiecku — bądźcie spokojni, wczoraj zdałem raport i wezwałem dla was pomocy.

Gromada zaczęła się rozchodzić.

A gdyby zajść do księdza — szepnął rymarz.

Dobrze — odpowiedział z rezygnacyą Boruta.

Przybyli na plebanię. Właśnie proboszcz wychodził z domu.

Czego to chcecie?

Porady, księże dobrodzieju — mówił rymarz — nie mamy co jeść, dzieci mrą z głodu.

Cóż ja wam poradzić mogę, moi kochani. Jeśli Bóg się nie zmiluje, człowiek nie pomoże. Cudu trzeba i cud będzie, boście tego godni. Niebo nie karze ze złości, ale z miłosierdzia. Ono nad wami się zlituje. Bóg was wszystkich policzył, nikomu zginąć nie da, gdy nie zechce. Modlę się za was.

Tyle pocieszyło głodnych to zapewnienie proboszcza, ile obietnica landrata. Obaj zdali raport, jeden do ministerium, drugi zaś do nieba, obaj zapowiadali pomoc, tymczasem . . .

Co robić teraz? — spytał Boruta po odejściu księdza.

Tak, chyba łeb o łeb rozbić — mruknął rymarz.

Klemens, przechodząc koło kuchni księdza, zatrzymał się nagle przed śmietnikiem. Między rozmaitego rodzaju obrzynkami i kośćmi leżała kupka kłów buracznych.

— Patrzcie — rzekł do rymarza — ksiądz miał jeszcze przeszłoroczne buraki, jak to w piwnicy wyrosły. Zda się na barszcz — co?

E, gdzieby . . .

Zda się, powtórzył Boruta i ziele zaczął zbierać. Napakowawszy niem kieszenie i zanadrze, pośpieszył z towarzyszem drogą do Nedzy. Jakkolwiek wyprawa ich była chybiona, powracali jednak nieco weselsi. O słowach księdza zapomnieli, ale przyrzeczenie landrata utkwiło im w pamięci.

Aby jakiś czas przebiedować — mówił Boruta — zanim komisya przyjedzie.

Mówią — dodał rymarz — że w sejmie za nami się upomną i że cesarz ileś tam tysięcy marek dla biednych ofiarował.

A no, to i dobrze; ale czy na taką moc ludzi wystarczy? Wszędzie głód, kiedy jeden w gębę kładzie, stu głodnych mu w oczy patrzy. Siądźmy Józefie, bo mi nogi omdlały.

Usiedli przy drodze.

Nie macie kawałeczka chleba?

I odkąd nie mam! Ledwie dzieci po kruszynie dostaną.

Tak nie było, nigdy jeszcze nie było.

Z trudem przywlekli się do wioski. W domu został Boruta nieprzytomnego Brzosta i płaczącą Marcysię.

Masz — rzekł do córki, wyjmując kły buraczne — gotuj teraz barszcz.

Nie umiem tatulu tego robić.

Gotuj tylko, głupia, samo się zrobi.

I zrobiło się rzeczświście samo, ale co — tego nawet Boruta powiedziećby nie umiał. Kły buraczane utworzyły jakąś bladoróżową masę i zabarwiły tymże kolorem wodę. Gdy Marcysia wylała odwar na miskę, ojciec jej zadumał się nad pytaniem, co właściwie jeść należy: kły, czy wodę. Skosztował — jedno i drugie bez soli, bez kwasu, bez żadnej doprawy było mdłem, obrzydłem. Klemens jednak, który od kilku dni, prócz mrożonego głodu, nic nie jadł, znalazł w tem smak przedziwny.

Soli tylko brak — rzekł. — Brzoście, napijcie się barszczu.

Jedzcie sami, moi drodzi. Jagna nie dała mi jabłek, w gębie gorzko, ale inaczej nie będzie.

Kapkę — namawiał Boruta.

Ha, daj my łyżkę.

Klemens wlał mu w usta trochę odwaru. Owczarz posmakował i splunął.

Mnie już nic nie dogodzi; zdaje mi się, że ciepła woda.

Jedz Marcysia — rzekł Boruta — widocznie łaknący tej ciepłej strawy.

Gdyby ją mógł sam pochłonąć! Widok wszakże wynędzniałego dziecia tłumił w nim głód, a budził ojcowskie przywiązanie.

Jedz prędko — naglił, jak gdyby chciał usunąć sobie z przed oczu pokusę.

Pokusa wszakże wyczerpywała jego cierpli-

wość. Warcząc przy misce, z której Marcysia pożądliwie jadła barszcz, wynagradzał sobie przynajmniej poświęcenie gniewem.

Nie śpiesz się tak, nikt cię nie odjada. Widzisz, szelmo, ojciec ci buraków przyniósł, a coś ty ojcu przyniosła? Piłaś mleko, a ja nic nie piłem. Skaranie moje! Żeby nie ty, nie zdychałbym z głodu. I nieboszczka przez ciebie zginęła. Ach, biedna ona moja, gdyby żyła, nie marniałby człowiek jak pies.

Boruta rzewnie zapłakał. Chociaż jego wyrzuty nie dodawały apetytu, Marcysia chciwie jadła. Gdy nareszcie przestała, ojciec pochwycił miskę, wypił z niej resztkę odwaru i zjadł pozostałe zielisko.

Marcysia, sprzątnąwszy naczynia, siadła pod zimnym piecem. Z bladej twarzy, z osłupiałych jej oczu widać było, że chciwie spożyty barszcz ją zemdlił. Jakoż zaczęła jęczeć, krztusić się i spluwać.

Nie mówiłem — krzyknął Boruta żebyś jadła wolno. Prosiak.

W tej chwili wpadł do izby rymarz.

Klemensie, żona mi tak zachorowała jak Maciejowa. Ma czerwone plamy, bredzi . . . Nie macie pod ręką jakiego lekarstwa?

Urągianiem było żądanie lekarstwa od tych, którzy jeść nic nie mieli. To też Boruta wzruszył ramionami.

Przez cały dzień również nikt drzwi nie uchylił. Nawet mały Wicek, który do starego Brzosta często przybiegał, zajęty płaczem przy chorej matce, ani razu się nie pokazał. Bieda Boruty znaną była we wsi, ale od czasu, jak przestała być wyjątkową, od chwili, kiedy głód i choroby spadły na większą część mieszkańców Nędzy, nie zwracano na niego szczególniej uwagi. Jednych pochłaniała własna niedola, drugich przerażała groźba zarazy — i dlatego nikt do domu Klemensa przez cały dzień nie zajrzał. Dopiero wieczorem, skłopotany chorobą żony rymarz przyszedł ulżyć smutkowi. Odrazu jednak spostrzegł, że tu pogasły wszystkie promienie nadziei i że nieszczęście rozpostarło swój mrok złowrogi. Pod piecem, na tem samem miejscu, gdzie padła, leżała nieprzytomna Marcysia, z której ust wydobywały się syczące oddechy. W kącie, na barłogu, rzucał się rozgorączkowany Boruta, trapiony jakiemiś widzeniami. Przy drugiej ścianie Brzost nie dawał znaków życia.

Klemensie, Klemensie! — zawołał rymarz.

Jest ktoś żywy? — odezwał się owczarz słabym głosem. — Kto to?

Ja.

Ty Józefie — o, mój drogi, co się dzieje? Słyszę jęki, krzyki i nie wiem, czy kogo zabili, czy kto umiera.

Klemens z córką chorzy.

Chorzy — powtórzył stary —. to już wszyskim koniec. Aby prędzej . . . aby prędzej . . . Czem my zgrzeszyli, że nas tak Bóg karze . . . Prosiłem Klemensa: dobij — nie chciał. Teraz niema nawet komu dobić . . . Straszna godzina! Jakie piekło być musi, kiedy taka ziemia. Nie masz ciepłej kropli, bo mi wnętrzności marzną?

Żona chora — odrzekł zrozpaczony rymarz, a usłyszawszy w swem mieszkaniu krzyk, wybiegł.

Brzost pozostał sam. Świszczące oddechy Marcysi, oderwane, dzikie słowa Klemensa, pobudzały co chwila imaginacyę opuszczonego starca, który powoli zapadał w stan nieprzytomnego rozdrażnienia. Silna gorączka zaczęła go coraz bardziej rozstrzajać.

Nie wypędzę owiec — mówił w malignie — bo duża rosa . . . Klein mnie wypędzi . . . Burek, do nogi . . . podły pies . . . poczciwy . . . zdechł . . . z głodu . .! Brzost sam nie miał chleba, jemu nie dał . . . Ślepy, świata nie zobaczy, własnych rąk swoich nie widzi, któremi koszyki pleść musi . . . Dobij maro . . . ja się sądu ostatecznego nie boję. Z ciałem nie wstanę, bo uschło . . . Ps! licho, nie pokazuj mięsa, bo to glina . . . Brzost chory, ale nie głupi . . .

Tak długo jeszcze bredził dogorywający starzec. Omdlałe wreszcie usta zaczęły wyszeptywać niezrozumiałe dźwięki, potem tylko drgały niemo . . . usnął.

Na drugi dzień po Nędzy przebiegła wieść o przyjeździe lekarza, który miał sprawdzić stan zdrowia wsi, i landrata, który przywiózł zebraną na prędce z ofiar jałmużnę. Skupiła się też przed dworem gromada obdartych, wynędzniałych biedaków, wyczekując wsparcia i porady. Po porozumieniu się z rządcą obaj urzędnicy postanowili przedewszystkiem odbyć rewizyę mieszkań. Dom Boruty stał pierwszy przy drodze od dworu, do niego więc naprzód wstąpiła komisya, której towarzyszył orszak nędzarzów. Gdy lekarz otworzył drzwi, przed oczyma obecnych odsłonił się bolesny widok. W zimnej, z wszelkich sprzętów ogołoconej izbie, leżały trzy wyschłe, nieodziane, okropną woń ziejące ciała. Lekarz obejrzał dziewczynę, potem Klemensa, a wreszcie przystąpił do Brzosta.

Stary umarł — rzekł opuszczając zimną rękę owczarza, która bezwładnie opadła.

Wczoraj jeszcze żył — wtrącił rymarz, który się ze swej izby wysunął.

Trzeba go wynieść — mówił doktór — bo powietrze zarażą.

A co tym jest? — spytał landrat.

Genius epidemicus. Co tu myśleć o zdrowiu? Gdyby ich dziś na nowo stworzyć, jutroby pomarli.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 21.
Niebo, ziemia, wiatr, noc.

Zagadka.

Baba się mozoli, gdy igłę nawłóczy;
Chłop szyje bez igły, choć się szyć nie uczy.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej".

Nr. 23. | Ełk, na niedzielę dnia 22 sierpnia. | 1897.

Dziesiąta niedziela po św. Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

„Wysławiaj dusza moja Pana, i wszystkie wnętrzności moje imieniowi Jego świętemu", — albowiem Pan wielkie rzeczy uczynił ze mną, za Jego łaskawą wolą jestem pośród was aby wam opowiadać słowo Boże. On mię przywrócił z dalekich stron do ojczyzny, On wysłuchał prośby serca mojego. Znowu stoję na kazalnicy tej świątyni, gdzie zostałem ochrzczony, znowu mam być szafarzem tajemnic Bożych przy tym ołtarzu, u którego zostałem ordynowany — to jest zapewne wielka łaska Boża, która wzrusza serce moje, a którą wysławiać muszą wargi moje. A chwalić i wysławiać Pana mam nietylko w komorce mojej, lecz także pośród was, bom na to powołany jako kaznodzieja. Dla tego potrzeba, abyśmy się z sobą porozumieli, abyśmy sobie, acz się od dawna znamy, popatrzyli w oczy i zawarli z sobą przymierze, na które niechaj Bóg wszechmogący powie swoje Amen. W tym celu chcę w tem mojem wstępnem kazaniu na podstawie przeczytanych słów św. Jana, z pomocą Ducha św. wyłożyć:

Co i w jakim celu sługa Boży powinien zborowi Bożemu zwiastować?

1.

Co sługa Boży powinien zborowi swemu zwiastować, naucza nas św. apostoł Jan temi słowy: „Cośmy widzieli i słyszeli, to wam zwiastujemy." A cóż to święci apostołowie widzieli i słyszeli? Jan św. pisze w swojej Ewangelii: „Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami, i widzieliśmy chwałę Jego, chwałę jako Jednorodzonego od Ojca, pełne łaski i prawdy." Inny zaś apostoł wyznał: „Tyś jest Chrystus, On Syn Boga żywego." Niewierny zaś Tomasz rzekł: „Boże mój i Panie mój." A potem — potem wszyscy uczniowie są „jednomyślnie pospołu i stał się z prędka z nieba szum i napełnieni są wszyscy Duchem św." Bojaźliwi każą jako moc mający, wzgardzeni nauczają królów, mała garstka wyrasta w zbór, zbór wyrasta w kościół, który obejmuje miliony, ogarnia całe ludy i narody, karmi wysokich i niskich, zgromadza rozproszone, zawiązuje zranione, pokrzepia słabe, a to wszystko w imieniu Jezusa ukrzyżowanego. Święci apostołowie i szafarze tajemnic Bożych wiele wycierpieli opowiadając Ewangelię. Sieczeni rózgami, kamionowani, w niebezpieczeństwie między żydy i pogany, w pracy i utrudzeniu przecież nie ustali, albowiem moc Boża okazuje się w słabości.

To samo powołanie, opowiadać Chrystusa Pana, mamy i my kaznodzieje słowa Bożego. Powinniśmy wam Ewangelię zalecać, środki łaski Bożej podawać, słowo opowiadać, nalegać w czas albo nie w czas, strofować i napominać ze wszelką cierpliwością i nauką, bez względu na osoby, nie dla zysku, ale dla rozkazu arcypasterza dusz naszych: Idźcie na wszystek świat i opowiadajcie Ewangelię wszystkiemu stworzeniu." Bez tego powołania i ustanowienia Chrystusowego, czemżebyśmy byli? Bez tego Jego pełnomocnictwa, cóżbyśmy poczęli między wami? Lecz On, Chrystus Pan, kładzie łaskę pasterską w serce nasze, i naszym obowiązkiem jest paść owieczki Chrystusowe. My nie jesteśmy urzędnikami, nie tylko nauczycielami, ani też panami zborów, lecz pasterzami, pasterzami dusz waszych, a dla tego nie możemy wykonać urzędu naszego z własnej mądrości i mocy, lecz jedynie w Jego mocy i imieniu. „Cośmy widzieli i słyszeli, to wam zwiastujemy", pisze św. Jan. Jeżeli nie możemy z całego serca wtórować tym słowom, t. j. jeżeli nie wierzymy, iż w żadnym innym nie ma zbawienia, ani żadnego innego imienia nie ma danego ludziom, w którymby mogli być zbawieni, oprócz tego imienia Jezus Chrystus — w ten czas nie pasiemy owieczek Chrystusowych, ale je tylko poganiamy, nie budujemy kościoła lecz burzymy go, nie zawięzujemy ran ale je jątrzymy, nie jesteśmy sługami Bożymi ale sługami i niewolnikami świata.

Lecz czyż ...ożemy istotnie rzec z Janem apostołem: „Cośmy widzieli i słyszeli, to wam zwiastujemy"? Zapewnie, że możemy — kto nie może, ten najemnikiem jest — albowiem co mamy zwiastować, jest w Biblii napisano. W słowie Biblii widzimy i słyszymy Chrystusa w żłobie Betleemskim, na puszczy, w Ogrojcu i na Golgocie, słyszymy nauczającego a widzimy czyniącego cuda, umierającego, zmartwychpowstałego i w niebo wstępującego. Tego to Chrystus, słowo, które się stało ciałem, prawdziwego Boga i człowieka,

Baranka Bożego, który gładzi grzechy świata, sędziego żywych i umarłych, najwyższą miłość Bożą, mamy wam opowiadać, nie tylko ustami, urzędownie, według zwyczaju, ale w wierze i miłości, w Duchu św. Tego Chrystusa, z Ojca w wieczności urodzonego a z Maryi Panny narodzonego, który za grzechy świata ukrzyżowany, wstał z martwych trzeciego dnia, tego Chrystusa i Boga, Ojca Jego, tudzież Ducha św. chcę i ja wam opowiadać. Ten Bóg w Trójcy św. — oto hasło moje, oto okrzyk mój wojenny między wami. Jezus Chrystus wczoraj i dziś i tenże sam aż na wieki. On naszą tarczą i obroną, On mojem kazaniem, On naszym początkiem i końcem. Boga i słowo Jego, to a nic innego, ja sługa Boży, mam wam opowiadać. Wyznanie naszego kościoła, który tu na ziemi nosi imię kościoła luterskiego, jest także mojem i waszem wyznaniem, nie śmiem tedy od wyznania tego odstępować, takowego zmieniać, co innego wam opowiadać, oprócz objawionego słowa Bożego, nie śmiem też innego z wami zawierać przymierza, jeno przymierze w imieniu trójjedynego Boga.

2.

A w jakim celu dzieje się to zwiastowanie? Tego uczą nas znowu te słowa św. Jana: „Abyście i wy z nami społeczność mieli.“ Na czemże zaś polega owa społeczność? Czy na tem, że wy przychodzicie do tego kościoła, a ja wstępuję na tę kazalnicę? Czy na tem, żeście wy mnie wybrali, a ja podpisałem wokacyą? Są ci te zewnętrzne znaki kościelnej społeczności potrzebne, niezbędne, ale niedostateczne. Słuchajcie, czego potrzeba do prawdziwej społeczności między nami: „A społeczność nasza aby była z Ojcem, i z Synem Jego, Jezusem Chrystusem.“ Układ, mocą którego ta społeczność jest zawarta, nie jest pisany inkaustem ani na papierze, ale krwią Pana naszego, Jezusa Chrystusa, w dzień chrztu naszego, albowiem którzykolwiek jesteśmy ochrzceni, w śmierć Chrystusową jesteśmy ochrzceni. Tak najmilsi! słowem swojem „idźcie na wszystek świat i nauczajcie wszystkie narody, a chrzcijcie je w imieniu Boga Ojca i Syna i Ducha św.“ Chrystus Pan nie tylko ustanowił urząd kaznodziejski, ale też kaznodzieje i słuchacze słowa spoił i złączył w jednę ścisłą, nierozerwalną społeczność. Społeczność tę św. Paweł apostoł tak opisuje: „Przez jednego Ducha my wszyscy w jedno ciało jesteśmy ochrzczeni, a wszyscy napojeni jesteśmy w jednego Ducha,“ a zaś tego ciała głową jest Jezus Chrystus. Przez chrzest więc i wieczerzę Pańską jesteśmy jedną społecznością. Wy i ja jesteśmy tej społeczności członkami. Jako więc ciało różne ma członki, które acz różne jedno tworzą ciało i nawzajem sobie służą, tak też w zborze bogaci i ubodzy, uczeni i prostacy, kaznodzieje czy kościelny, nauczyciele i uczniowie są jednym ciałem, a głową ciała Jezus Chrystus. Wam to przypominać i każdego napominać, aby społeczność nasza nie była z Belialem, z grzechem, ale z Ojcem, Synem i Duchem św. — to urząd mój i powinność moja.

Tu otwiera się przed nami szerokie pole duszpasterskiej pracy, pole cierniem zarosłe, ale które należy uprawiać, choćby się serce krwawiło, oko płakać musiało łzy żalu i boleści. Chwasty grzechu trzeba wykorzenić, dobry bój wiary trzeba bojować. Tak najmilsi! sługa Boży musi wam wskazać, żeście przez chrzest przyjęci do społeczności Bożej, żeście drogo kupieni, nie złotem ani srebrem, ale drogą i świętą krwią Chrystusową, abyście byli jego własnością, w Jego królestwie pod Nim żyli, w wiecznej sprawiedliwości, czystości i błogości. Tak! wy macie Panu służyć, a my, my słudzy Boży, mamy was do tego pobudzać, do społeczności z Bogiem was zapraszać, mówić do was słowa miłości, pociechy, nadziei i wiary, lecz niemniej słowa strofowania i napominania. „Jeżelibyśmy rzekli, iż grzechu nie mamy, sami siebie zwodzimy, a prawdy w nas nie masz.“ Musimy zbór pocieszać i napominać, karcić i strofować, ponieważ jest zborem Bożym, ponieważ go sobie Syn nabył, ponieważ go Duch św. przez Ewangielią powołuje. Nie wolno nam milczeć, musimy mówić, ostrzegać, świadczyć i napominać: „Macie mocną mowę prorocką; której pilnując jako świeci w ciemnem miejscu świecącej, dobrze czynicie.“ Jeźli tak nie czynimy, tedy niezadbujemy nasz urząd pasterski i spełni się nad nami groźba: „Gdybym Ja rzekł niepobożnemu: śmiercią umrzesz, a nie napomniałbyś go, i nie mówiłbyś, abyś go odwiódł od niezbożnej drogi jego, tak żebyś go przy żywocie zachował tedo onci niebożny w nieprawości swojej umrze: ale krwi jego z ręki twojej szukać będę.“ Z ręki naszej będzie żądał Pan krwi niezbożnego, któregośmy nienapomnieli — czyż możemy milczeć, czyż śmiemy oczy nasze zawrzeć, czyż nie musimy stać bezustannie na straży? Zborze Chrystusów! nie możesz ty chcieć, żebyśmy cię zaniedbali, żebyśmy cię z bojaźni przed światem, lub dla przypodobania się światu, prowadzili zamiast do Ojca światłości, do ojca kłamstwa. Pan zaprasza: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a Ja wam sprawię odpocznienie. Weźmijcie jarzmo moje na się, a uczcie się ode Mnie, żem Ja cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpoczynienie duszom waszym.“ Tak i ja, sługa tego Pana, proszę was: przyjmijcie Go, bogacze i nędzarze, dziateczki i dorośli, młodzieńce i starcy, przyjmij Go zborze cały, boć On jest słońcem sprawiedliwości, światłością świata, a „jeźli w światłości chodzimy, jako On jest w światłości, społeczność mamy między sobą, a krew Jezusa Chrystusa, Syna Jego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.“

Społeczność ta istnieje też i pomiędzy nami, dostojny pasterzu kościoła całego kraju, Najprzewielebniejszy księże Generał = Superintendencie. Społeczność ta niechaj będzie i między nami Przewielebny księże Superintendencie, a oraz bracie i współpracowniku w tej winnicy Pańskiej. Jednego Pana mamy i Zbawiciela Jezusa Chrystusa, oby nam obom pomagał wykonać święty urząd nasz i paść trzodę Jego. Społeczność ta niechaj łączy nas, wy Starsi i Przełożeni zboru, wy nau=

czyciele młodzieży, którym Pan oddał dzieci swoje, a powiedział to uwagi godne słowo: Takich jest królestwo niebieskie. Społeczność ta niech w końcu łączy mię i z wami, którzy w imieniu Boga i cesarza spełniacie urząd zwierzchności w tej gminie, w tem mieście i państwie. Świadomość tej spajającej nas w jedno ciało społeczności niechaj że mi otworzy wasze serca, wielkich i małych, panów i sług, ojców i matek, majstrów i czeladników, obywateli w mieście i na wsi. A wy, co nic nie nazywacie swojem własnem na tym świecie, tylko wasze serce, otwórzcie mi to serce, i przyjmijcie to słowo, które wam będę opowiadał. Tak! wszystkich was proszę, proszę i błagam w imieniu Pana naszego Jezusa Chrystusa, otwórzcie mi serca wasze a pomagajcie mi przez modlitwy wasze. Ja wam słowo Boga naszego będę opowiadał z tego tu miejsca, zanieściez je stąd do domów, do rodzin waszych, — ja wam chcę służyć dla Jezusa Chrystusa, służcież i wy temu wiernemu Panu, świętemu Synowi Bożemu!

Tak Panie i Boże! chcę Tobie służyć na tem świętem miejscu. Lecz czemże jest moje chcenie, daj ty wykonanie, nie odstąp ode mnie miłosierny Boże, oświeć i poświęć mnie Boże Duchu święty, Pasterzu dusz naszych Jezu Chryste zmiłuj się nad tym zborem Twoim. Sam mi opowiedz słowo Swoje, a pomóż mi je opowiadać. Wszechmocny Panie i Boże! będę-li sługą Twoim w tym zborze krótko czy długo, na długie lata, czy też tylko na dni niewiele, będzie-li droga moja tutaj drogą boleści czy radości, chwały czy poniżenia, pomóż mi tylko opowiadać słowo Twoje, ostrzejsze od miecza obosiecznego, pomóż mi opowiadać moc i chwałę Syna Twego Jezusa Chrystusa, w sile i mocy, w wierze i miłości. Panie, Ty masz klucze Dawidowe, otwórz serce tego zboru, a nikt go nie zamknie. Amen.

Klemens Boruta.

10) (Dokończenie.)

Z kolei opatrzono drugą stronę domu.

Genius epidemicus — powtórzył lekarz, wychodząc, i z całym orszakiem udał się do następnej chaty.

Rezultatem tego śledztwa było zawiązanie z kilku włościan tymczasowego towarzystwa, które przed nadejściem energiczniejszej pomocy miało opiekować się chorymi i rozdzielać zapomogi między głodnym. Tak więc Boruta z córką dostał się pod jakąś opiekę. Tegoż jeszcze dnia wyniesiono na cmentarz ciało Brzosta. Gdy zabijano jego prostą, ze starych desek zrobioną trumnę, zbudzony na chwilę Klemens otworzył wystraszone oczy, chciał powstać, zabełkotał coś i znów wpadł w nieprzytomność. Kiedy wynoszono starca, tylko mały Wicek odprowadził go za bramę, wołając z płaczem.

Dziadku, dziadku! Koszyki! . . .

Czy sądził, że go tym ostatnim wyrazem prędzej zawróci?

Niech czytelnik wszakże nie sądzi, azeby po odwiedzinach komisyi warunki życia, a raczej choroby Boruty i jego córki zupełnie się zmieniły. Bynajmniej. Wprawdzie najęta przez „towarzystwo" baba zamiotła izbę, rozebrano i oczyszczono chorych, dano im po troszę przywiezionego z fabrycznej apteki kalomolu, ale o żadnem pielęgnowaniu nie mogło być nawet mowy. Za dużo było we wsi chorych i obawiających się zarazy. Wkrótce bowiem genius epidemicus znany był w polskim przekładzie i ludność wiedziała, co jej grozi. Przyjechał do Nędzy felczer, ale ten zaledwie raz dziennie odwiedzał cierpiących. I cóż to był właściwie ów genius epidemicus? Już w piątym dniu słabości Boruty i jego córki uważne oko mogło na całem ich ciele, z wyjątkiem twarzy, dostrzedz tak zwaną różyczkę — z początku bledsze, później coraz barwistsze, czerwone plamy, będące charakterystycznym znaliem tyfusu wysypkowego, owego nieodłącznego towarzysza wielkich głodów. Po upływie tygodnia Boruta odzyskał napozór przytomność, bo mówił, odpowiedzi wszakże jego, połączone z silnymi napadami magliny zdradzały zupełny rozstrój umysłowy. Przytem tak ogłuchł, że dźwięki nawet silnego głosu z trudnością doń się przedostawały. W drugim tygodniu choroby przedstawił on postać palącego się w gorączce kloca. Język mu osłupiał, oczy się przekrzywiły, gardło grało rzężeniem, dziąsła i zęby pokryły się kleistym osadem, nozdrza — sadzą. Leżał ciągle na plecach z oczyma przymkniętemi, mrucząc niezrozumiałe słowa.

W podobnym, a może jeszcze okropniejszym stanie znajdowała się Marcysia. Stary felczer, który na ten raz przyznawał sobie szczególniejszą znajomość „petoci", znacząco nad nią kiwał głową.

Czort wie — mówił — jakiej choroby tu nie ma. Cała orkiestra.

Rzeczywiście, w piersiach dziewczyny grała cała orkiestra rozmaitych skrzeczących i świszczących skrzypień. Ani razu od dwóch tygodni nie odzyskała przytomności. Z ruchów jej tylko można było poznać, że cierpi silny ból głowy i piersi. Wyszła tak, że pod skórą odbijały się lekkie wypukłości kostne. Opiekująca się chorymi baba, spostrzegłszy, że mała zaczęła się nagle rzucać bezprzytomnie, zauważyła:

Śmierć pewnie widzi.

Niepokój ten ustał, ale chora widocznie zapadła w większą niemoc. Nareszcie jednego dnia felczer, przyszedłszy rano, obejrzał ją i rzekł do baby.

I tę możecie już wynieść.

Umarła. Zgodnie z przepisami sanitarnemi uprzątnięto ją natymiast. Gdy grabarz zabijał trumnę, Boruta znowu otworzył błędne oczy, popatrzył na nią, zdawał się coś pojmować, chciał jakiś głos wydać, ale zakaszlał się i padł na posłanie. Mruczał potem długo. Marcysi nie odprowadził do wrot nawet Wicek, bo i on był już chory.

Pozostał w izbie sam tylko Boruta, ciągle nie przytomny. Zapewnie i on niedługo za przyjacielem i córką podąży?

We dwa dni po drugim pogrzebie, felczer zauważył silne opadnięcie gorączki u chorego zblednienie plam i poty.

Tego zgryźć niełatwo — szepnął.

Boruta ciągle spał, nie snem jednak gorączkowym, obezwładniającym, ale jakimś głębokim i zdrowym. Co kilka godzin budził się i objawiał żądania sposobem, ujawniającym powrót przytomności. Powoli znikły z ust, języka i nosa chorobliwe znamiona. Trwało to przeszło tydzień.

W ciągu tego czasu zaszły ważne zmiany. Szeroko rozniesiona wieść o głodzie na Szląsku wywołała w Niemczech i po za ich granicami hojne ofiary, których część spłynęła i do Nędzy. Zawiązane początkowo „towarzystwo" rozszerzyło się znacznie i pozyskało środki pomocy biednym. Zwłaszcza dary i składki z Królestwa Polskiego, przesyłane do komitetów głodowych, spadły na Nędzę jak cudowne zbawienie. Dzięki im Boruta leżał w opalonej izbie, dostawał potrzebne lekarstwa i pokarmy, miał świeżą słomę, czystą bieliznę i ciepłe okrycie, czego nie doczekali Brzost i Marcysia.

Jednego poranku, chory po długim, pokrzepiającym śnie otworzył oczy, rozejrzał się po zmienionej izbie, powiódł okiem po flaszce z lekarstwem, swojej odzieży i palącym się ogniu, aż wreszcie zatrzymał je na łamiącej drewna kobiecie. Widocznem było, że nie rozpoznaje swego położenia, że mu się dziwi i zbiera rozproszone myśli.

To wy Rafałowa? — zapytał drżącym głosem.

Ja — a czego to?

Gdzie Marcysia?

Oho! wysoko. Modli się za was.

Umarła? — krzyknął Boruta.

I lepiej.

Głęboki, rozpaczliwy jęk wydobył się z piersi Klemensa, który zamknąwszy cieknące łzami oczy, leżał długo niemy.

Brzosta wyrzucili?

Wrzucili . . . do grobu.

Boruta znowu zamilkł i zapadł w stan bezwładności. Zaczął na jawie, czy we śnie majaczyć i głośno szlochać. Podczas płaczu wymawiał ciągle imię córki i owczarza, skarżył się i żalił.

Felczer znalazł go bardziej osłabionym i rozgorączkowanym.

Czy nie zjadł czego?

Nie — odrzekła Rafałowa — dowiedział się, że córka i owczarz umarli.

Przez kilka dni trwał stan niezdecydowany. Nareszcie Boruta obudził się. Patrzył jak wprzódy, rozglądał się, ocierał łzy i milczał. W końcu spytał:

A kto też, moja Rafałowa, uratował mnie i dał to wszystko?

Chyba komisya, ksiądz albo landrat — odrzekła.

Ksiądz albo landrat? — powtórzył Klemens.

Ano juści, przecież to do nich przysyłają pieniądze z zagranicy . . . z Warszawy . . . polaki. Wszystkim głodnym dają, nietylko wam.

Polaki — szepnął Boruta zdziwiony, utkwił nieruchomo oczy w przestrzeni i myśleć zaczął. O czem? Mówić nie będę, to tylko dodam, że blada jego twarz drgała silnem wzruszeniem. Nawet i dziś, gdy wyzdrowiał i do nowej, ostatniej walki z życiem się gotuje, zdaje się jeszcze dumać o tem, co mu Rafałowa powiedziała.

Koniec.

Hymn do Jezusa.

Takim jak jestem — bez obrony w niebie,
Prócz krwi Twej dla mnie wylanej przez Ciebie,
Chętnie w tem Twoje spełniając rozkazy,
Przychodzę do Cię — Baranku bez zmazy.

Takim jak jestem — nie czekając dłużej
Aż duszę moją oczyścisz z kałuży,
Krwią twą, co wszystkie obmywa z zarazy,
Przychodzę do Cię — Baranku bez skazy.

Takim jak jestem — choć ciągle miotany,
Walką zwątpienia — i grzechem spętany,
Pragnąc wyzwolić się z szatańskiej siły,
Przychodzę do Cię — o Baranku miły!

Takim jak jestem — zły, ślepy i lichy,
Chwiejna ofiara umysłowej pychy,
Oddany żądzy, co mą duszę trwoży,
Przychodzę do Cię — o! Baranku Boży!

Takim jak jestem — wszak mnie nie odrzucisz,
Krzepiąc me kroki, ku niebu je zwrócisz,
Gdy ufny w Twojej obietnicę pieczy,
Przychodzę do Cię — Baranku człowieczy!

Takim jak jestem — miłość mnie wyzwoli,
Miłość Twa zwalić zapory pozwoli, —
Wzajem — chcąc całkiem należeć do Ciebie,
Przychodzę do Cię — o! Baranku w niebie!

W dowód, iż duch mój całą siłą wierzy,
W łaskę twą, której myśl ludzka nie zmierzy,
Wolną dla Ciebie miłością przejęty,
Przychodzę do Cię — o! Baranku święty!

Rozwiązanie zagadki z nr. 21.
Dach poszywany snopkami.

Zagadka.

Przejechała niemka —
Czerwona sukienka;
Jak ją rozbierali,
To nad nią płakali.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej.“

Nr. 24. | Ełk, na niedzielę dnia 5 września. | 1897.

Dwunasta niedziela po św. Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

List św. Pawła 2. do Koryntów, r. 3., w. 4—11.

„A takieć ufanie mamy przez Chrystusa ku Bogu, nie iżebyśmy byli sposobni, co myśleć sami z siebie, jako sami z siebie, ale sposobność nasza z Boga jest; który nas też uczynił sposobnymi sługami nowego testamentu, nie litery, ale Ducha; albowiem litera zabija, ale Duch ożywia. Bo jeźlić posługiwanie śmierci literami wyrażone na tablicach kamiennych było chwalebne, tak iż synowie izraelscy nie mogli śmiele patrzyć na oblicze Mojżeszowe dla chwały oblicza jego, która miała być skażona: jakoż daleko więcej usługiwanie Ducha nie ma być chwalebne? Bo jeźlić usługiwanie potępienia było chwalebne, daleko więcej usługiwanie sprawiedliwości obfituje w chwale. Albowiem i to, co chwałę miało, nie miało chwały w tej części, co się tknie onej przewyższającej chwały. Bo jeźlić to, co niszczeje, było chwalebne, daleko więcej to, co zostaje, jest chwalebne.“

W drugiej połowie roku kościelnego obejmującej niedziele po św. Trójcy, uczą nie omal wszystkie Lekcye i Ewangielie, jak powinna się objawić wiara w życiu ludzi, czyli jak ci, co wierzą w Jezusa Chrystusa Syna Bożego powinni po bosku, po chrześciańsku i świętobliwie żyć. Bo prawdziwa wiara nie może być martwą. Prawdziwa wiara objawia się na zewnątrz jako miłość, a miłość jest czynna i działa, miłość cierpi i znosi, przenika serce i poświęca wewnętrznego człowieka. Taka wiara jest, jak powiada apostoł Paweł, ze słuchania kazania, lecz nie kazania ludzkiej mądrości ani kazania zrobionego według reguł i przepisów sztuki, lecz z kazania czystego i jasnego słowa Bożego, słowa Pisma, Ewangielii. Przeto jest to istotną prawdą, iż gdzie słowo nie bywa kazane, nie bywa czyste i nie fałszowane zwiastowane z kazalnicy, w szkole i w nauce, albo gdzie się wszelką wagę przywięzuje do zewnętrznych kościelnych porządków, gdzie się rozliczne nabożeństwa wymyśla, ale słowo Pisma zaniedbuje, nie każe go, nie buduje na jego gruncie wszystkich kościelnych urządzeń, tam nie ma żywota z Boga, tam może być pozór świętobliwości, ale niema Chrystusa.

O takiem na zewnątrz tylko obliczonem życiu mówi Jan w Objawieniu, gdy opisuje zbór w Sardziech, który miał imię, że żyje, ale był umarły; taki zewnętrzny żywot ganią apostołowie, a Chrystus go potępia u faryzeuszów. Albowiem ci, którzy są ochrzczeni w imię Boga, w Trójcy jedynego, powinni nie tylko imię mieć, że są dziećmi Bożemi, ale powinni niemi być i jako dzieci Boże żyć, powinni Chrystusa mieć nie tylko w ustach i pamięci, ale w sercu; Chrystus musi być ich żywotem, drogą i prawdą. Abyśmy zaś taki żywot mieli, ku temu zaiste nie wystarczy, że kazania Ewangielii uszyma słuchamy, słowo Pisma oczyma czytamy, porządku w Nowym Testamencie przepisanego pozornie przestrzegamy; powtarzam, to wszystko nie wystarcza, bo litery, słowa, zdarzenia, których słuchamy i które czytamy, jeżeli z Pisma nie wnijdą do naszego serca i nie przeniknął go, pozostaną dla nas martwe, będą jako nasienie, które padło na opokę. Duch Boży musi nas oświecić, Duch wiodący we wszelką prawdę musi w nas być, bo wtedy tylko wtedy, będzie w nas żywot duchowy, żywot z Boga. To nam zwiastuje dzisiejsza Ewangielia, z której tego nauczyć się chcemy, że

Litera zabija, ale Duch ożywia.

Ty zaś, o Panie, Boże nasz, użycz Twej łaski, aby gdy słowo Twoje rozważamy, duch Twój nas oświecał. Panie Boże, Ojcze niebieski, stwórz w nas serce czyste, a ducha prawego odnów we wnętrznościach naszych. Wysłuchaj nas, dla Jezusa Chrystusa, Syna Twego miłego. Amen.

„Litera zabija, ale Duch ożywia,“ mówi apostoł Paweł. O jakie to piękne słowo, ale jakże go haniebnie nadużywano i fałszywie wykładano używając go za hasło w boju przeciwko Pismu świętemu i przeciwko Bogu. Bo temi słowy apostoła chciano dowieść, że Biblia jest jak inna zwykła książka, którą można wykładać, jak się komu podoba; chciano dowieść, że nie trzeba się trzymać słowa, jak tam napisane stoi, ale że można mu podsuwać swe własne myśli; że można przyjąć jako słowo Boże wszystko, co dla nas wygodne, co może być pokrywką grzechowi, co sprzyja naszym planom i zamiarom, a wszystko inne odrzucić jako martwą literę. Taki sposób i postępowanie nazwano wykładniem według ducha, wykładaniem, jakie jedynie odpowiada wielkiemu postępowi wieku i ludzkiego rozumu. To też gdy Marcin Luter zwiastował usprawiedliwienie z

wiary i przez wiarę w Chrystusa, gdy uczył, że w ś. komunii jest prawdziwe ciało i prawdziwa krew Chrystusowa, chciano go zwalczać twierdząc i głosząc, że Biblii nie można wykładać według litery ale według ducha. A dziś, dziś też świat odrzuca wszystko, co w Biblii napisane, a co się nie zgadza z jego zapatrywaniami, ale owszem im się sprzeciwia i potępia je; dziś też mówi: Precz z tem, bo to litera, która zabija, my trzymamy się ducha, który ożywia.

Ale — a to jest wielkie ale — jakiegoż ducha ma apostoł Paweł na myśli, gdy pisze, że duch ożywia? Zaiste nie tego ducha, który w nas mieszka, nie naszej mądrości ani naszego rozumu, nie ducha tego świata, ani w ogóle ludzkiej roztropności, gdyż mówi w dzisiejszej Lekcyi: „A takieć ufanie mamy przez Chrystusa ku Bogu. Nie izbyśmy byli sposobni, co myśleć sami z siebie, jako sami z siebie, ale sposobność nasza z Boga jest", a w liście do Rzymian (r. 7., w. 18.) pisze: „Wiem, że nie mieszka we mnie, to jest w ciele mojem, dobre." Duch tedy, o którym mówi, który dawa żywot i ożywia, nie jest duch ludzki, ale Duch Boży, którego Chrystus obiecał, i który nas ma wieść we wszelką prawdę; to jest ten Duch, którym pędzeni będąc apostołowie i prorocy mówili; Duch, o którym Jezus mówi, że się z Niego na nowo narodzić mamy; to jest ten Duch, przez którego, gdy się mu prowadzić damy, jesteśmy dziećmi Bożemi. Ten Duch ożywia, bo przychodzi od Boga żyjącego, ten Duch jedynie może nas oświecić i wieść we wszelką prawdę, bo On jest Duch prawdy. Ten Duch wodził apostołów i proroków, przez Niego oświeceni spisali objawienie, które im się stało od Boga, — a przeto, co oni pisali, litery Pisma świętego, nie mogą być zrozumiane tylko rozumem ludzkim, lecz by je zrozumieć i pojąć, potrzebujemy świętego Ducha Bożego. Bez tej pomocy możemy Pismo św. czytać i rozważać, treść jego zachowamy w pamięci, ale słowo Biblii nie stanie się nam słowem żywota, ale będzie i zostanie martwą literą.

Takie wtedy jest znaczenie słowa apostolskiego: „Litera zabija, ale Duch ożywia." Dalej mówi Paweł: „Bo jeźlić posługowanie śmierci literami wyrażone na tablicach kamiennych było chwalebne, tak iż synowie izraelscy nie mogli śmiele patrzyć na oblicze Mojżeszowe, dla chwały oblicza jego, która miała być skażona: jakoż daleko więcej usługowanie Ducha nie ma być chwalebne?" Tu mówi apostoł o obu Testamentach, o Starym i Nowym, o usługowaniu Mojżeszowem i apostołów, o zakonie i Ewangelii. Apostoł nie nazywa zakonu martwą literą, ale usługowaniem potępieniu, gdyż zakon wyrażony na tablicach kamiennych nakazywał człowiekowi: To i to będziesz czynił, a kończył się groźbą, że śmiercią umrze, kto przestąpi jedno z tych przykazań. Tak tedy zakon był usługowaniem zwiastującym potępienie. W Starym Testamencie nie było prawdziwego odpuszczenia, bo ofiary według listu do Żydów sprawiały tylko cielesne, zewnętrzne oczyszczenie. Ale w Chrystusie Jezusie jest odpuszczenie grzechów, przeto zwiastowanie Chrystusa zowie się usługowaniem sprawiedliwości. On jest od wieków prawdziwy Bóg, Jego chwała przewyższa wszystkich kapłanów i ofiary i obrządki Starego Testamentu, których chwała blednieje przed Chrystusem. Przeto mówi apostoł w Lekcyi dzisiejszej: „Albowiem i to," to jest Stary Testament, „co chwałę miało, nie miało chwały w tej części, co się tknie onej przewyższającej chwały," to jest chwały Chrystusowej i usługowania Nowego Testamentu. „Bo jeźli to, co niszczeje było chwalebne, daleko więcej to, co zostawa jest chwalebne." Stare przymierze ustało, zniszczało, bo było tylko jakby zakładem przygotowawczym. Początkiem i końcem nowego przymierza jest sam Syn Boży, w którym mieszka wszystka zupełność Bóstwa cieleśnie. Ponieważ Chrystus jest prawdziwym Bogiem, przeto wszystko, co czynił począwszy od chwili, której na krzyżu umarł, aż do chwili, której usiadł na tronie chwały, wszystko ma nieskończoną, wieczną wartość. Tu niema znikomej litery, nic na pewien czas tylko przeznaczonego, wszystko trwa na wieki i wszędzie. Tak jak nam uzyskał wieczną sprawiedliwość, iż bez uczynków zakonu, bez wszelkiej własnej zasługi, jedynie z Jego łaski bywamy usprawiedliwieni i zbawieni, tak też daje wszystkim, co przez Niego są usprawiedliwieni, Ducha świętego, a ten jest tym duchem, który ożywia. W Starym Testamencie też widzimy chwalebne sprawy ducha, ale tylko u poszczególnych osób i urzędów, w Nowym Testamencie mamy nie pojedyncze sprawy Ducha świętego, ale On mieszka w nas, a obiecany jest wszystkim i na wieki, abyśmy na wieki byli z Bogiem połączeni w Chrystusie Jezusie.

A tak, najmilsi! używajcie Ewangielii, wyście pod nowym przymierzem. Usługowanie Nowego Testamentu, to usługowanie sprawiedliwości, zwiastuje wam łaskę i odpuszczenie grzechów. Przeto szukajcie w Ewangielii pocieszenia i zbawienia dla duszy waszej. Nie czytajcie tylko słów, które tam napisane, szukajcie w słowie Ewangielii Tego, którego ona wam zwiastuje, Jezusa Chrystusa, Pana i Odkupiciela, a nie ustawajcie, aż Duch Boży poświadczy waszemu duchowi, żeści dziećmi Bożemi i chrześcianami. Nie zadawalniajcie się słuchaniem kazania, ale czytajcie Pismo, uczcie się katechizmu, a to nie na to tylko, abyście prawdę wiedzieli, ale byście byli przez Ducha, który ożywia, zbudowani i wkorzenieni w Tego, który jest skałą, w Chrystusa Jezusa, ukrzyżowanego i zmartwychwzbudzonego. Trzymajcie się mocno Ewangielii i ewangielickiej nauki! Ewangielia trwa na wieki; trwa, choć się ludzkie zapatrywania zmieniają; trwa, choć gwałtowne burze przeciwko niej się podnoszą; trwa i trwać będzie choć się mnożą nieprzyjaciele, co ją zgubić pragną. Nie dajcie się odwieść od wiary w Ewangielią, chodźcie według jej przykazań, abyście sami doświadczyli, że ona jest duchem i żywotem i daje żywot, abyście w doczesności mieli w niej, pocieszenie, a we wieczności przez nią zbawieni. Amen.

Na pogrzebie.

1)

Tu panie chojary były w tym lesie ha! — prawił dalej Marcinek. Ale naprzód ciął pan; teraz żydy z Kałuszyna tną a tną, aż jęczy.

Nagle bryczka pochyliła się nad rowem, obaj uchwyciliśmy się przeciwnego jej boku, konie stanęły, Marcinek umilkł, zeskoczył w kałużę i po chwili szepnął smutnie:

Oś pękła.

A niebo, jak gdyby rozczulone naszym losem, tak rzewnemi zapłakało łzami, że aż konie parsknęły, a my wtuliliśmy uszy w podniesione kołnierze paltotów. Tylko Marcinek, nieczuły na spływające mu po nosie krople deszczu, badał spokojnie złamaną oś i liczył w duszy markówki, które za nową będą musieli zapłacić . . . „poćciwi panowie."

Ha, „nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi" — mówi poeta, rzekłem wesoło do mojego towarzysza, który już zaczął sykać w tej wrześniowej kąpieli; dziękujmy więc losowi, że nam dał przynajmniej taką sposobność odznaczenia się. Osi nie naprawimy, bez niej nie dojdziemy, a wieś blisko; niech więc Marcinek zostanie przy bryczce, my zaś dopełnijmy miary naszych wyższych przeznaczeń i powędrujmy pieszo.

Bez długiego namysłu plusnęliśmy w błoto, które nam aż po oczy bryznęło, i wybierając najtwardsze miejsca, podążyliśmy ku wiosce, leżącej tuż za lasem, podczas gdy nasz woźnica stanął stoicko pod przydrożną sosną. Humor studencki zdolny jest nawet niebo wypogodzić. To też spojrzawszy na nas brnących wesoło po błocie i zmokniętych, rozjaśniło się ono nieco i zaczęło mżyć delikatnie.

— Brr! potoniemy jak wojsko faraonowe w tem morzu — zawołał wreszcie mój kolega — i nie dostaniemy się do wsi.

Odwagi Józiu — odrzekłem rozśmieszony — przodkowie nasi nie takie morza przepływali.

Na koniach!

Masz słuszność, szkoda, żeśmy nie odprzęgli naszych rumaków i nie puścili się na nich. Ale mniejsza . . . jesteśmy już prawie u celu.

Czy ty myślisz — rzekł Józef — że nam bryczkę zaraz naprawią i zdążymy na szóstą do stacyi? Już po czwartej, a chłop, zanim coś poradzi, potrzebuje na podrapanie się w głowę z pół godziny.

To zanocujemy.

Klepkę chyba z głowy zgubiłeś — zawołał mój towarzysz, spojrzawszy na mnie zdziwiony.

Opatrz swoją braciszku i powiedz mi, co w tem byłoby tak strasznego? Jeżeli dziś nie przyjedziemy do Warszawy a jutro opuścimy cztery godziny mądrości, wydrukowanej w podręcznikach przed trzydziestu laty . . .

Ale nocować w dziurawej stobole lub zatęchłej chałupie razem z prosiętami! . . .

Czemu nie? Spróbujemy tych wygód spania przez 6 godzin, których tylu ludzi kosztuje przez całe życie.

Lubię ubóstwo — mruknął Józef — o ile je mój nos znosi.

I jakbym je nosem oceniał, gdybym miał ogon, którym mógłbym na arystokratyczną woń pokręcić.

Przygryzek był ostry, rozgrzeszała go jednak dawna nasza przyjaźń. Mimo to kolega mój, wykołysany w dostatku pieszczoch losu, szedł chmurny i rozdrażniony myślą noclegu w nędznej wioszczynie, którą obecny właściciel, gdyby mu subhastacya nie była przeszkodziła, miał przechrzcić na Sans souci, a którą jego dziad przezwał poprostu Przytykiem.

Do mizernego dworku, na którego starym i prostym zrębie powyskakiwały jakieś nowe, cudaczne wieżyczki, prowadziła kiedyś gęsta, a dziś poszczerbiona aleja, załamująca się i przedłużająca gościńcem, przy którym stanęły w długim szeregu chaty gburskie. Jakkolwiek przeczuwałem, że dziedzic Sans souci niema w swem gospodarstwie ani jednej całej osi i ani jednej gościnnej kołdry, dla rozczarowania wszakże mego arystokratycznego kolegi spytałem przechodzącego parobka:

Pan w domu?

Ale, gdzieby! — odrzekł, ruszywszy ramionami, jak gdybym go zagadnął, czy wiatr, który mu wczoraj czapkę zrzucił, wieje jeszcze na polu.

Wyjechał?

Jeździ — pono teraz ogląda gdzieś bażanty.

Macie bażantarnię?

Bogać tam!

A bryczkę?

Juści była, ale jak raz zawadził, tak posła!!

Przenocować we dworze nie można?

Pokojów jest dosyć, ale żeby tak posłania, nie widziołem. Siedzi tam już dwa dni Aron i czeka na pana, to musi sobie łokieć pod łeb podłożyć i tak się przespać.

Dobrze mu tak — pomyślałem — bo to on pewnie, zahipotekowawszy swoją należność na Przytyku, nie chciał, azeby tę wioskę przezwano Sans souci.

Doszliśmy do pierwszej chałupy.

Czy tu myślisz dostać bryczki? — zapytał ironicznie Józef.

Zajdźmy — jakiś płacz słychać.

Pewnie pijany Maciej wrócił z jarmarku i częstuje dzieci kułakami.

Wązkie plotki chrustowe łączyły z gościńcem zapadniętą i nadwyrężoną chatę do której przytulił się mały, kałużą otoczony chlewek. Z pod zniszczonej słomianej strzechy wyglądało małe okienko, jak ślepe oko żebraka z pod zlepionych brudem włosów. Ściekające z dachu krople deszczu spadały jak łzy nędzy, błagającej o litość. Na progu siedziało troje obdartych i zabrudzonych dzieci, które szlochały lub krzyczały przeraźliwie. Najstarsza dziewczynka lat siedmiu okryła się przynajmniej zszarzaną chustką, młodsza zarzuciła na głowę fartuch, ale dwuletni z siną twarzą chłopczyna miał na sobie tylko koszulę, przez której

długi rozpór na piersiach ukazywała się pręga latem spalonego na słońcu, a teraz zmoczonego na deszczu ciała.

Co to wam? — spytałem łagodnie.

Przestały płakać, ale nic nie odrzekły. Józef został na dworze, ja zaś przestąpiłem próg i o mało nie runąłem w zapadłej sieni, w której czuć było wyziewy obory. Na lewo znajdowały się drzwi do izby, uchyliłem je lekko. Cisza.

Gospodarz w domu?

Nikt się nie odezwał. Wszedłem. Niewielką izbę zalegał mrok, słabo rozjaśniony światłem drobnego i do połowy zaklejonego okienka. Przyjrzawszy się jednak uważniej, spostrzegłym kilka zwykłych sprzętów, kilka zczerniałych obrazów, za którymi tkwiły pęki ziół i świeca woskowa, wreszcie łóżko, a na niem wychudłą, starym kożuchem okrytą kobietę. Gdym się wpatrywał w jej trupią twarz, nagle coś poderwało się pod mojemi nogami. Odskoczyłem strwożony — było to leżące i do łóżka przywiązane cielę. Kobieta ani drgnęła; domyśliłem się więc odrazu, że musiała to być zmarła matka płaczących dzieci. Uczułem nieprzyjemny dreszcz; cofnąłem się ku drzwiom, gdy w tem znowu rozległ się płacz przed domem. Wybiegłem. Przy płocie, przytykającym do chlewka, stały dzieci zalane łzami. Najstarsza dziewczynka, wspięta na palcach, spoglądała za płot. Zbliżyłem się i ku wielkiemu zdumieniu ujrzałem tuż za nim świeży dół, z którego dna postarzały już wieśniak wyrzucał na wierzch ziemię. Miałżeby to być grób dla umarłej kobiety?

Co wy robicie? — zawołałem.

Wieśniak wyprostował się, popatrzał na mnie surowo i odrzekł:

Rozgrzewam się.

Tu myślicie żonę pochować?

E, co tam panu do tego — mruknął, nie podniósłszy nawet oczu. Zatknął rydel, wyskoczył z dołu, wysunął żerdzie z jednej części płotu, zdjął z kołka postronki i wszedł do domu.

Oszalał! — szepnąłem do Józefa, który zdala był niemym świadkiem tej sceny. Poszedł po żonę, trup leży w izbie.

Zwierzę — rzekł mój kolega wzgardliwie.

Serce mi bić zaczęło przyspieszonem tętnem. Utkwiliśmy obaj oczy we drzwiach chaty, oczekując niespokojnie jakiegoś strasznego widoku. Wieśniak długo nie wychodził. Od czasu do czasu tylko słychać było głuchę sztukanie, jak gdyby coś przewracał. Nareszcie ukazał się w cieniu sieni, okręcony postronkami, na których ciągnął z wysiłkiem poza sobą jakąś białą masę. Dźwignąwszy ją na progu, szarpnął gwałtownie i wywlókł na podwórze białą, nieżywą . . . krowę.

Co to miało znaczyć?

Dzieci wybuchnęły gwałtownym płaczem.

Papierucha! papierucha! — wołało dwoje starszych rozpaczliwie.

Wieśniak nie zatrzymując się, przeciągnął krowę za płot, odwiązał postronki, zepchnął ją do dołu śród krzyków dzieci i popatrzywszy smutnie, usiadł zmęczony na stercie piasku.

To nie moja żona — ale ich matka — rzekł do nas, wskazując na dzieci. Wszystkie wykarmiła. Płaccie, płaccie, bo ona wam już mlika nie da.

Dzieci odpowiedziały tak serdecznem łkaniem, że i ja poczułem łzy w oczach.

Bieda — mówił dalej — chłopska bieda. Żona rok już umiera i dźwignąć się nie może, štery morgi piasku dosyć chleba nie urodzą, od ta poćciwina nam pomagała. Jakem drugiej dopożyczył, to i ziarno zwiozła i pole zorała i jesce dzieciom mleka dała. Ha, wola boża. Zdechniemy i my, jak ona zdechła!

Cóż jest waszej żonie? — spytałem.

A bom jak doktór? Chłop nie pan, żeby wiedzioł, na co umiera. Choruje i choruje. Lekarka z Podborza mówi, że to kołtun, a u nas jest baba, co gada, że to wole. Słabowała tu kobieta, zwieźli felcera, dał lekarstwo, udzielili kapkę, napiła się, ale gdzie tam? Pokrzywiło i trzyma, a umrzeć nie daje. Jakby raz skończyła, toby skończyła, a tak . . . Boże bądź miłościw. O, moja biedna papierucha — zawołał głęboko wzruszony, patrząc w dół — gdybyś ty . . . Ha!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do smutnych.

Inaczej być tu nie może,
Póki w krąg ziemia się toczy,
I póki świata przestworze,
Noc po dniu codziennie mroczy.

Oko w blaski raz nieci,
Łzą smutku ćmi się z kolei,
A po niej uśmiech zaświeci.
Jak złudna tęcza nadziei.

Nie może być tu inaczej,
Wiecznie nie kwitną nam Maje,
Serca pękają z rozpaczy,
Siły i cierpień nie staje.

A jednak Boskie wyroki
Pełne wszechmocnej miłości,
Rozjaśnią kiedyś te zmroki,
Zwycięztwem wiecznej światłości.

Rozwiązanie zagadki z nr. 23.
Cebula.

Zagadka.

Przy drodze stoi, ręce rozkłada i nic nie gada.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej.“

Nr. 25.	Ełk, na niedzielę dnia 19 września.	1897.

Czternasta niedziela po św. Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Ewangielia św. Mateusza, r. 22., w 23—24.

Gdy lud izraelski wyszedł z Egiptu, musiał mieczem walczyć z ludami chananejskimi i zdobywać obiecaną świętą ziemię. Gdy Izraelici wrócili z niewoli babilońskiej do Jeruzalemu, i na nowo odbudowywali świątynię i mury Jeruzalemskie, musieli w jednej ręce trzymać kielnię a w drugiej miecz. Gdy w średnich wiekach wyznawcy Mahometa zdobyli Jerozolimę i świętą ziemię, a chrześcian nie chcieli przypuścić do grobu świętego, wtenczas powstał cały świat chrześciański i ogłosił krucyatę, świętą wojnę pod znakiem krzyża. Synowie reformacyi bojowali ciężki trzydziestoletni bój o wiarę i kościół swój. Tak zawsze na nowo powstawała święta męczeńska wojna.

A dziś? Czy nie trzeba już zaprawiać się do świętej walki, do świętego boju? Jeżeli jesteśmy istotnie chrześcianami, tedy odpowiedź na to pytanie dla nas nie może być wątpliwą. Wszak życie Pana naszego i Zbawiciela Jezusa Chrystusa było nieustanną świętą wojną z światem tym i książęciem jego, a my jesteśmy jego uczniami i powinniśmy Go naśladować. Przeczytana Ewangielia jest niczem innem tylko obrazem tej świętej wojny, jaką musiał wieść Pan nasz Jezus Chrystus, a dla nas zwierciadłem. Wpatrzmy się dziś uważnie w to zwierciadło, rozważając

Świętą wojnę, do której jesteśmy powołani.

Z pomocą Ducha świętego zechcę objaśnić:
1. Co to za wojna ta święta wojna,
2. Jako ją prowadzić powinniśmy,
3. Jaki jest cel świętej wojny.

1.

Przedewszystkiem zechcecie zapewnie usłyszeć objaśnienie, co to za święta wojna, do której jesteśmy powołani. To zaraz zrozumiemy, gdy się przypatrzymy naszej Ewangielii odnośnie do naszego przedmiotu. Czytamy w wierszu poprzedzającym naszę Ewangielią o faryzeuszach: „To usłyszawszy, zadziwili się, a opuściwszy Go odeszli.“ Zaledwo zaś odprawił saduceuszów, kusząc Go przez jednego ze swoich, zakonnika, któreby było największe przykazanie. Patrzcie najmilsi! Pan nie szuka walki, lecz nie może jej wyminąć. Zaledwo, że odpędził od siebie obłudników a oto stawają do boju niewierni naśmiewcy i pytają Go: „Przetóż przy zmartwychwstaniu, któregoż z tych siedmiu będzie żoną, gdyż ją wszyscy mieli?“ Widzimy więc, że Pana zmuszają do boju i walki, wyzywając i napastując Go. — A dla czegoż Go wyzywali? Czy ci przeciwnicy Chrystusa Pana byli jacy zbrodniarze, jacyś niecni nicponie, jacyś jawni grzesznicy? Bynajmniej! Byli to faryzeusze, którzy używali sławy najpobożniejszych ludzi, saduceusze, ludzie postępu, najoświeceńsi i najliberalniejsi za dni Chrystusowych, byli to sługi króla Heroda, gładcy dworzanie o najwykwitniejszych formach i manierach, a więc ludzie najpoważniejsi, kwiat inteligencyi i śmietanka towarzystwa. Zkąd ta zacięta wojna tych ludzi z Panem i Zbawicielem? Jest ona dla każdego umiejącego głębiej patrzeć aż nadto zrozumiałą. Oto stał przed nimi Pan jako Syn Boży, jako Ten, w którego ręku jedynie jest żywot i zbawienie, oni mieli dary te przyjąć z ręki Jego, z łaski jako ubodzy grzesznicy. Czy mogli to uczynić, czy mogli się tak upokorzyć tak święci, tak oświeceni, tak wysoko postawieni i wpływowi ludzie? On, jakiś tam rabi, miał się mieć za szczęśliwego, jeżeli tacy wielcy panowie przyjęli Go do swego towarzystwa, a dla zabawy, i rozrywki z nim dysputowali, a On — nazywa ich rodzajem jaszczurczym i grobami pobielanymi! Tego zanadto było. A przecież nie mogli także przejść koło niego z obojętnością, jakoby Go nie było. Stanął przed nimi i pośród nich w swojej boskiej prostocie tak wielkim, że musieli albo do nóg Mu upaść, albo stanąć z Nim do śmiertelnego boju. Wybrali to ostatnie.

A dziś, czy człowiek cielesny inaczej się zachowuje przeciwko Panu? Człowiek taki nie ma nic przeciw jednej lub drugiej nauce Pana Jezusa, szczególnie gdy ją sobie dostosował do własnych swoich myśli i własnej mądrości. Ale przyjąć Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, przyjąć odpuszczenie grzechów jako dar z łaski Bożej, to człowiekowi cielesnemu i nawróconemu jest niemożebnem, bo musiałby inaczej potępić samego siebie i wyrzec się swej własnej doskonałości, enoty i postępu. Dla tego ludzie ci, doskonali i sprawie-

dliwi sami u siebie, wojują przeciw Chrystusowi, wojują nauką i rozumem, chytrością i podstępem, drwinami i szyderstwem, które możecie usłyszeć w domach i na ulicy, przekręcają i nakręcają naukę Ewangielii, aż zeświatowieje i każden może ją sobie przyswoić, a nie potrzebuje się nawrócić. Świat nie może żyć z Chrystusem w pokoju, — a światem nazywam wszystkich, którzy się nie oddają Panu i nie narodzą się przezeń w nowe stworzenie. Albowiem w głębi duszy nieodrodzonego człowieka jest nieprzyjaźń i nienawiść przeciw Chrystusowi, która nie mogąc zbyć Chrystusa obojętnością musi z nim staczać bój. Czy może za wiele powiedziałem? Spytajcie samych siebie? przypatrzcie się naturze rzeczy. Chrystus jest końcem i śmiercią cielesnego człowieka, nie może więc być przyjaźni między nimi. W każdym człowieku jest wrodzony opór przeciw łasce, gdy się zetkną, albo łaska ten opór zwycięży, albo opór przemieni się w umyślną nieprzyjaźń. To jest sposób świata tego. Otóż gdy nam świat walkę narzuci, czyż mamy ustąpić? Czyż mamy porzucić sprawę Pana naszego i naszę własną? Nie podobna, chybabyśmy się Pana zaparli.

2.

Poznawszy świętą wojnę, do której jesteśmy powołani, porozumiejmy się jeszcze, jako tę świętą wojnę powinniśmy prowadzić. Święta to wojna, a więc powołani do niej wszyscy, którzy się Panu istotnie oddali i poświęcili. Przedewszystkiem więc nie podlega najmniejszej wątpliwości, że wybranymi żołnierzami i wojownikami Pana naszego Jezusa Chrystusa powinni być wasi duszpasterze i kaznodzieje. Biada nam, jeżeli jesteśmy tchórzliwi i lękliwego serca, niezdolni do boju, lub jeżeli wolimy zgniły pokój. Biada nam, jeżeli świat na nas ani razu nie powie, żeśmy zanadto surowi i zanadto wymagany. Biada nam, jeżeli nas świat nigdy nie gani, albowiem jeżeli Jego Belzebubem nazwano, jakże będziemy domownikami Jego, gdyby nam również nie uczyniono? Lecz i was wszystkich wódz nasz do boju woła, którzyście otrzymali od Pana jakikolwiek dar nauki, strofowania i napominania. Nie wolno nikomu zakopywać swego talentu, nie wolno nikomu zadowolić się swojem własnem zbawieniem, owszem każdy powinien szukać duszy bliźniego swego. Do boju wódz nasz woła i was **miłe siostry w Chrystusie, o bojujcie święty bój stałem i ochotnem wyznawaniem Jego imienia, cichem i pokornem dźwiganiem krzyża,** bojujcie nadewszystko łzami i modlitwą. Pamiętajcie, że to wojna Pańska, o Jego się rozchodzi cześć, o Jego dobra, o Jego słowo i osobę. Kto szuka siebie, swojej chwały, mądrości lub panowania, nie potyka się jako wojownik Boży i nie weźmie korony, bo nie szuka tego, co jest niebieskie, ale tego, co jest ziemskie. Tak najmilsi! kto chce bojować bój Chrystusów, musi samego siebie oczyścić od wszelkiego samolubstwa, a gdyż wszyscy jeszcze w sobie samych nosimy owego nieprzyjaciela, z którym się mamy spotykać, więc trzeba najprzód tego nieprzyjaciela w nas przytłumić, zwyciężyć. Niechaj się też nikt **nie wynosi, jakoby był czemś sam z siebie, dobrze** wiedząc, iż łaską Bożą jesteśmy, czem jesteśmy.

Należy też rozróżniać nieprzyjaciela. Złości pełnym, krwiożerczym obłudnikom zdziera Pan niemiłosiernie maskę. Biednym naśmiewcom powiada spokojnie: Błądzicie. Inna odprawa należy się zapamiętałemu zaprzańcowi Chrystusa, inna błądzącemu ale szukającemu szczerze prawdy, inna bezecnemu zwodzicielowi, inna skrytemu nieprzyjacielowi. Młodość odda wiekowi, syn ojcu, córka matce, żona mężowi należny wzgląd, wystrzegać się, aby nie popaść w sidła djabelskie. Właśnie w tym względzie popełniamy najwięcej błędów. Każdy niech się wystrzega swej gwałtowności, swej próżności, młody niech uważa swój wiek młodociany, nikt niech nie zapomina o ustanowionym porządku Bożym. Bo nawet na miejsce i czas niechaj każdy zważa, albowiem wszystko ma swoje miejsce i swój czas.

3.

A jakiż tej świętej wojny koniec i cel? Nie wojna bez końca, ale pokój, pokój Boży. Dla tego bojujemy, dla tego gorliwy się o cześć Jego imienia, o ważność Jego słowa, dla tego chcemy podbić rozum pod posłuszeństwo wiary — abyśmy się wszyscy stali Pana naszego Jezusa Chrystusa zbawionymi poddanymi, dziećmi łaski Jego, dziedzicami Jego pokoju. Pragniemy pozyskać dusze wasze, i nie zostawić ich na szerokiej drodze. Miłość Chrystusowa przyciska nas, dla tego wołamy: dajcie się pojednać z Bogiem. Taki jest cel świętej wojny, a żaden inny — nie zapominajcie o tem. Nie o wojnę się nam rozchodzi, ale o pokój, nie o to, abyśmy rany zadali, ale abyśmy rany zagoili, nie o to, abyśmy gogo stracili, ale o to, abyśmy zyskali, zyskali dusze ludzkie ku żywotowi w Chrystusie Jezusie.

To, najmilsi, jest w tej chwili, także moim celem. Wypowiadam wojnę wszystkim letnim, zimnym, obojętnym, wszystkim niewierzącym i nienawróconym. Świadczę wam o Chrystusie, iż jest jedyną prawdą, drogą i żywotem. Błądzicie, jeżeli Go nie przyjmujecie, buntujecie się przeciw Bogu, jeżeli nie chcecie przyjąć na się jarzma Jego, umrzecie w grzechach waszych, jeżeli was nie oczyści swoją świętą krwią, zgubionymi jesteście na wieki, jeżeli Go odrzucicie. Słuchajcie, gorszcie się z tego, łajajcie mię, naśmiewajcie się i szydźcie ze mnie, ale — **miłe dusze, nawróćcie się** jeszcze w końcu do Pana waszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Na pogrzebie.

2)

(Dokończenie nastąpi.)

Porwał się, chwycił rydel i począł dół zasypywać. Każda garść ziemi spadała z wzrastającym płaczem dzieci.

Papierucha! papierucha! — wołały one **ustawicznie.**

Skończył się wreszcie ten dziwny pogrzeb.

Nie płacta małe — krzyknął ojciec — mamy od niej jałoskę.

Dziwnie mi się zrobiło w tej chwili. Doznałem nieopisanego pragnienia pomódz biedakowi, ale chuda sakiewka studencka nie pozwalała na sowite wsparcie. Trudno, co można!

Przyjmijcie odemnie gospodarzu 10 rubli — rzekłem zakłopotany — tyle tylko wam dać mogę.

Poczciwy Józio nie pozostał obojętnym i on dołożył tyleż do mojej ofiary.

Wieśniak wziął pieniądze, popatrzał na nas zdziwiony, zdjął czapkę, chciał coś przemówić, ale tylko usta mu zadrgały, a z oczu polały się strumienie łez.

Odwróciłem się od tego przykrego widoku. Za nami stał Marcinek.

Jest oś! -- rzekł tryumfująco.

Zanim wieśniak, trzymający w ręce nasze ruble, zdołał przemówić, myśmy już siedzieli na bryczce i ruszyli do stacyi.

Tak, nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi — rzekł Józef w zamyśleniu.

Obejrzałem się.

Wieśniak stał ciągle z odkrytą głową, wreszcie podniósł czapkę i coś zawołał.

Turkot bryczki jednak nie pozwolił nam jego głosu dosłyszeć.

Nazajutrz poszedłem do uniwersytetu. Pierwsza prelekcya już się rozpoczęła. Gdym wchodził do auditorium, usłyszałem jak profesor ekonomii politycznej wymawiał zdanie: „Prosty wieśniak jest dla tego od nas szczęśliwszy, że mając mniejsze potrzeby, doznaje mniejszych cierpień . . .

W tej chwili Józio spojrzał na mnie i uśmiechnął się smutnie.

2.

Panowie daleko jedziecie? — spytał częstując papierosami, nasz dziwnie wesoły towarzysz, który przez godzinę wspólnej podróży w jednym wagonie zdołał nam opowiedzieć dużo swoich szczęśliwych zakładów na wyścigach.

Do Otwocka.

A, to wysiadamy razem.

Ale my jeszcze trzy mile końmi.

Dokądże?

Do Owsianek, majątku rodziców mojego kolegi.

Zatem mam przyjemność spotkać pana Gołębskiego — rzekł nieznajomy, zwracając się do Józefa. Jestem niemal pańskim sąsiadem — Wilkołyski.

Nastąpiły wzajemne ukłony i zapewnienia, że nam wszystkim trzem było „bardzo przyjemnie." Jakkolwiek o panu Wilkołyskim słyszałem dość często i dość wiele, bawiąc jednak zaledwie przez kilka tygodni podczas wakacyj w domu państwa Gołębskich, nie miałem sposobności a wreszcie i chęci go poznać. Właściwie nawet zapomniałbym zupełnie o jego istnieniu, gdyby nie nasza przygoda z osią w Przytyku.

Długo panowie zostajecie jeszcze w uniwersytecie?

Skończyliśmy już kursa i jedziemy odpocząć — odpowiedział Józef.

A powinszować, powinszować — zawołał Wilkołyski i uścisnął nam ręce.

Lokomotywa gwizdnęła, dojeżdżaliśmy do stacyi.

Kochany sąsiad — rzekł ujmująco nasz znajomy do Józefa — nie odmówi mi wraz ze swym kolegą wielkiej przyjemności. Jest już wieczór, ciemno, macie panowie trzy mile do domu, zanocujcie u mnie — zgoda?

Daremnie w ściskłem ze mną przymierzu Józef wymawiał się od tych zaprosin. Wilkołyski umiał tak nas skruszyć swemi serdecznościami, że musieliśmy uledz.

Zróbcie to — mówił — dla człowieka, który was szczerze pokochał i który również niedawno opuścił ławę uniwersytecką.

Gdzie pan kończył? — zagadnął Józef.

Spytaj pan, gdzie nie kończyłem! — odparł Wilkołyski, chwycił oba nasze tłomoczki, a gdy drzwi od wagonu otwarto, podał je posługaczowi kolejowemu.

Wysiedliśmy. Marcinek, stale najmowany furman Józefa, spostrzegłszy nas, podbiegł, zdjął czapkę i kłaniając się, rzekł do mnie wesoło:

Dziś już panie mamy oś jak mur. Wziąnem nowiusieńką, jesce niesmarowaną.

Dobrze, mój Marcinku, ale nie pojedziemy.

Cemu? — zawołał zdziwiony.

Bo pan Wilkołyski zaprosił na noc.

E — cmoknął Marcinek — djabli skarali z takim noclegiem. A tozby się panowie lepiej na brycc przespać mogli. W Przytyku wróble juz gniazd nie ścielą, niema nawet cem zęba wykłuć.

Nie rezonuj — oburknął się Józef — i idź do koni.

Nie wiem co państwo na to powiedzą — mruknął Marcinek i oddalił się.

Przeszliśmy kwaśni na drugą stronę dworca, szukając Wilkołyskiego. Dostrzegłem go zdala, dającego przyciszonym głosem jakieś napomnienia młodemu chłopcu w poszarpanej liberyi furmańskiej.

A pamiętaj, jak masz odpowiedzieć — rzekł do niego odchodząc.

Wysoka, barczysta jego postać rysowała się wspaniale na tle nocy, rozjaśnionej światłem kolejowej latarni. W ruchach, w podniesieniu głowy, w starannem ubraniu, znać było pana i człowieka, który nie potrzebował rozpierać tłumu kułakami dla wolnego przejścia, bo tłum sam przed nim się usuwał. Przy blasku dnia Wilkołyski mógł mieć lat czterdzieści, ale gdy pod cieniem wieczora znikły lekkie zmarszczki i brodawki jego bladej, prawidłowej, czarnym wąsem ozdobionej twarzy, wyglądał na świeżo dojrzałego mężczyznę, który zaczął dopiero kosztować życia.

Trzeba przyznać, że obywatel ten ma fason — rzekł Józef, odczuwający zawsze towarzyską wytworność.

Dla krawców pociecha — wtrąciłem.

Jesteście panowie — zawołał Wilkołyski — **no, jedziemy! Grzegorzu, Grzegorzu!**

Co jaśnie pan każe? — odezwał się posługacz kolejowy.

Kuferki nasze są już w powozie?

Wszystkie.

Zatem, siadajmy.

Marcinek z nami! — krzyknął Józef i ruszyliśmy do stojącego w głębi pod drzewami powozu, który okazał się malutkim, starym, niemiłosiernie poturbowanym wolantem. Tłomoczki nasze zajęły całe jego wnętrze, z poprutych poduszek ceratowych sterczały grochowiny, a nadto podziurawione pudło chwiało się z najmniejszem dotknięciem. Na szczęście tę rozbitą skorupę miały ciągnąć dwa wysokie i chude konie, od których nie można było się spodziewać zbytniego zapału.

A ty psubracie, czem przyjechałeś? — krzyknął na furmana Wilkołyski, założywszy binokle i przypatrzywszy się bacznie swemu ekwipażowi.

Proszę jaśnie pana wszystkie cugowe oberwały się wczoraj z kantarów i jak wpadły na płoty, tak sobie het pościerały nogi.

A nie mogłeś zaprządz do powozu?

Kiedy jaśnie pani kazała po sobie przysłać, a kareta za ciężka.

To furman! Cztery konie okaleczył i jakiś grat tu przywlókł. Przepraszam panów — rzekł zwracając się do nas — za tego gapia i za niewygodę, na jaką mimowolnie narazić was muszę.

Jedźmy bryczką Gołębskiego — wtrąciłem, podsuwając najszczęśliwsze rozwiązanie komedyi.

Tak źle jeszcze nie jest — odparł Wilkołyski — przelecimy szybko.

Usiedliśmy z podkurczonemi i pomieszanemi nogami, jak na czułych szalkach równoważąc ciągłe pochylenia wolanta.

A trzymaj konie mocno — upominał Wilkołyski — żeby się nie zlękły i nie zbiegały.

One też, jak gdyby dla dogodzenia swemu panu, nie słuchały rzęsistych smagań furmana i nie dały nawet lekkim truchtem powodu do obawy. Za nami, gwiżdżąc sygnały pocztowe, jechał Marcinek, rozparty na swojej szerokiej bryce, którą Gołębski oszczędny gospodarz i wróg zbytku, zwykł był w porze roboczej wraz z końmi najmować dla przywiezienia syna. Ach, z jakąż tęsknotą zgnieciony i połamany na pańskim wolancie, oglądałem się za tym prostym, drobnoszlacheckim korabiem! Jedyną rozkoszą była piękna, wonna i orzeźwiająca noc lipcowa, która zlewała balsamy na wszystkie dolegliwości tortury podróżnej.

Długo milczeliśmy, wreszcie Wilkołyski chcąc zapewnie nas pocieszyć lepszą nadzieją, rzekł:

Moje Sans souci jest ustroniem skromnem, ale posiadam w niem coś, co, przynajmniej w naszej okolicy, jest rzadkością.

Cóż takiego? — zapytałem.

Zobaczycie panowie. Rozpocząłem niezwykłą u nas hodowlę, po której spodziewam się wielkich rezultatów. Nie przeczę, że dotąd jest to tylko rozrywka, ale rozrywka obiecująca poważną korzyść. Trudno, musimy wyjść z dotychczasowego deptaka gospodarczego, a raczej rozszerzyć jego koło dla dwu względów: dla przyjemności osobistej i dla podniesienia kultury. Proszę panów, mówmy szczerze: czy człowiek z wyższym umysłem może zadowolić się jednostajnem wychowywaniem bydła, koni, owiec i drobiu swojskiego, a przytem czy przemysł krajowy powinien się wiecznie kręcić na jednem miejscu? Wszystkie szlachetniejsze gatunki zwierząt: bobry, tumaki, wytępiliśmy, a nowych nie przyswajamy. Dlaczego Ameryka jedynie ma posiadać papugi, a Azya słonie? Dlaczego nasze lasy, pola, rzeki nie zapełnią się fauną innych stref? Na pytanie te odpowiadano mi zawsze, żem poeta. Nie przeczę, bo do wszelkich śmiałych ruchów potrzeba nieco poezyi.

Wilkołyski mówił z takim zapałem i przekonaniem, że mnie ujął dla swych pomysłów wzbogacenia fauny krajowej. A, więc on na to rujnuje majątek i tem wyrabia sobie sławę szaławiły! — pomyślałem.

Zajęci tym przedmiotem, dojechaliśmy wreszcie do Przytyka. W miarę jak posuwaliśmy się w głąb wioski, rozmyślania moje nad hodowlą papug u nas ustępowały miejsca wspomnieniom dziwnego pogrzebu, którego byłem świadkiem minionej jesieni. W pamięci stanęły my żywo dzieci płaczące nad grobem krowy, zrozpaczony wieśniak, chora jego żona. Zdala już upatrywałem znajomej chaty, którą pomimo ciemności rozpoznałem dokładnie. Na widok jej łza mi z serca się wycisnęła. Patrzyłem ciekawie, szukając oczyma jakiegoś znaku doli biedaków. Z okna błyskało światełko, na podwórzu jednak nie było nikogo, tylko przed domem stała poważnie czarna krowa obok młodej białej jałowicy.

Patrz — krzyknąłem uradowany, szarpnąwszy Józefa za rękę — ma!

Co pan takiego dostrzegłeś? — zapytał Wilkołyski.

Opowiedziałem mu nasze zdarzenie.

No osądź pan teraz — rzekł — czy to są ludzie! Mąż nie płacze nad chorą żoną, dzieci nad matką, ale gdy im krowa zdechnie, wpadają w rozpacz.

Słuszności tego spostrzeżenia zaprzeczyć nie chciałem, więc umilkliśmy, tembardziej, że konie Wilkołyskiego, które na szczęście ani razu przez drogę się nie zlękły, poczuwszy bliskość stajni, pozwoliły sobie lekkiego truchta.

— Trzymaj mocno! trzymaj! — wołał na furmana dziedzic Przytyka.

Rozwiązanie zagadki z nr. 23.
Drogowskaz.

Zagadka.

Co to za pani, sto sukień na niej,
Jak wiatr zaleci, gołe ciało świeci.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej".

Nr. 26. | Ełk, na niedzielę dnia 3 października. | **1897.**

Szesnasta niedziela po św. Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Ewangielia św Łukasza r. 7, w 11—17.

Rozglądając się w dziełach natury, rozważając ów cudowny porządek naturalny stworzeń, widzimy, iż tu wszystko podlega prawu zależności wzajemnej. Ciepłem tchnieniem wiosny poruszone lody, topnieją; ziemia wyzwolona z więzów zimowych, zmartwychwstaje; nagie drzewa, sposobiąc się do okrycia zielonością, zdobią swe gałęzie pączkami; słowem, wszystko co jest w naturze, zawsze, w każdej porze roku, wśród najrozmaitszych zjawisk, wskazuje stosunek skutku do przyczyny. Miałżeby człowiek wyjętym być z pod ogólnego prawa? Twierdzić coś podobnego, byłoby nierozsądkiem. Człowiek, jakkolwiek jest panem stworzenia, zostaje pod prawami natury, podlega prawu naturalnej zależności, lecz jako istota na obraz i podobieństwo Boże stworzona, jako osoba, to jest, jako wiedzący, że jest i dla czego jest, podlega nie samej naturze tylko, ale czemuś wyższemu, a tem wyższem i najwyższem jest Bóg i słowo Jego. Słowo Boże, to wiekuista światłość, która powinna oświecać ludzkość; słowo Boże, to najwyższe prawo, któremu podlegać winni mali i wielcy, prostaczkowie i mędrcy. Słowo Boże jest potęgą, której poddając się, żyjemy, sprzeciwiając się, zabijamy samych siebie; jest potęgą, która musi oddziaływać tak samo na tych, którzy słowo to opowiadają, jak i na tych, którzy go słuchają. Jeżeli ksiądz opowiada słowo Boże dla tego tylko, bo musi, bo pasterski urząd go tego przynagla — słowo Boże nie przestaje wprawdzie być mocą Bożą, ale pastor staje się najemnikiem. Jeżeli zbór tylko z przyzwyczajenia słucha zwiastowanego mu słowa, słowo to Boże nie traci nic z mocy swej, ale zapamiętliwi słuchacze w słowie żywota znajdują śmierć. Jeżeli ci, którzy nazywają się chrześcianami, gardzą słowem Bożem i umyślnie odwracają się od tego, co im opowiada słowo Boże, słowo Boga żywego nie przestanie być mocą i potęgą wiekuistą, ale ich wypluje Pan z warg swoich. Tak! najmilsi, są to wszystko skutki, są to prawa zależności, skutki będące naturainem następstwem przyczyny. Bóg jest wszechmocą, dla też i słowo Jego jest mocą potężną, jest siłą ożywiającą, siłą zwyciężającą nawet śmierć, jak to widzimy na młodzieńcu, o którym mówi Ewangielia dzisiejsza. Ponieważ Bóg dozwolił mi znów na tej umiłowanej kazalnicy zawsze mi drogiego zboru chociaż na chwilę stanąć, przeto, zgodnie z treścią niedzielnej Ewangielii naszej, chcę wam opowiadać:

Chrystusa, Boga miłosierdzie, Chrystusa, wskrzesiciela i dawcę życia.

Ty zaś, o Panie, udziel nam Ducha świętego! zlej Ducha Twego w serce sługi Twego i zboru Twego, a spraw, ach spraw! abyśmy wszyscy odżyli, wszyscy w Tobie, który jesteś największą miłością, życia szukali. Boże i Ojcze nasz, wysłuchaj nas dla Syna Twego, Jezusa Chrystusa! Amen!

1.

Przed zdarzeniem pełnem rzewności i wielkiem swą prostotą, o którem mówi Ewangielia dzisiejsza, opowiada Łukasz, świadek naoczny dzieł i spraw Chrystusowych, jak Zbawiciel świata uzdrowił sługę setnika, który prawdopodobnie był poganinem. O dziełach Chrystusa mówią wszystkie Ewangielie, mówią nie dla czczej chwały, nie dla przyczynienia Panu ludzkiej sławy i ludzkiej wziętości, ale dla tego, aby poświadczyć i przekonać narody i ludzi, że Chrystus, człowiek w Betlehemie narodzony, a z Ducha świętego w Maryi poczęty, to Bóg miłosierdzia. Przypatrzcie się dziełom miłosierdzia Chrystusowego, przypatrzcie Temu z nieba zesłanemu Samarytaninowi! Oto w ostatnich dniach żywota swego Magdalenę, cudzołożnicę pokutującą, z wielkich grzechów przeszłości oczyściwszy, do królestwa swego przyjmuje; do Judasza, zdrajcy rękę zbawczą wyciąga; sam na krzyżu zawieszony, z krzyża darzy łaską zwracającego się doń zbrodniarza, a w nim ratuje i cały świat upadły w grzech, i wszystkich, którzy chociażby w ostatniej godzinie ku Niemu zwracają ślepe dotąd oczy i grzechem pokalane serca. Chrystusa, Boga miłosierdzia, przedstawia nam Ewangielia dzisiejsza. Syn Maryi i Syn Ojca z wieczności, którego Nazareńczykiem pogardliwie przezwano, zdąża z uczniami swymi i ludem wielkim do miasteczka Naim. Na tej samej drodze, postępuje idąc za miasto, inna drużyna. Jest to

orszak pogrzebowy, orszak złożony z mnóstwa mieszkańców Naimskich, orszak towarzyszący martwym zwłokom młodzieńca, który był jedynym synem pewnej wdowy. Rzecz dziwna i uderzająca, iż dwa te orszaki miały się minąć, jakby nie zważając na siebie, miały się minąć, jakby w pośrodku ich nie znajdował się Chrystus — Chrystus, o którego cudach słyszano, którego słowo potężne brzmiało po całej żydowskiej krainie. Co więcej, nawet uczniowie, ci nieustanni świadkowie Chrystusowych spraw, milczą, i żaden z nich nie zawołał: Panie! często pomagałeś, pomóż tej wdowie! Tak, jest to rzecz dziwna, lecz zarazem pełna prawdy i odkrywająca tajemnice dróg Pańskich. Cóżby to z ludzkością stać się musiało, gdyby nie Bóg! Gdyby nie Jego opieka, nie Jego ojcowska dobroć, nie Jego opatrzność, wśród wielkiej ludzkości musiałby człowiek ginąć, a niejedno serce z żalu pęknąć, i nikt, tak! nikt by się nie ulitował. W takiej to wielkiej i ciężkiej chwili przystąpił do wdowy Chrystus, Bóg miłosierdzia, i chociaż nikt Go nie przywołał, nikt o to nie prosił, stanął przed nią jako Zbawiciel. Tak, jako Zbawiciel, — bo jej oczy widziały tylko umarłą jedyną pociechę, jej wargi nie były już zdolne do prośby, a bólem zamknięte, może nad grobem syna byłyby się otworzyły by złorzeczyć Jehowie. O! bo to jest właśnie owa ciemna strona ludzkiej natury, że w szczęściu nie umiemy dziękować, w smutku i boleści prosić z ufnością i poddaniem się woli Bożej; że w pomyślności rośniemy w pychę, w niedoli wpadamy w rozpacz! W chwilach takich stoimy na rozdrożu, — krok jeden dalej, i dusza upada w otchłań wiecznego potępienia. Że w chwilach takich zabiega nam drogę Chrystus, o tem wątpić nie wolno! Przyszedł szukać i zbawić zgubione, jest Bogiem miłosierdzia i o Nim stoi napisane: że nie chce śmierci grzesznika, ale chce, aby się nawrócił i żył, — lecz, jeżeli grzesznik odtrąci od siebie Zbawcę, jeżeli zamknie serce, jeżeli zatka uszy, — zginie, ale zginie z własnej winy. Takiem rozdrożem dla matki młodzieńca z Naim była droga do cmentarza. Gdyby była rzekła Panu: „Prosiłam Boga, wołałam do Niego nad łożem mego ukochanego, nie wyprosiłam nic, a Ty Jezusie Nazareński nie pomożesz nic!" — albo, gdyby lud był zawołał: „Szalony, czego nas zatrzymujesz, młodzieniec umarł, do grobu z nim, do grobu!" — możeby Chrystus był powiedział: „Matko bez wiary, ludzie ślepy i nie wdzięczny, chwila ratunku przeminęła dla was," — i chwila ta przeminęłaby bezpowrotnie! Lecz stało się inaczej. Lud usłuchał słowa Pańskiego, orszak pogrzebowy stanął, a Pan rzekł do wdowy: „Nie płacz!" W uszach słuchaczy dziwnie brzmieć musiało to słowo, dziwnie odbyło się zapewne i w sercu matki! Nie płacz! a tu jedyny syn na marach! Nie płacz! a tu kochanie serca, radość oczu macierzyńskich okrył całun grobowy! Mimo to, Chrystus, którego drogi nie są jako drogi ludzkie, Chrystus, Bóg miłosierdzia, powiada: Nie płacz! Jakim ów umarły za życia był, nie powiada nic Ewangielia. Może w owych czasach nie znano jeszcze negrologów. Może zmarły był młodym rozpustnikiem, jakich niestety i dziś napotykamy wielu; może wypieszczonym synem matki; może przedwczesnym starcem! Nic w tym względzie nie powiada ewangielista, — jedno jest tylko pewne, że chociażby był najlepszym synem, młodzieńcem najpiękniejszych nadziei, — był jednak grzesznikiem, a zapłatą za grzech jest śmierć. Chrystus, przyszedł ratować grzeszniki i zwyciężyć śmierć! Zwyciężca grzechu i śmierci mówi do matki: Nie płacz! I po chwili miały na prawdę oschnąć łzy wdowy, — bo Chrystus łzy osusza, rany goi, burze uspakaja, a tam, gdzie Go usłuchano i poznano, obdarza pokojem.

W tem miejscu muszę się osobiście zwrócić do was słuchaczy moi. Wychowańcy nowych czasów, pozwólcie i nie obrażcie się, iż was zapytam: ileście też razy gorące wylewali łzy nad losami bohaterów drukowanych romansów, albo nad grą znakomitych artystów dramatycznych, a ile razy słyszeliście lub czytali Ewangielią dzisiejszą, i oczy wasze pozostały suche, serca zimne i obojętne! Jeżeli tylko było, dla czego tak było? O! boście nie poznali jeszcze Chrystusa jako Boga wielkiego miłosierdzia. Gdy cierpienie i dolegliwość całym ciężarem swym przygniotło cię, azaliś nie słyszał głosu wołającego: Nie płacz! Gdy cię świat i ludzie prześladowali, gdy śmierć w dom twój zajrzała, kto kołatał do serca i mówił: Nie płacz!? Gdy grzechy, które cię słodyczą swą otruły, gorzkimi się stały, a wspólnicy grzechów poczęli wyrzuty czynić, kto przyszedł, by opatrzyć ciężkie rany sumienia twojego, kto wśród ciszy nocnej mówił ci: Nie płacz! Kto? Chrystus niewidzialny a przecież wszędzie obecny i zawsze pomódz gotowy, — lecz, ach! czyś Go poznał i wołanie Jego zrozumiał? Najmilsi! wedle Ewangielii Pan przystąpił do trumny, i ci, którzy ją nieśli, wstrzymali się i stanęli! Słuchacie moi, bracia i siostry! krocząc po drodze żywota, gdy Chrystus stanął przed wami, gdy kazał się zatrzymać, czyście stanęli? Chrystus staje przed tobą mężu łamiący swawolnie przysięgę małżeńską, przed tobą kobieto próżna, w sobie zakochana i lekkomyślnie igrająca świętemi obowiązkami, i powiada: stań! Staje przed wami, którzy biegniecie na usługi świata, ze szkodą sumienia za zyskiem i użyciem gonicie, w zapamiętałem samolubstwie depczecie cudze prawa. własne powinności, dogadzając wszędzie i we wszystkiem tylko waszym namiętnościom.

2.

Chrystus jest wskrzesicielem i dawcą życia! Młodzieniec z Naim zgasł w kwiecie wieku, poszedł drogą ciała, które więdnie jako kwiat, upada i usycha, jako trawa polna. Ani łzy matki, ani współczucie ludzi nie mogło wrócić mu życie. Umarłego wynoszono, gdy Chrystus wstępował do miasta, wynoszono martwe ciało, z którego uleciała dusza. Martwe zwłoki młodzieńca, leżące na marach w obec Chrystusa, podobne są do trupów duchowych, które napotyka wśród chrześcian oko Pańskie, spoglądając z wysokości na ziemię, co się królestwem Jego stać ma. Trupem duchowym jest pogaństwo całe: trupami narody całe, gdy w życiu ich nie było Chrystusa, trupem każdy chrze-

ścianin, jeżeli w sercu Jego nie mieszka żywy Chrystus. Bo, że ktoś myśli, rozmawia, sprzedaje i skupuje, że się porusza i rękami, a nawet głową pracuje, są to dowody świadczące, że cielesny organizm żyje, że siły żywotne spełniają swe czynności, ale nie jest bynajmniej dowodem, że w człowieku takim Duch Boży żyje. Dla tego można posiadać majętności, zaszczyty, światową potęgę, a w obec Chrystusa trupem być. Można zbadać głębie nauki, wypowiadać piękne słowa, pisać znakomite dzieła, będą to jednak prace cmentarzowe, grabarskie, bo bez Chrystusa i najwyższa umiejętność staje się trudnią bez wód, staje się literą, w której niema tchnienia Boskiego. Tak najmilsi, bez Chrystusa wszystko, nawet urocza natura, wszystko, młodość, szczęście, piękność, rozum, bogactwo i ubóstwo, owiane są martwotą, bo zostają pod panowaniem śmierci. Chrystus i tylko Chrystus daje życie człowiekowi i temu, co go otacza, i temu co w niem jest! A jak daje życie? oto! mocą swego słowa! Widzimy to i w dzisiejszej Ewangielii. Chrystus zbliżył się do mar, „dotknął się trumny i rzekł: Młodzieńcze! tobie mówię, wstań! I usiadł on, który był umarł, i począł mówić; i oddał go matce jego.“ Słowo Boga-Chrystusa, to światłość przenikająca nawet noc śmierci, to wody życia, wskrzeszające z martwoty grobowej. Dla tego też bez słowa Bożego i najdroższe dary duchowe giną; bez słowa Bożego kościół upada, dom się ruiną staje, życie rodzinne gaśnie. Kto z was dzieje kościoła zna, ten wie, że tylko słowem Bożem pogaństwo zostało obalone, a gdy w wiekach średnich ciemność ogarnęła ludy chrześciańskie, cóż jeżeli nie owe słowo Boże „wstań!“ wyrzeczone przez ubogiego mnicha, wzbudził kościół do nowego życia. To też tto przed tobą staje dziś i uchyla wieko trumny twych mniemanych dobrych uczynków, twych przyzwyczajeń, nawyknień, tak zwanych cnót obywatelskich, szlachetnych przymiotów, mienia, władzy i wiedzy, i powiada: Umarły, wstan!? Kto, jeżeli nie Chrystus! lecz nie ów Renanowski Chrystus, nie Chrystus nauczyciel, filozof, prawodawca, — ale Chrystus Biblii, Bóg i człowiek prawdziwy, Syn Jednorodzony Ojca z wieczności. Chrystus Bóg-człowiek słowem swem zatrzymał na drodze potępienia Saula i przemienił go w Pawła; Chrystus, Syn Boży, słowem swem wskrzesił z martwych młodzieńca z Naim. Dla czego nie wskrzesił go który z apostołów; dla czego nie wzbudził z umarłych młodzieńca izraelskiego Bóg-Jehowa? Bo napisano: „Chrystus jest żywotem wiecznym“, a Ojciec niebieski dał na śmierć Syna swego, aby przez tego Syna śmierć zwyciężoną była. Tak, Chrystus Biblii jest wskrzesicielem i dawcą życia, bo On tylko gładzi grzechy i znosi śmierć, która jest zapłatą za grzech. A więc, czy wiecie dla czego wam Chrystus filozof, moralista, prawodawca, nie może pomódz, i na nic się ludzkości nie przyda? Bo wam i całej ludzkości potrzeba nadewszystko i przedewszystkiem — odkupienia i zbawienia. Najmilsi, mieliście i macie opowiadanego Chrystusa Biblii, mieliście i macie słowo zapisane w księgach proroków i apostołów i Sakramenta, jak je Chrystss Pan ustanowił, ale, — darujcie, że powiem otwarcie, co serce moje czuje, — życie religijne jednak z pośród was znika, a znika, bo nie chcecie dać się uświęcić słowu Bożemu, bo się więcej przywiązaliście do osoby niż do kazania słowa prawdy, bo więcej ma dla was powabu krasomówstwo, niż w prostocie serca opowiadana Ewangielia. Powiecie może, iż jestem źle uprzedzono! Bóg mi świadkiem że nie! Mówię tak, jak czuję, mówię, czerpiąc z Ewangielii dzisiejszej, i opierając się na tej Ewangielii, powtarzam: bez Chrystusa Biblii w sercach niema życia, jest tylko śmierć, niema prawdy, tylko obłuda; niema chrześciaństwa, są tylko jego pozory. Bez Chrystusa Biblii w sercu, można pięknie pisać, porywająco mówić, ale jest to brzmienie dzwonu, którym głuchy dzwonnik porusza a dzwoni umarłym. Mówiąc te słowa, czuję jakąś gorycz i ból w duszy mojej; przeczuwam, że powiecie, iż znać przywykłem do prostego ludu mówić i zapomniałem jak do wasz przemawiać należy, — lecz inaczej nie mogę! zaprawdę, — nie mogę! Najmilsi, może dni żywota mego policzone, i nie będzie mi dozwolono znów stanąć na tej mnie tak drogiej kazalnicy, proszę więc i błagam, usłuchajcie Tego, który woła w Ewangielii: Wstań! — i powstańcie do nowego żywota, do żywota w słowie Bożem. Nędzny i grzeszny człowiek, ale niegdyś wasz pasterz, zawsze noszę was na sercu mojem, zawsze w przyczynnych prośbach modlę się za wami, a oto i dziś wołam do Boga miłosierdzia i dawcy życia: Panie! zmiłuj się nad tym tu zborem, rozbudź go i utrzymaj przy słowie Twoim, a jeżeliby nie chciał usłuchać Cię, jeżeliby życie z Ciebie zamrzeć w nim miało, uderz Panie zbór ten ręką Twoją, nie jako Bóg karzący, ale jako Bóg miłosierdzia, uderz, nie na zabicie, ale na wskrzeszenie do żywota prawdziwego! Amen!

Na pogrzebie.

3)

(Dokończenie.)

Przy kilkakrotnem trzasku z bata zajechaliśmy przed dom. Na spotkanie nasze wysunął się tylko smukły z wieżyczką ganek przez który, nabiwszy sobie kilka guzów w niskiej sieni, weszliśmy do pustego przepokoju. Przy oknie, na którem paliła się mała łojowa świeczka, stał niemłody izraelita i kiwając się, mruczał wieczorną modlitwę. Spostrzegłszy nas skłonij się lekko i dalej szeptać począł, odwrócony plecami.

Wilkołyski ujrzawszy go, poczerwieniał, ale rzekł z przymuszonym uśmiechem, wprowadzając nas do ciemnego pokoju.

Tylko żyd i pies wiernie domu strzegą, ręczę panom długoletniem doświadczeniem. A ten stary arendarz jest tak do mnie przywiązany, że z pewnością w tej chwili za mnie się modli.

Zapaliwszy świecę, gospodarz przeprosił nas

i wyszedł do niewidzialnej służby. Owocem tej wyprawy była herbata, chleb z masłem i spodeczek do konfitur.

Po kawalersku, panowie, po kawalersku. Kto nie ma żony, nie ma kuchni.

Wyznam, że nigdy mi cudze kawalerstwo mniej nie smakowało. Byłem tak głodny, jak Ogolino i omał nie zacząłem ogryzać własnych palców. Jakkolwiek Wilkołyski upewniał nas, że wegetaryanizm jest najdobroczynniejszym w jedzeniach wieczornych, że świeże powietrze dziwnie go zasyca, nie zauważył jednak widocznie w nas wyznawców swojej hygieny, bo poradził, azebyśmy po trudach podróży udali się wcześnie na spoczynek. Życząc przyjemnych marzeń, powiódł nas przez pustą izbę do trzeciego pokoika i na progu pożegnał. W sypialni stały dwa stare, na czerwono pomalowane łóżka. Zbliżywszy się do jednego z nich, spostrzegłem brudną niepowleczoną pierzynę, położoną zamiast materaca na kilku poprzecznie przeciągniętych sznurach, na niech wykropkowaną przez muchy, pająki i pchły poduszkę, a do okrycia zwykłą końską derę. Z pościeli tej wydobywała się mocna woń kuchni i stajni. Stanąłem z załamanemi rękami nad tem gniazdem, w którem los mi niewinnie kazał całą noc przespać. Obejrzałem się — Józef dumał również zgnębiony nad podobnem łożem.

Wpadliśmy — co? — rzekł z uśmiechem.

Podobno lepsza chłopska stodoła, której się tak obawiałeś.

W tej chwili wszedł do pokoju zaspany parobek, niosąc nam dzban wody i miskę.

Mój przyjacielu — odezwał się Józef — pamiętajcie tam o moich koniach.

A być, pamiętać by się pamiętało, ale kiej Aron, jak zabrał ostatnie dwa cugowe konie, tak teraz wszyćko wywozi. Niema ani garści owsa.

Pięknie ten żyd za niego się modli — rzekłem po odejściu służącego.

Zarzuciwszy na brudną pościel surduty, okryci paltotami, położyliśmy się spać. Zaledwie jednak przymrużyłem oczy, poczułem przebiegające mi po twarzy i rękach jakieś drobne żyjątka. Józef także syknął i zerwał się na równe nogi. Zapaliliśmy świecę: wszelkiego rodzaju domowe, nader obłaskawione owady roiły się na naszem posłaniu.

A więc to pewnie hodowlę tych gatunków obiecał nam pokazać Wilkołyski — rzekł Józef. Mógłby je wytępić bez uszczerbku dla fauny krajowej.

Polowanie w łóżkach zajęło nas do brzasku dnia. Uzbroiwszy się w cierpliwość i tolerancyę, spróbowaliśmy znowu zasnąć. Na domiar jednak naszej niedoli w sąsiednim pokoju jakiś ptak zaczął wyprawiać takie harce, tak bić skrzydłami o ścianę, że w połączeniu z wędrówką owadów ciągle nas rozbudzał. Nareszcie zrobiła się cisza; robaczki nasyciły się, czy też złagodniały i my znużeni zapadliśmy w sen głęboki.

Zaledwie słońce zabłysło, zerwaliśmy się obaj, umyli, a że ręczników nie podano, otarliśmy się chustkami, czekając niecierpliwie wyjazdu. Przebyte cierpienia dostarczyły nam wątku do wesołej rozmowy, gdy nagle z sąsiedniego pokoju, w którym hałasował ów ptak, ryknął przeraźliwie Wilkołyski. Wbiegliśmy przerażeni: dziedzic Sans souci, w bieliźnie i szlafroku, siny z gniewu, z rozrzuconemi włosami, zacisnąwszy pięście, krzyczał na bladą od strachu dziewkę.

Uduszę cię, szelmo, pod bronę przywiążę, kołek w gardło zabić każę!

Proszę jaśnie pana | tłómaczyła się dziewka — co ja winna, że on przełknąć nie mógł.

Coś ty winna zbrodniarko, a nie mogłaś pobrobić!

Tu Wilkołyski uderzył ją kułakiem w twarz, porwał za kark i wrzucił do kuchni.

Przepraszam panów — rzekł sapiąc wzburzony — ale co ta suka mi zrobiła! Zamierzyłem rozpocząć na wielką skalę hodowanie bażantów. Pojechałem aż nad granicę austryacką do hr. Potockiego, kupiłem za 15 talarów jedną samicę, przywiozłem ją przed dwoma tygodniami w klatce, pielęgnowałem jak dziecko, teraz znowu byłem w Skierniewicach dla kupienia samca, tymczasem ta kłoda dała wielkich klusek, bażant się udławił i zdechł. Widzicie teraz panowie, jak to z naszem ludem można wprowadzać do gospodarstwa nowe gatunki.

W tej chwili dopiero spostrzegłem na podłodze martwego bażanta, któremu z dzioba wyglądał koniec olbrzymiej kluski.

Janie! — krzyknął Wilkołyski.

Przybiegł parobek.

Rąbać mi tu zaraz podłogę, wykopać dół i pochować tego ptaka w pokoju, tak, w pokoju! Niech przynajmniej złodzieje wiedzą — rzekł po odejściu parobka — że to nie zwykła kura, którą się za płot wyrzuca.

Jan przyniósł siekierę i rydel, wyrąbał dziurę, zrobił mały grób i ze czcią złożył bażanta. Gdy go zasypywał, Wilkołyski westchnął głęboko wzruszony i rzekł filozoficznie:

Ot, bądź bażantem śród podłego drobiu, zadławią cię prostą tłuską.

Zachowawszy należne temu uroczystemu pogrzebowi milczenie, opuściliśmy cmętarz bez stypy. Nawet o wegetaryańskiem śnadaniu nie mogło być mowy. To też pożegnawszy gospodarza, który nas stokrotnie przeprosił za doznane przykrości, siedliśmy na bryczkę.

Wyjechawszy na drogę, spojrzeliśmy sobie z Józefem w oczy i parsknęli gwałtownym śmiechem.

Koniec.

Rozwiązanie zagadki z nr. 25.
Kura.

Zagadka

Stoji pachołek jak kołek,
Mógłbym przysiądz, że ma w głowie tysiące.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej.“

Nr. 27. | Ełk, na niedzielę dnia 17 października. | 1897.

Osiemnasta niedziela po św. Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Ewangielia św. Mateusza, r. 22, w. 34—46.

Ewangielia dzisiejsza obejmuje wszystko, co zawiera w sobie Stary i Nowy Testament, opierając się więc na tej Ewangielii, chcę wam powiedzieć:

Że zakon prowadzi do poznania grzechów, Ewangielia zaś obdarza łaską i pokojem.

1.

Chrystus był kuszony nie tylko przez szatana na puszczy, żyjąc pośród ludu izraelskiego, kuszony był i przez jego duchowych wodzów i kapłanów, przez saduceuszów i faryzeuszów. Saduceusze, przedstawiciele ówczesnej filozofii i materyalizmu, żyjąc wedle pożądliwości ciała, zaprzeczali możności zmartwychwstania umarłych. Przystąpiwszy więc do Chrystusa, kuszą Go pytaniem: co się stanie w życiu przyszłem z ową niewiastą, która siedemkroć zamężna była. Chrystus jako Bog prawdziwy, nie tylko zawarł im usta, ale uchyliwszy zasłonę wieczności, pozwolił spojrzeć w ono życie przyszłe, gdy rzekł: „Przy zmartwychwstaniu ani się żenić, ani za mąż chodzić będą, ale będą jako aniołowie Boży w niebie!“ (Ew. św. Mateusza, r. 22., w. 30.)

Serce ludzkie niewyczerpane jest w złości. Nie długo potem, „gdy usłyszeli faryzeuszowie, że zawarł usta saduceuszom, zeszli się wespół“ — radzić, jakby pokusić Chrystusa. Farzeusze byli to wedle mniemania ludu izraelskiego ludzie świątobliwi, a wedle własnego przekonania ludzie, którzy sądzili, że wypełnienie zakonu leży w mocy człowieka, a wypełniając go powierzchownie, głosili, iż wedle zasługi uczynków dziedzictwy się niebo, otrzymuje łaskę Bożą i zbawienie. Ci to faryzeusze, owi nauczeni w Piśmie, zapytują Chrystusa: „Które jest najwiętsze przykazanie w zakonie?“ Jak w obec saduceuszów tak i tu, widzimy Chrystusa w całym majestacie boskości. Miłosierny, dobrotliwy, szukający grzeszników, nie odtrąca obłudnych nawet od oblicza swego, lecz jako Pan nieba i ziemi, jako jedyny i prawdziwy wykonawca zakonu Bożego, streszcza w odpowiedzi danej faryzeuszom dziesięć przykazań mówiąc: „Będziesz miłował Pana, Boga twego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej; to jest pierwsze i największe przykazanie. A wtóre, podobne jest temuż: będziesz miłował bliźniego twego jako samego siebie. Na tych dwóch przykazaniach wszystek zakon i prorocy zawisnęli.“

Słowa te Chrystusa dają się gładko i łatwo wymówić, — a jednak, gdzież jest człowiek śmiertelny, który je prawdziwie i rzetelnie wypełnił? Bóg albowiem, żądając posłuszeństwa względem zakonu a miłości względem siebie i ludzi, chce, byśmy Go miłowali nadewszystko, całem sercem, całą duszą, bo i On nas umiłował, a w wielkiej miłości, nie tylko zapalił dla nas słońce na niebie i nieskończone przestworza zasiał gwiazdami, ale oddał także dla nas Jednorodzonego Syna swego. Bóg chce miłości naszej, chce nie ofiar, ale serc naszych, serc całych, jako sam mówi: „Synu mój, córko moja, oddaj mi serce twoje.“ Oddaj Mi serce twoje! tak woła Bóg, i to nie od dziś dopiero, nie w ten czas, gdy serce to ostygnie i zgrybieje, nie w ostatnią godzinę życia, tak woła od dni tego dzieciństwa, od młodości twojej, bo pragnie je mieć, pragnie posiadać, jako wyłączną własność swoję.

Najmilsi słuchacze moi! Czyście oddali serca wasze Bogu? Czy On i tylko On, Bóg w Trójcy świętej jest panem i królem serc waszych? Czy oprócz Boga, miłowaliście i dusze wasze? Czy oddajecie jej ów pokarm sprawiający żywot wieczny, to jest, czy ją pokrzepiacie słowem Bożem? Czy słowo to jest światłością waszą, waszym przewodnikiem jedynym, czy w niem tylko szukacie mądrości, nauki, pociechy i umocnienia? Jeżeli nie, — w takim razie nie miłujecie własnej duszy i samych siebie, a nie miłując siebie, jakże wykonacie owo przykazanie miłości: „Kochaj bliźniego jak siebie samego!“

Miłości dają różne nazwy: humanizm, filantropia, braterstwo, równość, zjednoczenie! Dźwięczne to nazwy, ale nazwy tylko, i porównałbym je z kamelią, owym kwiatem świetnych barw, lecz wcale nie woniejącym. Miłość bez wiary, to posąg z marmuru. Miłość ludzi, bez umiłowania własnej duszy, to światło elektryczne, błyszczy, lecz nie grzeje. Już apostoł Paweł powiedział:

Jeżeli nie mamy miłości, miłości, która z wiary w Chrystusa wypływa, to chociażbyśmy całe mienie ubogim rozdali, chociażbyśmy ciało nasze palili, lub anielskimi językami mówili, bylibyśmy jako dzwon próżny, jako miedź brzękająca!

Ludzie wymyślili mikroskopy celem zbadania z najdrobniejszych ciałek i najmniejszych żyjątek, lecz gdzież jest owe szkło, w które patrząc, można zajrzeć do głębi żywego bijącego serca ludzkiego? Szkła tego i najwyższa umiejętność nie wynajdzie, bo stworzyła go mądrość Boża, a jest niem słowo Boga świętego. Słowo to nie udzi, nie przemija na ziemi ani na niebie, słowo to jest świadością, i jeżeli promieniami jego w sercu waszem zaświecicie, cóż ujrzycie? Cóż? Czy mam powiedzieć? Oto wasza ludzka miłość była samolubstwem, albo namiętnością! Oto, gdy wargi wasze o miłości prawiły, serce kalał brud żądzy, zemsty, chciwości i innych wielkich grzechów! Oto gdyście gotowi byli niby umrzeć dla ludzkości, ponieść dla wypowiadanej przez was myśli największe ofiary, w głębi serca tulił się szatan i szeptał wam: będziecie jako Bogowie! Może was te słowa moje ranią, może powiecie, to nie prawda! Idźcie, idźcie do cichej, ustronnej komory, zawrzyjcie się w niej z Bogiem, prawdziwym, świętym, wszechmocnym Bogiem, zawołajcie z głębi duszy, zawołajcie aby raz chociaż: Panie oświeć mię! i spojrzyjcie w serce wasze! O! znajdziecie tam rzeczy gorsze od tych, które wspomniałem, znajdziecie coś, na kształt uczuć Kaina, coś z owej krnąbrności współczesnych Noego, znajdziecie występki, grzechy, nieprawości, które prorocy karcili w Izraelu, znajdziecie Judasza i Piotra zapierającego się Chrystusa, znajdziecie, patrzcie tylko w zwierciadło prawdy, w Biblią świętą! Biblia odkrywa wszystkie tajniki serca ludzkiego, pokazuje czem i jakimi jesteśmy. Przejrzyjcie się w zwierciedle prawdy, a poznacie samych siebie i zawołacie z psalmistą: „Panie, nie wchodź w sąd z sługą Twoim, bo jeżeli chcesz grzechy policzyć, któż ostać się może?" Tak! przejrzyjcie się w zwierciedle prawdy, którego ogniskiem w Starym Testamencie jest zakon dziesięciu przykazań, poznacie grzechy i winy wasze. Zakon jest mieczem, który pyszne serca rani, jest prawicą Boga, która zdejmuje z nas wszystkie błyskotki zwane cnotą i ludzką zasługą, jest drogą wiodącą do pokuty i ukorzenia się przed Panem nieba i ziemi, dla tego dziś i zawsze zakon ten wygłaszałem, wołając na was: pokutujcie i nawracajcie się. Tak, pod zakon Boga świętego poddawałem siebie i was, bo zakon „jest pedagogiem naszym do Chrystusa, abyśmy z wiary byli usprawiedliwieni" (do Rzymian 3, 24). Jeżeliście więc z zakonu poznali grzechy wasze, jeżeli z głębi duszy, nie ustami tylko, możecie i dziś powiedzieć owe wielkie słowa: Jam grzeszny, Panie zmiłuj się nade mną! toście i w największym żalu, i w największym upadku błogosławieni, bo zakon poprowadził was do Ewangielii.

2.

Ewangielia zaś, to anioł pokoju, dobra nowina o łasce i przebaczeniu, to zwiastowanie owej miłości, którą Bóg tak umiłował świat, że dał na śmierć Syna jednorodzonego, aby wszelki, który weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny. O tej to Ewangielii mówi Chrystus w drugiej części rozdziału 22. św. Mateusza, pytając faryzeuszów: „Co się wam zda o Chrystusie, czyim jest synem?" Oto, i ja też się was pytam jako sługa Boży, pytam na sumienie wasze, pytam żegnając się z wami: powiedzcie, co się wam zda o Chrystusie? Czemże jest On dla was? Jeżeli mędrcem tylko, chociażby największym, jeżeli nauczycielem, prorokiem, wzorem cnoty, ideałem ludzkości — to powiem wam, idźcie precz z tego kościoła, zrzućcie krzyż z niego, spalcie Biblią, nie chrzcijcie dziatek waszych w imię Boga w Trójcy, nie żądajcie Komunii św., wyrwijcie krzyże z mogił waszych ukochanych — bo jeżeli Chrystus nie jest Bogiem, Biblia jest kłamstwem, kościół teatrem, a słudzy kościoła największymi zwodzicielami. Tak, w ten czas i ja oszukiwałem was, a pastorska suknia moja była suknią komedyancką, wy zaś sami, wy powinniście się wstydzić miana chrześcian. Powiedziałem wam to już podczas tegorocznych nabożeństw passyjnych, powtarzam i dziś: drogi pośredniej niema: albo Chrystus jest Chrystusem takim, jakim Go Pismo święte objawia, albo jest On dla nas po dziewiętnastu wiekach już nie przydatną. Może was to razi, że dziś tak mówię, może weźmiecie to za uniesienie z obecnej wynikłe chwili. O nie najmilsi, jam spokojny, to nie zapał mnie unosi, ja tylko jak zwykle, doprowadzam wywody moje do ostatecznych wyników. Powiecie może, — lecz na cóż Bóg stał się człowiekiem? Oto na to, abyś poznawszy, że jesteś biednym, grzesznym, zgubionym człowiekiem, mógł prawdziwie znaleść grzechów odpuszczenie, znaleść pokój Boży. My jako ludzie i w ogólności wszystko, co się z ciała ciałem narodziło, nie może zadośćuczynić sprawiedliwości Boga żywego, nie może dać mu zadośćuczynienia. Możliwość zadośćuczynienia leżała jedynie w osobie Chrystusa dla tego, że Bóg prawdziwy wziął na siebie człowieczeństwo nasze; że jako Bóg prawdziwy nie tylko dla was się narodził z dziewicy, nie tylko wziął na się ubóstwo i nędze, utrapienie i poniżenie nasze, ale i grzechy nasze. Jako nasz zastępca, poniósł dla nas przynależną nam karę, umarł albowiem śmiercią haniebną, śmiercią na krzyżu, i dla tego w śmierci Jego mamy usprawiedliwienie nasze, w krwi Jego oczyszczenie od grzechów wszelkich, w wstąpieniu do piekieł pewność zwycięztwa nad szatanem, w zmartwychwstaniu i w wniebowstąpieniu zadatek żywota i szczęśliwości wiekuistej! Nie dość jednak na tem, jako wierny pasterz, Chrystus postanowił chrzest święty, aby co się z ciała grzesznego narodziło, Duchem świętym odrodzone zostało, postanowił Komunią św., aby dziatki Boże, karmione pokarmem sprawiającym żywot wieczny, rosły na mężów i niewiasty silne wiarą i miłością. Chrystus, ten jedyny i prawdziwy biskup dusz naszych, by nas nie zostawić w usamotnieniu, by nam ulżyć w ciężkiej pielgrzymce doczesnej, powiedział: O cokolwiek byście w Mojem imieniu

prosili, dane wam będzie! Komu więc grzechy stały się brzemieniem ciężkiem, kto łaski i pokoju szuka, ten znajdzie wszystko to w Chrystusie, znajdzie pod krzyżem z Golgoty. Wołajcie z głęby duszy, pragnijcie grzechów odpuszczenia i świętości, a Duch św. zstąpi w serce wasze, i z nim pokój, łaska i ufność. Pragnijcie, wołajcie, proście, szukajcie: „Bo Chrystus przyszedł szukać i zbawić zgubione" (Ew. Łukasza, 19, 10.) „On jest drogą, prawdą i żywotem, a żaden nie przychodzi do Ojca, tylko przez niego" (Ew. św. Jana, 14, 6.) „Niemasz w żadnym innym zbawienia; albowiem niemasz żadnego imienia pod niebem, danego ludziom, przez które moglibyśmy być zbawieni, jak tylko imię Jezus" (Dzieje apost., 4, 12). Kto Chrystusa wyzna przed ludźmi, tego i On wyzna przod Ojcem, który jest w niebiesiech, a kto się Go zaprze przed ludźmi, tego się i On zaprze przed Ojcem w niebiesiech (Ew. św. Mateusza, 10, 32, 33.) Patrzcie, słuchajcie, to treść Ewangielii, to prawdy, które starałem się wiernie w ciągu całego pasterstwa mojego wygłaszać, które i dziś pragnąłbym wrazić, pragnął wyryć na sercach waszych.

Ponieważ jednak dziś znajdują się w tym przybytku Pańskim nie tylko wyznawcy kościoła luterskiego, przeto wam, synowie innych kościołów, ja pastor luterski powiadam: niema w innym zbawienia, jak tylko w Chrystusie, a On jest prawdziwą pomocą i zbawieniem. Szukajcie w Jezusie zbawienia i pomocy, a znajdziecie ją, znajdziecie w życiu i w śmierci. Pamiętajcie, że Jednorodzony z Ojca w wieczności jest najwyższą miłością, i po tem pozna was, żeście Jego, gdy miłować będziecie, gdy miłością obejmować będziecie jak On z krzyża swego świat cały.

A jeżeliby między wami byli i niechrześcianie, i im powiadam: Bóg w Trójcy świętej jest jedynym i prawdziwym Bogiem, Chrystus jedynym zbawicielem. On was umiłował, On i za was umarł, On i do was z Golgoty wyciąga ramiona, wołając: pójdźcie do mnie, wy wszyscy, którzyście obciążeni.

Tak więc najmilsi, oto jest wszystko. com chciał powiedzieć, czego jednak zapewne nie wypowiedziałem w zupełności, bo serce moje jest zbyt przepełnione, bo zbyt mię tamują i krępują ludzkie krewkości, bym zdołał wypowiedzieć słowem, co widzę oczami mej duszy. Chciałem, by dzisiejsze kazanie było streszczeniem tego, com przez siedemnaście lat w zborze tutejszym wygłaszał, czym zamierzony cel osiągnął nie wiem, przeto chęć gorąca niech zagładzi niedostatki mojej mowy. A teraz, żegnając się z wami, mam do was jednę prośbę jeszcze, o jedno was błagam: nie zapominajcie o mnie w przyczynnych modlitwach waszych, tak jak ja o was nie zapomnę. Bo jak po dziś dzień, modlę się za pierwszy mój zbór, tak nie przejdzie i jeden dzień, żebym nie zaniósł modłów moich za wami przed tron Przedwiecznego. I wy módicie się za mną, a nie tylko za mną, ale i za zborem, do którego idę. Pamiętajcie o mnie i łączcie się ze mną w modłach przyczynnych, a w trwogach i wspólnych radościach secca nasze spotkają się nieraz na drodze westchnień i modłów idących do Ojca w niebiesiech w imieniu Chrystusa.

O najmilszy zborze mój, bo takim zawsze dla mnie pozostaniesz, najmilszy zborze mój, nie dla tego odchodzę od ciebie, żebym strudzony ciężką pracą szukał odetchnienia i ulgi; nie odchodzę dla ziemskich widoków, dla zysku, dla przyjemności, bo między wami będąc, nie szukałem tego wszystkiego, nie będe więc szukał tego i w zborze, którego członkami są sami rolnicy; nie wychodzę od was, żeby — lecz pocóż ja to wszystko mówię! Kończę już, kończę i proszę, proszę i błagam, bądźcie wierni do końca, wyznawajcie Chrystusa, miłujcie Boga nadewszystko, miłujcie się między sobą, nie ustawajcie w modlitwie. Módlcie się, myślą, sercem, mową t czynem wysławiajmy Chrystusa Pana, abyśmy tu na ziemi i w niebie zostali w Bogu, a On w was, aby drogą, życiem i prawdą był dla nas Jezus Chrystus.

Żegnam wos najmilsi! Żegnam was, których chrzciłem, konfirmowałem, nauczałem, których u stopni ołtarza w małżeństwo łączyłem, żegnam was wszytkich! Łzy, które z oczu moich płyną, to nie łzy słabości, ale dziękczynienia, dziękczynienia za miłość waszę ku mnie. Żegnam was! a ostanie moje słowo dla was dziś, jak i w godzinę śmierci mojej będzie i jest: Niech was Pan błogosławi i strzeże, niech was umacnia i oświeca, niech prawda Boża, niech Chrystus mieszka w was, niech z wami zostanie na wieki, łaska, miłosierdzie i pokój Boga Ojca, Syna i Ducha świętego. Amen!

Pod stopy krzyża.

Wiersz ś. p. Adama Asnyka.

Dużo cierpiałem . . . lecz koniec się zbliża.
Z uspokojeniem po przebytej męce —
Pójdę, o Chryste, do stóp twego krzyża,
Wyciągnąć znowu z utęsknieniem ręce,
I witać ciszę zachodzącej zorzy,
Która mię w prochu u stóp Twych położy!

Nie pomnę modlitw, com niegdyś ze skruchą
Przy boku matki powtarzał niewinny.
Te utonęły w fali życia głucho,
I odkąd w gruzy padł mój raj dziecinny,
Odkąd mi zbrakło Ojczyzny i domu,
Nie otworzyłem mej duszy nikomu!

Nawet przed Tobą, nie mogłem, o Panie,
Wydobyć płaczu z mej piersi ściśniętej,
Bo wzrok mój padał w bezdenne otchłanie,
A tyś mi zniknął na krzyżu rozpięty,
Z pośród pokoleń rozrzuconych kości,
Z ciemną chmurą krwi, łez i nicości.

Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnie, nie widziałem kary,
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie znalazłem i brakło mi wiary,

I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdroszcząc ludziom, co na grobach płaczą.

Widziałem niemoc i trwogę konania,
Widziałem duchów hańbę i upadek —
Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania,
I próżnych męczeństw przerażony świadek,
Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje.
Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję.

Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
Które na stosach palą się i świecą,
Myślałem bowiem, że biegnąc w płomienie
Wiedzą przynajmniej, dla czego tam lecą,
I że przyjmując każdy ból i ranę,
W piersiach anielstwo noszą nieskalane.

Lecz gdym obaczył, zkąd te wszystkie czyny
Swój tajemniczy początek wywodzą;
Ztąd wyrastają ściekłe krwią wawrzyny,
Gdzie upapadają ci, co w niebo godzą,
I gdy wynikając w serc zranionych ciemność,
Za każdym bólem znalazłem nikczemność.

Natenczas miłość stała się podobną
Do nienawiści smutnej i posępnej,
I przeklinałem tę rzeszę żałobną
I pogardzałem niemi — sam występny . . .
I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
Zem nie mógł kochać jak dawniej za młodu.

Tak więc w mej duszy zburzonym kościele
Została straszna pustka i samotność,
Sam jako nędzarz zostałem w popiele
I własną badać zacząłem przewrotność,
I wszystko w sobie znalazłem to samo,
Ci mi się zdało być u drugich plamą.

Wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche,
Co kłamią tylko pozór wyższej cnoty,
Olbrzymią nicość i olbrzymią pychę
Znalazłem na dnie swej własnej istoty,
I tak swe serce rozpoznawszy chore,
Straciłem w sobie ostatnią podporę.

Lecz ta upadku właśnie ostateczność,
Co mnie w bezdennej pogrążyła nocy,
Dała mi poznać wszechwładną konieczność
Wyższej a razem nieskończonej mocy.
I moja rozpacz szalona i trwoga
Świadczyła jeszcze o potędze Boga.

Na mojej piersi spoczywał schowany
Maleńki krzyżyk ze słoniowej kości;
Świadek młodzieńczej wiary niesalanej,
Dar macierzyńskiej najczystszej miłości,
Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego, boskiego męczeństwa.

Kiedy go teraz na piersi zbolałej
Po latach tylu znalazłem niewierny,
Tak mi się znowu wydał jasny, biały,
Taki potężny i tak miłosierny,
że znów tęsknotą zadrżało mi łono
Za tą postacią tyle uwielbioną!

I powitałem światło wiecznie nowe,
Z tych jasnych ramion krzyża tryskające,
I na skrwawione stopy Chrystusowe
Tak samo lałem moje łzy gorące,
Jak wówczas, kiedym poił serce młode,
Patrząc na mistrza nadziemską pogodę.

I znów słyszałem te Boskie wyrazy:
„Chodźcie tu do mnie wy, którzy cierpicie,
Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy,
We mnie jest spokój i we mnie jest życie,
Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie,
Wszystko przemija, prawda nie przeminie!“

Więc posłuchałem słodkiego wezwania —
I oto idę z mem sercem schorzałem,
I pewny jestem Twego zmiłowania,
Bom wiele błądził, lecz wiele kochałem,
I drogi życia przeszedłem cierniste . . .
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz Chryste.

Rozmaitości.

— 500 **panien na wydaniu** wyruszy na wiosnę roku przyszłego do złotodajnego Klondyke, pod wodzą pastora M. Kernan z Ola, w południowem Dakota. Podejmuje się on zapłacić im koszta podróży, lecz od każdej kandydatki do stanu małżeńskiego żąda 2—4,000 dolarów; w razie gdyby która męża nie znalazła, zobowiązuje się własnym kosztem odwieść ją do Seattle. Taka ewentualność jest jednak wykluczoną, wobec szalonej ochoty do ożenku wśród górników miejscowych. Wyruszając do Klondyke, byli po większej części za ubodzy, aby módz myśleć o małżeństwie. Teraz, gdy pozyskali szybko fortuny, marzą o rozkoszach domowego ogniska. Kernan na swoją odezwę do Amerykanek otrzymał parę tysięcy zgłoszeń, z tak znacznej liczby kandydatek wybrał 500 od lat 18 do 36. W dniu 15 kwietnia wyruszy z niemi z Seattle (dokąd muszą przybyć na własny koszt, zaopatrzywszy się w ciepłe odzienia) opłaci im podróż oceanem drugą klasą na parowcu. Wieźć będzie księdza katolickiego i pastora. Damy pozostaną na pokładzie, dopóki ich duchowny nie połączy węzłem małżeńskim. Kernan ma zamiary zupełnie „uczciwe.“ Na tej „spekulacyi“ spodziewa się zarobić 250,000 dolarów. I niechże kto powie, że kobiety nie są odważne i pomimo emancypacyi, gotowe obdykować ze swej swobody na rzecz „tyrana.“

Rozwiązanie zagadki z nr. 26.
Makówka.

Zagadka.

Kto o nią dba, ten jej nie ma,
A kto nie dba, ten ją ma.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej!“

Nr. 28. | Ełk, na niedzielę dnia 31 października. | 1897.

Dwudziesta niedziela po św. Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi Amen.

Ewangielia św. Mateusza r. 22, w. 1—14.

Chrystus, Jednorodzony z Ojca w wieczności, przyszedł szukać i zbawić zgubione, i dla tego też wszystko, co mówił i czynił, zmierzało ku ratowaniu dusz, ku pomocy upadłych i grzesznych. Jego narodzenie w Betlehem, Jego śmierć na krzyżu z Golgoty, słowa, które mówił i cuda, które czynił, wszystko do jednego zmierzało: ludzi twardego serca skłonić do pokuty, a wierzącym dać żywot wieczny. Dla tego też bez wiary w Jezusa ukrzyżowanego i zmartwychpowstałego bez miłości i ufności w Chrystusa, co na prawicy Ojca w niebiesiech zasiadł, nie tylko niema zbawienia ale i szczęśliwości doczesnej. Chrystus, jako pasterz dobry, troskliwie szuka zgubionych, lecz tych, którzy Nim gardzą, odtrąci od siebie w onym dniu, gdy przyjdzie sądzić żywe i umarłe. Chrystus wszystkich powołuje, lecz tylko wiernym i pokornym rzeknie: pójdźcie do Mnie, wyście Moi. O takiem to powołaniu i wybraniu prawi Ewangielia dzisiejsza, zastanówmy się przeto nad nią, aby się dowiedzieć:

Dla czego jest wielu powołanych, a mało będzie wybranych!

Syn Jednorodzony Boga żywego, Bóg prawdziwy i człowiek prawdziwy, Chrystus, nauczając lud izraelski, często mówił w podobieństwach, aby leniwe serca pobudzić a prostaczków skłonić do rozmyślań. W podobieństwie o królu spraszającym na gody weselne, przemawia Pan znów do żydów, jak o tem w Ewangielii czytamy. Królem jest Bóg, gośćmi ludzie i ludy. Czem jest królestwo niebieskie, któremu przypodobywa Pan gody weselne, o tem wiedzieć powinniście z Katechizmu, a mianowicie z objaśnienia drugiej prośby. Codzień wołacie: Przyjdź królestwo Twoje! i codzień uczy was Katechizm: „Iż królestwo Boże przychodzi i samo przez się, lecz prosimy w tej modlitwie, aby się między nami upowszechniło.“ Jak się to zaś dzieje, prosto i jasno uczy was tego kościół luterski, powiadając: Gdy Bóg udziela nam Ducha swego, żebyśmy przez łaskę Jego, słowu Jego wierzyli a pobożnie żyli, tu doczeście i tam wiecznie!

Królestwem Bożem więc jest wszystko, co Bóg w słowie swem objawiał od wieków o Zbawicielu, Mesyaszu i o tem, jako zbawi tych, którzy przez nieposłuszeństwo Adama i Ewy, onych pierwszych ojców naszych, stali się grzesznymi. Objawienia takie dawał Bóg prorokom, mężom wybranym, ludu wybranego, ludu izraelskiego. Najpierw jednak objawił łaskę swoję, to jest przyrzeczenie zbawienia, świętym patryarchom: Abrahamowi, Izakowi i Jakóbowi. Oni to pierwszymi kaznodziejami byli i o nich mówi w podobieństwie Chrystus Pan, jako o pierwszych owych sługach, przez króla wysłanych, by gości na gody weselne spraszali. Lecz już wtenczas, grzechowi oddani poganie, upomnień Bożych słuchać nie chcieli.

Cierpliwy a miłosierny Pan nieba i ziemi, po wielu, bardzo wielu stuleciach, mając już zebrany lud swój, lud Izraela, Pan, który dał ludowi przez Mojżesza kościół Starego Testamentu, obrzędy ofiarne i zakon cały, owe świadectwa święte świętego przymierza, zapowiadające przyjście Zbawiciela, widząc, iż lud krnąbrny wpada w coraz cięższe grzechy, słał do niego posłanniki swoje, święte proroki, wzywające do pokuty i nawrócenia. Prorocy, kazaniem słowa Bożego nauczali i upominali lud, bo słowo, słowo zapisane w Biblii, równie, jak w Nowym Testamencie Sakramenta, to owe jedyne a prawdziwe środki łaski, którymi Bóg królestwo swoje na ziemi buduje. Otóż i prorocy słowem to królestwo budowali, a Duchem świętym natchnieni, zapraszali lud Izraela i upominali, by ze skarbnicy Bożej brał dary święte, by czyniąc ofiary, pamiętał o grzechach swych i nawracał się do Boga żywego, Boga Jehowy. Lecz zepsuty Izrael to gardził słowem prawdy, to giął kolana przed cudzymi bogami! Co więcej, wpadając coraz głębiej w grzech, żydzi mordowali i przelewali krew proroków Jehowy! —

O tym to wielkim grzechu Izraela mówi Chrystus w podobieństwie, któreście z Ewangielii dzisiejszej słyszeli, i zarazem przypomina ludowi kaźń, jaka ojców ich za grzech ten spotkała. O najmilsi, wielka i straszna, a zarazem radosna i błogosławiona jest to Ewangielia. Z niej albowiem nauczyć się macie, jako nie rychliwym w-

gniewie, ale sprawiedliwym w karaniach swych jest Bóg, jako nawiedza w dzieciach nieprawości ojców, jeżeli tak samo jak ojcowie grzeszą. Wasi przodkowie ciężkie znosili prześladowania dla świętej ewangelickiej wiary, lecz na nic się nie przyda chlubić ich zasługę, jeżeli śladem ich nie chcecie chodzić. Bóg poruszył serce najszlachetniejszego monarchy waszego, potężnego Cesarza i na mocy niekopomnego patentu cesarskiego otrzymaliści wolność wyznania i równouprawnienie, — najmilsi, wielki i błogosławiony to dar, lecz, czy używacie go ukrzyżowanemu Chrystusowi na chwałę, a bliźnim waszym na pożytek? I lud Izraela był ludem ubłogosławionym i wybranym, miał czyste słowo Boże i święte obrzędy kościelne, ojców ludu tego wyzwolił Bóg z ciężkiej niewoli egipskiej, prowadził cudownie przez morza i pustynie, a jednak, synowie zepsuci nie słuchali głosu tego Boga. Zyski kupieckie, dom i rola były im milsze, jak uczy tego Ewangielia dzisiejsza, aniżeli zbawienie duszy. Dla tego też uporne i nieposłuszne, dla tego one morderce kapłanów i proroków ukarał Bóg Jehowa, oddając Izraela w ręce Babilończyków, a gdy i to karanie nie pomogło, przyszło na żydów ostatnie, najstraszniejsze karanie! Zbuntowany przeciw Bogu prawdziwemu Izrael, nie tylko zabijał proroki Pańskie, zabił on i ukrzyżował sromotnie, jak o tem mówi Ewangielia na innem miejscu (Ew. św. Mat. 21, 23--39), syna owego króla gody sprawiającego, Chrystus! Izrael wołał: krew jego niech spadnie na głowy nasze i dzieci naszych, i krew ta spadła tak ciężko, iż pod jej brzemieniem runęła w gruzach Jerozolima przez Rzymian zburzona, a lud żydowski poszedł w rozproszenie!

Tak najmilsi! Nie rychliwym w gniewie swym jest Bóg wszechmocny, ale sprawiedliwym! Długo był On cierpliwy względem Izraela, lecz w końcu ukarał strasznie, odebrał mu wszystko, i odtrącił od siebie powołany do najwyższych łask lud, pośród innych ludów wybrany. O! korzcie się w prochu pokuty do głębi serca poruszeni najmilsi słuchacze moi! Uznajcie prawdę owych dopiero co wyrzeczonych słów, bo dalej o was mówi Ewangielia.

Chrystus Pan mówi w podobieństwie, jako król sprawiający gody weselne, po ukaraniu pierwszych zaproszonych, rozesłał na rozstaje dróg sługi swe, by zwołali dobre i złe. Gośćmi onymi zapełniły się wszystkie stoły, a król przyszedł je oglądać! Poco oglądać? Oto, czy wszyscy mieli na sobie suknię weselną, bo suknie takie darmo rozdawane były zaproszonym przez sprawiającego wesele. Szaty weselne darmo rozdawane były, mimo to między zaproszonymi znalazł się jeden, który nie przywdział szaty godowej. Tedy król zapytał go o przyczynę takiej opieszałości, lecz nie umiał mu nic odpowiedzieć, owszem milczał. Na on czas rzekł pan do sług swych: zwiążcie go i wrzućcie w ciemności, gdzie będzie płacz i zgrzytanie zębów!

Najmilsi! onymi z różnych stron zaproszonymi, onymi z pomiędzy dobrych i złych powołanymi, jesteście i wy sami. O was to mówi Ewangielia dzisiejsza! Suknią weselną obdarzył was Bóg przy chrzcie świętym, zlewając w serce wasze Ducha swego, abyście krwią Chrystusa z grzechu pierworodnego obmyci, stali się dziećmi żywota wiecznego w niebiesiech. Dziedzictwo w niebiesiech, jest to w Chrystusie i przez Jego zasługę, zbawienie, odkupienie ob grzechu, śmierci i władzy szatana, a potem oglądanie twarzą w twarz Ojca w niebiesiech. Tak, to powołanie wasze, to one gody weselne, na które jesteście zaproszani! Jeżeli wam bywa czysto i jasno opowiadane słowo Boże, jeżeli bywacie upominani, byście do stołu Pańskiego, do wieczerzy Chrystusowej szli, jeżeli dziatki wasze do chrztu świętego przynosić winniście, wszystko to dzieje się dla tego, abyście, będąc powołanymi, mogli także być i wybranymi.

Tak najmilsi, gdy Chrystus Pan rzekł do uczniów: idźcie a nauczajcie wszystko narody, gdy w dniu Zielonych świątek zlał na apostołów Ducha świętego, a ciż apostołowie różnymi językami opowiadali Ewangielią, gdy postanowił urząd pasterski, i pasterzy owieczek swych nazwał szafarzami tajemnic Bożych, wszystko to uczynił dla tego, aby powoływać ludzi i narody, do brania udziału w łasce, która w Nim się prawdą stała, w łasce grzechów odpuszczenia, bez zasługi z uczynków, przez wiarę w Niego, w Chrystusa Boga-człowieka, w Chrystusa, onego baranka Bożego, który gładzi gładzi grzechy świata! Kto taką wiarę ma, ten będzie wybranym, to jest zbawionym i odziedziczy z prorokami i apostołami koronę żywota wiecznego i będzie tam, gdzie Chrystus jest, gdzie Chrystus przygotował nam miejsce, na prawicy Ojca w niebiesiech.

Wiekuista owa chwała i szczęśliwość nie wypowiedziana, przyrzeczona jest wszystkim ochrzczonym i wszyscy w imieniu Boga Ojca, Syna i Ducha św. wodą ochrzczeni, są powołani, by się wybranymi Ojca w niebiesiech stali. Lecz warunkiem wybrania jest zachowanie aż do onego dnia, w którym król przyjdzie oglądać godowników swoich, sukni weselnej. Powiedziałem już, jako suknią weselną jest Duch święty, zlany na nas z łaski Bożej przy chrzcie, o czem wiecie z Katechizmu, który wasz naucza: iż **Bóg przez Jezusa Chrystusa zlał na nas obficie Ducha świętego, abyśmy odkupieni będąc łaską Jego, stali się dziedzicami żywota wiecznego, wedle nadziei, co jest istotną prawdą. Lecz otrzymawszy Ducha świętego, jeżeli Go nie słuchamy, jeżeli w słowie Biblii, które jest ziarnem Ducha świętego i ręką Boga niewidzialnego, upominani, nauczani, karani, słowu temu zamykamy drogę do serca a zapamiętali w grzechu, gardzimy wołaniem Bożem, zatykamy uszy na prośby i groźby sług Chrystusowych, pasterzy Pańskich, a w ten czas, mimo powołania, nie będziemy wybrani, w dniu sądu ostatecznego rzeknie nam Sędzia żywych i umarłych: Odstąpcie ode Mnie złoczyńcy, Ja was nie znam, bo nie macie szaty weselnej!**

Tak najmilsi! straszne to słowo ale prawdziwe! Bóg ludzi powołuje do zbawienia, obdarza łaskawie sukienką weselną, to jest Duchem

świętym, lecz od was należy zatrzymanie w czystości onej sukni, lub zbrudzenie jej i odrzucenie! Bóg powołuje nas w Synu swym ukrzyżowanym Chrystusie, lecz wybierze tylko wiernych, a dochowanie wierności od nas zależy. Bóg chce, byśmy Jego wybranymi byli, bo tak umiłował świat, iż oddał zań Jednorodzonego Syna swego, — lecz Bóg ten powiada także, aby wszelki kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny! Kto uwierzy a ochrzci się, zbawiony będzie, kto nie uwierzy, będzie potępiony. Bóg woła, prosi, zbiera, oświeca i poświęca, lecz kto się opiera, kto głuchym jest, nie tylko nie będzie wybranym, ale będzie odrzucony i potępiony. A gdy się tak stanie, nie Boga ale nasza to wina. On daje, nam brać należy. On woła, my za głosem Jego iść powinni. On nam grzechy z łaski, dla niewinnej męki i śmierci Jednorodzonego odpuszcza, naszym obowiązkiem z Nim umierać grzechowi, a jakośmy w ciele złemu służyli, tak w poświęceniu służyć Bogu!

Proste i jasne są prawdy, które tu wypowiedziałem a są to prawdy zawarte w Biblii, są to prawdy, które wyznaje nasz kościół luterski, za które ojcowie wasi krew swoję przelewali i wyżej cenili jak dom, rolę i wszystko mienie doczesne. Zacnych a bogobojnych owych ojców synowie i córcy, czy pamiętacie o waszem dziedzictwie w niebiesiech? Jesteście onymi powołanymi i zaproszonymi gośćmi, lecz czy będziecie i wybranymi? Komu wiele dano, od tego będzie i wiele żądano! Wam, jako ewangielikom, dał Bóg skarb wielki, — słowo swoje, Biblią świętą! Czy ją czytacie, czy jej wierzycie, czy wedle niej żyjecie? Wyście jak Izrael, on lud, powołany, powołany do świadczenia myślą, słowem i czynem, że Ewangielia prawdą jest, że kto darmo, z łaski, bez zasługi swej, przez niewinną mękę i śmierć Chrystusa zbawiony, ten stał się Jego własnością, ten w Jego państwie w Jego sprawiedliwości z Nim i przez Niego żyć powinien! Czy przez codzienny żal i pokutę umiecie wedle starego człowieka, by do nowego żywota zmartwychwstać w Chrystusie? O najmilsi to powołanie wasze, święte i prawdziwe! Czy wedle tego powołania sprawiacie dni żywota waszego? Ojcowie, jak wychowujecie dziatki wasze? Jeżeli sądzicie, że posyłając je do szkoły i troszcząc się o to, by miały co jeść i pić i co odziedziczyć po was, spełniliście rodzicielskie obowiązki wasze, to się mylicie i bardzo mylicie! Dziadowie wasi pamiętali o tem wszystkiem, ale przedewszystkiem głównym ich frasunkiem było: wychować dzieci w bojaźni Bożej i dla tego oni to byli najpierwszymi nauczycielami swych dzieci, oni rano i wieczór z Biblii świętej dziatwę i czeladkę swą budowali i wraz z niemi pieśni nabożne śpiewali! A wy ojcowie i matki, czy tak samo czynicie, czy gdy odezwą się kościelne dzwony, prowadzicie domowników waszych do domu Bożego, do kościoła?

U ojców waszych małżeństwo święcie szanowane było, a każda dziewucha w niewinności i czystości żyła, każden młodzian był jako on Józef skromny! A dziś? Czy swary a kłótnie nie plugawią często ust małżeńskich? Czy niema dziewuch co zapomniały o wstydzie panieńskim? Już to z was rzuca lekkomyślnie szanowny i poważny ubiór ojców, a stroi się w cudzoziemskie suknie! Nie sądźcie: to nie szkodzi. O najmilsi, zrzucając z siebie szaty praojców, zrzucacie z siebie i praojców cnoty, rzucacie precz, rzucacie w błoto grzechu i zepsucia, ich myśli, ich pracę, ich bogobojność, i sercem stygniecie i stajecie się jako trupy, w godowe wystrojone szaty! Najmilsi, szanuję ja i poważam co jest dobrem u cudzoziemców, wiem, że niejednej pożytecznej rzeczy od nich nauczyć się można, lecz wiem także, iż wieśniak, iż prostaczek, nie prędko umie odróżnić dobre od złego i raczej ostatnie wybiera, a sądząc, iż strasznie zmądrzał, pysznieje i gardzi tem, co dla ojców jego świętem i szanownem było. Strzeż się tej niecnoty! Na cóż by was Chrystus Pan bronił i chronił przez tyle wieków, dla czego was polską mową chwalących Boga, światłem Ewangielii obdarzył, dla czegóż was między katolikami i niemcami postawił? Oto, byście tego światła pod korzec nie stawiali, ale by ono z gór waszych szeroko na wszystkie strony, gdzie polska brzmi mowa, jasno przeświecało. Wyście sól ziemi, pamiętajcie, że gdy sól zwietrzieje, wyrzucą ją, a zdepcą. Najmilsi, dwom panom służyć nie można, nie można być razem poganinem i sługą Chrystusa, niewolnikiem ciała i dziecięciem Bożem. Przy konfirmacyi waszej przysięgliście, iż wyrzekacie się djabła i grzechu i chcecie żyć Bogu na chwałę, Bogu Ojcu, Synowi i Duchowi świętemu! Czyście tej wielkiej, ewangielicznej przysięgi dotrzymali? Czy walczycie i zwyciężacie pokusy djabelski i tego świata, czy krzyżujecie wasze ciało wraz z pożądliwościami jego? Czy nie przeklinacie i nie złorzeczycie, czy nie nosicie w sercu nienawiści i zazdrości, czy nie jesteście pochopni do kłótni i gniewu, czy nie przestępujecie szóstego przykazania, czy nie krzywdzicie sąsiadów, panów lub sług waszych na majątku i sławie? Czy zamiast żyć w zgodzie, jako członki ciała Chrystusowego, nie swarzycie się między sobą? Czy pamiętacie o domu Bożym, o chwale i potrzebach Jego? Chętnie budujecie na kościołach waszych wieże, ale czy z próżności, czy też dla tego, by złożyć świadectwo, iż jesteście ludem Chrystusowym, że owe wieże kościelne, to jakoby ramię wasze, któreście w górę podnieśli i wołacie: Ewangielia, to jedyna do nieba droga?

O wiele rzeczy was pytam, najmilsi, bo muszę, bo to święta powinność moja! Wszakże ja pasterz owczarni Chrystusa Pana a wy owieczki Jego, wszakże wyście oni powołani, a najgorętszem pragnieniem serca mego jest, byście i wybranymi Chrystusowymi byli! Dla tego pytam was na koniec, jak jest między wami z nałogiem pijaństwa? O najmilsi! straszny to nałóg, a niegdyś między ojcami waszymi pijak był obrzydliwością. Pijaństwo to gorzej jak zaraza, pijaństwo to owa moc szatańska, którą wróg zbawienia dusz naszych truje od dawien dawna polskiego rolnika. Pijaństwo to nędza i ubóstwo; pijaństwo to ogień gorszy od pożogi, bo ta niszczy

czy dom i mienie a ono zatraca dusze i ciało. Pijany Saul chciał zamordować Dawida, pijany Herod stał się cudzołożnikiem i bratobójcą, pijanice nie odziedziczą królestwa niebieskiego. Najmilsi, błagam i proszę, strzeżcie się obrzydliwego nałogu pijaństwa, strzeżcie, byście nie zatracili na wieki duszy i ciała!

Najmilsi, kończę kazanie moje i raz jeszcze wracam do Ewangielii dzisiejszej.

I w obecnej chwili król nieba i ziemi, Zbawiciel świata, zwoływał was przez usta moje, niegodnego sługi swego na gody weselne. Dziś przypomniane wam zostało znów, żeście oni goście powołani i zaproszeni; że Ojciec niebieski chce was w Jednorodzonym Synu swym, Chrystusie, wybrać; że wam podarował w łasce swej wielkiej szatę weselną, bo w chrzcie poświęcił was, odrodził i zlał na was Ducha świętego. Lecz możecie pogardzić łaską Bożą, możecie zbrudzić, poszarpać, precz rzucić szatę waszę weselną, możecie, jeżeli serce wasze zamknie się dla słowa Bożego, jeżeli usta wasze i dusze wasze przestaną chwalić imię Chrystusowe, ono imię, w którem jedynie jest odkupienie, łaska i zbawienie! Możecie to uczynić, lecz wasza to a nie Boska będzie wina! Możecie to uczynić, ale biada wam, bo w dniu sądu, gdy przyjdzie sprawiający gody weselne, Bóg Chrystus, powie i wam jak onemu mężowi w Ewangielii: weźcie go a wrzućcie w ciemność, a będzie tam płacz i zgrzytanie zębów! O! niech was Bóg miłosierni raczy zachować od tego największego nieszczęścia! Niech strzeże dusz waszych, niech do zbawienia dopomoże!

Może wam powiedziałem niejedną ostrą prawdę, niejedno gorzkie słowo w dzisiejszem kazaniu, lecz spełniłem pasterską powinność moję. O ludu ewangielicki, wy członkowie zboru, jam wedle ciała obcy dla was, alem was umiłował z całego serca, alem za wami nieraz gorące zanosił modły do Boga w imieniu Chrystusa, byście nie przestali być oną światłością Ewangielii zapaloną na górze, byście jak ojcowie wasi wiernie wytrwali w wierze naszego kościoła ewangielickiego, byście w niepokalanej czystości zachowali drogie skarby luterskiego kościoła. O zaprawdę, nie przestanę was nosić w sercu mem, was ewangielicy, nie przestanę w modłach przyczynnych za wami wołać do Boga świętego! Pamiętajcie i wy o zborach naszych i o mnie pasterzu owczarni Chrystusowej w modlitwach waszych przyczynnych, abyśmy jedną wiarą, jednym chrztem, jedną miłością połączeni, a jednem słowem Ewangielii powołani, znaleźli się znów u tronu Ojca w niebiesiech, jak Jego wybrani! Tak nam Boże dopomóż, przez Syna Twego Jezusa Chrystusa. Amen!

Modlitwa.

O święty, święty, święty Panie i Boże, który nas codziennie przez słowo Ewangielii do królestwa swego powołujesz i na gody weselne Syna Twego Jezusa Chrystusa zapraszasz, wyznajemy Ci grzechy nasze, wyznajemy, jako leniwego serca ludzie, nieraz uszy nasze na wołania Twe zatykaliśmy i bardziej szukali tego co doczesne i ziemskie, jak tego co wieczne! O zmiłuj się, ach zmiłuj nad nami i dla wielkich grzechów naszych nie odtrąć od oblicza swego. Zmiłuj się Panie nad nami dla niewinnej męki i śmierci Syna Twego Jezusa Chrystusa, odpuść i przebacz nam upadki i winy nasze, dopomóż w łasce swej byśmy pamiętali o powołaniu naszem! Ubierz dusze i serca nasze znów w szatę godową, a w godzinę śmierci policz nas do wybranych Twoich. Wysłuchaj nas, dla Chrystusa, Syna Twego Jednorodzonego. Amen!

Tak to dzisiaj na świecie.

Papa do domu wracając
Pośród nocnych toni,
Widzi, że synek także
Już do bramy dzwoni.
Oburzony więc papa
Krzyczy z całej mocy:
— Cóż tak późno, hultaju,
Wracasz do domu w nocy,
Na to synek spokojnie
Przy dzwonku się zwraca
I rzeczy: — Przecież Papcio
Także późno wraca!
Zirytowany stary.
Krzyknął nakształt gromu,
Że syna na noc wcale
Nie wpuści do domu.
Syn tedy puścił dzwonek
I w lot błyskawicy,
Odwrócił się i biegnie
Szybko po ulicy.
— Gdzie idziesz? krzyczy stary?
Gdzie? więc cóż ja zrobię,
Domu nie mam, — do knajpy,
Przeto idę sobie.
— Do Knajpy? a otwarta?
Spytał stary żywo —
— Naturalnie: I.... razem
Poszli znów na piwo...

Rozwiązanie zagadki z nr. 27.
Pajęczyna.

Zagadka.

Cztery nogi ma i pierze
Ale nie ptak i nie zwierzę.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku (Lyck, Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej!"

Nr. 29. | Ełk, na niedzielę dnia 14 listopada. | 1897.

Nabożeństwo domowe.

Według nauki Pisma św. nie tylko duchowni mają prawo Boga chwalić i wielbić i do niego się modlić, ale każdy chrześcianin, wszyscy bowiem, jak powiada św. Piotr, narodem kapłańskim jesteśmy i dla tego każdy też winien Boga wzywać we wszelkich potrzebach, modlić się, chwalić i wielbić Go. Jestto obowiązek wynikający z drugiego przykazania. — Przodkowie nasi wiernie spełniali ten obowiązek, wiedzieli bowiem że spełnienie go nam samym pożytek przynosi. — Jeżeli Pan Bóg wzywa nas do modlitwy, to jedynie dla naszego dobra to czyni; jeżeli Chrystus powiada „proście" to jedynie dla tego, by nam „danem" było. — I dla tego przodkowie nasi nie zaniedbywali modlitwy, owszem, z całą swą rodziną, ze wszystkiemi domownikami codzień rano i wieczór czytywali Pismo święte, śpiewali pieśni nabożne i modlili się wspólnie, oprócz tego w każdą niedzielę i święto nie tylko, że do kościoła na nabożeństwa uczęszczali, czytywali oni też w domu z postyli kazania. Wszystko to razem nazywało się nabożeństwem domowem. O jakże mało znajdzie się domów w których chwalebny ten zwyczaj jeszcze się utrzymał. Wielu takich co mają siebie niby za „wykształconych" pogardzają im i rzadko spotkać człowieka „wykształconego" czytającego Pismo święte, lub starodawnym zwyczajem modlącego się razem z domownikami swoimi. W bardzo wielu parafijach kościoły nasze w dnie niedzielne i świąteczne, szczególnie podczas polskich nabożeństw, są puste, zaledwie kilkadziesiąt osób znaleść w nich można, tymczasem kiedy setki pracują w polach jakby w dnie powszednie brakło im na to czasu lub co gorsze przesiadują w szynkach. O nabożeństwie zaś domowem nikt ani pomyśli. Skutkiem tego upadku i zaniedbania przykazań Boskich osobliwie przez polskich ewangielików, domy nasze, jak mówi Pismo, zbudowane są na piasku i za ludu powiewem wiatru upadają. Aby czytelnikom wskazać zbawienny wpływ nabożeństw domowych przytaczamy następujące prawdziwe zdarzenia: W roku 1844 pewien nabożny ksiądz uczuł się wielce zaniepokojony, ogarnęła go obawa, że do domu jego nad wieczorem skryli się jacyś złoczyńcy, zapalił więc świecę i wszystkie kąty przejrzał, ale nikogo nie znalazł. Niespokojny zjadł kolacyę i na zakończenie dnia, jak zwykle, odprawił z domownikami nabożeństwo wieczorne i modlił się o opiekę nad wszystkimi. Poszedł spać; gdy się rano obudził, spostrzegł pod drzwiami deskę, a pod deską znalazł list następującej treści: „Dziś rano między 4 a 5 godziną opuściłem dom pański. Wszedłem doń wczoraj nad wieczorem z zamiarem zarznięcia pana. Widziałem jak pan wczoraj szukał i nikogo nie znalazł. Słyszałem pana wieczorne nabożeństwo. Modlitwa pańska wielkie na mnie zrobiła wrażenie. Natychmiast postanowiłem służyć Bogu i porzucić służbę szatańską. Módl się pan za mnie. Największy pański nieprzyjaciel." Dowiedział się potem ksiądz, że ów nieprzyjaciel nawrócił się i dostąpił miłosierdzia Bożego. Tym sposobem nabożeństwo domowe wyratowało jednego od śmierci, a drugiego od potępienia.

Drugie zdarzenie opowiada ksiądz Harmo w jednym ze swoich kazań. Znałem, mówi on, męża, który był pijakiem, graczem w karty przytem zawsze klął i z żoną swoją, ile razy pijany do domu wracał, rozpoczynał kłótnie, a że żona jego też była kłótliwa, przeto nieraz bili się z sobą tak strasznie, że dom ich był podobny do piekła. Otóż ci dwoje ludzi, którzy zresztą liczyli siebie do inteligencyi i wyższego towarzystwa i jako tacy, lekceważyli religię, odwiedzili razu jednego familią z nimi spokrewnioną, mieszkającą około 20 mil od nich, nie wiedząc o tem, że ta familia trzymała się starodawnych zwyczajów. Gdy się wieczór zbliżył, cała familia zebrała się razem ze służbą na nabożeństwo domowe wieczorne. Wszyscy razem śpiewali pieśń nabożną, słuchali następnie słowa Bożego odczytanego przez ojca rodziny i na koniec uklęknąwszy, gorąco się modlili. Goście z wielkim zdziwieniem przypatrywali się temu i nie wiedzieli co się z nimi dzieje, czuli tylko, że coś zaszło w ich sercach. Gdy po tem nabożeństwie wszyscy serdecznie „dobranoc" sobie powiedzieli, spuścili oni oczy ze wstydu. A gdy nareszcie rano wstawszy podobnie się pozdrowili i podobnie się modlili, a następnie ochoczo każdy do swej pracy poszedł, mąż ów, który przedtem był pijakiem i zawadyaką, po cichu powiedział do swej żony: Tu mieszka Pan Bóg a u nas djabeł! Obrzydził on sobie życie bezbożne, porzucił karty, przestał upijać się i kłócić i zaprowadził też u siebie nabożeństwo domowe: Niedługo potem sami opowiadali, że tak jak przedtem w piekle byli, tak

teraz są w niebie. Jaki zbawienny wpływ nabożeństwa domowe wywierają, a jaką szkodę zaniedbywanie ich przynosi widać na końcu z następującej historyi. Pewien kupiec był zwykle tak bardzo zajęty, że nigdy nie miał czasu brać udziału w nabożeństwie domowem, które pobożna jego żona na jego miejscu odprawiała. Razu jednego, gdy matka dzieci na ranne nabożeństwo zwoływała, chłopczyk mały rzekł do niej: „Matko, ja już nie potrzebuje się modlić, niedługo bowiem będę panem.“ „Ale i panowie — odpowiedziała matka — modlą się jeżeli są dobrzy.“ „Ojciec — rzekło na to dziecko — też jest dobrym a jednak się nie modli!“ Wieczorem gdy nieco czasu miał ów kupiec i usiadł przy żonie, ta mu z wielkim smutkiem opowiedziała, co ich synek rano mówił. „Ojciec się nie modli.“ Słowa te zraniły serce kupca, spuścił głowę i zaczął płakać. Odtąd nigdy choćby i nadzwyczaj naglącą miał robotę nie zaniedbywał nabożeństw domowych. — Czytelniku! zastanów się nad sobą i domownikami swymi i pomyśl nad tem, czyby i wam nie przydały się nabożeństwa domowe.

Najlepsza mnie pociecha w utrapieniu w trwodze,
Gdy z modlitwą do Ciebie mój Boże przychodzę;
Przez nią moc Twa mię z nieba w słabościach pokrzepia
W niedoli mej cierpliwość i męztwo zaszczepia,
Znikłą radość przywraca cierpienia łagodzi,
W duszy umeselenie i spokojność rodzi.

Gdziezbym znalazł ochłodę, gdzie uspokojenie,
W chwilach kiedy mię dręczy me własne sumienie;
Kiedy grzechów mych mnóstwem zatrwożony w duszy,
Przed obliczem Twem płonąc doznawam katuszy;
Wtenczas moją ucieczką modlitwa gorliwa,
Z którą w smutkach pociecha od Ciebie przybywa.

Gdy mię ciężki frasunek tajemnie pożera,
Modlitwa mi zdrój pociech niebieskich otwiera;
Bo gdy wołam do Pana, On mi z nieba swego,
Zsyła w krzyżu ratunek i Ducha świętego.
Ktokolwiek Mu z ufnością swą boleść odkrywa,
Ten mocą z wysokości przyobleczon bywa.

Im częściej prace moje z modlitwami wiążę,
Tem gorliwiej do celów Twoich świętych dążę.
Sił mi doda Twa łaska Ojciec mój kochany!
I przyniesie prac moich owoc pożądany
Ty zlewasz na pobożnych zdroje Twej światłości,
I napełniasz ich serca darami mądrości.

Kiedy w pracy nad sercem stawam o Boże!
Twoją dobroć, Twa łaska słabemu pomoże;
Przez Ciebie obdarzony niezachwianem męztwem,
Przy modlitwie bój każdy zakończę zwycięztwem;
Każdą żądzę, grzech każdy, który sercem władnie,
Przy Twej Bożej pomocy zwalczę w modłach snadnie.

W ostatnim ciężkim boju na łożu śmiertelnem,
Ty mię wesprzesz o Boże ramieniem swem dzielnem;
Bo gdy westchnę do Ciebie Ty mi zeszlesz z nieba,
Z sił wyższych i pociech ile będzie trzeba;
A choć mi się wzrok zaćmi choć mowa ustanie,
Nie zgaśnie w moim sercu me w Tobie ufanie.

A potem?

Do pewnego staruszka przyszedł razu jednego bardzo pospiesznie hoży młodzieniec i na samym wstępie zawołał: „Ciesz się ze mną ojczulku, na koniec przecież zgodził się mój stryj na prośby moje i dał mi tyle pieniędzy, że śmiało mogę skończyć szkoły i zostać prawnikiem. Jakżeż mnie uszczęśliwił!“ „Dobrze mój synu“ odpowiedział staruszek „zaczniesz więc pilnie się uczyć, — ale co potem?“ „Po trzech latach złożę egzamin, skończę szkoły z chlubą i rozpocznę moje powołanie.“ „A potem?“ — „potem nie przestanę pilnie i sumiennie pracować, aby pozyskać sobie nie tylko liczną klijentelę ale i klijentów zaufanie.“ „A potem?“ — „Potem oszczędzę sobie coś, zostanę zamożnym człowiekiem, ożenię się z dobrą kobietą i rozpocznę własne gospodarstwo!“ „A potem?“ — „Potem wychowam swe dziatki, aby i z nich pożyteczni zostali ludzie i stosownie do powołania jakie w sobie uczują, w ślady ojca swego wstąpiły.“ „A potem?“ — „Potem udam się na stare lata na spoczynek, będę się cieszył z szczęścia mych dzieci i spokojnie starości używał“. „A potem?“ — „Potem?“ ha zawsze nie można pozostać na tej ziemi, a choćby i można nie dobrze by to było; potem trzeba będzie raz umrzeć!“ „A potem?“ zawołał jeszcze raz starzec, chwycił go za obie ręce i ostro mu spojrzał w oczy. „Synu mój! a potem?“ Na to zrozumiał się wesoły młodzieniec, zaczął się trząść, zapłakał i rzekł: „Dzięki ci ojcze zapomniałem o najważniejszej rzeczy, że postanowiono ludziom raz umrzeć a potem będzie sąd (list św. Pawła do żydów, r. 9 w 27) ale odtąd więcej nie zapomnę.“ — We wszystkich sprawach pamiętaj na ostatnie rzeczy twoje: śmierć, sąd, piekło i niebo.

Tu na ziemi mam mieszkanie
W nim się cieszę, raduję,
Ładne to jest budowanie,
W którem mieszkam pracuję.
Lecz grunt jego niestały,
Deszcz, wiatr niszczy i skały;
Ach w tym domu nie zostanę,
Dalej, dalej się dostanę.

W grobie będę miał mieszkanie,
Tu się zawsze ten zły świat,
Tu niepokój raz przestanie,
Nad grobem zakwitnie kwiat.
Lecz i ten kwiat opadnie
Grobu sklep się rozpadnie.
W domie grobu nie zostanę
Dalej, dalej się dostanę.

W niebie będzie me mieszkanie
W wysokości uciesznej

Już go widzę w wierze Panie
Dom nieba jasności Twej!
Tam nie sięga niespokój,
Tam ustanie świata bój;
Ten dom ojca ja dostanę,
W nim na wieki pozostanę.

Koniec świata.

Przez Erazma Majewskiego.

Przyjdzie czas!

Wszystko na świecie przemija!

I ta ziemia, na której czujemy się tak bezpieczni, która już tyle pokoleń wyhodowała, świadkiem była tylu smutków i radości ludzkich, służyła za pole popisu dla tylu geniuszów, wydała tylu bohaterów, dobroczyńców i zbrodniarzy, na której trudno już stąpić nogą, aby nie deptać po drogich pamiątkach i relikwiach, a której znikomi mieszkańcy, mimo swej marności, ambitne żywią w piersi marzenia, — ta ziemia także przeminie! Ulegnie i ona powszechnemu prawu, które głosi, że wszystko co ma początek, musi mieć swój koniec.

Niestety! tak być musi, „Bóg wyrzekł słowo stań się — Bóg i zgiń wyrzecze.“

Nieubłaganemu temu wyrokowi ulegają bezustanku wszystkie stworzenia, wszystko, co żyje, wszystkie dzieła, zarówno Stwórcy, jak stworzenia; rodzimy się z narodem śmierci w organizmie. Powstają całe narody i ustępują w kolei wieków, budują się miasta i w gruz się rozsypują, a na miejscu tego wszystkiego wyrastają nowi ludzie i nowe grody. Na miejscu zamieszkanych krajów rozciągają się pustynie, — a dawne puszcze i uroczyska ożywiają się ludzkiem mrowiem, służąc za nowe siedliska cywilizacyi. Jedne lądy morze pochłania, dając rybom na zamieszkanie, a dna znów oceanu przemieniają się na młode lądy.

Gdy tak wszędzie życie kołem się toczy, nic dziwnego, że giną też całe globy; na ich miejsce w wszechświecie nie zabraknie nowych... Świat się ciągle przez śmierć odmładza, a na mogiłach rosną wonne kwiaty...

Niezliczone jak ziarna piasku, rozsypane są kule świata w bezgranicznej przestrzeni niebios; czyż byłoby w tem coś zdumiewającego, gdyby w obecnej przestrzeni zagasło jedno słońce, albo też przepadł cały system słoneczny? albo, gdyby całe tysiące słońc powróciło do stanu pierwotnego chaosu? Toby tyle stanowiło na łonie przyrody, co porwane wiatrem ziarno piasku, co kropla wody, ulotniona z morza, co śmierć komara na ziemi!

Przyjdzie czas, gdy niestanie już tego gruntu, jaki czujemy pod nogami, że rozpierzchnie się on niby mgła, aby dać materyał i wolne miejsce do stworzenia nowych, doskonalszych zapewne światów, na których może mniej będzie zła, więcej zaś dobra i szczęśliwości. Przyjdzie czas, że nikt już ze śmiertelnych nie będzie z tego punktu niebios, gdzie ziemia, spoglądał w uroczy, tajemniczo iskrzący się ku nam, świat gwiazd; że już z żadnej piersi nie wyrwie się tęskne westchnienie do tych czarownych krain, tak dalekich od nas, a tak pociągających...; przyjdzie czas, gdy z popiołów ziemi i słońc dzisiejszych utworzą się nowe mgławice.

„I przyjdzie czas ten, gdy one
Po długim upływie lat
Zastąpią dawne zburzone
I nowy otworzą świat.“

„Będą kolebką jasną
Nowych żywotów i sił,
Gdy nasze słońca pogasną,
W kosmiczny zetrą się pył.“

Fizyk i astronom, zarówno jak poeta i filozof, dobrze czują tę prawdę i nikt jej zaprzeczać nie myśli.

Pojęcie, a nawet przeczucie znikomości wszech rzeczy stworzonych, nosimy w piersi od pierwszego dojścia do rozumu, zżyliśmy się i dobrze już nam z nim.

Jesteśmy tylko ciekawi np. co do świata, kiedy i jak zginie? Właśnie nie tyle obchodzi nas wszechświat cały i przyszłość gwiazd wszystkich, ile los samej ziemi, z którą jesteśmy ściśle związani; o niej to pragnęlibyśmy się dowiedzieć, jak długie jej trwanie i jaki koniec ją czeka?

W „koniec ziemi,“ pospolicie i niewłaściwie zwany „końcem świata,“ wszyscy wierzymy, tak samo, jak w śmierć każdego człowieka, lecz podobnie jak koniec żywota ludzkiego, może on być spokojnym i naturalnym, albo też nagłym i niespodziewanym. O ile każdy z nas pogodnie spogląda w przyszłość i z rezygnacyą spodziewa się śmierci w późnej starości — o tyle trwożymy się na samą myśl, że niespodziewana choroba lub wypadek nagle przetnie pasmo dni naszych. Nagłej więc śmierci, a nie samej śmierci lękamy się.

Podobnie zapatrujemy się na żywot ziemi. O tem, że kiedyś jej nie stanie, jesteśmy przekonani, wiemy jednak, że naturalna jej starość bardzo powoli się zbliża, że tedy naturalny koniec ziemi niezmiernie jeszcze jest odległym; nie on też przeraża nas bynajmniej, ale przypuszczenie, że jakiś niespodziewany wypadek może go przyspieszyć. Oto okoliczność, niepokojąca przywiązanych do marności tego świata. W tym względzie pragnęliby oni przeniknąć przyszłość i dowiedzieć się, czy ziemi nie zagraża jakie poważne niebezpieczeństwo, i jeśli zagraża, to jakiej ono natury?

Odpowiedzią na powyższe zapytanie zajmiemy się tutaj, opierając się na podstawach, jakie nam zbudowała wiedza.

Nie od dziś ludzkość sili się na zdobycie odpowiedzi na tak ciekawe zapytania, nie od dziś na niewłaściwej drodze znajduje rozwiązania. Wpadała też nieraz w błąd, i w mglistych baśniach, zrodzonych w bujnej lub chorobliwej wyobraźni, otrzymywała rzekome wyjaśnienia. Nieraz miała sposobność przekonać się o bezzasadności owych wyjaśnień, poznając po niewczasie własną łatwowierność i nienauczona poprzedniemi zawodami,

zawsze gotowa jest uwierzyć w nowe . . . proroctwa.

Moglibyśmy tu, niestety, przywieść długi szereg dat, na jakie zapowiadano „koniec świata," opierając przepowiednie na rzeczach, nic wspólnego z owym kataklizmem nie mających. Każda zyskiwała mniejszą lub większą wiarę, a bywały takie przepowiednie, co wywoływały powszechną trwogę i sprowadziły tym sposobem wiele nieszczęść.

Ciemne karty dziejów, na których zapisały się takie wypadki, pozostaną na wieki smutnemi pomnikami, wystawionemi jakby dla upokorzenia tych optymistów, którzy zapominając, jak nizko upadały miliony, — pysznią się i rozkoszują nielicznemi kartami historyi, na których zapisane są nazwiska Kopernika, Newtona i tylu innych geniuszów.

Światła! wołają dziś wszyscy, bo cóż ludzkości z tego, że rodzą się geniusze, co orlim wzrokiem przenikają ciemności, a silnemi pióry wzbijają się ku słońcu — gdy miliony ich braci chodzą po ciemku, rozbijając się o poziome przeszkody.

Światła nam dajcie! wołamy do tej wybranej rzeszy uczonych, co zatopieni w rozpamiętywaniu wzniosłych dzieł Bożych, lepiej i dalej widzą, niż my, przykuci do powszednich zadań życia. Opowiedzcie nam, czegoście się dowiedzieli, patrząc przez całe życie w teleskop i drobnowidz, ślęcząc całe życie nad księgami! Dajcie nam poznać choć małą cząstkę tych cudów natury, które podziwiacie, które zaprzątają codziennie myśl waszą, jakich odgadywanie ubiela przedwczesną siwizną głowy wasze, a czoło pokrywa bróździami. Wzrok wasz znużony, odłóżcie więc na stronę księgi i narzędzia, a opowiedzcie nam cośkolwiek o tym obszernym świecie, który obejmuje ziemię i wszystkie gwiazdy, opowiedzcie o jego trwałości i prawach, abyśmy się dowiedzieli, co stać się może z naszą ziemią i jaki koniec ją czeka?

Wszak musicie to wiedzieć!...

1.

Czy możemy przewidywać przyszłość?

Postawienie powyższych pytań uczonym, a w nich nauce samej do rozwiązania, zakrawa mocno na zuchwalstwo, może nawet niektórych czytelników zniechęci do przeczytania niniejszej książki. Tym wszakże, którzy niezrażają się pierwszem napotkanem zdaniem, jakie im się niepodoba — mogę tu powiedzieć na usprawiedliwienie śmiałości że stan wiedzy, pomimo braków, pozwala już na lekkie uchylenie zasłony, nietylko przeszłości ziemskiego globu, ale nawet i przyszłości jego.

Historya zapoznaje nas z przeszłością ludów, nie sięga wszakże nawet do początków rodu ludzkiego, zaciemniając się mocno za każdem tysiącoleciem wstecz liczonem, a urywa na 4-tym lub 5-tym tysiącu lat.

Gdzie wszakże dzieje przez ludzi pisane i ich pomniki milkną, otwiera się przed umysłem ludzkim inna dziedzina, dziedzina nauk, opartych na trwalszych jeszcze i pewniejszych dokumentach, aniżeli papyrusy i kamienne pomniki i pozwala nam z taką samą, jeśli nie większą pewnością cofnąć się umysłem wstecz i objąć bardziej odległe czasy, gdy lat nie miał jeszcze kto liczyć na ziemi, bo nie wydała ona jeszcze istoty rozumnej, jaką jest na ziemi człowiek. Pozwala ona nam poznać stan naszego globu nietylko przed pojawieniem się na nim człowieka, ale i wszystkich stworzeń, gdy był jeszcze rozpaloną kulą gazową, a nawet pozwala sięgnąć myślą do tej oddalonej epoki, gdy ziemi samej nie było.

Świadkami jej narodzin i stopniowego rozwoju było całe niebo gwiazd. Świadki te, wraz z samą ziemią, począł człowiek troskliwie badać, a to, co zeznały, mamy skrzętnie zapisane na kartach księgi wiedzy.

Badania nieukończone, zeznania zdobywane z trudem, rażą jeszcze brakiem spójni, ale ponieważ praca prowadzi się bezustannie, z coraz wzrastającą umiejętnością i zapałem — miejmy nadzieję, że pomnożą się wkrótce nasze wiadomości o tyle, że wypiszą dokładną historyą ziemi.

Poznawanie przeszłości ziemi uważamy już dziś dziś za rzecz możliwą i naturalną. Jakiż to już postęp od owych czasów, gdy nieprzypuszczano, aby można dowiedzieć się, co było przed dwoma dziesięcioma tysiącami lat, ba! gdy nawet nie przypuszczano, aby świat tak dawno istniał. Przypisywano każdemu zjawisku zupełną niezależność, wymykającą się z pod wszelkiego rachunku, bo przyczyna ich tkwić miała w kapryśnej woli zaziemskich potęg, działających dorywczo i bez planu. Dziś, odkąd zauważaliśmy w całej przyrodzie ścisłą i naturalną zależność wszystkich zjawisk, odkąd wiemy, że każde z nich ma swoję naturalną przyczynę, a zarazem będzie miało naturalny skutek — pytamy się o jedno i drugie póty, aż się musi odnaleźć.

Nikomu nawet na chwilę nie przyjdzie do głowy, aby jakie zdarzenie było pozbawione naturalnej łączności z szeregiem poprzednich zdarzeń. Jawna czy ukryta przyczyna każdego zdarzenia jest i poznając kolejno coraz dawniejsze, zdobywamy dalszy ciąg nici, prowadzącej nas w zamierzchłą przeszłość ziemi.

Jeżeli zstępując na dół po szczeblach drabiny przyczyn i skutków, przenikamy przeszłość — dlaczegożby droga, odbyta myślą w odwrotnym kierunku, miała być bezowocną, miała zakrawać na niedorzeczność? Wszak zarówno tradycya, jak nauka, zachęcają nas do tego, albowiem mówi Pismo św.: „Jeżeli kto pożąda umiejętności, wie przeszłe rzeczy i o przyszłych zdanie wydawa, znaki i cuda wie pierwej niżeli będą i przypadki czasów i wieków"; a w innem miejscu czytamy: „Pierwsze rzeczy, które były opowiedzcie, a przyłożymy serca nasze i będziem widzieć ostatnie rzeczy."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 27.

Łóżko.

Zagadka

Po białej górze, gęsiami orze,
Czarne proso sieje, nigdy go nie zbierze.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku, (Lyck Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej."

Nr. 29. | Ełk, na niedzielę dnia 14 listopada. | 1897.

Nabożeństwo domowe.

Według nauki Pisma św. nie tylko duchowni mają prawo Boga chwalić i wielbić i do niego się modlić, ale każdy chrześcianin, wszyscy bowiem, jak powiada św. Piotr, narodem kapłańskim jesteśmy i dla tego każdy też winien Boga wzywać we wszelkich potrzebach, modlić się, chwalić i wielbić Go. Jestto obowiązek wynikający z drugiego przykazania. — Przodkowie nasi wiernie spełniali ten obowiązek, wiedzieli bowiem że spełnienie go nam samym pożytek przynosi. — Jeżeli Pan Bóg wzywa nas do modlitwy, to jedynie dla naszego dobra to czyni; jeżeli Chrystus powiada „proście" to jedynie dla tego, by nam „danem" było. — I dla tego przodkowie nasi nie zaniedbywali modlitwy, owszem, z całą swą rodziną, ze wszystkiemi domownikami codzień rano i wieczór czytywali Pismo święte, śpiewali pieśni nabożne i modlili się wspólnie, oprócz tego w każdą niedzielę i święto nie tylko, że do kościoła na nabożeństwa uczęszczali, czytywali oni też w domu z postyli kazania. Wszystko to razem nazywało się nabożeństwem domowem. O jakże mało znajdzie się domów w których chwalebny ten zwyczaj jeszcze się utrzymał. Wielu takich do mają siebie niby za „wykształconych" pogardzają im i rzadko spotkać człowieka „wykształconego" czytającego Pismo święte, lub starodawnym zwyczajem modlącego się razem z domownikami swoimi. W bardzo wielu parafijach kościoły nasze w dnie niedzielne i świąteczne, szczególnie podczas polskich nabożeństw, są puste, zaledwie kilkadziesiąt osób znaleść w nich można, tymczasem kiedy setki pracują w polach jakby w dnie powszednie brakło im na to czasu lub co gorsze przesiadują w szynkach. O nabożeństwie zaś domowem nikt ani pomyśli. Skutkiem tego upadku i zaniedbania przykazań Boskich osobliwie przez polskich ewangielików, domy nasze, jak mówi Pismo, zbudowane są na piasku i za ludu powiewem wiatru upadają. Aby czytelnikom wskazać zbawienny wpływ nabożeństw domowych przytaczamy następujące prawdziwe zdarzenia: W roku 1844 pewien nabożny ksiądz uczuł się wielce zaniepokojony, ogarnęła go obawa, że do domu jego nad wieczorem skryli się jacyś złoczyńcy, zapalił więc świecę i wszystkie kąty przejrzał, ale nikogo nie znalazł. Niespokojny zjadł kolację i na zakończenie dnia, jak zwykle, odprawił z domownikami nabożeństwo wieczorne i modlił się o opiekę nad wszystkimi. Poszedł spać; gdy się rano obudził, spostrzegł pod drzwiami deskę, a pod deską znalazł list następującej treści: „Dziś rano między 4 a 5 godziną opuściłem dom pański. Wszedłem doń wczoraj nad wieczorem z zamiarem zarznięcia pana. Widziałem jak pan wczoraj szukał i nikogo nie znalazł. Słyszałem pana wieczorne nabożeństwo. Modlitwa pańska wielkie na mnie zrobiła wrażenie. Natychmiast postanowiłem służyć Bogu i porzucić służbę szatańską. Módl się pan za mnie. Największy pański nieprzyjaciel." Dowiedział się potem ksiądz, że ów nieprzyjaciel nawrócił się i dostąpił miłosierdzia Bożego. Tym sposobem nabożeństwo domowe wyratowało jednego od śmierci, a drugiego od potępienia.

Drugie zdarzenie opowiada ksiądz Harmo w jednym ze swoich kazań. Znałem, mówi on, męża, który był pijakiem, graczem w karty przytem zawsze klął i z żoną swoją, ile razy pijany do domu wracał, rozpoczynał kłótnie, a że żona jego też była kłótliwa, przeto nieraz bili się z sobą tak strasznie, że dom ich był podobny do piekła. Otóż ci dwoje ludzi, którzy zresztą liczyli siebie do inteligencyi i wyższego towarzystwa i jako tacy, lekceważyli religię, odwiedzili razu jednego familią z nimi spokrewnioną, mieszkającą około 20 mil od nich, nie wiedząc o tem, że ta familia trzymała się starodawnych zwyczajów. Gdy się wieczór zbliżył, cała familia zebrała się razem ze służbą na nabożeństwo domowe wieczorne. Wszyscy razem śpiewali pieśń nabożną, słuchali następnie słowa Bożego odczytanego przez ojca rodziny i na koniec uklęknąwszy, gorąco się modlili. Goście z wielkim zdziwieniem przypatrywali się temu i nie wiedzieli co się z nimi dzieje, czuli tylko, że coś zaszło w ich sercach. Gdy po tem nabożeństwie wszyscy serdecznie „dobranoc" sobie powiedzieli, spuścili oni oczy ze wstydu. A gdy nareszcie rano wstawszy podobnie się pozdrowili i podobnie się modlili, a następnie ochoczo każdy do swej pracy poszedł, mąż ów, który przedtem był pijakiem i zawadyaką, po cichu powiedział do swej żony: Tu mieszka Pan Bóg a u nas djabeł! Obrzydził on sobie życie bezbożne, porzucił karty, przestał upijać się i kłócić i zaprowadził też u siebie nabożeństwo domowe: Niedługo potem sami opowiadali, że tak jak przedtem w piekle byli, tak

teraz są w niebie. Jaki zbawienny wpływ nabożeństwa domowe wywierają, a jaką szkodę zaniedbywanie ich przynosi widać na końcu z następującej historyi. Pewien kupiec był zwykle tak bardzo zajęty, że nigdy nie miał czasu brać udziału w nabożeństwie domowem, które pobożna jego żona na jego miejscu odprawiała. Razu jednego, gdy matka dzieci na ranne nabożeństwo zwoływała, chłopczyk mały rzekł do niej: „Matko, ja już nie potrzebuje się modlić, niedługo bowiem będę panem." „Ale i panowie — odpowiedziała matka — modlą się jeżeli są dobrzy." „Ojciec — rzekło na to dziecko — też jest dobrym a jednak się nie modli!" Wieczorem gdy nieco czasu miał ów kupiec i usiadł przy żonie, ta mu z wielkim smutkim opowiedziała, co ich synek rano mówił. „Ojciec się nie modli." Słowa te zraniły serce kupca, spuścił głowę i zaczął płakać. Odtąd nigdy choćby i nadzwyczaj naglącą miał robotę nie zaniedbywał nabożeństw domowych. — Czytelniku! zastanów się nad sobą i domownikami swymi i pomyśl nad tem, czyby i wam nie przydały się nabożeństwa domowe.

Najlepsza mnie pociecha w utrapieniu w trwodze,
Gdy z modlitwą do Ciebie mój Boże przychodzę;
Przez nią moc Twa mię z nieba w słabościach pokrzepia
W niedoli mej cierpliwość i męztwo zaszczepia,
Znikłą radość przywraca cierpienia łagodzi,
W duszy uweselenie i spokojność rodzi.

Gdziezbym znalazł ochłodę, gdzie uspokojenie,
W chwilach kiedy mię dręczy me własne sumienie;
Kiedy grzechów mych mnóstwem zatrwożony w duszy,
Przed obliczem Twem płonąc doznawam katuszy;
Wtenczas moją ucieczką modlitwa gorliwa,
Z którą w smutkach pociecha od Ciebie przybywa.

Gdy mię ciężki frasunek tajemnie pożera,
Modlitwa mi zdrój pociech niebieskich otwiera;
Bo gdy wołam do Pana, On mi z nieba swego,
Zsyła w krzyżu ratunek i Ducha świętego.
Ktokolwiek Mu z ufnością swą boleść odkrywa,
Ten mocą z wysokości przyobleczon bywa.

Im częściej prace moje z modlitwami wiążę,
Tem gorliwiej do celów Twoich świętych dążę.
Sił mi doda Twa łaska Ojciec mój kochany!
I przyniesie prac moich owoc pożądany
Ty zlewasz na pobożnych zdroje Twej światłości,
I napełniasz ich serca darami mądrości.

Kiedy w pracy nad sercem stawam o Boże!
Twoją dobroć, Twa łaska słabemu pomoże;
Przez Ciebie obdarzony niezachwianem męzstwem,
Przy modlitwie bój każdy zakończę zwycięztwem;
Każdą żądzę, grzech każdy, który sercem władnie,
Przy Twej Bożej pomocy zwalczę w modłach snadnie.

W ostatnim ciężkim boju na łożu śmiertelnem,
Ty mię wesprzesz o Boże ramieniem swem dzielnem;
Bo gdy westchnę do Ciebie Ty mi zeszlesz z nieba,
I sił wyższych i pociech ile będzie trzeba;
A choć mi się wzrok zaćmi choć mowa ustanie,
Nie zgaśnie w moim sercu me w Tobie ufanie.

A potem?

Do pewnego staruszka przyszedł razu jednego bardzo pospiesznie hoży młodzieniec i na samym wstępie zawołał: „Ciesz się ze mną ojczulku, na koniec przecież zgodził się mój stryj na prośby moje i dał mi tyle pieniędzy, że śmiało mogę skończyć szkoły i zostać prawnikiem. Jakżeż mnie uszczęśliwił!" „Dobrze mój synu" odpowiedział staruszek „zaczniesz więc pilnie się uczyć, — ale co potem?" „Po trzech latach złożę egzamin, skończę szkoły z chlubą i rozpocznę moje powołanie." „A potem?" — „potem nie przestanę pilnie i sumiennie pracować, aby pozyskać sobie nie tylko liczną klijentelę ale i klijentów zaufanie." „A potem?" — „Potem oszczędzę sobie coś, zostanę zamożnym człowiekiem, ożenię się z dobrą kobietą i rozpoczne własne gospodarstwo!" „A potem?" — „Potem wychowam swe dziatki, aby i z nich pożyteczni zostali ludzie i stosownie do powołania jakie w sobie uczują, w ślady ojca swego wstąpiły." „A potem?" — „Potem udam się na stare lata na spoczynek, będę się cieszył z szczęścia mych dzieci i spokojnie starości używał". „A potem?" — „Potem?" ha zawsze nie można pozostać na tej ziemi, a choćby i można nie dobrze by to było; potem trzeba będzie raz umrzeć!" „A potem?" zawołał jeszcze raz starzec, chwycił go za obie ręce i ostro mu spojrzał w oczy. „Synu mój! a potem?" Na to zrozumiał się wesoły młodzieniec, zaczął się trząść, zapłakał i rzekł: „Dzięki ci ojcze zapomniałem o najważniejszej rzeczy, że postanowiono ludziom raz umrzeć a potem będzie sąd (list św. Pawła do Żydów, r. 9 w 27) ale odtąd więcej nie zapomnę." — We wszystkich sprawach pamiętaj na ostatnie rzeczy twoje: śmierć, sąd, piekło i niebo.

Tu na ziemi mam mieszkanie
W nim się cieszę, raduję,
Żacne to jest budowanie,
W którem mieszkam pracuję.
Lecz grunt jego niestały,
Deszcz, wiatr niszczy i skały;
Ach w tym domu nie zostanę,
Dalej, dalej się dostanę.

W grobie będę miał mieszkanie,
Tu się zawsze ten zły świat,
Tu niepokój raz przestanie,
Nad grobem zakwitnie kwiat.
Lecz i ten kwiat opadnie
Grobu sklep się rozpadnie.
W domie grobu nie zostanę
Dalej, dalej się dostanę.

W niebie będzie me mieszkanie
W wysokości uciesznej

Już go widzę w wierze Panie
Dom nieba jasności Twej!
Tam nie sięga niespokój,
Tam ustanie świata bój;
Ten dom ojca ja dostanę,
W nim na wieki pozostanę.

Koniec świata.

Przez Erazma Majewskiego.

Przyjdzie czas!

Wszystko na świecie przemija!

I ta ziemia, na której czujemy się tak bezpieczni, która już tyle pokoleń wyhodowała, świadkiem była tylu smutków i radości ludzkich, służyła za pole popisu dla tylu geniuszów, wydała tylu bohaterów, dobroczyńców i zbrodniarzy, na której trudno już stąpić nogą, aby nie deptać po drogich pamiątkach i relikwiach, a której znikomi mieszkańcy, mimo swej marności, ambitne żywią w piersi marzenia, — ta ziemia także przeminie! Ulegnie i ona powszechnemu prawu, które głosi, że wszystko co ma początek, musi mieć swój koniec.

Niestety! tak być musi, „Bóg wyrzekł słowo stań się — Bóg i zgiń wyrzecze."

Nieubłaganemu temu wyrokowi ulegają bezustanku wszystkie stworzenia, wszystko, co żyje, wszystkie dzieła, zarówno Stwórcy, jak stworzenia; rodzimy się z narodem śmierci w organizmie. Powstają całe narody i ustępują w kolei wiekom, budują się miasta i w gruz się rozsypują, a na miejscu tego wszystkiego wyrastają nowi ludzie i nowe groby. Na miejscu zamieszkanych krajów rozciągają się pustynie, — a dawne puszcze i uroczyska ożywiają się ludzkiem mrowiem, służąc za nowe siedliska cywilizacyi. Jedne lądy morze pochłania, dając rybom na zamieszkanie, a dna znów oceanu przemieniają się na młode lądy.

Gdy tak wszędzie życie kołem się toczy, nic dziwnego, że giną też całe globy; na ich miejsce w wszechświecie nie zabraknie nowych... Świat się ciągle przez śmierć odmładza, a na mogiłach rosną wonne kwiaty...

Niezliczone jak ziarna piasku, rozsypane są kule świata w bezgranicznej przestrzeni niebios; czyż byłoby w tem coś zdumiewającego, gdyby w obecnej przestrzeni zagasło jedno słońce, albo też przepadł cały system słoneczny? albo, gdyby całe tysiące słońc powróciło do stanu pierwotnego chaosu? Toby tyle stanowiło na łonie przyrody, co porwane wiatrem ziarno piasku, co kropla wody, ulotniona z morza, co śmierć komara na ziemi!

Przyjdzie czas, gdy niestanie już tego gruntu, jaki czujemy pod nogami, że rozpierzchnie się on niby mgła, aby dać materyał i wolne miejsce do stworzenia nowych, doskonalszych zapewne światów, na których może mniej będzie zła, więcej zaś dobra i szczęśliwości. Przyjdzie czas, że nikt już ze śmiertelnych nie będzie z tego punktu niebios, gdzie ziemia, spoglądał w uroczy, tajemniczo iskrzący się ku nam, świat gwiazd; że już z żadnej piersi nie wyrwie się tęskne westchnienie do tych czarownych krain, tak dalekich od nas, a tak pociągających...; przyjdzie czas, gdy z popiołów ziemi i słońc dzisiejszych utworzą się nowe mgławice.

„I przyjdzie czas ten, gdy one
Po długim upływie lat
Zastąpią dawne zburzone
I nowy otworzą świat."

„Będą kolebką jasną
Nowych żywotów i sił,
Gdy nasze słońca pogasną,
W kosmiczny zetrą się pył."

Fizyk i astronom, zarówno jak poeta i filozof, dobrze czują tę prawdę i nikt jej zaprzeczać nie myśli.

Pojęcie, a nawet przeczucie znikomości wszech rzeczy stworzonych, nosimy w piersi od pierwszego dojścia do rozumu, zżyliśmy się i dobrze już nam z nim.

Jesteśmy tylko ciekawi np. co do świata, kiedy i jak zginie? Właśnie nie tyle obchodzi nas wszechświat cały i przyszłość gwiazd wszystkich, ile los samej ziemi, z którą jesteśmy ściśle związani; o niej to pragnęlibyśmy się dowiedzieć, jak długie jej trwanie i jaki koniec ją czeka?

W „koniec ziemi," pospolicie i niewłaściwie zwany „końcem świata," wszyscy wierzymy, tak samo, jak w śmierć każdego człowieka, lecz podobnie jak koniec żywota ludzkiego, może on być spokojnym i naturalnym, albo też nagłym i niespodziewanym. O ile każdy z nas pogodnie spogląda w przyszłość i z rezygnacyą spodziewa się śmierci w późnej starości — o tyle trwożymy się na samą myśl, że niespodziewana choroba lub wypadek nagle przetnie pasmo dni naszych. Nagłej więc śmierci, a nie samej śmierci lękamy się.

Podobnie zapatrujemy się na żywot ziemi. O tem, że kiedyś jej nie stanie, jesteśmy przekonani, wiemy jednak, że naturalna jej starość bardzo powoli się zbliża, że tedy naturalny koniec ziemi niezmiernie jeszcze jest odległym; nie on też przeraża nas bynajmniej, ale przypuszczenie, że jakiś niespodziewany wypadek może go przyspieszyć. Oto okoliczność, niepokojąca przywiązanych do marności tego świata. W tym względzie pragnęliby oni przeniknąć przyszłość i dowiedzieć się, czy ziemi nie zagraża jakie poważne niebezpieczeństwo, i jeśli zagraża, to jakiej ono natury?

Odpowiedzią na powyższe zapytanie zajmiemy się tutaj, opierając się na podstawach, jakie nam zbudowała wiedza.

Nie od dziś ludzkość sili się na zdobycie odpowiedzi na tak ciekawe zapytania, nie od dziś na niewłaściwej drodze znajduje rozwiązania. Wpadała też nieraz w błąd, i w mglistych baśniach, zrodzonych w bujnej lub chorobliwej wyobraźni, otrzymywała rzekome wyjaśnienia. Nieraz miała sposobność przekonać się o bezzasadności owych wyjaśnień, poznając po niewczasie własną łatwowierność i nienauczona poprzedniemi zawodami,

zawsze gotowa jest uwierzyć w nowe . . . proroctwa.

Moglibyśmy tu, niestety, przywieść długi szereg dat, na jakie zapowiadano „koniec świata," opierając przepowiednie na rzeczach, nic wspólnego z owym kataklizmem nie mających. Każda zyskiwała mniejszą lub większą wiarę, a bywały takie przepowiednie, co wywoływały powszechną trwogę i sprowadziły tym sposobem wiele nieszczęść.

Ciemne karty dziejów, na których zapisały się takie wypadki, pozostaną na wieki smutnemi pomnikami, wystawionemi jakby dla upokorzenia tych optymistów, którzy zapominając, jak nisko upadały miliony, — pysznią się i rozkoszują nielicznemi kartami historyi, na których zapisane są nazwiska Kopernika, Newtona i tylu innych geniuszów.

Światła! wołają dziś wszyscy, bo cóż ludzkości z tego, że rodzą się geniusze, co orlim wzrokiem przenikają ciemności, a silnemi pióry wzbijają się ku słońcu — gdy miliony ich braci chodzą po ciemku, rozbijając się o poziome przeszkody.

Światła nam dajcie! wołamy do tej wybranej rzeszy uczonych, co zatopieni w rozpamiętywaniu wzniosłych dzieł Bożych, lepiej i dalej widzą, niż my, przykuci do powszednich zadań życia. Opowiedzcie nam, czegoście się dowiedzieli, patrząc przez całe życie w teleskop i drobnowidz, ślęcząc całe życie nad księgami! Dajcie nam poznać choć małą cząstkę tych cudów natury, które podziwiacie, które zaprzątają codziennie myśl waszą, jakich odgadywanie ubiela przedwczesną siwizną głowy wasze, a czoło pokrywa bróżdami. Wzrok wasz znużony, odłóżcie więc na stronę księgi i narzędzia, a opowiedzcie nam cośkolwiek o tym obszernym świecie, który obejmuje ziemię i wszystkie gwiazdy, opowiedzcie o jego trwałości i prawach, abyśmy się dowiedzieli, co stać się może z naszą ziemią i jaki koniec ją czeka?

Wszak musicie to wiedzieć!...

1.

Czy możemy przewidywać przyszłość?

Postawienie powyższych pytań uczonym, a w nich nauce samej do rozwiązania, zakrawa mocno na zuchwalstwo, może nawet niektórych czytelników zniechęci do przeczytania niniejszejszej książki. Tym wszakże, którzy nierażają się pierwszem napotkanem zdaniem, jakie im się niepodoba — mogę tu powiedzieć na usprawiedliwienie śmiałość i że stan wiedzy, pomimo braków, pozwala już na lekkie uchylenie zasłony, nietylko przeszłości ziemskiego globu, ale nawet i przyszłości jego.

Historya zapoznaje nas z przeszłością ludów, nie sięga wszakże nawet do początków rodu ludzkiego, zaciemniając się mocno za każdem tysiącoleciem wstecz liczonem, a urywa na 4-tym lub 5-tym tysiącu lat.

Gdzie wszakże dzieje przez ludzi pisane i ich pomniki milkną, otwiera się przed umysłem ludzkim inna dziedzina, dziedzina nauk, opartych na trwalszych jeszcze i pewniejszych dokumentach, aniżeli papyrusy i kamienne pomniki. i pozwala nam z taką samą, jeśli nie większą pewnością cofnąć się umysłem wstecz i objąć bardziej odległe czasy, gdy lat nie miał jeszcze kto liczyć na ziemi, bo nie wydała ona jeszcze istoty rozumnej, jaką jest na ziemi człowiek. Pozwala ona nam poznać stan naszego globu nietylko przed pojawieniem się na nim człowieka, ale i wszystkich stworzeń, gdy był jeszcze rozpaloną kulą gazową, a nawet pozwala sięgnąć myślą do tej oddalonej epoki, gdy ziemi samej nie było.

Świadkami jej narodzin i stopniowego rozwoju było całe niebo gwiazd. Świadki te, wraz z samą ziemią, począł człowiek troskliwie badać, a to, co zeznały, mamy skrzętnie zapisane na kartach księgi wiedzy.

Badania nieukończone, zeznania zdobywane z trudem, rażą jeszcze brakiem spójni, ale ponieważ praca prowadzi się bezustannie, z coraz wzrastającą umiejętnością i zapałem — miejmy nadzieję, że pomnożą się wkrótce nasze wiadomości o tyle, że wypiszą dokładną historyą ziemi.

Poznawanie przeszłości ziemi uważamy już dziś dziś za rzecz możliwą i naturalną. Jakiż to już postęp od owych czasów, gdy nieprzypuszczano, aby można dowiedzieć się, co było przed dwoma dziesięcioma tysiącami lat, ba! gdy nawet nie przypuszczano, aby świat tak dawno istniał. Przypisywano każdemu zjawisku zupełną niezależność, wymykającą się z pod wszelkiego rachunku, bo przyczyna ich tkwić miała w kapryśnej woli zaziemskich potęg, działających dorywczo i bez planu. Dziś, odkąd zauważaliśmy w całej przyrodzie ścisłą i naturalną zależność wszystkich zjawisk, odkąd wiemy, że każde z nich ma swoję naturalną przyczynę, a zarazem będzie miało naturalny skutek — pytamy się o jedno i drugie póty, aż się musi odnaleźć.

Nikomu nawet na chwilę nie przyjdzie do głowy, aby jakie zdarzenie było pozbawione naturalnej łączności z szeregiem poprzednich zdarzeń. Jawna czy ukryta przyczyna każdego zdarzenia jest i poznając kolejno coraz dawniejsze, zdobywamy dalszy ciąg nici, prowadzącej nasz w zamierzchłą przeszłość ziemi.

Jeżeli zstępując na dół po szczeblach drabiny przyczyn i skutków, przenikamy przeszłość — dlaczegożby droga, odbyta myślą w odwrotnym kierunku, miała być bezowocną, miała zakrawać na niedorzeczność? Wszak zarówno tradycya, jak nauka, zachęcają nas do tego, albowiem mówi Pismo św.: „Jeżeli kto pożąda umiejętności, wie przeszłe rzeczy i o przyszłych zdanie wydawa, znaki i cuda wie pierwej niżeli będą i przypadki czasów i wieków"; a w innem miejscu czytamy: „Pierwsze rzeczy, które były opowiedzcie, a przyłożymy serca nasze i będziem widzieć ostatnie rzeczy."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 27.

Łóżko.

Zagadka.

Po białej górze, gęsiami orze,
Czarne proso sieje, nigdy go nie zbierze.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku, (Lyck Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej.“

Nr. 30. | Ełk, na niedzielę dnia 28 listopada. | 1897.

Obietnice Boże.

Z adwentem, w który teraz wstępuje kościół chrześcijański, zawitał nam nowy rok kościelny. Jakim on dla nas będzie? Tak pytamy się, a Słowo Boże odpowiada nam na pytanie nasze. Jestto słowo prawdy, niebo i ziemia przeminą — może być w tym roku kościelnym przeminą, — ale Słowo Boże pozostanie na wieki. I dla tego napewno możemy powiedzieć, że odpowiedź Boża nam dana na zapytanie nasze jest pewną i nieomylną. A cóż nam Słowo Boże mówi? Apostoł Paweł napisał to w liście do Koryntów w powyżej przytoczonych słowach. Krótka treść tych słów jest ta, że póki ziemia trwać będzie, póki ludzie na niej mieszkać będą, wszystko spełniać się musi, co Pan Bóg obiecał. Z otuchą więc w sercu powinniśmy rozpocząć nowy rok kościelny. I w tym roku kościelnym spełni Pan obietnice swoje dane kościołowi swemu. Że te obietnice rzeczywiście do kościoła się odnoszą, widzimy ze słów poprzedzających powyższe słowa św. Pawła. Tak bowiem powiada: „Aleć wierny jest Bóg, iż mowa nasza do was nie była Tak i Nie. Albowiem Syn Boży Jezus Chrystus, który między wami przez nas jest opowiadany to jest przez mię i przez Sylwana i przez Tymoteusza nie był Tak i Nie; ale Tak w Nim było“ (w. 18 i 19). O Chrystusie więc mówi św. Paweł, a o Chrystusie znowu mówi tak, że Chrystusa i on i Sylwan i Tymoteusz im opowiadali. Obietnice Boże więc stosują się do opowiadania imienia Chrystusowego. I zaprawdę, gdyby kościół tej obietnicy nie posiadał, gdyby pozostawał w wątpliwości, co właściwie opowiadać winien ludziom, nigdyby spokojnie, z otuchą, z wiarą i nadzieją nie mógł poczynać nowego roku kościelnego. Zbór Koryncki znał Pawła, wiedział, kim był Sylwan i Tymoteusz, i dla tego mogli być pewni, że ci mężowie nigdy im innej Ewangielii nie będą opowiadali jak Ewangielię Bożą, mogli więc się pocieszać obietnicami danemi kościołowi Chrystusowemu i być pewni, że jak w Chrystusie Bóg spełnił obietnice dane w Starym Testamencie i czasu swego zesłał Go na ziemię aby się stał Zbawicielem świata, że tak s mo spełni i obietnice dane kościołowi i trzyma go przy wiernem opowiadaniu Ewangielii. Zdarzało się już wprawdzie za czasów apostoła Pawła i to w tymże zborze Korynckim, że na raz po wsze czasy założonym fundamencie rozmaicie budowano, nie zawsze szczere złoto ale częstokroć i słomę, ale właśnie dla tego pisał o tem Paweł i przestrzegał lud Boży, aby nie wierzył każdemu duchowi, ale raczej badał czy ci, którzy im Ewangielię opowiadają, takową wiernie i niesfałszowanie opowiadają lub nie. Obietnice Boże pozostaną wiekuiste, Ewangielia Chrystusowa, choć Pawła i Sylwana i Tymoteusza już więcej niema, będzie jednak wiernie opowiadaną; ale obietnice Boże nie przyrzekły, że nie będzie i błędnie Chrystus Pan opowiadany, owszem, Chrystus Pan powiedział, iż zgorszenia przyjść muszą, że będą tacy, którzy do owczarni nie przez Niego się dostali, wilki drapieżne w owczem odzieniu, i woła na wyznawców swoich. „Strzeżcie się fałszywych proroków“. Tak tedy i w tym roku kościelnym spełnią się obietnice Boże — Ewangielia będzie w zborach naszych opowiadaną, ale czy wszędzie wiernie i niesfałszowanie? Oby tak było! Oby pasterze nigdy nie zapominali napomnienia apostolskiego. „Każdy niechaj baczy jako na Nim buduje, każdego robota jawna będzie“ (1 Kor. 3 10—13). Oby też zbory uczyły się badać tych, którzy im Ewangielią opowiadają! Celem zaś tego wszystkiego, tak opowiadania, jak badania jest jedno: „chwała Boża przez nas.“ Apostoł ani siebie, ani spółpracowników od tego nie wyłącza, nie powiada „przez was“ ale „przez nas“, albowiem zarówno pasterze, jak i zbory mają Boga chwalić. Pasterz, który opowiada Ewangielię usty a życiem ją kala, jest tylko najemnikiem; zborownik zaś słuchający tylko Ewangielię uchem, ale żyjący według ducha tego świata i ciała własnego, jest obłudnikiem i oszukuje samego siebie. W kim obietnica Ewangielii się przyjęła i chwałę Bożą zrodziła, temu też wszystkie inne obietnice, obietnice pociechy, ratunku i zbawienia w Chrystusie sowicie się wypełnią; kto obietnicą ewangielii wzgardził, temu się też spełni obietnica Boża, obietnica zapisana w słowach Chrystusowych: „kto nie uwierzy potępion będzie.“ Pytaj się więc czytelniku sumiennie, jaka obietnica tobie się spełni? Wszystko zależy od tego, czyś obietnicę Ewangielii przyjął ku chwale Bożej lub nie!

Pomoc w ręku Boga.

Kto rękom Boga ster nad sobą zwierzy
W nim samym tylko złoży zaufanie,
Temu, by cudem, łaska Boga zbieży
W ciężkiej niedoli i w smutku otchłanie.
Bo kto w Wszechmocnym swe nadzieje kładzie,
Na granitowej buduje posadzie.

Cóż nam pomogą gorzkie łzy, strapienia?
Co ciągły smutek, nieustanne skargi?
I te co rana z głębi serc westchnienia,
I to co szemrzą na złą dolę wargi?
Toż trudniej jeszcze znosić te katusze,
Gdy ciężkim smutkiem ciągle trapim duszę.

Ukojmy smutki na chwilę i żale,
I bądźmy radzi temu co Bóg daje,
Wielki w swej łasce, wielki w swojej chwale
I wszechwiedzącą — wie czego nie staje,
Co nam potrzebne i cokolwiek zyści,
To pewnie zawsze dla naszej korzyści.

On wie też, jaką darzyć go rozkoszą
I co być może ku zbawieniu ludzi,
Jeżeli tylko szczere serca noszą,
I nic w nich fałszem ni jest, ani łudzi,
Wówczas to prawie Bóg w swojej dobroci,
Szczodrą swą ręką nędzę naszą złoci.

Nie myślże nigdy gdyś ciężko strapiony
Że cię już Pan Bóg opuścił na wieki,
Że sprzyja temu, który spanoszony,
Któremu szczęścia płyną całe rzeki.
Czas, który mija, czas odmiany niesie.
Wszystko się kończy po pewnym okresie.

Marność to wszystko dla Pana na niebie.
On, kiedy zechce, bogacza poniży,
Albo nędzarza, który żył w potrzebie
Wzniesie swą mocą i do bogactw zbliży,
Gdyż ręka twoja, o wszechmocny Boże!
Tego dziś podnieść — tego strącić może.

Więc śpiewaj, módl się, drogą Pańską chadzaj,
A spełniaj święcie co jest Bogu miłe,
Na niebios łasce ufność swą zasadzaj
A znajdziesz wszędzie Boską moc i siłę.
Bo kto w Wszechmocnym swe nadzieje kładzie,
Na granitowej buduje posadzie.

Koniec świata.

Przez Erazma Majewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zamiar przeniknięcia przyszłości, widać z tego, nie jest ani płonnym, ani świeżo zrodzonym w sercu ludzkiem. Wszak i dziś na małą skalę umiemy przewidywać przyszłość tem dokładniej, im głębszą jest nasza wiedza. Są dziedziny, gdzie nawet wszyscy przewidujemy takową. Dziś np. zaszło słońce, nie widać go już, a mimo to wiemy, że znowu jutro je ujrzymy. Rolnik rzuca ziarno w ziemię i wie, że z tego ziarna na rok przyszły urośnie mu kłos zboża, a wie jedynie na podstawie doświadczenia. Ono nas upewnia, że słońce wzejdzie, a ziarno kłos wyda.

Na podstawie takiego samego doświadczenia, ale nie każdemu dostępnego, opierają się tysiączne przewidywania uczonych. Kapitan austryacki, Biela, dostrzegł w roku 1826 kometę, która się później stała powodem niemałego popłochu. Bo oto na podstawie ścisłego, choć zawikłego rachunku, astronom marsylijski Gambart obliczył jej drogę, i doszedł, że będzie ona wracać zawsze co 6 lat i trzy kwartały. Ukazała się też w istocie w jesieni roku 1832, i w tym właśnie roku, skutkiem pomyłki pewnego astronoma, narobiła ludziom strachu.

Stało się to mianowicie w ten sposób. Droga, jaką miała przebiedz, krzyżowała się tak z drogą ziemską, że w jednym punkcie kometa winna była przechodzić przez to samo miejsce, przez które w miesiąc po komecie ziemia miała przebiedz; niefortunny ów rachmistrz ogłosił, że właśnie nastąpi na tem miejscu nieba spotkanie komety z ziemią, gdyż nie w miesiąc później, ale współcześnie ziemia znajdzie się z kometą w punkcie przecięcia się tych obu ciał niebieskich.

Ponieważ ludzie skłonniejsi są do uwierzenia w gorszą możliwość, uwierzono mu w tym wypadku, pomimo gorących protestów ze strony reszty uczonych, i dopiero po niepotrzebnym przestrachu, przekonano się, że należało zaufać zdaniu większości.

Na sprawdzonych więc i ścisłych naukowych danych oparte są przepowiednie zaćmień słońca i księżyca, ukazanie się komet, plam na słońcu i t. p. zjawisk. Wiemy więc co do wielu rzeczy co będzie jutro, za rok, za sto lub tysiąc lat; zaznaczyć wszakże wypada, że nasza pewność nie jest, a nawet nie może być zupełną, że nie wolno nam żywić przekonania, iż to, czego się spodziewamy, musi koniecznie nastąpić. Zupełna pewność istniećby mogła tylko wówczas, gdyby świat cały nie miał dla nas nic nowego, gdybyśmy wszystko wiedzieli, a do tego niezmiernie jeszcze daleko. Znamy swiat w niektórych zaledwie przejawach fizycznych, i to nie zupełnie dokładnie, trudno więc nawet przy znajomości odnośnych praw natury, być pewnym, że w ich wykonaniu nie przeszkodzą nie znane nam jeszcze siły lub nieprzewidywane w danym wypadku. Ziarno np. może nie wydać kiełka dla setnych powodów: może je susza zniszczyć, wilgoć zgnoić, robak może nadgryźć, ptak lub mysz polna zjeść, człowiek lub zwierzę zadeptać może i t. d.

Podobnież i spodziewane jakiekolwiek zjawisko niebieskie może się opóźnić lub niedojść do skutku, z powodu nieprzewidzianych przez astronomów przeszkód. Przykładu dostarczy nam raz już wspomniana kometa Biela. Gambart obliczył, że będzie się ona zjawiać co 6³|4 lat, aliści czekała uczonych niespodzianka. W roku 1846, gdy zwrócono na nią teleskopy, ujrzano nie jedną, ale dwie komety obok siebie w jednym kierunku dążące.

Podczas nowego przejścia w 1852 roku, dwie połowy rozdzielonej komety Biela jeszcze więcej się oddaliły od siebie. Następne ukazanie się komety przypadło na rok 1858, ale napróżno jej szukano na niebie. Przepadła, czy rozwiała się — niewiedziano. W tem wszystkiem nie byłoby jeszcze nic zbyt osobliwego, ale kometa Biela na nowo wzbudziła wśród uczonych całego świata zainteresowanie, gdy w r. 1872 ziemia przebiegała bardzo blisko drogi owej komety. Obliczono, że gdyby ona krążyła po dawnemu po swej drodze, powinna być widzialną; otóż komety nie dojrzano, ale za to pojawił się niespodziewanie wspaniały rój meteorytów, zwanych pospolicie „gwiazdami spadającemi," i najściślejsze obserwacye nad rojem, wykazały niezbicie tajemniczy związek owych meterytów z przepadłą kometą. Świetny więc rój listopadowy, jaki roku 1885 moglibyśmy byli podziwiać 27 listopada, gdyby niebo było pogodne, jest zdaniem większości uczonych, szczątkiem owej niefortunnej komety, co nastraszywszy ludzi w r. 1832, tak prędko sama uległa rozdwojeniu i przetworzeniu się.

Z powyżej powiedzianego spostrzegamy, że można przewidywać przyszłe rzeczy, niekiedy z wielką pewnością na podstawie naukowych danych. Nie wiemy tylko czy na drodze do spełnienia się oczekiwanych faktów, nie stanie nieprzewidziana siła i nie zmieni normalnego biegu wypadków.

Stosując to do naszego przedmiotu, widzimy, że nauka, skoro poznaje przeszłość ziemi, w wielu razach pozwala na zrobienie zupełnie pewnych wniosków co do przyszłości, tak samo pewnych, jak wnioski codzienne o wschodzie słońca, nadzieje nasze co do ziarna zboża, i tysiąca tym podobnych oczekiwań.

Czas więc już rozpatrzeć się w naszem zadaniu.

Mamy poznać przyszłe losy ziemi na podstawie znanych nam zjawisk. Gdy poznamy dostatecznie przeszłość, już przez to samo dowiemy się, jakiemu rozwojowi podlega ziemia i w jakiem stadyum jego żyjemy. Zadanie nasze trudniejsze jednak, aniżeli się to na razie zdawać może.

O ziarnie, rzuconem na rolę wiemy, że wyrośnie, albo wzejdzie, widzieliśmy bowiem tysiące innych ziarn tego gatunku w całym przebiegu ich istnienia. Olbrzymi jednak glob, na którym mieszkamy, jest naszym rodzicielem, na nim zrodziliśmy się i umrzemy, a on nie zestarzeje się wcale przez tę małą chwilkę i trwać jeszcze będzie długo, bardzo długo. My, wczorajsi, znamy zbyt małą chwilkę jego trwania, krótszą stosunkowo aniżeli jedna sekunda w życiu człowieka. Za wązka to więc podstawa do trwałych wniosków o całości ziemskiego życia.

Nie znamy przytem nic, coby się tak dało porównać z ziemią, jako ziarnko z ziarnkiem. Wiemy wprawdzie o istnieniu gwiazd, które mogą być w głównych cechach podobne do ziemi, ale widząc je zaledwie w postaci błyszczących iskierek lub pyłków, w żadnym razie nie znamy ich tak, jakby nam potrzeba było do sądzenia z nich o naszej ziemi.

Zadanie więc bardzo trudne, ale nie jest nierozwiązalnem; przypomnijmy sobie, że człowiek podobne już rozwięzywał. Cuvier, z wykopanego skamieniałego zęba potrafił oznaczyć wielkość, postać i obyczaje nieznanego nikomu zwierza, który przed tysiącami lat ząb ten nosił w paszczy. Posądzano go o tworzenie bajek, dowód jednak, że domysł nie był fantastycznym, znalazł się wkrótce. Odkopano bowiem szczątki zwierza, zupełnie zgodne z wizerunkiem, sporządzonym przez Cuviera.

Podobnie w astronomii, fizyce, chemii i prawie każdej nauce bystre umysły posiadające rozległą wiedzę, umieją przewidywać takie rzeczy, jakie dopiero późniejsze obserwacye dokładnie stwierdzają, przynosząc chwałę rozumowi ludzkiemu, który literalnie przenika tajemnice świata.

Dość przytoczyć znane wszystkim z astronomii nazwiska Kopernika, Herschla, Halleya i Leverriera, aby się o tem przekonać.

2.
Niebezpieczna kraina.

Wszechświat to ocean, którego każda kropla zagadnieniem.

Mimo tych orzeźwiających refleksyi, gdy się zabieramy do poważnego roztrząsania zagadnień natury, musimy zatrzymać myśl, rwącą się do śmiałego lotu i zrobić z nią ścisły obrachunek: czyli posiada dość siły do przeniknięcia tajemnic, jakie spotka na swej drodze? Czy posiada tyle rozwagi, aby nie uledz halucynacyom i nie ukazać nam urojonego obrazu zamiast rzeczywistości? Obawy powyższe nie są bezpodstawnemi. Uprawiedliwia je historya nauk, posiadająca na swych kartach tysiączne dowody obłędów rozumu. Cała wiedza nasza składa się z tryumfów i upadków myśli, możnaby ją też podzielić na dwa wielkie działy: wiedzę prawdziwą i urojenia. Z pewnością drugi dział byłby większym.

Sprawiedliwość każe nam wyznać, że zupełnie pewnych wiadomości mamy niezmiernie mało. Właściwie rozprawiamy o wszystkiem, niema tajemnicy, o którejby ten lub ów nie mniemał, że ją odgadł, ale postęp wyświetla błędy i druzgocze zbyt często piękne teorye.

Dlaczego większość usiłowań chybia celu?

Na czele innych przyczyn postawiłbym fakt, że zbyt pohopnie i zuchwale biorą się ludzie do objaśnienia zjawisk przyrody. Rozumujemy przed czasem, i dlatego rozumowania nie są trwałe, dlatego obala je lada nowe odkrycie. Zadużo naraz chcemy wiedzieć, nielubimy tajemnic i zagadek! wieje gorączkujący ludzkość prąd żądzy wytłómaczenia sobie bądź co bądź wszystkiego, na czem spocznie nasz umysł. W tej pogoni dopóty nie znajdujemy spoczynku, dopóki nie wyszperamy w nagromadzonym zapasie różnych teoryj — odpowiedzi najbardziej nas zadawalniającej. Szukamy z intencyą znalezienia i jak spragniony beduin, zbłąkany w piaskach pustyni, póty tęskni za źródłem i szuka go, póki mu siły starczą; a nieznalazłszy, w przedśmiertnej gorączce, widzi się naraz wśród oazy, u stóp strumyka, — tak i myśliciel, znużywszy się bezowocnem poszukiwaniem, upada

pod brzemieniem nad siły i bierze miraże lub obrazy zagorączkowanej wyobraźni za rzeczywistość. Ogłasza ludowi swemu poważne niby wyniki badań naukowych i prowadzi umysły na rozdroża.

Szukamy jednego wyjaśnienia, jednej prawdy, boć dwóch prawd być nie może, a znajdujemy mnóstwo odpowiedzi do wyboru.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Raduj się serce moje.

Raduj się serce moje,
A odpędź smutki precz;
Czyliż te ciężkie znoje
Tak wielka dla cię rzecz,
Byś legło i nie wstało?
O! raczej przyjmuj to,
Co Bogu dać się zdało
Z weselem a nie łzą.

Kiedy Bóg zsyła nędzę.
On dobra twego chce;
Nie zawsze w dni twych przędzę
On wplatał samo złe.
Tyś uciech grzesznych rady
Próżności pełen marnych,
A na tej drodze: zdrady,
Przepaści stek poczwarnych.

A jeźli też niekiedy
I cierpień przyjdzie czas,
Do Boga wracasz wtedy,
Żarliwość wstaje wraz,
Modlitwa twa ma siłę
I ufasz w Bożą moc,
A Pan że mu to miłe
Rozprasza klęsk twych noc.

Więc krzep się duszo z wiarą
I w pośród ciężkich strat,
I pomyśl jaką miarą
Bóg darzył w ciągu lat
Więc przed nim złóż co boli
I wzmocnij umysł swój,
Wierz w doli i niedoli
A spłynieć szczęścia zdrój.

Zdaj wszystko Bożej mocy,
Nie szemraj tak nie tak,
On przyjdzie ku pomocy,
On wie czego ci brak,
On nigdy cię nie zdradzi,
On mądry, wielki w dziele
O tobie także radzi,
Więc mu zaufaj śmiele.

A choćby też i zwlekał,
Cierpliwym przecie stój;
On też z miłością czekał
Na prośby odgłos twój
A jeźlić długo trapi,
To lepiej skończy się,
Bo choć się Bóg nie kwapi,
I to na szczęście twe.

Rozmaitości.

— **Dobra** sposobność do zbogacenia się. Pewien bogaty kupiec nazwiskiem John Kewit zamieszkały w Londynie 10 pasternoster Row. przed 10 laty wywiesił w oknie swego magazynu ogłoszenie, że wypłaci 10,000 fun. szterlingów czyli 200,000 marek tym, którzy mu wykażą, że nauka kościoła rzymskiego zasadza się na Piśmie świętem i chociażby jednym wyrokiem z ksiąg Starego lub Nowego Testamentu dowiodą: Że Piotr św. był księciem apostołów, że niebył żonatym, był biskupem Rzymskim i że Papież jest namiestnikiem Chrystusa i następcą Piotra św.; że tylko księża mają przyjmować komunię świętą pod dwoma postaciami, świeccy zaś ludzie tylko pod jedną; że oprócz Chrystusa mamy innych pośredników między Bogiem i ludźmi, że oni mogą nas zbawić i że do nich modlić się należy nakoniec, że istnieje czyściec i że nasze modły mogą znajdujące się w nim dusze wybawić. Tym sposobem za każdą odpowiedź wypada pokaźna suma 50,000 marek. Ponętny zarobek lecz nie łatwo go osiągnąć. Dotychczas bowiem nie znalazł się nikt, ktoby otrzymał choć jedną nagrodę. Wprawdzie wielu starało się dać pożądane odpowiedzi lecz wszystkie one były gołosłowne i nie poparte dowodami z Pisma św.. „My wykazujemy słuszność naszej religii z tradycyi a nie z Biblii“ pisali niektórzy. „Cieszy mnie, pisze Kensit, że wielu chce odpowiedzieć na moje zapytania i zarobić obiecaną nagrodę pieniężną. Lutra oczy zostały otwarte przez czytanie Pisma św. i teraz jestem przekonany, że także ich szukanie i badanie zaprowadzi do prawdziwego biskupa i pasterza dusz naszych Jezusa Chrystusa, jedynego i doskonałego kapłana.“ — Ciekawa ta wiadomość wzięta z pisma „Christenbote.“

Rozwiązanie zagadki z nr. 29.

Orać gęśmi znaczy pierze,
Którem pisać na papierze;
Wiejscy ludzie używają
I też w zacy go trzymają.
Papier znaczy góra biała,
Gdy go wiejscy ludzie znają.
Kto się nie w baczności znajdzie
Temu wiele tinty wyjdzie;
Wiele tinty na papierze
Bo się ma stalowe pierze.
Tego nigdy nikt nie zetrze
Co czarnego na papierze.

Jakób Rzepio z Rostek.

Zagadka.

Szaryburу, ogon kusy,
Długie uszy masz.
Daj mnie Boże do chojiny
A nie będę wasz.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku, (Lyck Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.

Ewangielik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej".

Nr. 31. | Ełk, na niedzielę dnia 19 grudnia. | 1897.

Bojaźń Boża.

Bać się Boga, znaczy, stratę łaski Bożej uważać za największe nieszczęście, i strzedz się grzechu dla Boga, jako najwyższego i najdoskonalszego dobra. Na tem polega dziecięcia i prawdziwa bojaźń Boża. Salomon w przypowieściach powiada: „Miłosierdziem i prawdą oczyszczenia bywa nieprawość, a w bojaźni Pańskiej odstępujemy od złego" (16, 6). „Chodź w bojaźni Pańskiej na każdy dzień" (23, 17). W księdze pierwszej Mojżesza w rozdziale 39, wierszu 9 czytamy: „Jakożbym miał uczynić tę wielką złość i grzeszyć przeciwko Bogu". Tobijasz pisze: „Po wszystkie dni synu pamiętaj na Pana, Boga naszego, a nie chciej grzeszyć, ani nie przestępuj rozkazania jego, ale czyń sprawiedliwość po wszystkie dni żywota twego, a nie chodź drogami nieprawości" (4—7). Psalmista Dawid woła: „Naucz mnie Panie drogi Twojej, abym chodził w prawdzie Twojej, a ustanów serce moje w bojaźni imienia Twego" (Psalm 26, w 11.

Chrystus Pan odpowiadając nauczonym w Piśmie i faryzeuszom na zarzut ich, iż uczniowie Jego nie trzymają się przepisów starszych, odpowiadając im słowami Proroka: „Lud ten zbliża się do mnie wargami, a serce ich daleko odemnie, — skarcił niewolniczą bojaźń przed Bogiem, która w tem leży, iż człowiek tego lub owego grzechu widocznie nie czyni, i stara się o spełnienie pewnych uczynków zakonu, jedynie tylko z bojaźni kary. To też w drugiej księdze królewskiej czytamy: „A choć się Pana bali, wszakże przecię bogom swoim służyli według zwyczaju onych narodów, zkąd byli przeniesieni" (17, 33).

W dziecięcej bojaźni podobamy się Bogu! „Kocha się Pan w tych, którzy się Go boją, a którzy ufają w miłosierdziu Jego" (Psalm 147, w. 11). „Albowiem jako są niebiosa wysokie nad ziemią, tak jest utwierdzone miłosierdzie Jego nad temi, którzy się Go boją. Jako ma litość ojciec nad dziatkami, tak ma litość Pan nad temi, którzy się Go boją" (Psalm 103, w. 11—13). „I którego miłosierdzie zostawa od narodu do narodu nad temi, co się Go boją" (Ew. Łuk. 1 w. 50). Niewolnicza bojaźń jest obrzydliwością Panu. Jezajasz tak ostrzega lud Izraelski: „Tedy wnijdą do jaskiń skalnych, do jam podziemnych przed strachem Pańskim, i przed chwałą majestatu Jego, gdy powstanie, aby ziemię potarł. Dnia onego wrzuci człowiek bałwany swe srebrne i bałwany swe złote, których mu uczyniono, aby się im kłaniał, w dziury kretów i nietoperzów. I wnijdzie w rozpadliny skalne przed strachem Pańskim i przed chwałą majestatu Jego, gdy powstanie, aby potarł ziemię. Przestańcież ufać w człowieka, którego duch jest w nozdrzach jego, bo za cóż on ma być poczytany? (Jezajasz r. 2 w. 19—22).

Uczucie bojaźni Bożej powinno się objawiać zewnętrznie, w słowach i uczynkach naszych, aby każdy poznać mógł, że o Bogu zawsze myślimy, i ilekroć razy o nim mówimy.

Bojaźni Bożej sprzeciwia się bojaźń ludzi, jako mówi Chrystus Pan: „A nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą, ale raczej bójcie się tego, który może i duszę i ciało zatracić w piekielnym ogniu" (Mat. 10, w. 28). Niema też tam bojaźni Bożej, gdzie się gardzi groźbami Bożemi, naigra z religii i nadużywa imienia Pańskiego (2 Mojż. 20, 7), jak mówi Prorok: „Oto nie obrzezane są uszy ich, tak że słuchać nie mogą; oto słowo Pańskie mają za hańbę i nie kochają się w niem (Jerem. 6, 10), a Psalmista powiada: „Niepobożny dla pychy, którą po sobie pokazuje, nie pyta się o Boga, i wszystka myśl jego, że niemasz Boga. (Psalm 10, w. 4).

Bojaźń Bożą wszyscy znajmy,
O nią pilnie się starajmy;
Kogo Bóg nią obdaruje,
Ten mądrości dostępuje.

Dar bojaźni pożyteczny,
Bo nam daje żywot wieczny;
O jej klejnot się starajmy,
Z czasu łaski korzystajmy.

Bojaźni Bożej dar wzięty,
Rodzi w sercach żywot święty;
Wielkie cnoty w duszach mnoży,
I nam dawa pokój Boży.

Bojaźń Pańska grzeszyć broni,
Zachowuje od złej toni,
Nas utwierdza w cierpliwości,
I zwycięża w przeciwności.

To co w duszach naszych złego,
Bojaźń Pańska z daru swego,
W nich to wszytko naprawuje,
I przybytek cnot buduje.

Gdzie bojaźń Boża rząd wodzi,
Wszystko na dobre wychodzi;
Dobre tam są nasze sprawy,
I Bóg na nas jest łaskawy.

W niej dla grzesznych zdrój mądrości,
Silny bodziec do świętości;
Sprawiedliwość jej weselem,
Zywot wieczny głównym celem.

Nadewszystkie inne rzeczy,
Bojaźń Pańską miej na pieczy;
Niech jej lekce nikt nie waży,
Ona stoi na cnot straży.

Zaleca nam ją Duch święty,
Jako skarb od Boga wzięty,
Który do pokory budzi,
Miłej do Boga i ludzi..

Bóg poniży wnet hardego,
A wywyższy pokornego;
Na tych patrzy łaski twarzą,
Co się z grzechów sami karzą.

Ci, co żyli bez bojaźni,
Doświadczyli Pańskiej kaźni;
Wielkie czuli udręczenia,
W zgryzotach swego sumienia.

Prośmy Ojca niebieskiego,
Byśmy mieli bojaźń Jego;
W sercu naszem ją chowali,
Według niej się sprawowali.

Daj to z nami przejednany,
Boże i Panie nad Pany,
Przez syna Twego miłego,
Za nas na śmierć wydanego.

Użycz nam prawdziwej wiary,
Bojaźni z innemi dary;
A po tym doczesnym boju,
Daj wytchnąć w wiecznym pokoju.

Koniec świata.

Przez Erazma Majewskiego.

2)

(Ciąg dalszy.)

Przy tym wyborze najczęściej nie rządzimy się zasadą ścisłości logicznej, lecz sympatyami, czemś, coby można nazwać powinowactwem myśli, nakazującem mimowoli uznać słuszność tego objaśnienia, które najbardziej pasuje do natury i tła naszego umyslu, które najbardziej nam się podoba.

Prócz tego, same zmysły, które są, jak wiadomo, podstawą wszystkich naszych sądów, zawodzą nas często. Gdyby one były doskonałemi narzędziami badania, błąd byłby niemożliwym, ale tak nie jest. Znaczna część wrażeń zmysłowych wprowadza nas w błąd, ciągle niemal ulegamy złudzeniom. Przytem mamy zamało zmysłów, a dołączywszy do tego wszystkiego krótkość życia ludzkiego, przekonamy się, że w obec tylu przeszkód, niemożliwem jest dokładne poznanie przyrody, choćby w granicach zakreślonych danemi nam środkami fizycznemi.

W obec powiedzianego, jasnem będzie, że i pojęcia, oparte na doskonałych zmysłach, bywają niekiedy zupełnie błędne, a rzadko doskonałe. Wytworzony na takiej podstawie obraz świata, musi się niezmiernie różnić od rzeczywistości. Prawda, że stucznemi zmysłami, jakie sobie człowiek zbudował, a do których należą: mikroskop, teleskop, spektroskop, odczynni'i chemiczne, barometry, termometry, i wszelkie narzędzia do mierzenia czasu, przestrzeni, objętości, wagi, ciepła, światła, elektryczności i t. d., coraz lepiej i dalej spozieramy w świat wielki i mały, coraz więcej pojmujemy i zdobywając nowe widnokręgi myśli, poznajemy z czasem błąd i prostujemy go; ale już z tego samego faktu wypływa pewnik, że nasza wiedza jest niedoskonałą, bo doskonali się... że jest raczej materyałem, na którym się wesprą wiadomości przez następne uzbierane wieki i wspólnie posłużą do wydania skończonego obrazu przyrody, o tyle przynajmniej doskonałego, o ile natura człowieka pozwala sięgnąć w tajniki wszechświata.

Wszelkie teorye i przypuszczenia są niejako wzorzystą mozajką, ułożoną kunsztownie z masy faktów, których nauce wciąż przybywa, i które możnaby nazwać drobnemi ułamkami prawdy, drobnemi pewnikami. Z takich ułamków budują uczeni swą mozajkę, zwaną teoryami i hypotezami, układając fakta jak im się zdaje najwłaściwiej. W każdym razie kombinacye te, jako dzieła ludzkie, mniej lub więcej okazują się nietrwałemi wobec postępu wiedzy, który gromadzi coraz więcej pewnych faktów. Często teorya niedawno kunsztownie ułożona, musi być zrujnowaną przez odkrycie drobnego i napozór nieznacznepo faktu, bo pokaże się, żeśmy miejsce próżne, dla niego przeznaczone przez Mądrość Przedwieczną, zapełnili zbyt pośpiesznie innym kamykiem.

Wszędzie też, gdzie mamy za mało faktów, a chcemy je w pewien system uszykować, możemy się bardzo pomylić, bo któż zgadnie, ilu faktów potrzebnych do poznania całości nie znamy, i co one przyniosą, gdy je poznamy?

Byłoby też ze wszech miar lepiej, raz już stan naszej wiedzy uznać za niedoskonały, przyznać się szczerze tam, gdzie jej brak do niewiadomości, aniželi niedostatki sztucznie zamazywać mrzonkami i przypuszczeniami, a niczem pewnem nieugruntowanemi, które też lada odkrycie obala, niszczy i rozprasza.

Wprawdzie naukowe dzieła byłyby przez to o wiele skromniejsze, mniejby było w nich śmiałych, błyskotliwych, często genialnych zdań i pomysłów,

ale za to więcej prawdy, więcej wiedzy! Wyszlibyśmy łatwiej i prędzej z błędnego koła osobistych złudzeń i krócili drogę do osiągnięcia największej sumy prawdziwej wiadomości o świecie.

Ale, niestety! naturę ludzką trudno przerobić, pozostanie więc podobno i nadal jak było, a ludzkość dojdzie do celu po większych wysiłkach i dłuższem błądzeniu! Będzie się powtarzać w przyszłości ta sama historya wybiegania naprzód, błądzenia i cofania się. Po odkryciu nowych faktów, upadnie kilka pojęć, uczeni uszykują fakta na nowo i lepiej, choć może jeszcze nie zupełnie prawdziwie, a tak, powoli wiedza będzie się stawać coraz bliższą prawdy. Niewiadomo tylko, kiedy zabłyśnie tak jasnem światłem, aby rozproszyła te przynajmniej cienie, jakie dostrzegamy w obecnym stanie naszej wiedzy!

Doprawdy, trzeba tylko być choć trochę miłośnikiem przyrody, choć kiedy niekiedy uważniej spojrzeć w niebo przez teleskop, lub w kroplę wody i życie komórek przez mikroskop, aby przejąć się głębokiem uszanowaniem dla wiedzy, podziwem dla pełnej tajemniczych cudów przyrody! Jeśli pycha i duma nie zagłuszyły jeszcze w nas lepszego pierwiastku, wtedy z rozkoszą schylamy głowę przed niewidzialną potęgą, której zdumiewające dzieła w tylu rozmaitych dziedzinach podziwiamy; wtedy przy całej swej małości, czujemy się wyższeni, bo już samo przekonanie, że jesteśmy w stanie uwielbiać te cuda, a niektóre z nich rozumieć, napełnia nas słuszną dumą i wlewa w dusze błogą nadzieję, że kiedyś, kiedyś, kiedyś będziemy je lepiej rozumieli...

3.

Wszechświat. — Nieskończoność.

„Podobnie, jak symfonia Bethovena nie może się zmieścić i być oddaną w jednym akordzie, tak i wszechistnienie pomieścić się nie może w umyśle człowieka."

Znajdujemy się w noc ciemną i pogodną na miejscu otwartem. Samotność, w obec majestatu natury, wpływa na nas uroczo. Bezwiednie zapomnieliśmy o prozie życia, zerwaliśmy nici, wiążące nas z ziemią i wzrok podnosi się na wspaniały rój gwiazd, migoczących nad naszą głową, zatapia się w ciemne niebios otchłanie, radby też wszystkie jego tajemnice przeniknąć... błądzi od gwiazdy do gwiazdy i nie może się od nich oderwać. Czujemy, że migoczące światełka mogłyby nam wiele ciekawych rzeczy wyjawić, ale tajemniczego ich języka nie rozumiemy. W około cisza. Złudzeni tym głębokiem spokojem, gotowiśmy zapomnieć, że na ziemi gwar i życie panują w tej chwili.

Uroczyste milczenie nocy w takich momentach ma w sobie coś czarownego i uszlachetniającego zarazem. Człowiek staje oko w oko z majestatem natury, niemającym nic wspólnego z pospolitym wirem życia, z którego objęć wyrwaliśmy się, życia podsycanego tylu bodźcami, rozmaitej wprawdzie, ale rzadko podniosłej natury. Tu porównywamy nikłość naszego istnienia z ogromem świata, komarzą siłę z potęgą rzutu milionów brył, krążących po przestworzu niebios, a rozum nasz z tajemniczością kodeksu przyrody. To nas wkrótce pognębia. Schylamy w zadumie czoło... ale po to, aby je wyżej podnieść po chwili. Lepsza cząstka nasza budzi się, rwie do tych tajemniczych krain, nie zdając sobie sprawy dlaczego? I wtedy zachwyceni podsłuchujemy, czy z tamtej strony od owych iskrzących się światów, nie dojdzie nas głos jaki, ale napróżno! Cisza i martwota panuje tam wszechwładnie, nic nie zamąca milczenia nocy, chyba szemry ziemskie. Mimo to zmysły nas łudzą. W głębiach nieba nie tak spokojnie i nieruchomo, jak się zdaje. Panuje tam życie, podobnie jak na pyłku, zwanym przez nas ziemią. Sami nawet dostrzegamy kiedy niekiedy hyżo zjawiającą się gwiazdkę, co przebiega lotem strzały, jak iskierka, czarne tło nieba, aby zniknąć w przepaściach, a człowiekowi dać nowy przedmiot do rozmyślań. O ruchu w przestworzach świadczy jeszcze wymówniej meteoryt świetny (uranolit), gdy w szybkim biegu, rozpalony tarciem o ziemską atmosferę, oświetla kolorowym blaskiem część widnokręgu i pęknąwszy nareszcie z trzaskiem, spada na ziemię, zostawiając w postaci kamieni namacalne świadectwo, że nie był bynajmniej ani utworem wyobraźni, ani gazem nieujętym, lecz twardą, zbłąkaną w przestrzeni bryłą, złożoną ze znanych nam pierwiastków.

. . . .

Wszystko się na niebie, a raczej w niebie porusza. I my wraz z ziemią jesteśmy w niebie, a skoro należymy do tej krainy, podlegamy tym samym prawom, jakie rządzą świata całością. Gdybyśmy żyli i mogli obserwować nie przez jedną chwilę, ale przez lat tysiące, jasnobyśmy spostrzegli, że niepodobna jest, abyśmy w ciągu krótkiego naszego żywota, dostrzedz mogli widoczne zmiany w położeniu wzajemnem gwiazd, pomimo, że wszystkie są w ruchu, pomimo, że wszystkie w rozmaite dążą strony świata z chyżością dla nas niedoścignioną. Wszystkie słońca zataczają ogromoe w przestworzach kręgi, a lata swoje liczą częstokroć na ziemskich lat tysiące. Żadna kula niebieska nie pozostaje w spoczynku, ruch bowiem jest konieczną własnością materyi. Każda gwiazda to olbrzymi glob, otoczony może planetami, na każdej wre może życie, jak na naszej planecie; zamarło już, jak to może się stało na księżycu, albo ma się dopiero pojawić.... jak na Jowiszu naprzykład, który prawdopodobnie jest obecnie jeszcze zanadto gorącym i młodym, aby go mogło ukoronować życie organiczne podobne do ziemskiego.

Ale dosyć tego! Wkroczyliśmy niepostrzeżenie w dziedzinę niebieskiej metafizyki, a rozwiązywanie kwestyi zamieszkałości światów nie jest wcale naszym zamiarem. Cofnijmy się tedy coprędzej, pozostawiając innym wolne pole do sporów w tej materyi.

* * *

Gdy pomyślimy o rzeczywistych, stwierdzonych rachunkiem (jak to niżej się okaże) odległo-

ściach, dzielących te błyszczące pyłki, rozsypane w nieograniczonej przestrzeni, o olbrzymich okresach ich trwania, a jednocześnie o tem, że wszystkie nie są wieczne, że czeka je także zakłada, pytamy ze zdumieniem: co to jest ten wszechświat, przerażający ogromnem, co wzrasta, w miarę jak zdobywamy mytyczne punka, a nawet co wzrasta w miarę jak usiłujemy nakreślać mu granice?...

Czujemy, że to umysł nasz jest ograniczony, ale nie wszechświat, bo skoro tylko przez ustawiczne wysiłki rozszerzamy nasze pojęcia, poznajemy zaraz nowe, przedtem ani przypuszczane dziwy i nowe zagadki! Z jednej strony teleskop, z drugiej mikroskop otwierają nam nieskończoną perspektywę nowych cudów, a wyobraźnia nie może już podołać ani w ocenianiu olbrzymich wielkości, ani niezmiernych małości. Liczby tracą znaczenie, przestajemy je oceniać i rozumieć, stają się nużącą zmorą, odtrącamy ją z niechęcią...

Wciąż udoskonalane narzędzia, nowe odkrywają widoki: mgliste plamki na niebie rozsypują się w tysiące błyszczących prószków, a tam, gdzieśmy nic nie dostrzegali, występuję nowe mgławice i nowe zagadki...

Niechcę dłużej nużyć czytelnika, roztaczając obrazy, wprawdzie rzeczywiste, ale przewyższające fantastycznością utwory wyobraźni najbujniejszych umysłów. Jeśli jest zamiłowany w nauce przyrody, znajdzie ich sam aż do zbytku, w przeciwnym razie będzie miał i tego za wiele, tem więcej, że muszę, zanim pójdziemy dalej, zwrócić jego uwagę na czas i przestrzeń. Pojęcia te o tyle sobie zartują z doświadczenia i postępu wiedzy, że dziś, po dwóch tysiącach lat usiłowań wcale nie bezowocnych w innych dziedzinach, wracamy do dawnych określzń, jakie czasowi i przestrzeni nadał nieśmiertelny Stagiryta, nauczyciel Platona. Przyznajemy, że są one niezmierzone, ale czy pojmie kto w całej pełni te tajemnicze wyrazy: nieskończony, niezmierzony?

Wyobraźmy sobie ziemię, lub też własne „ja" spadające z szybkością ciężkiego kamienia w otchłań bezdenną, przypuśćmy, że będziemy przez rok, przez tysiąc, a nareszcie przez mrlion lat w prostym kierunku spadać, omijając napotykane kiedy niekiedy po drodze gwiazdy, i pomyślmy, że po najdłuższem pasmie lat takiego spadania, nie zbliżymy się ani na włos jeden do dna przepaści, jakie sobie wyobraża nas umysł, ale jakiego niema w istocie. Pomyślmy, że po najdłuższej tego rodzaju podróży, będziemy tak dalecy owego dna, jak byśmy się wcale z miejsca nie ruszali. Wyraz „upadać" lub „spadać" może mieć znaczenie na ziemi, lub wszędzie, gdzie przestrzeń jest ograniczona, w wszechświecie jednak, ponieważ ani wyższego, ani niższego punktu niema, wyraz ten jest bez znaczenia, nic nie wyraża i nie da się zgoła zastosować. Toż samo ma się z czasem. Pojęcie czasu ma wartość względną, jest umówionym znakiem, którym oznaczamy następstwo zjawisk na ziemi, którym mogłoby się określać trwanie na wszystkich gwiazdach i planetach, ale w wszechświecie pojętym, jako całość, czasu niema wcale, jest tylko nieskończoność.

Miliardy lat trwania nie wyczerpują ani sekundy czasu w wszechświecie, bo dla niego niema końca, a raczej wcale czas niema znaczenia. Pojęcie to nabiera wagi i treści, dopiero w zastosowaniu do stworzeń, czas upływa dla ziemi, planet słońc i organizmów żywych, ale poza ich obrębem nie istnieje wcale. Wiek i sekunda są zarówno długie w wiekuistej trwałości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pieśń wieczórna dziecięcia.

Już słońce bieg skończyło
I tarczę swą okryło,
Tam za tym pasmem gór.
Już gwiazdki zapłonęły
I nocną straż objęły,
Nam przyświecając z poza chmur.

Już anioł stróż zstępuje
I miejsce tam zajmuje,
Gdzie dobre dziecię śpi;
Więc kończy swe zabawy
I wszystkie dzienne sprawy
I o aniołkach dziecię śni.

Rozmaitości.

— **Pieniądze sumienia.** Urząd skarbowy Północnej Ameryki zawiaduje osobliwym funduszem. Fundusz ten nazywa się „pieniądze sumienia", a ma taki początek. Pewien kwatermistrz przeniewierzył w ostatnich wojnach sumę wynoszącą około 6000 marek. Osczstwo to nie dało pokoju jego sumieniu, i postanowił jako Zacheusz pieniądze te wrócić. Posłał tedy sumę tę do urzędu skarbowego z oświadczeniem, że to są pieniądze niesprawiedliwie nabyte. Przykład jego znalazł naśladowców. Urząd skarbowy założył z pieniędzy tych osobny fundusz, który w ciągu lat 20 doszedł sumy około 25,000 marek. Największą sumę złożył dotąd pewien urzędnik podatkowy z Chikago z oświadczeniem, że pieniądze te wziął jako łapowe. Najmniejszą kwotę przesłał ktoś z Massachusets, 9 centów, ponieważ użył powtórnie marki pocztowej, która już raz była w użyciu. Jest to rzecz piękna i naśladowania godna. — Czyby i u nas nie mógł być założony taki „fundusz sumienia"? Czybyś i ty miły czytelniku nie miał tam co do przesłania?

Rozwiązanie zagadki z nr. 30.

Gdy coroczna jesień wstąpi,
Wtenczas żaden strzelec wątpi,
Ani stary, ani młody,
Aby oni w coś strzelali.
Niejeden buchnie zając w stronie,
Azeby się w choinie schronić. J. Rzepio z R.

Zagadka.

Pośród świata dąb stoi,
A do każdej chałupy gałąź wisi.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Ełku, (Lyck Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Ełku.